



Mark
Johnson

*Spisany
na straty*

Mark
Johnson

Spisany na straty

Historia Marka jest szokująca, ale jednocześnie dająca nadzieję innym, którzy popadli w uzależnienie. To wstrząsająca opowieść o walce człowieka ze swoimi słabościami.

Zanim skończył osiem lat, już pił, a heroiny spróbował jako jedenastolatek. Chociaż marzył o szkole artystycznej, trafił do więzienia w Portland. Nikt, a tym bardziej on sam, nie przypuszczał, że ten bezdomny, blakający się bez celu po ulicach Londynu młody człowiek, żyjący z dnia na dzień, od działki do działki, może wrócić do normalnego życia. Mimo to znalazł jakoś siłę, by się podnieść...

ISBN 978-83-7575-603-6



9 788837 517560 36

 hachette
POLSKA
www.hachette.com.pl

patron medialny:

recenzje • rozmowy • wydarzenia
książki
magazyn internetowy
www.rynek-ksiazki.pl

Mark
Johnson

Spisany
na straty

 hachette
POLSKA

Prolog

Nie dam już rady. Spadam stąd. Nie cierpię tego miejsca, zapachu środków czyszczących, zużytych szaf i foteli wytartych do granic możliwości przez kręcące się na nich tyłki. Łatwiej było żyć na ulicy niż tutaj. Tam wszystko było proste. Żadnych reguł, żadnych terapeutów, żadnych wspomnień, nikogo, niczego. Tylko dragi. To wszystko, czego chciałem i o co się martwiłem. Nie było bólu codziennego życia, zastąpił go ból konieczności zdobycia następnej działki.

Włączam lampkę. Światło sprawia mi ból, bo źrenice nie reagują jeszcze prawidłowo. Znajduję pustą torbę. Wzdychając, otwieram ją.

Dokąd się wybieram? Jaki?

Nie mam wiele do zabrania, nic poza kilkoma ciuchami zostawionymi wcześniej przez podobnych do mnie, którzy stąd uciekli. Wkładam je powoli do torby. Potem sięgam pod łóżko po swój kuferek malarski.

Moje stawy zgrzytają, a ból przeszywa moje nogi. Gdy odstawia się heroinę, jest się chodzącym bólem. W moich kościach nie ma szpiku. Moje ciało się rozpada.

Otwieram kuferek i sprawdzam, czy moja kolekcja przedmiotów znalezionych jest w komplecie. Jakieś pędzle. Rączka od łyżki. Igły do szycia. Notes. Plakietki. Wszystko znalezione w koszach, w śmieciach innych ludzi. Do niedawna — cały mój dobytek.

Serce wali mi jak oszalałe. Jestem przerażony. Nie chcę odchodzić. Droga, którą pokonałem, żeby wyzdrowieć, była taka długa. Ale nie chcę też zostać.

- Co jest? - pyta jakiś głos. To koleś z pokoju, Colin. Sądziłem, że o tak późnej porze będzie już spał.

- Rozpadam się — mówię. — Jestem tu od ponad dwóch tygodni i nie wytrzymam dłużej, jeśli czegoś nie wezmę.

Colin podnosi się na łóżku i ziewa. — Ból ciągle nieznosny, co?

- Rozwala mi pieprzony łeb.

Colin — niski, ciemnoskóry Cygan koło czterdziestki — wie, o czym mówię. On też jest uzależniony od cracku i heroiny. On to rozumie — od lat bierze dragi, żeby przestać cokolwiek czuć.

Od bardzo, bardzo dawna naprawdę nic nie czułem, żadnych emocji. Teraz, gdy te świństwa ze mnie wychodzą, na nowo staję się człowiekiem. Wszystkie emocje, które były tłumione przez narkotyki, powracają jednocześnie. Przerażenie, poczucie winy i straty, wstyd, beznadzieja, niemoc, samotność, smutek, zazdrość, gniew... Wszystko, co powinienem czuć dotychczas, czuję teraz. Emocje rozjeżdżają mnie z siłą olbrzymiej lokomotywy. Miażdżą, zamieniają w papkę.

Colin patrzy na mnie. Od lat stara się wyzdrowieć i ma niezłą gadkę, ale i tak regularnie wraca do nałogu.

- Znaczy — mówię - te wszystkie zasady, które tutaj mają. No, nie jestem w stanie ich przestrzegać. Czego oni ode mnie chcą?

- Nie chodzi o to, czego oni chcą. Chodzi o to, czego ty chcesz.

- Ja tylko chcę być czysty. Chcę rozpocząć nowe życie.

- Więc... masz wyjście.

- Co?

- Tak to jest. Wszystko to, co siedzi ci z tyłu głowy, musi wyjść. Musisz być szczerzy. Wszystkie rzeczy, które ściągały cię w dół, wszystkie tajemnice - musisz to wyznać, stary.

Przez chwilę się zastanawiam i czuję, jak włosy na karku stają mi dęba. To się naprawdę dzieje i nie znaczy, że przechodzi mnie dreszcz. To znaczy, że teraz, gdy moje receptory nie są już blokowane przez narkotyki, reaktywują się kolejne zakończenia nerwów.

- Czyli - mówię - muszę powiedzieć o tym, jak tam naprawdę było? Na ulicy?

Colin parska śmiechem.

- Nie mówię o twoim ego, jaki twardy tam byłeś. Nie chodzi o to, żebyś się nad sobą użalał. Mówię, że musisz wyjawić swoje tajemnice. Prawdziwe tajemnice. Te wszystkie małe, wstydlive rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówiłeś, podstępne, złośliwe, te z gatunku „podwal kumpla — ocal tyłek”.

Moje tajemnice. Chyba nie mówi poważnie. Jest mnóstwo rzeczy, o których nie zamierzam nikomu mówić. Nigdy.

Colin ciągnie dalej. - Mówienie o swoich słabościach przywraca ci siłę. .

Przechodzę przez pokój, otwieram okno i czuję zapach nocy. Oddycham głęboko, wciągając zapach słonego, morskiego powietrza.

Słyszę za sobą nalegający głos Colina.

— Musisz powiedzieć.

Odwracam się, a on ciągle na mnie patrzy.

— Mnóstwo rzeczy trzyma cię w chorobie. Twoje tajemnice zatruwają ci duszę. To się nazywa sekretna strona samego siebie. Zastanów się nad tym, stary, zanim spakujesz swoją torbę.

Całą noc leżę i nie śpię, moje ciało wije się z bólu, każdy nerw drga, a moje nogi to śmigła, które wciąż furkoczą, wirują. Chcę odejść, ale nie mam dokąd. Nie chcę tego robić, ale nic innego mi nie pozostało. Nie chcę brać, ale nie mogę bez tego żyć.

Rano wciąż tutaj jestem.

Gdy idę na terapię grupową, umieram ze strachu. Kulę się na krześle i wszyscy już wiedzą, że po raz pierwszy zacznę mówić. Czuję się atmosferę wyczekiwania. A może to ciekawość?

— Aaa... - reaguje Alan, wyraźnie zadowolony. - Czy chcesz nam opowiedzieć o jakimś istotnym wydarzeniu, Mark?

— Taa — odpowiadam. Otwieram usta i czekam na swoje słowa. Przez moment głos więźnie mi w gardle. W końcu zaczynam.

Rozdział pierwszy

Nienawidzę niedzieli. To dzień, w którym ojciec idzie do pubu, a mama — do sali królestwa [miejsce zebrań świadków Jehowy - *przyp. tłum.*]. A jeśli nie ma go w pobliżu, wówczas mama zabiera także i nas. Dzisiaj go nie ma. Z wyjątkowej ciszy i ze sposobu, w jaki mama krząta się po kuchni z zaciśniętymi ustami, domyślałam się, że tato nie wrócił na noc do domu.

Mama szykuje się na zebranie, podobnie jak nasza starsza siostra Kelly, która zawsze robi to, co mama jej powie, a potem każe nam robić to samo. Shane i ja wyglądamy ciągle na Reynolds Street, z nadzieją, że pojawi się na niej tato, bo chcemy, żeby wrócił, nawet jeśli będzie pijany, i ocalił nas od zebrania. Patrzą w górę i w dół ulicy, między dwa rzędy czerwonych tarasowych domów, ale nikogo nie widać, tylko ta wyjątkowa cisza niedzielnego poranka.

Ubieramy się powoli. Ojciec ciągle się nie pojawia, więc wychodzimy z domu. Shane i ja ciągniemy się za mamą i Kelly. Idziemy w dół Reynolds Street. Mijamy jabłonie. Latem ich gałęzie były grube od liści i uwielbiałem sposób, w jaki drzewo otulało mnie niczym zielony koc, gdy strząsałem jabłka. Teraz gałęzie są nagie i śliskie.

Mama bierze mnie za rękę i ciągnie do sali królestwa. To duże pomieszczenie z podwyższeniem z przodu. W powietrzu unosi się zapach mydła. Siadamy na zielonych krzesłach, a jakiś stary mądrała staje na podwyższeniu i gada, gada co najmniej godzinę. Cieszę się, gdy są jakieś śpiewy, ale sama muzyka nie ma rytmu i właściwie żadnej melodii. I znów to gadanie. Nie mogę spokojnie usiedzieć. Szepczę do Shanea, wiercę się na krześle. Ćwiczę zawiązywanie sznurówek. Shane mówi, że źle to robię. Popycham go. Ludzie się odwracają, żeby nas przeszyć spojrzeniami, mama jest już zła. Chciałaby na mnie nawrzeszczyć, ale nie może, bo jesteśmy w sali królestwa, więc łapie mnie za nadgarstek i prowadzi do toalety. Futro na rękawach jej purpurowego płaszcza łaskocze mnie po twarzy. Mama wpycha mnie do kabiny i uderza.

— Nie, nie, mamó, proszę, nie! — zawodzę.

- Ćsiii - syczy, okładając mnie po plecach. Gdy mnie bije, czuję zapach jej perfum, który drapie mnie w gardle. Nagle nie ma już galaretowatych policzków: jej twarz jest ściągnięta ze złości.

- Muuuuuuu - ale mama zakrywa mi usta jedną ręką, a drugą dalej mnie okłada. Bęc, klap, łubu-du. Udaje mi się wykrzykiwać mój protest między jej palcami.

Gdy otwiera drzwi, w sali panuje cisza. Wszystkie głowy pochylone są w modlitwie. Ale nie wszyscy się modlą. Wiem, bo zaczynają się na mnie gapić. Płaczę, ale robię to cicho, przestraszony wzrokiem mamy.

— Próbowaliśmy się modlić — mówi Kelly, gdy wracamy do domu - ale wszyscy słyszeli tylko twoje błagania, żeby mama cię nie biła.

Cieszymy się, że jest już po wszystkim. Sala zgromadzeń to świat mamy, nie nasz. Nawet jeśli staramy się przypodobać мамie i wielkiemu Bogu Jehowie oraz chodzimy na kongresy i zebrania, to wiemy, że tam nie pasujemy. Nie jesteśmy tacy jak oni. Nie będziemy zbawieni. Jesteśmy kimś znacznie mniej ważnym, bo oni mają obiecane życie wieczne, a my nie, i oni o tym wiedzą.

Ojciec zawsze się śmieje, gdy mama mówi nam o Jehowie. Nie tylko nie pozwala nam chodzić na te zebrania, ale grozi, że kiedyś rozwali ciężarówką drzwi sali królestwa.

Głos mamy zawsze jest pełen przestrogi. Mówi: - Jehowa patrzy na ciebie. Widzi wszystko, co robisz, i cię osądza.

Ojciec znów wybucha śmiechem, z czego bardzo się cieszymy, bo nie robi tego często. Babcia i wszystkie nasze ciocie oraz wujkowie, którzy mieszkają przy Reynolds Street, też się pewnie śmieją z Jehowy i też się Go pewnie nie boją. Każą się мамie zamknąć, gdy tylko zaczyna o Nim mówić.

Kiedy zbliżamy się do domu, zaczynamy się denerwować. Co zastaniemy? Czy będzie tam tata siedzący na sofie z tym swoim grzecznym, pijackim, niedzielnym uśmieszkiem? Czy mama zacznie na niego wrzeszczeć? Czekamy, spięci, podczas gdy mama otwiera frontowe drzwi. Wchodzimy po cichu i jak grupa detektywów, bez zbędnych uzgodnień, przeszukujemy dom szybko i w milczeniu. Ojca nie ma. Mama wygląda na wściekłą. Idzie do kuchni i zaczyna się po niej tłuc.

Babcia przychodzi na niedzielny obiad z dwójką swoich najmłodszych dzieci, George'em i Philem. To nasi wujkowie, ale nie są dużo starsi od nas, więc traktujemy ich raczej jak kuzynów. Słyszymy, jak babcia z мамą rozmawiają w kuchni, przygotowując pieczeń. Starają się być cicho. Nie słucham. Nie chcę.

Ale rozpoznaje ten szczególny ton gniewu, który słyszę tylko w rozmowach o ojcu. Nie mówią jak większość ludzi tutaj, bo pochodzą z Newcastle upon Tyne i ich akcent jest bardziej śpiewny. Tutaj, w Kidderminster, ludzie nie śpiewają, gdy mówią, jest to raczej coś w rodzaju lamentu. Wszyscy moi krewni z obu stron są z Newcastle, więc dopóki w zeszłym roku nie zacząłem chodzić do podstawówki, dopóty mówiłem z akcentem Geordie. Teraz w mojej wymowie słychać bardziej akcent Brummie.

Słyszę, jak mówią, że ostatniej nocy ojciec spał pewnie u Niej. Ona ma na imię Ona. Może właśnie rozmawiają o kobiecie, którą w zeszłym tygodniu ja i Shane widzieliśmy w samochodzie z naszym tatą. Przyspieszył, gdy nas zobaczył, ale mieliśmy wystarczająco dużo czasu, żeby zauważyć, że jest chuda i wygląda jak wieszak, ma długie czarne włosy i się uśmiecha. Powiedzieliśmy o tym mamie i od tamtej pory jest strasznie zła.

Babcia jest niska i silna. Bardzo kocham moją babcię. To ona jest głową naszej rodziny. A teraz głowa naszej rodziny jest zła na tatę.

Mama nakrywa ojcu do stołu. Kelly ciągle zerka w stronę drzwi. Shane proponuje, że pobiegnie do pubu Pod Dworcem i zobaczy, czy nie ma tam ojca, ale mama mu nie pozwala. Teraz naprawdę jest zła. Babcia z ponurą miną dzieli pieczeń, a mama w milczeniu podaje warzywa. Nakłada również na talerz taty. Jedząc, czekamy. Gdy jedzenie taty stygnie, mama wkłada je w milczeniu do piekarnika, żeby podgrzać.

Zaraz po obiedzie wychodzę na dwór. Chcę być gdzie indziej. Wkrótce dołączam do grupki dzieciaków i lądujemy w domu jednej dziewczynki na końcu ulicy. Wszystko jest tu poukładane.

Nawet mi się podoba. W salonie jest schludnie, jej mama jest w kuchni, tato - w ogrodzie, i panuje spokój. W naszym domu też jest schludnie, ale jednocześnie wydaje się, że w każdej chwili coś może eksplodować. A wówczas wszystkie płyty i garnki, krzesła i ubrania rozlecą się po całej Reynolds Street, a pewnie nawet po całym West Midlands. W domu tej dziewczynki podoba mi się spokój niedzielnego popołudnia.

Nagle przybiegającej starsza siostra, dysząc z wysiłku.

— Nie możesz teraz wyjść - mówi. - Na ulicy jest straszna bójka i nie możesz jej zobaczyć.

Bójka. Na ulicy.

— Gdzie? - pytam. Nie odpowiada i nie musi tego robić. Już wiem, gdzie jest bójka.

— Tam jest krew — mówi. — Pełno krwi.

Już mnie nie ma, biegnę w stronę bójki, której nie powinienem zobaczyć. Z końca ulicy słyszę krzyki. Grupa ludzi w płaszczach tłoczy się przed naszym domem.

Sąsiedzi, wujkowie, ciotki, mój starszy brat i siostra kulą się w milczeniu pod domami wzdłuż całej ulicy. Gdy zbliżam się do gapiów, ciocia Tania zapędza Kelly, Shanea i mnie do domu. Dostrzegam jeszcze zakrwawioną twarz mamy. Wrzeszczy na tatę, chodząc wokół niego. A on stoi, znacznie wyższy od niej, i się nie rusza. Ma na sobie kowbojskie buty, niebieskie džinsy i niebieską kowbojską koszulę. Ma też kowbojski wąsik i ciemne, grube włosy, układające się w fale. Stoi wysoki i silny jak prawdziwy kowboj. Tylko że dzisiaj jego koszula jest cała poplamiona. Krwią i sosem. A wokół jego stóp walają się ziemniaki i wołowa pieczeń. Pod nogami mamy zgrzytają kawałki talerza, i ten dźwięk jest gorszy od krzyków.

W domu nic się nie zmieniło. Jest czysto i schludnie jak zawsze. Ktoś z zewnątrz naprawdę mógłby pomyśleć, że jesteśmy normalną rodziną, gdyby nie zauważył krwi i jedzenia na ulicy. Idziemy prosto do pokoju rodziców, trzymamy się wszyscy razem i oglądamy wszystko z góry. Cieszę się, że Kelly mnie obejmuje.

Na dole mama płacze. Jej twarz wykrzywiają zabawne grymasy. Widzę, że trochę krwawi. Ma pulchne ciało. Jest przeciwieństwem kobiety wieszaka z samochodu.

Ojciec wygląda groźnie — z zaciśniętymi pięściami, grzmiący niczym burza. Stąd widzimy, że w bójkę bierze udział ktoś jeszcze. To moja babcia. Jej małe, twarde, kościste ciało leży na ulicy. Widzę na nim krew. Ale podnosi się i zaczyna wrzeszczeć na ojca. Zaraz go uderzy. Ojciec podnosi pięści. Paru sąsiadów łapie babcię i powstrzymuje przed atakiem.

Potem najbliższy sąsiad mówi coś do naszego ojca i w końcu go odprowadza. Ojciec trochę się chwieje. Wsiadają do samochodu sąsiada i odjeżdżają. Pewnie do pubu.

Budzę się w nocy. Niebo, które widzę przez okno w dachu, jest czarne. Czuję się samotny. Ledwie słyszę oddech Shanea. Chcę wstać. Chcę wyjść z tego domu. Chcę iść, iść i iść, dopóki nie znajdę innego domu, w którym mógłbym zamieszkać z inną rodziną. Próbuję usiąść, ale nie mogę. Jakbym był związany sznurami. Są tak mocno zaciśnięte, że prawie nie mogę oddychać. Mówię sobie, że te więzy istnieją tylko w mojej wyobraźni. Próbuję je zerwać. Ale są zbyt ciasne.

Zmagam się z nimi i walczę, aż w końcu z siłą supermena podnoszę swoje ciało. Jestem cały spocony, gdy uderza we mnie zimne nocne powietrze.

Wolno idę przez pokój, a potem bardzo cicho schodzę na półpiętro. Drzwi sypialni są otwarte, ale nikt się nie rusza, nikt nie oddycha. Może wszyscy są związani.

Ostrożnie schodzę do zimnej, cichej jadalni. Widzę coś przez okno. Zatrzymuję się i zerkam do czarnego ogrodu. Na murze siedzi jakaś postać. Wpatruję się w nią, a ona wpatruje się we mnie. Jest mała i biała i już wiem, kto to jest. To Jack Frost [w folklorze brytyjskim postać elfa, która uosabia mroźną zimową pogodę - *przyp. tłum.*]. Wygląda dziwnie, jest błądy i gładki. Prawdopodobnie cały jest zrobiony z lodowych kryształków, gdyż teraz błyszczy w słabym świetle księżycy. Jest piękny. Pies, śpiący nieopodal w swojej budzie, nie zauważył go. Jack siedzi na murze, patrząc na mnie, a ja stoję w jadalni, patrząc na niego. Jack wie, że ja to Mark Johnson, a ja wiem, że on to Jack Frost. Czuję się lepiej, wiedząc, że on tam jest, błyszczący i spokojny, na murze naszego ogrodu.

Odwracam się, ale sznury ciągną mnie z powrotem na górę. Kładę się do łóżka; więzy są luźniejsze i już nie takie ciężkie. Moje stopy są lodowate jak stopy Jacka, a całe ciało jest sztywne z zimna, ale teraz, gdy wiem, że on tam jest, szybko zasypiam.

Następnego dnia ojciec nic nie mówi. Jest skruszony. Czujemy się przez to strasznie niezręcznie. Szybko wybaczymy mu, że pobił mamę i babcię. Jest naszym tatą i kochamy go, a poza tym mama rzuciła w niego jedzeniem, więc czego się spodziewała? Ale chodzimy wokół niego na palcach.

Kilka dni później wyjeżdża. On zawsze gdzieś wyjeżdża. Sposób, w jaki się pojawia i znika, czyni go kimś jakby magicznym i bardzo ważnym. Bez ludzi takich jak mój ojciec, którzy składają do kupy różne kawałki stali, nie byłoby elektrowni. To

dlatego cała rodzina przeprowadziła się do West Midlands, bo rodzice, babcia, wszyscy wujkowie i wszystkie ciotki pomagali budować ogromną elektrownię, żeby ludzie mogli palić światło. Teraz tata pracuje przy budowach elektrowni w całej Anglii, a czasem w innych krajach Europy. Pracuje w deszczu i w śniegu. Latem słońce spala go na brązowo, a zimą jego twarz przed chłodem chronią tylko wąsy. Jest bardzo przystojny. Nie ubiera się niemodnie i niedbale, jak ojcowie innych dzieci. Ze swoimi kowbojskimi ciuchami i włosami obciętymi na wysokość kołnierzyka wygląda trendy. Jest wysoki, silny i postawny jak skała. Jest moim bohaterem i kocham go.

Rozdział drugi

Ojca nie ma długi czas, a potem wraca na kilka tygodni. To jest rytm naszego życia. Zawsze wiem, kiedy ma przyjechać, bo mama zaczyna robić w domu porządki. Wszędzie czuć pastą. Wszystko jest na swoim miejscu. Panuje szczególna atmosfera oczekiwania. Tym razem jestem wyjątkowo niespokojny, bo gdy ojciec wróci, będę w opałach. Mama znalazła w mojej sypialni plakietki i naklejki ze sklepu z zabawnymi gadżetami i domyśla się, że je ukradłem.

— Ja?! W życiu!

— W takim razie skąd je masz?

— Kupiłem!

— A skąd wzięłeś pieniądze?

— Od Tony ego. Byłem z Tonym i to on mi je dał!

— Razem z metkami?

— Tak!

Jestem oburzony tymi jej oskarżeniami. Mama nigdy mi nie wierzy. I gdy tylko tato wróci, o wszystkim mu powie.

Tego dnia, gdy ojciec ma przyjechać, po szkole nie idę prosto do domu z moim starszym bratem. Szwendam się po ulicy.

Dzieciaki stopniowo wychodzą z domów i już za chwilę jesteśmy wszyscy. Nasza paczka *ciagle* się zmienia. Ludzie walczą ze sobą, dorastają i dołączają do innej grupy. Jestem na ulicy cały czas, więc lawiruję między jedną paczką a drugą, ale tak naprawdę nie należę do żadnej. Mam kolegów, którzy stają się moimi wrogami, i zaczynam się z nimi bić. Mam też wrogów, których decyduję się polubić, albo takich, którzy pokonują mnie w bójkach. Jesteśmy jak wagony, doczepiamy się i odczepiamy, tylko nikt tego nie widzi. Żaden dorosły nie dostrzeże konfiguracji, które tworzą nasze paczki, gdy zmieniają rozmiar i skład.

Dzisiaj ktoś przyniósł starą tacę na pieczywo, wygrzebaną ze śmietnika. Idziemy w dół Station Hill, w kierunku przejścia podziemnego przy dużym rondzie. Tutejsze schody obłożone są płytkami, które po deszczu stają się śliskie. Po kolei zjeżdżamy po schodach na tę tacę. To jak bobslej, tyle że nie ma śniegu i bardziej się podskakuje. Gdy kończymy, wyrzucamy tacę do kanału. Rozglądam się za wózkami zakupowymi, żeby też je tam wrzucić. Ściemnia się i reszta dzieciaków powoli rozchodzi się do domów. Ja nie chcę wracać do domu. Nigdy tego nie chcę.

Kiedy jestem już na Reynolds Street, spotykam inną grupę, tym razem starsze dzieciaki, trochę się z nimi włóczę, ale i one wracają do domów. Jestem teraz sam z tymi wszystkimi małymi ogródkami, bramkami i zamkniętymi drzwiami. Rozglądam się po ulicy. Światła już się świecą, część zasłon jest zasunięta, ludzie siedzą przed kominkami gazowymi, oglądają telewizję, szczotkują psy, piją herbatę. Zatrzymuję się przy Reynolds Street 89. Popycham bramkę. Pod palcami czuję znajomy, zimny metal.

Trzaśnięcie bramki to dźwięk, który słyszę każdego dnia. Bardzo, bardzo wolno podchodzę do frontowych drzwi. Kopię po drodze parę kamyków. W końcu, ociągając się, uderzam w drzwi miedzianą kołatką.

Otwiera mama. Była u fryzjera. Wiem, bo jej długie loki są bardzo skręcone. Do dzinsów założyła nowy sweter.

— Gdzie byłeś? — pyta.

— U Tony ego.

— Tylko popatrz na siebie.

Jej fryzura, sposób mówienia i głęboka, przenikliwa cisza za jej plecami mogą oznaczać tylkojedno. Wrócił.

Wchodzę do domu; jest tak czysto, że prawie sterylne, nawet powietrze wydaje się sterylne. To nie jest jadalnia, to sala operacyjna, i zaraz zostanę rozkrojony. Modne brązowe ściany, brązowa kanapa, brązowy dywan, brązowe półki prezentujące długie rzędy kowbojskich książek mojego ojca, a na fotelu z odchylanym oparciem, które w rzeczywistości się nie odchyła, siedzi on.

Boję się go bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ma na sobie swój nieodmienny kowbojski strój: niebieskie dzinsy, niebieską koszulę, buty. Chciałbym przemknąć koło niego prosto na górę, żeby mnie nie zauważył, alejuż na mnie patrzy. Szukam uśmiechu podjego dużym kowbojskim wąsem. Nie znajduję.

— Wszystko w porządku, tato? — odzywam się i ruszam w kierunku schodów.

— Zostań tu. Chcę z tobą porozmawiać.

Gdzie są Kelly i Shane? Dlaczego nie oglądają jak zwykle telewizji przy kominku z pomarańczowymi płomieniami? Musieli wyczuć kłopoty i schowali się w swoich pokojach. Gdy

ojciec jest wściekły, jego złość może spaść na każdego. No, na każdego z wyjątkiem Kelly.

Mama biega niespokojnie wokół nas. Nie musi mieć nawet piór do zbierania kurzu ani fartuszka z falbanką wokół bioder, i tak można odnieść wrażenie, jakby aktorka Julie Andrews wpadła do nas, żeby zaśpiewać piosenkę. A tato wczuwa się w rolę pana domu. Tak właśnie zachowują się moi rodzice tuż po powrocie ojca do domu.

— To, że jestem daleko, nie oznacza, że nie wiem, co się tu, do cholery, wyprawia. Wiem. Dobrze wiem, co się tu dzieje, gdy mnie nie ma. — Kontroluje swój głos, za bardzo. Z nas wszystkich to on ma najmocniejszy akcent Newcastle. Niektórzy miejscowi nie mogą go zrozumieć. Ale ja rozumiem. Słyszę w jego głosie groźbę. To dlatego, że ustawia stalowe rusztowania. Gdy przyjeżdża do domu, w jego głosie brzmią wielkie stalowe pręty.

— Nic nie zrobiłem — odpowiadam.

— Zrobiłeś. Znow to zrobiłeś. Kradłeś. Wystarczyło, że poszedłeś do cioci Tanyi, i od razu coś, do cholery, ukradłeś.

Nie mówi o sklepie z gadżetami. To zupełnie inne przestępstwo.

— Ja? W życiu!

To gojesz jeszcze bardziej złości. — Wszyscy wiedzą, że to ty.

— W życiu! To musiał być ktoś inny, u cioci było pełno ludzi!

Tato mi przerywa, a ja od razu milknę. Jego głos staje się niski i monotony, jakby mówił teraz do siebie. Ale tak nie jest, on mówi do mnie.

— Jak ja, do cholery, mogę mieć takie dziecko? To właśnie chciałbym wiedzieć. Nie zasługuję na to. Powinienem mu odraubać paluchy, bo tak przecież robią, tak, tak robią w którymś

z tych gorących krajów. Powinienem mu odrąbać całą cholerną rękę. Rzygam już tym cholerstwem...

Nie krzyczy. Im ciszej mówi, tym bardziej jest przerażający. Próbuję powiedzieć, że tego nie zrobiłem, ale jego gniew zalewa moje protesty. Nagle zrywa się i ciągnie mnie do swojej sypialni. Czuję, jak schody uderzają w moje kostki. Rzuca mnie na łóżko, a moje ciało podskakuje. Podchodzi do szafy, wyjmuje dzinsy i wyciąga z nich kowbojski pas. Kulę się, gdy pas łąduje na moich plecach. Ból przeszywa całe ciało, rozpluwając się rwącymi strumieniami od kręgosłupa. Czuję, że ból jest czerwony. Czuję, że całe moje ciało jest czerwone. On znów mnie uderza, ale tym razem, chociaż to bolesne, nie czuję bólu, bo teraz część mnie przebywa gdzie indziej, wysoko pod sufitem, albo może na jakimś olbrzymim zielonym drzewie, i przygląda się, jak ojciec mnie bije. Nie ma mnie i nie jestem czerwony, jestem spokojny i zimny jak Jack Frost.

W dole na łóżku płacze dziecko, a nad nim stoi wielki niebieski facet.

— I przestań w końcu wrzeszczeć! — spluwa facet. — Drzesz się jak pieprzona ciota.

Dziecko nie przestaje płakać.

— A teraz marsz, kurwa, na górę, ty pieprzona cioto — syczy wielki niebieski facet i wychodzi z pokoju.

Pociągając nosem, idę na poddasze, do pokoju, który dzielę ze swoim starszym bratem. Słyszał to wszystko. Nic nie mówi, ale rozumie. Kiedy ojciec nas bije, ciało boli przez jakiś czas, ale coś w środku boli znacznie dłużej. Świadomość, że on nas nie kocha.

Jest piątkowy wieczór; według ojca ta pora należy do mężczyzn. Sobotni wieczór jest dla rodziny, ale piątkowy — dla mężczyzn. Pójdzie do pubu Pod Dworcem na końcu Reynolds

Street. Wszyscy mężczyźni z ulicy tam będą. Idą tam grupą, która zwiększa się w miarę, jak kolejni sąsiedzi wychodzą ze swoich domów.

Słyszę trzaśnięcie frontowych drzwi i na jakiś czas zalega nowy rodzaj ciszy, cisza wytchnienia. Kiedy się budzę, nie wiem, która jest godzina, ale wiem, że on jeszcze nie wrócił, albo go nie usłyszałem. Księżyc jest jasny, ale jego kształt niewyraźny. Przez zamarznąłą szybę prześwituje jego światło. Widzę zawieszzone na ścianie korki Shanea, które kopią między sobą piłkę.

Jeśli tato nie pójdzie w tango, powinien wrócić zaraz po zamknięciu pubu. Moje ciało się napina. Ktoś znów obwiązał mnie sznurami. Są tak mocno zaciśnięte, że w ogóle nie mogę się ruszyć. Nie mogę oddychać. Walczę o łyk powietrza. Chcę uwolnić się z tych więzów i pobiec w dół ulicy, żeby tylko tu nie leżeć. Mam nadzieję, że Jack Frost czeka na mnie na ogrodowym murze.

Potem trzaskają drzwi. Moje mięśnie się spinają; ciało staje się zimnym metalem. Wstrzymuję oddech. Starszy brat nic nie mówi, ale wiem, że w swoim łóżku również nasłuchuje.

Słyszę głos ojca. Może to jedna z tych nocy, gdy wraca zadowolony, śmieje się i żartuje. Ale nagle poziom hałasu drastycznie wzrasta. Za chwilę mama już na niego wrzeszczy. Znów mówi o Niej. Potem jest stała gadka o Jehowie, diable i końcu świata. Chcę, żeby już przestała. Jeśli nie przestanie, on ją uderzy. Nie przestaje. Krzyczy, coraz bardziej piskliwym głosem, aż nie słyszę już, co mówi, tylko melodię słów. Gdy tato odpowiada coś gniewnie, ich głosy mieszają się w jeden dziwny akord. Tak robią śpiewacy operowi; rodzice śpiewają operę furii.

Słyszę, że mój brat wstaje.

— Gdzie idziesz? — syczę, chociaż już wiem. Jesteśmy bezsilni, ale kiedy leżymy w łóżku, jest jeszcze gorzej. Idę za nim po schodach. Zatrzymujemy się w korytarzu. Wszystkie światła są zapalone, rodzice stoją w salonie, mama krzyczy. Nagle następuje przerwa. Mogłoby być po wszystkim. Ale nie, on zaczyna ją bić. Jego dłonie są ogromne, to spuchnięte dłonie kogoś, kto pracuje ciężko, w deszczu i w śniegu. Litery wytatuowane na czterech palcach lewej ręki układają się w napis LOVE. Sporo osób ma taki tatuaż. Na drugiej ręce mają zwykle napis HATE, ale ojciec go nie ma. Mówi, że to dlatego, że nie zna osoby, której by nienawidził, więc zamiast tego na prawej dłoni kazał sobie wytatuować krucyfiks.

Do bicia mamy nie używa ręki, na której ma wytatuowany napis LOVE. Tą ręką tylko ją trzyma, uderza drugą. Mama krzyczy. Chcę uciec, ale nie mogę się ruszyć. Chwytam się framugi drzwi. Jest mi niedobrze.

Nagle Shane wbiega do salonu. Staje między nimi, wrasta w podłogę tuż przed mamą, spojrzeniem zabrania ojcu podnieść na nią rękę. Skąd w nim tyle odwagi? Jest tylko dwa lata starszy ode mnie i nie chodzijesz nawet do gimnazjum. Zerkam na twarz ojca i muszę odwrócić wzrok, bo widok jest potworny. Jego oczy zamieniły się w lód. Podobnie jak jego złość. Ale to nie jest miły lód, jak w przypadku Jacka Frosta. Gdy patrzę na jego twarz, zaczynam się poważnie bać o Shanea. Shane próbuje walczyć z jego wzrokiem, mrużąc nieco oczy, jakby ojciec go oślepiał. I wtedy tato dłonią z wytatuowaną miłością bierze mojego brata za gardło i wali go z całej siły w twarz ręką, na której nie ma wytatuowanej nienawiści. Słyszę trzask starych kości na młodym ciele.

Mama krzyczy wniebogłosy i łapie brata w ramiona, a ojciec wypada z salonu, odpychając mnie brutalnie na bok. Ciągłe nie mogę patrzeć na jego twarz.

Mama szlocha, Shane szlocha. Mama go głaszcze i ja też próbuję to robić, ale nie ma dla mnie miejsca, więc siedzę obok i płaczę. Rozglądam się wokół. Salon wygląda tak samo jak zawsze, czysto i schludnie, z brązowymi krzesłami i sofą, lustrem, sieliskimi widoczkami, półkami z kowbojskimi książkami ojca i jego nagraniami muzyki country i western. Wszystko na swoim miejscu. Tylko powietrze jest teraz inne. Świat jest inny.

Nazajutrz jest sobota. Gdy przechodzę obok sypialni rodziców, słyszę chrapanie taty. W kuchni Kelly przykłada bratu na twarz woreczek z zamrożonym groszkiem. Oczywiście Shane był już bity wcześniej. Ojciec tłukł go za to, że moczył się w łóżku, gdy był młodszy. Ale tym razem — to było inne uderzenie.

Patrzę na mamę pochylającą się nad zlewem z obieraczką w dłoni i z lokami opadającymi na ramiona. Ma pulchne, przyjemne ciało, do którego miło się przytulić, a ja właśnie teraz potrzebuję przytulenia. Podkradam się do niej i próbuję ją objąć ramionami.

— Odejdź — odpycha mnie. Ale ściskam ją jeszcze mocniej i próbuję powiedzieć, że ją kocham. Po wczorajszym muszę jej to powiedzieć. I chociaż nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktokolwiek w naszej rodzinie mówił o miłości, chcę usłyszeć to teraz od mamy.

— Kocham cię, mammo.

— Kocham! — prychna mama. — Powinieneś myśleć o tym, żeby być dobrym chłopcem, i postarać się, żeby Jehowa cię pokochał.

— Jestem dobrym chłopcem i przecież kocham Jehowę.

Tak naprawdę panicznie boję się Jehowy. Jest trochę podobny do mamy i taty razem wziętych. Wie o wszystkim, co zrobiłem, i jest na mnie bardzo zły.

— Miło mi to słyszeć, Mark. Cieszę się, że kochasz Jehowę, i mam nadzieję, że dla Niego postarasz się być grzecznym chłopcem, bo On na ciebie patrzy. Cały czas. I żebyś o tym nie zapominał.

— Dobrze, mamó.

— Gdybyś częściej chodził ze mną na zebrania, mógłbyś żyć wiecznie w niebie, z Jehową i wszystkimi zwierzętami.

Odchodzę ze spuszczoną głową. Cokolwiek by powiedzieć mamie, zawsze kończy się Jehową i życiem wiecznym.

Mniej więcej o tej porze, o której otwiera się lokale, z sypialni wynurza się ojciec. Widzę go z mamą w kuchni, rozmawiają, jak gdyby nic się nie stało.

— W porządku, synku? — pyta uprzejmie, gdy widzi mojego brata. Shane przytakuje i się czerwieni.

— Tak, tato.

Wiem, jak się czuje. Winny — bo kiedy ojciec cię bije, wiesz, że zrobiłeś coś złego, i to musi być twoja wina. Nędznie — bo kochasz go, ale on nie chce twojej miłości. I jakby wstyd ci za ojca, choć nie wiesz dokładnie dlaczego.

Wkrótce słyszymy trzaśnięcie drzwiami i brzęk bramki, i wiemy, że ojciec wyszedł do pubu. Kiedy wraca, jest spokojny. Oświadcza, że skoro sobotni wieczór jest zarezerwowany dla rodziny, to dziś wieczorem wybieramy się do pubu Pod Krykietem. Jest wiosna, więc jeśli założymy płaszcze, to dorosłym będzie wystarczająco ciepło, żeby mogli siedzieć na zewnątrz, a dzieciom — żeby mogły się bawić na trawniku. Mówi nam to, a później zasypia na sofie.

Gdy nadchodzi pora, by obudzić go na podwieczorek, zbieram się na odwagę. Był w dobrym nastroju, kiedy wrócił z pubu, jest moim tatą i kocham go. Z mamą nie najlepiej mi się udało dziś rano, ale teraz wdrapuję się na sofę obok ojca. Powoli. Ostrożnie. I bardzo, bardzo cicho. Nie rusza się. Na razie dobrze mi idzie.

Zaczynam go obejmować. Bo go kocham. Bez wątpliwości, pytań czy warunków, po prostu go kocham, a jeśli będę obejmował go ramionami stopniowo, to może nawet nie zauważy. Powolutku, powolutku...

Otwiera jedno oko. Zamieram. Serce wali mi jak młotem. Czy on czuje te uderzenia w środku mnie? Zamyka oko z powrotem, więc po dłuższej przerwie, powolutku, powolutku, ciągle go obserwując, zaczynam obejmować ramionami jego szyję. To jak siedzenie na wulkanie. Nie rusza się. Nic nie robi. Nadal ma zamknięte oczy.

— Obudź się, tato. Podwieczorek — szepczę, przytulając się do jego wielkiego, ciepłego ciała. Byłoby naprawdę przyjemnie, gdyby nie było tak przerażająco.

Leżymy przez chwilę bez ruchu, a ja przyglądam się jego nieogolonej twarzy. Otwiera oczy i powoli skupia na mnie wzrok. Potem jednym szybkim ruchem odsuwa mnie i spycha na podłogę.

— Ssspadaj — mówi.

Próbuję przytulić się do jego nogi, ale potrząsa nią, dopóki mnie nie rzuci. Wstaje. Znów przesuwam się w jego stronę, więc tym razem daje mi kopniaka. Nie trafia, aleja i tak płaczę. Nie kocha mnie. Nie może mnie znieść blisko siebie.

Z obrzydzeniem patrzy na łzy w moich oczach.

— Ciota — mówi i idzie do jadalni. — Mała, zasmarkana ciota.

Nie cierpię niedzielnych podwieczorków. Zawsze jest zupa krem z pieczarek Campbella z pasztecikiem; mama mówi, że można to jeść tylko w jeden sposób, to znaczy z pasztecikiem pływającym w zupie do góry nogami. Nie mam na to ochoty, ale pod piorunującym spojrzeniem ojca jakoś wszystko przełykam. Mama krząta się przez chwilę, zakłada nowy sweter; w łazience odskakuje zatyczka zielonego flakonika i cały dom wypełnia się zapachem słodkich chemikaliów. To jego cuchnący Brut 33. Idziemy do ogródka pubu Pod Krykietem.

My, dzieci, powinnyśmy grać w kręgle, ale ja przystaję i przyglądam się ojcu. Czy on i ten maniak znęcający się nad nami poprzedniego wieczoru to ten sam człowiek? Jest wysoki i przystojny, można to wnioskować ze sposobu, w jaki przyglądają mu się kobiety sączące drinki. Nawet ciocia Tanya, która zgadza się z babcią, że ojciec jest potworem i mama powinna go zostawić, nawet ona przytakuje i wybucha śmiechem, gdy ojciec opowiada jakąś zabawną historię. Potem rzuca parę dowcipów i kontynuuje rozmowę z wujkiem Steveem, która rozwesela wszystkich jeszcze bardziej. Podchodzi nawet do dzieci, kręci się przez chwilę przy kręglach i też nas rozśmiesza, i kocham go, i rozpiera mnie dumą. Jest najmądrzejszy, największy, najsilniejszy, najtwardszy, najlepszy. Bo dzisiaj jest tym innym tatą, tatą, który wypił parę kufla piwa i ma wesoły nastrój. Na trzeźwo staje się ponury, zamknięty w sobie i zły na nas. Gdzieś pomiędzy drugim a piątym drinkiem dojrzewa jak owoc i nauczyliśmy się cieszyć nim w tych dobrych chwilach. Po pięciu, sześciu drinkach wiemy, że jest na najlepszej drodze do awantury. Nasz dom wypełnią zaraz walka i furia i któreś z naszej trójki — Shane, ja albo mama — oboje: to może być którekolwiek z nas z jakiegokolwiek powodu

lub absolutnie bez powodu. Jedynym pewnikiem jest to, że nie będzie to Kelly. Naprawdę jej za to nienawidzę. Zresztą i tak jej nienawidzę, bo jest moją starszą siostrą i zawsze jest dobra. Nie mógłbym jej opisać ani powiedzieć, jaka jest albo jak się ubiera, bo nawet na nią nie patrzę. Udaję, że jej nie ma.

Kiedy już tak bardzo boimy się ojca i czujemy się tak nędznie, że zamykamy się każdy w swoim świecie strachu, kiedy już prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiamy i skradamy się po domu z nadzieją, że może nas nie zauważy i kogoś innego wybierze sobie na ofiarę, wtedy on nagle wyjeżdża. Gdy wraca, wszystko jest idealne. Mama znów jest Julie Andrews, a on Jehową. Wie, co złego zrobiliśmy, kiedy nie było go w domu, i karze nas za to. A potem w ciągu kilku dni cały ten porządek zamienia się w gruzy i żyjemy sterroryzowani, bo w każdej chwili może wybrać któreś z nas i ukarać za cokolwiek albo za nic.

Kiedy wyjeżdża, wszyscy czujemy ulgę. Znacznie łatwiej jest go kochać na odległość. Częściej wpada do nas siostra mamy ze swoimi dziećmi, i wówczas dom wypełnia się pogaduszkami. Zagląda nawet wujek Mike, żeby nam powiedzieć o niespodziance, którą dla nas zorganizował. Zabiera nas do parku safari West Midlands.

W miniaku wujka Mikea jest nas sześcioro: mama, Kelly, Shane, ja, wujek Mike i babcia. Samochód ma tylko cztery miejsca, więc wujek robi mi zupełnie wyjątkową niespodziankę — pozwala mi siedzieć u siebie na kolanach, a chwilami nawet kierować.

Mama założyła płaszcz w lamparci wzorek. Kiedy wymachuje rękami, śmiejemy się, że w samochodzie jest lampart. Lampart i babcia piszczą, kiedy zbyt ostro biorę zakręt. Wujek Mike mówi wtedy: — Nie bójcie się, wszystko jest pod kontrolą —

choć pewnie to nieprawda. Ale oto ja, sześciolatek otoczony swoją rodziną, wiem, że ojciec jest daleko, i czuję się bezpieczny.

Jazda jest ekscytująca, park również. Widzimy zebry i małpy, a potem, gdy wjeżdżamy na teren, na którym są lwy, samochód charczy i się zatrzymuje. Wyglądamy przez okna. Lwy uważnie nam się przyglądają.

— Zepsuł się — mówi wujek Mike. — Chyba z przeładowania. Patrzymy na lwy, a potem po sobie.

— No, to musisz w takim razie wyjść i nas popchnąć, Lorraine — mówi wujek Mike do mojej mamy.

— Nie ma mowy! — krzyczy mama. Cieszy mnie to. Prosiłaby się o kłopoty w tym swoim lamparcim płaszczyku. Zamykamy wszystkie okna. Wkrótce szyby pokrywają się parą — mogę napisać palcem swoje imię. Robi się gorąco i duszno. Przez zamgloną przednią szybę widzę czerwoną łunę. Słońce zaczyna zachodzić. Ktoś zauważa, że mamy wybór: albo zjedzą nas lwy, albo zostaniemy w samochodzie na noc i się w nim udusimy.

Wujek Mike się śmieje. Babcia także wybucha śmiechem. W końcu i mama zaczyna chichotać, i to jest dla nas sygnał. Po krótkiej chwili również my, dzieciaki, zanosimy się histerycznym śmiechem. Gdy podjeżdża do nas truck z obsługą Parku Safari, by uratować nas przed dzikimi zwierzętami, znajdują auto pełne rechoczących hien. Przyglądają się, jak po kolei wychodzimy z samochodu na świeże powietrze i histerycznie chichoczemy.

Słońce chowa się za horyzontem. Ktoś wyrzucił w niebo kałamarnicę z czerwonym atramentem. Zauważam piękno zwierząt, których cienie przesuwają się leniwie po krwistoczerwonej linii horyzontu. W tej chwili West Midlands Safari Park jest dla mnie najpiękniejszym miejscem na świecie.

Rozdział trzeci

Marna spodziewa się dziecka. Jest okrągłejsza niż zwykle, ponieważ w jej brzuchu jest mały człowiek.

Dziecko *przyjdzie* na świat we wrześniu, ale nie będzie miało co roku urodzin, bo my ich nie obchodzimy. To dlatego, że mama jest świadkiem Jehowy i wierzy w niego, a nie w urodziny. Jeśli jesteś świadkiem Jehowy, to dla ciebie nawet Jezus nie ma urodzin. Moja mama obchodzi Boże Narodzenie tylko dlatego, że tato jej każe. I cały czas widać, że ona tak naprawdę tego nie chce.

Mój najlepszy przyjaciel ma na imię Angus. Nie wiem, jak długo będziemy się kolegować, bo ja ciągle się biję i zmieniam przyjaciół, ale teraz trzymam się z Angusem. On też lubi rysować, więc rysujemy razem. Nasz nauczyciel, pan Jacobs, daje nam ogromne rolki papieru, które stopniowo zapełniamy za pomocą farb i flamastrów. Rysujemy opowieść o wielu ludziach i bitwach w dziwnych miejscach, a ci ludzie i bitwy ciągle się zmieniają, tak jak paczki dzieciaków. Opowieść rozwija się wraz z rolką papieru i nigdy się nie kończy. W porównaniu z innymi dziećmi we wszystkim zostaję w tyle, ale nie w plastyce — to

jest to, co lubię najbardziej. Namalowałem takiego wspaniałego, jaskrawoczerwonego słońca, że pan Jacobs powiesił go na ścianie w klasie w najlepszym miejscu.

Może dlatego lubię rysować bitwy, bo sam rwę się do bójek. Nie jestem typem złego rozrabiaki. Nie wykrzywiam twarzy tak strasznie jak mama, kiedy nas bije. Gdy się z kimś biję, mogę się uśmiechać. Ale wiem, jak zadawać ciosy, i używam pięści, żeby zapewnić sobie szacunek na podwórku. Niektórym nauczycielom to się nie podoba; po jednej z bójek na przerwie zostają odeśłany do klasy, do pana Jacoba. Ale klasa jest pusta.

Inaczej wygląda to miejsce, gdy nikogo w nim nie ma. Inaczej słyhać moje kroki, gdy przechodzę przez klasę. Powietrze jest inne. Na ścianie wisi mój słoń, na biurkach leżą otwarte zeszyty ćwiczeń do arytmetyki, a na krześle pana Jacoba nie ma pana Jacoba, tylko jest jego marynarka.

Dużymi krokami podchodzę do marynarki pana Jacoba i oglądam się przez ramię. Nikt nie wchodzi. Nikogo nie ma przed drzwiami.

Bez namysłu, z drżącym sercem i trzęsącymi się rękami, sięgam do kieszeni marynarki i wyjmuję portfel nauczyciela. Szybkie spojrzenie na drzwi. Nikogo. Otwieram portfel. W środku widzę grubą papierową linię: plik banknotów. Serce wali mi tak głośno, że zaczynam się bać, czy usłyszę zbliżające się kroki. Wyciągam tylko jeden banknot, niebieski, i wsuwam go do kieszeni. Potem tak szybko, że ledwo widzę swoje dłonie, zamykam portfel i wkładam go z powrotem do marynarki pana Jacoba. Nikt mnie nie widział. Poza słońcem. I Jehową.

Do końca dnia jestem podekscytowany. Czy pan Jacobs wyciągnie portfel, przeliczy banknoty i będzie wiedział, że mu

jednego brakuje? Czy cała klasa zostanie przesłuchana i czy ktokolwiek wpadnie na pomysł, żeby zajrzeć do mojej kieszeni?

Ale dzień mija i nic się nie dzieje. Pan Jacobs nie wyjmuje portfela — albo wyjmuje, ale nie zauważa, że brakuje jednego banknotu. W drodze do domu patrzę na ten niebieski kawałek papieru i widzę, że to pięć funtów. Pięć funtów! Chowam je pod poduszką, bo nie chcę, żeby ktokolwiek znalazł i ukradł: w naszym domu codziennie jest pełno dzieci, w większości z domu dziecka, w którym mama jest kucharką. Idą za nią, gdy kończy zmianę, i zostają przez jakiś czas, żeby poczuć trochę rodzinnego życia. Chyba im się tu podoba. To dziwne, boja często udaję, że mieszkam w domu dziecka.

Następnego dnia idę do szkoły niemal chory ze strachu. Do tej pory pan Jacobs musiał zauważyć kradzież. Ale nie zauważył. Jestem z tego powodu szczęśliwy i podekscytowany. Ukradłem już coś cioci Tanyi i ze sklepu z gadżetami i przydarzyło mi się wiele innych kradzieży, o których nikt nie wie, jednak ta była najlepsza. Czekam cały tydzień, ale nauczyciel nie wspomina o brakujących pieniądzach. Piątek jest mój! Pięć funtów to fortuna. Na co je wydam? W końcu decyduję się na słodycze. Potem kupuję jeszcze hamulce do roweru. Nie mam roweru, ale pewnego dnia może będę miał. Najbardziej ekscytujące w tym wszystkim jest to, że jeśli nadarzy się kolejna okazja, znowu mogę okraść pana Jacobsa. Cały czas jakiś słaby wewnętrzny głos powtarza mi, że bym przestał robić takie złe rzeczy. I cały czas wiem, że nie mogę.

Mama już niedługo urodzi dziecko. Teraz ciągle się na nas wydziera. Shane i ja jesteśmy dla niej utrapieniem, tak nam powtarza codziennie, i mówi to też swoim koleżankom ze zboru, bo jedna z nich postanawia jej pomóc.

Maureen ma twarz chudą jak wiedźma i to jej wina, że mama jest świadkiem Jehowy, bo kiedy byłem mały, zapukała do drzwi i przekonała mamę, żeby się przyłączyła do zboru. Było to w czasie, kiedy mój ojciec siedział rok w więzieniu za pobicie. Gdyby był wtedy z nami, z pewnością by do tego nie dopuścił.

Kiedy taty nie ma w domu, żeby nas chronić przed świadkami Jehowy, koleżanki mamy często do nas zaglądną. Maureen nas nie lubi. Patrzy na nas z góry.

Maureen jedzie na wycieczkę do Szkocji. Wraca, wymachując prezentem. To drewniana łyżka, ale nie taka zwykła. Jest ciemnomahoniowa i ogromna, wielka jak wiosło. Wyrzeźbione są na niej słowa: **NAJWIĘKSZE MIESZADŁO ŚWIATA!**, i jeden rzut oka wystarczy, żeby się domyślić, do czego mama ma jej używać. Mama wieszka łychę w jadalni, gdzie w razie potrzeby może ją szybko chwycić. Nie musimy być bardzo niegrzeczni, żeby poczuć zimną, drewnianą rączkę **NAJWIĘKSZEGO MIESZADŁA ŚWIATA** na naszych tyłkach.

Staram się nie płakać, kiedy mama bije mnie tą łychą, ale gdy okłada nią Shane' a i słyszę jego szlochanie, to też chce mi się płakać. Jest w nim coś takiego, co mnie smuci. Kiedy patrzę na jego duże uszy, dużą głowę, duże zęby i chudy kark, kiedy myślę o tym, jak wygląda, taki trochę niechlujny, niekochany i nieszcześliwy, to boli mnie serce i kocham go. Gdy rozdziera mnie to bolesne uczucie, wtedy przez chwilę jestem dla Shane'a miły. A potem znów jest moim starszym bratem i tłukę się z nim na zabój.

Kiedy mama nas bije, krzyczy, robi straszne miny i jest taka zła, że nie może przestać nas tłuc. Pewnego razu nie mogła znaleźć **NAJWIĘKSZEGO MIESZADŁA ŚWIATA**, więc chwyciła miotłę i tak nas nią waliła, że złamała ją na głowie

Shane a. Kiedy mama tak się zachowuje, do Shanea i do mnie dociera straszna świadomość, która boli bardziej niż drewniana łycha czy miotła. Wiemy wtedy, że mama oszalała.

Zaczynam ją okradać. Pan Jacobs nigdy nie zauważył znikających picciofuntówek, więc zaczynam brać małe sumy z torebki mamy. Jeżeli mnie nie oskarża, biorę więcej. Ale któregoś dnia łapie mnie na gorącym uczynku. Wydiera się na mnie i NAJWIĘKSZE MIESZADŁO ŚWIATA ze ściany w jadalni idzie w ruch. A do tego zamierza powiedzieć ojcu. Leżę w łóżku i się martwię, co ojciec mi zrobi, kiedy się dowie, że znowu kradłem. Chciałbym przestać. Ale nie mogę. To jest po prostu coś, co muszę robić. I znów czuję na sobie więzy, jestem przywiązany do łóżka, nie mogę się ruszyć, nie mogę oddychać, nie mogę uciec z domu, od rodziny, od siebie.

Przyjeżdża ojciec. Prawie natychmiast robi się takie zamieszanie, że wszyscy zapominają o moich kłopotach, bo mama trafia do szpitala. Wkrótce potem tato dostaje wiadomość. Oświadcza, że mamy siostrzyczkę.

Ojciec nie odwiedza mamy w szpitalu; zamiast tego mówi, że wieczorem jedzie do znajomych. Ponieważ jesteśmy pod jego opieką, musimy pojechać razem z nim. Znajomi okazują się kobietą. Shane i ja od razu poznajemy, że to Wieszak. Z bliska widzimy jej kruczoczarne włosy.

— Są pofarbowane — mówi Kelly. Sporo wie o tych rzeczach. — A twarz ma brązową, bo smaruje ją kremem, który robi sztuczną opaleniznę.

Twierz Wieszaka z pewnością ma dziwny kolor. Kiedy się jej dokładniej przyglądam, widzę, że Kelly ma rację: jej twarz jest pokryta warstwą jakiejś mazi, tak grubą, że chyba musi ją

zdrapywać. Kobieta obwieszona jest złotą biżuterią jak choinka na Boże Narodzenie. Kelly mówi nam, że Ona pracuje gdzieś jako barmanka.

Usadawiamy się wygodnie w salonie Wieszaka; podczas gdy ona i ojciec są zajęci w jakiejś innej części domu, zasypiamy. Rano tato zabiera nas do domu.

Później jedzie do szpitala, żeby odebrać mamę i nowo narodzoną dziewczynkę. Ma się nazywać Bethany i gdy tylko ją widzę, taką małą, z maleńkimi paluszkami i dużymi oczami, od razu zaczynam ją kochać.

Kiedy mi się wydaje, że nikt nie patrzy, biorę dziecko w ramiona. Ale akurat wszyscy patrzą — mama, położna i cała rodzina, łącznie z babcią — i nagle wszyscy wyciągają po nie ręce. Chcą ochronić małą przede mną, bo wiedzą, że jestem złym chłopcem. Ale ja trzymam Bethany ostrożnie. Patrzę na jej pomarszczoną twarzyczkę i się uśmiecham. Ona patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Nie rozumie niczego, co ludzie o mnie mówią. Po prostu mi ufa. Naprawdę ją Kocham.

Rozdział czwarty

Siedzę w salonie, w kominku palą się trzy polana, a ja rozmawiam z jakąś panią. Nie jest stara, tak jak mama, ale jest dorosła. Jest psychiatrą. To szkołą ją przysłała. Pyta mnie, dlaczego ciągle próbuję bić inne dzieci.

Staram się odpowiadać na jej pytania, ale tak naprawdę mnie tam nie ma. Patrzę na nas z gałęzi jakiegoś wysokiego drzewa. Widzę kobietę z pomarańczowym notesem na kolanach, która pochyla się w stronę dziecka wciśniętego w krzesło, sprawiającego wrażenie, że chciałoby uciec jak najdalej, a tym dzieckiem jestem ja, chociaż nim nie jestem. Bo ona ciągle mówi o przemocy, a ja nie wiem, co to jest przemoc. Fakt, że tłukę te wszystkie dzieciaki na podwórku, ale to jakby jakaś inna osoba — tak naprawdę, w środku, nie jestem taki.

Spotykam się z nią kilka razy, a później ona coś mamie sugeruje. I to jest tak fantastyczne, że oczy o mało nie wychodzą mi z orbit. Jej zdaniem ujściem mojej agresji mógłby być boks. Będę chodził na lekcje boksu. A więc teraz tak naprawdę będę mógł doskonalić swoje umiejętności walki i dawać porządną wycisk całej reszcie — dzięki psychiatrze.

Potajemnie jednak Shane i ja dochodzimy do pewnego wniosku w związku z panią psychiatrą. Uważamy, że to nie ze mną powinna rozmawiać. Tak naprawdę powinna porozmawiać z naszą mamą.

Mam odwiedzić jakichś ludzi, którzy mieszkają na naszej ulicy. Mama u nich sprząta i z jakiegoś powodu każe mi do nich iść w niedzielę rano. Pytam dlaczego, ale odpowiada tylko, że na mnie czekają. Oboje są nauczycielami, a pani Allbut uczy w mojej szkole. Przyjaźni się z panem Jacobsem. Jestem teraz w innej klasie, więc mój kontakt z jego marynarką się skończył. Pan Jacobs nigdy mnie nie przyłapał. Czasem, gdy sobie przypomnę, jak go okradałem, brakuje mi podniecenia, które temu towarzyszyło.

Przechodzę obok boiska szkolnego; zbiera się tam teraz banda dzieciaków. Nie chcę tracić niedzielnego poranka z jakimiś nauczycielami, więc postanawiam, że zatrzymam się tylko w drzwiach i zapytam, czego chcą. Ale kiedy Brian Allbut odpowiada na moje pukanie, wita mnie tak miło, że bez wahania wchodzę do środka. Jest dorosły, ale nie stary, a jego twarz ma wyraźne bruzdy, jakby ktoś ją wyrzeźbił.

Z zewnątrz ich dom wygląda tak samo jak nasz: taka sama czerwona cegła, takie same okna, takie same drzwi, ale kiedy przekraczam próg, okazuje się, że w środku wszystko jest inne. Pokoje są jasne, wesołe i przyjemne, są tam książki i ładne obrazy na ścianach. Płyty wydają się interesujące, nie to, co Johnny Mathis mojej mamy czy country i western taty. Pytają, czy nie chciałbym trochę pomalować, i prowadzą mnie do kuchni. Czuję zapach kwiatów. Radio jest włączone, ale nie gra muzyka; słychać w niej jakąś rozmowę.

— *Rodzina Archerów* [popularna saga w kilku tomach, autorstwa Joanny Toye, a także słuchowisko radiowe — *przyp. tłum.*] — mówi Jill Allbut i uśmiecha się do mnie. — Ale już się kończy.

Wyłącza odbiornik i widzę, że na stole przygotowali mnóstwo rzeczy do malowania. Pokazują mi, jak można pomalować papier, a później poskładać go w różny sposób i stworzyć z niego rozmaite kształty, i to jest bardzo ciekawe — zupełnie się w to wciągają.

Allbutowie są bardzo mili. Kiedy robimy sobie przerwę, żeby coś przekąsić, zadają mi pytania i słuchają odpowiedzi, potem on coś mówi, potem ona, potem ja coś mówię i rozmowa toczy się gładko. Jak podawanie piłki. U nas w domu czy na podwórku słychać tylko jakieś pomruki, ludzie burczą pojedyncze słowa albo nie mówią nic, a w każdym razie nie to, co mają na myśli, i ciągle każą ci się zamknąć, i nikt nie słucha tego, co powiedziała ostatnia osoba, no, chyba że zamierza zaprotestować, i tak naprawdę jedyną rozmową jest kłótnia. Próbuję sobie wyobrazić, jak to jest żyć w świecie rozmów, tak jak Allbutowie, w świecie, w którym nawet w radiu słychać rozmowy.

Kiedy nadchodzi czas, żebym wracał do domu na niedzielny obiad, jestem zdziwiony. Wydaje mi się, że spędziłem u nich tylko pięć minut. Allbutom podoba się to, co zrobiłem, i mówią, że cieszą się z moich odwiedzin. Proszą, żebym kiedyś jeszcze przyszedł. Mówię, że chciałbym. Gdy wracam wzdłuż Reynolds Street, czuję się inaczej. Banda dzieciaków bawi się na opuszczonym szkolnym boisku, a kilku weszło na jakiś dach, co gwarantuje szybki przyjazd radiowozu, ale mijam ich. Niespodziewanie jestem dziś dobrym dzieckiem, a nie tamtym złym chłopcem, który bije inne dzieci i kradnie, co się tylko da. I to mi się podoba.

Drzwi otwiera mama. Nie patrzy na mnie ani się nie uśmiecha, odwraca się plecami i od razu wraca do kuchni. Idę za nią przez cały dom; wszyscy mnie ignorują, poza Bethany. Jest już sporym szkrabem i nauczyłem się jej nienawidzić, bo wszyscy ją rozpieszczają, nawet ojciec, a mama nigdy nie spuszcza jej z oka. Bethany dostaje wszystkie uściski i całusy, które moim zdaniem należą się mnie. Ale dzisiaj, gdy cała reszta traktuje mnie, jakbym był niewidzialny, cieszę się, że Bethany do mnie podbiega i wydaje się uradowana na mój widok. Gawędzę z nią chwilę, jakbym był u Aubutów. To jednostronna rozmowa, ale chyba jej się podoba. Potem staję w kuchni, gdzie Kelly i mama wyciągają obiad z piecyka.

— No, nie stój tak, zamknij drzwiczki od piekarnika — warczy na mnie Kelly.

— Rusz się! — krzyczy mama.

Zaczynają się kłócić, jak pokroić pieczeń.

W porównaniu z wesołym, przyjaznym ciepłem kuchni, w której spędziłem dzisiejszy poranek, w tym miejscu nie ma miłości. Nie czuję zapachu niedzielnego obiadu: wszystko, co czuję, to smutna atmosfera tego domu.

*

Kilka tygodni później, w niedzielny poranek, włóczę się wokół opuszczonego szkolnego podwórka, gdy podchodzi do mnie grupa skinheadów z kilkoma butelkami Strongbowa [napój alkoholowy produkowany z soku jabłkowego — *przyp. tłum.*]. Są cztery albo pięć lat starsi ode mnie. Właściwie są w wieku Kelly, która chodzi z nimi do szkoły, więc wiem mniej więcej, co to za jedni.

— Skurwielek — mówią na całkiem przyjazne powitanie, a potem otwierają butelkę cydru i mi podają. Biorę ją, udając,

że robiłem to już niejedyn raz. Ale nie robiłem. I od pierwszego łyku jestem zdumiony.

Strongbow jest zarazem słodki i kwaśny, jak jabłko i oranżada. Prześlizguje się przez moje ciało, aż czuję jego moc w koniuszkach palców i na czubku głowy. Piję jeszcze. Ciepło mi w brzuchu. I jeszcze. Ktoś podaje mi papierosa. Palę i trochę spluwam. Piję dalej. Szkolne podwórko zaczyna się rozmażywać, a budynek przewracać. To ciekawe. Jestem wyluzowany. Śmieję się. Niczego się nie boję. Jestem duży, jestem z grupą skinheadów.

Wszyscy jesteście pijani, ale ja najbardziej. Chłopaki mi się przyglądają i śmieją się do mnie, a potem idziemy, spluwając, przeklinając, paląc i wyrażając wszystkim dzieciakom, które wchodzi nam w drogę.

— Spierdalać! — krzyczymy do staruszek, które mijamy. Potem się śmiejemy i jeszcze częścię spluwamy.

Nie wiem, dokąd idziemy. Nie obchodzi mnie to. Chodnik nie układa się pod kątem prostym do domów, nie jest też równoległy do ulicy, a niebo nad nami obraca się jak w kalejdoskopie. Zataczamy się. Trzymamy się jeden drugiego, żeby się nie przewrócić.

Wchodzimy do domu jednego z chłopaków i zaczynamy grać na jego perkusji. Gramy ostrą, zwariowaną muzykę i śmiejemy się do siebie. Potem przestają walić w bębny i kładę się na dywanie. Starsza siostra tego chłopaka pochyła się nade mną, za nią widzę sufit i wiem, że coś jest nie tak. Będę wymiotował. Dziewczyna prowadzi mnie do łazienki i opiekuje się mną.

Gdy wracam do domu, jestem inny. Wkroczyłem w nowy etap życia. Nawet jeśli mam tylko osiem lat, to jestem już dorosły, bo

piłem z dużymi skinheadami. Tego wieczoru czuję w głowie jakieś walenie, jakbyśmy ciągle grali na perkusji. Ale to nieważne. Jestem wyluzowany, zadowolony. Wróciłem. I nie budzę się w nocy z poczuciem, że jestem związany, i z pragnieniem ucieczki.

Często wracam do Allbutów i przy nich znowu jestem dzieckiem. Z reguły idę tam w niedzielę, bo nie znoszę niedziel w naszym domu. Przychodzę z piekła, w uszach mam jeszcze wrzaski i krzyki, a Allbutowie podchodzą do drzwi, uśmiechają się, a nawet mówią: „Miło cię widzieć!” albo „Jesteś jak powiew świeżego powietrza”. Gdyby wiedzieli, że jestem uciekinierem ze strefy wojennej, nie wydaliby mnie.

Wchodzę do ich kuchennego azylu i znajduję się w innym świecie, w którym mogę być innym Markiem. Jill przygotowuje mi jakąś przekąskę, a Brian sięga na półkę i zdejmuje z niej model samolotu. Najpierw musimy go złożyć, a najlepsze jest to, że później mam go pomalować. Przygotowują mi kuchenny stół i malują samolot w bardzo żywe kolory — czerwony i niebieski, z odlotowymi okręgami na końcu skrzydeł. Pokrywam farbą każdy najmniejszy skrawek modelu, choć przy okazji maluję też swoje palce. Gdy kilka dni później przychodzę znowu, samolot jest już suchy. Zakładamy kurtki i puszczamy go w ogrodzie. Szybkuje. Szybkuje w półmroku późnego popołudnia na drugą stronę trawnika, ponad kwiatowymi rabatami. Mimo że jest zima, widać, że ich ogród jest sprzątnięty, pełen krzewów, a ziemia została starannie przekopana. Samolot ląduje łagodnie na żywopłocie.

Biorę go do domu i tam próbuję puszczać. Oczywiście, że u nas nie jest tak samo. Wyobrażenie rodziców o uprawianiu ogrodu sprowadza się do wykopania olbrzymiego dołu, nawrzczenia tam śmieci i zasypiania. Nie ma żadnego trawnika

ani krzewów i nigdy nie ma żadnych kwiatów. Samolot rozbija się na komórce i wpada w rdzewiejące sprężyny starych łóżek i jakieś drażki.

Gdy Allbutowie pytają mnie o samolot, opowiadam im, jak mnie przygnębia nasz ogród. Zamawiają katalog ogrodniczy Bees i mówią, że mogę coś z niego wybrać, żeby rozweselić nasz ogród. Zdażyłbym jeszcze posadzić żonkile, więc wybieram kilka cebulek i wspaniałą prymulkę o nazwie Red Hot Poker. Cebulki przyśłają niemal natychmiast, a Red Hot Poker przyjdzie dopiero na wiosnę w postaci małej sadzonki. Wykopię wtedy dołek, a kiedy pierwszokwiat zakwitnie, nasz ogród zupełnie się zmieni.

Sadzę cebulki i czekam.

Łatwo jest być dobrym, kiedy jest się u Allbutów. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby coś im ukraść. Ale poza nimi nikt nie jest bezpieczny. Mama co noc musi spać z portmonetką pod poduszką. Smutno mi, kiedy widzę, że zabierają ze sobą, idąc do łóżka, ale wiem, że ma rację. Jeśli zostawiłaby portfel na dole, okradłbym ją. Nie mogę sobie z tym poradzić.

Prawie nigdy nie ma mnie w domu. Moją rodziną są teraz w pewnym sensie dzieciaki z ulicy. Kiedy nie ma lekcji, włączę się w okolicy szkolnego podwórka, wiedząc, że wcześniej czy później ktoś się zjawi, a dzisiaj tym kimś jest Trevor.

Trevor pochodzi z miłej rodziny. Jego mama jest bardzo wygadaną gospodynią domową, a ojciec — operatorem koparki. Trevor jest chyba pięć lat starszy ode mnie: musi mieć ze trzyście lat. Jest wysoki, patykowaty i ma wystające zęby. Cieszę się, gdy do mnie zagaduje. Ze starszymi dziećmi czuję się ważny. Daje mi papierosy, palimy sobie razem i wydaje się moim przyjacielem, a to przyjemne uczucie.

Mówi, że powinniśmy pójść na targ bydłęcy, bo chodzenie po górnych krawędziach zagród jest naprawdę niebezpieczne. Lubię robić niebezpieczne rzeczy i nigdy nie byłem na takim targu. Wiem, że w dni targowe to miejsce zamienia się w jedno wielkie kłębowisko sporów, muczenia i wywracania trucków. Ale nie wiem, jak wygląda, kiedy jest puste.

Idziemy długa, okrężną drogą: Reynolds Street, obok pola do krykieta, w prawo w Chester Road. Część Kidderminster zajmują budynki z czerwonej cegły, ale w większości to nowoczesne miasto — domy, sklepy i fabryki ciągną się i ciągną. Zielone plamy to miejsca do uprawiania sportu albo śmietniska, ale najładniej jest tam, gdzie przy polu krykietowym rośnie szpaler kasztanów. Kiedy je mijam, dotykam ich gładkich pni. Każdej jesieni próbuję się na nie wspiąć, żeby zrzucić trochę kasztanów, ale nie jestem jeszcze wystarczająco duży. Teraz może już jestem, bo mam osiem lat. Trevor też może mi pomóc, jeśli będziemy się dalej kolegować. Kiedy dochodzimy do bydłowego targu, zastajemy ogromną połać milczącej betonowej pustki. Trevor jest już przy zagrodach. Chodzimy po górnych krawędziach, przeskakujemy w rogach z jednej ścianki na drugą i jest ekstra. Trevor jest fajny. Bawimy się przez chwilę, a potem Trevor wskakuje do którejś zagrody, a ja za nim. Myślę, że chce mi dać kolejnego papierosa, ale on robi coś innego. Robi to tak, jakby to było częścią naszej zabawy, i tak nagle, że mu na to pozwalam. Opuszcza mi spodnie i majtki.

Jestem zaskoczony. Swojego ptaka nie pokazałem nawet mamie, kiedy miałem zakażenie. Więc dlaczego Trevor chce go widzieć? Gapię się z góry na czubek jego głowy, gdy bierze mojego ptaka do ręki i wkłada go sobie do buzi. Nie wiem, co

powiniennem zrobić. Nic nie czuję. To tak jak wtedy, gdy ojciec mnie bije i odpływam gdzieś do góry, i z gałęzi wielkiego, zielonego drzewa przyglądam się mężczyźnie bijącemu chłopca. Teraz jestem wysoko nad nami i przyglądam się czubkowi ciemnej głowy, kiedy Trevor bierze do buzi mojego ptaka.

Ciągnie mocno. Przyglądam się mu. Po paru minutach przestaje. Unikam jego wzroku, kiedy się podnosi. Szybko naciągam spodnie. Słyszę własny oddech. Jest szybki i płytki. Moje serce mocno wali. Wiem, że mój kolega Trevor zrobił świństwo. Nie mam pojęcia dlaczego.

Trevor łapie mnie za ramiona i potrząsa, żebym na niego spojrział. Nie chcę.

— Masz nikomu nie mówić, rozumiesz? — woła. Nie brzmi teraz jak mój kolega. — Nawet o tym nie myśl. Bo i tak by ci nie uwierzyli.

Pewnie ma rację. Nigdy nikt mi nie wierzy.

— Jak powiesz, to ja zaprzeczę. A mi uwierzą.

Jestem zły i wszyscy o tym wiedzą, jestem kłamczuchem, i o tym też wszyscy wiedzą. Więc nie ma sensu mówić. A poza tym — co miałbym powiedzieć? Myślałem, że ptak służy tylko do sikania, ale teraz wiem, że również do tego, aby inni ludzie wkładali go do buzi. To jeszcze jedna dziwna rzecz, jaką robią ludzie, podobnie jak przyjęcia urodzinowe. Tylko że to nie jest przyjęcie urodzinowe. Takie przyjęcia mogą być nudne, ale nie powodują — tak jak sprawił to Trevor — że czuję się malutki i godny politowania.

Kiedy wracam do domu, jak zwykle jestem niewidzialny. Kelly i Shane kłócą się o kanał telewizyjny. Mama jest zajęta Bethany. Nikt nie zauważa, że jestem inny. I nawet ja nie mam pewności, dlaczego tak jest i na czym to polega.

Rozdział piąty

Moje żonkile kwitną, wyglądają cudnie i jestem z nich bardzo dumny; ze szczególną troską sadzę małą prymulkę Red Hot Poker, gdy tylko ją przysyłają. Mama nie wygląda na specjalnie zachwyconą ani żonkilami, ani Red Hot Pokerem. Kiedy latem pierwiosnek w końcu zakwita, po żonkilach dawno nie ma śladu i Red Hot Poker jest jedynym kwiatkiem; zdaję sobie sprawę, że wygląda żałośnie pomiędzy kawałkami rozwalonego brodzika, psimi kupami i rowerami bez kół. Jestem rozczarowany. Shane chichocze, a Kelly to nie obchodzi. Mama robi zdjęcie, ale dziwnie na mnie patrzy. Czuję ulgę, idąc do Allbutów i widząc ich ogród cały w kwiatkach. Brian Allbut przycina niektóre z nich, inne podwiązuje, rozmawiając przy tym z Jill o kwiatkach na przyszły rok, i czuję się lepiej, bo wiem, że Brian Allbut nie jest ciotą.

Kiedy ojciec wraca, częściej niż zwykle wychodzi z domu i więcej pije. Mama non stop jest na niego zła. Dużo rozmawiają z babcią w kuchni ściszonymi głosami. Pewnej nocy jest tak pijany, że nie może przyprowadzić samochodu z Klubu Hutnika, więc robi to za niego moja siostra Kelly. Ma dwanaście

lat i prowadzi jego brązowe capri całą drogę do Reynolds Street. Chciałbym, żeby mi na to pozwolili. Innym razem jego samochód po powrocie do domu jest cały zarzygany. Ojciec daje Shanewi piątką, żeby to wyczyścił, ale mama jest bardzo zła i mu nie pozwala.

Nie widuję zbyt często Trevora, ale pewnego popołudnia kręcę się po okolicy Reynolds Street i on się pojawia. Pamiętam to, co się stało na targu bydłowym, ale to było dziwne, pojedyncze wydarzenie, a fakt, że nikomu o tym nie opowiadałem, sprawia, że czuję się niemal tak, jakby do niczego nie doszło. Wstydzę się z nim rozmawiać. Nie mam pewności, czy jest moim kolegą. Ale dzisiaj jest dla mnie miły i mówi, że da mi więcej papierosów. Idziemy na szkolne podwórko. Nikogo poza nami tam nie ma. Zaczynam się denerwować. Siadamy na podjeździe i palimy.

Potem niespodziewanie rzuca się na mnie i przyciska do ziemi. Jednym zręcznym ruchem opuszcza mi spodnie i majtki, podobnie jak swoje, a potem wczołguje się na mnie. Ciekawe, co teraz zrobi. Nie wydaje mi się, żebyśmy się mieli ze sobą bić, a papieros ciągle pali się w mojej dłoni.

Przyciska swoje ciało do mojego. Zamykam oczy. Odpływam w stronę dachu szkoły, na najwyższe drzewo, i stamtąd na nas patrzę.

Wierci się na mnie, nasze ptaki się dotykają, a potem on zaczyna robić takie ruchy jak przy pompkach. Kiedy otwieram oczy, widzę jego napiętą twarz. Zamykam je z powrotem i jeszcze raz patrzę na dwóch chłopców złączonych ze sobą ciałami. Ten pod spodem jest dużo mniejszy, prawie go nie widać. Może tak właśnie jest być Jehową, zawsze się przyglądającym. Przecież On i teraz musi na nas patrzeć.

Po chwili Trevor przestaje. Jego twarz jest czerwona. Wpół—żywy, wciągam spodnie.

— Tylko nikomu nie mów — przypomina mi Trevor ostrym tonem. — Boja zaprzeczę i nikt ci nie uwierzy.

Zastanawiam się, co robiliśmy. Ojciec ciągle nazywa mnie ciotą. Czy właśnie o to mu chodzi:¹

Wracamy do domów i nikomu nic nie mówię. Ale robię to samo z innym chłopcem. Jestem Trevorem, a chłopiec jest mną. Zostaje u nas w domu po szkole, bo moja mama ma się nim opiekować. Kiedy jesteśmy na górze w sypialni, przewracam go tak samo, jak Trevor przewrócił mnie na szkolnym podwórku, opuszczam mu spodnie i kładę się na nim, i przyciskam się przez chwilę do niego. Tak jak Trevor. Nawet nie wiem, dlaczego to robię. Nic nie czuję. Rzut oka na jego twarz mówi mi, że on też nic nie czuje.

— Tylko nikomu nie gadaj, rozumiesz? — mówię później.
— Zresztą i tak nikt by ci nie uwierzył, bo jestem starszy od ciebie i zaprzeczę.

Przytakuje, jakby nieobecny. Rozpoznaję tę dziwną nieobecność w jego oczach.

Ale moje zainteresowania zostały rozbudzone. Trevor odrygłował przede mną jakieś drzwi. Zrobił tylko niewielką szczelinę, ale wiem, że w środku coś się znajduje.

Jest jedna dziewczyna, która często przychodzi do naszego domu po szkole; ciągle nie rozumiejąc powodów, dla których to robię, biorę koc i wyciągam ją do ogrodu, do psiej budy. Leżymy na kocu, zapach psa unosi się wokoło, a ja macam ją pod ubraniem. Ściągam jej majtki. Jej ciało jest dziwne. Bardzo różni się od mojego, jest bardziej mięsiste, z ciekawym brakiem między

nogami. Moje palce badają ją całą. Jest miękka jak woda. Podniecająca. Moje serce szybko wali. Chcę jej dotykać i dotykać. Głęboko w środku mnie są jakieś mikroskopijne struny i coś na nich gra, i to jest przyjemne. Teraz zaczynam rozumieć. To tego uczucia musiał szukać Trevor.

Od tej pory obmacuję dziewczyny, kiedy tylko mam okazję. Szybko się orientuję, że dziewczyny w moim wieku są mniej interesujące od starszych. Im starsze, tym bardziej mięsiste. I prawie zawsze pozwalają mi się dotykać. Jedna z koleżanek mojej siostry ma trzynaście albo nawet czternaście lat i zastępuje mi drogę w alejce na tyłach Reynolds Street. Musi wiedzieć, ile mam lat, ale jej to nie obchodzi.

— Pokaż mi, co tam masz — mówi. — A ja pokażę ci moje.

Wiem, o czym mówi. Przyglądam się jej gładkiej, brązowej skórze i chcę jej dotknąć. Chcę czuć ją całą. Daję się zaprowadzić na opustoszałe szkolne podwórko; wchodzimy po podjeździe do wyjścia ewakuacyjnego, gdzie są stare ceglane łuki, w których można się schować. Trochę się boję, kiedy opuszcza moje spodnie i majtki, a potem swoje. Jest w niej coś złego i wymagającego. Ale gdy ocieramy się o siebie, czuję się zuchwały i podniecony. Moje ciało drży, słyszę, jak krew pulsuje mi w żyłach, moje serce dudni jak wojsko w natarciu. Nagle ona decyduje, że już skończyliśmy. Zakładamy majtki. Wracamy na alejkę i idziemy w kierunku, w którym szliśmy wcześniej. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy.

Z Matthew, moim obecnym kolegą, grzebiemy na zarośniętym pokrzywami śmietniku na tyłach Reynolds Street, gdzie znajdujemy torbę z gazetami, ze zdjęciami w środku. Zdjęciami dorosłych. Zupełnie gołych. Kobiety mają olbrzymie piersi,

które zwisają jak balony, a *mężczyźni* są dziwnie różowi i bardzo zarośnięci. Razem robią podobne rzeczy, jak ja z dziewczynami, tylko że znacznie więcej, bo faceci normalnie wkładają swoje ptaki do środka — tak, do środka tych różowych babek. W gazecie są zbliżenia, więc można zobaczyć, jak to robią; ich ptaki różnią się od mojego, są jak ogromne maszty.

— To seks — mówi Matthew ze znajomością rzeczy. — To jest seks. Albo pieprzenie. Albo i to, i to.

Matthew i ja przewracamy kartki i oglądamy, i nie wiemy, czy się śmiać, czy się przyglądać, czy się wstydzić. Zdjęcia są hipnotyzujące. I coś mi uświadamiają. To, co robię z dziewczynami, kiedy je obmacuję, to jest seks. To robią dorośli. To robi mój ojciec.

Wiem już, dlaczego mama jest na niego zła. Nie chodzi tylko o jego picie, chodzi o kobietę, i nie tamtą farbowaną, która była na topie kilka lat temu, gdy urodziła się Bethany, ale o inną, którą z nim widzieliśmy. Tato robi z nią te rzeczy. A kiedy mama krzyczy i wydziera się o podłościach taty, ma na myśli seks. To jest coś, co faceci robią często z innymi kobietami, podczas gdy żony zostają w domu z dziećmi. To dla mnie jasne. Pozostaje tylko tajemnicą, dlaczego mamę to tak bardzo złości.

Nasz dom kipi. Za każdym razem, gdy przekraczam próg, czuję furię. Staram się tam tylko jeść i spać. Resztę czasu spędzam na ulicy. Czasem idę do Allbutów. Sadzają mnie w salonie, zakładam słuchawki i słucham nagrań takich śmiesznych ludzi, jak Marty Feldman [właściwie Martin Alan Feldman, brytyjski scenarzysta, komik i aktor charakterystyczny — *przyp. tłum.*]. Skręcam się na sofie ze śmiechu. Albo rysuję. Raz upiekłem z Jill ciastka. I zasadziłem pestkę pomarańczy. Zawsze kiedy

od nich wychodzę, mam to dziwne uczucie, że jestem miłym, dobrym dzieckiem. W nocy leżę w łóżku i żałuję, że nie jestem ich synem.

Teraz mam dziewięć lat, prawie dziesięć, mogę już bez pomocy wchodzić na te ogromne kasztanowce obok pola do gry w krykieta i strącać kasztany dzieciakom, które czekają na dole.

Wchodzę coraz wyżej i wyżej w prywatny świat drzewnego mchu, srebrnej kory i umykających owadów. Skupiam się na tym, gdzie zaczepić rękę i gdzie znaleźć kolejne oparcie na nogę, i to jest tak zajmujące, że kiedy rozglądam się wokół i widzę, że jestem na drzewie w Kidderminster, i przypominam sobie, że nazywam się Mark — jestem zaskoczony. Czuję się, jakby mnie jakiś czas nie było.

Wchodzę tak wysoko, że trochę się boję, ale wszyscy na mnie patrzą, więc powoli czołgam się wzdłuż gałęzi. Wszędzie wokół mnie są liście, nabierające brązowego koloru. Ułożone w wiązki, wyglądają jak dłonie. Na tym drzewie musi być milion zielono—brązowych palców. Może złapałyby mnie, gdybym spadał. Kiedy wyglądam przez nie, widzę Kidderminster, dachy i wysokie bloki, zniszczone zbiorniki gazowe i zdemolowane fabryki. Czołgam się jeszcze dalej. Pod nogami czuję wielką przestrzeń.

Kiedy jestem blisko końca gałęzi, uderzam patykiem w kasztany. Słyszę, jak ich małe, twarde owoce stukają o ziemię daleko w dole. Nie schodzę. Dzieciaki pod drzewem zbierają kasztany i krzyczą do mnie, żebym zszedł, ale jeszcze chwilę zostaję.

Wkrótce odgłos ich kroków oraz rozmów ginie w ulicznym hałasie. Jestem teraz sam na sam z drzewem. Podoba mi się w tym kasztanowym świecie. Może mógłbym tutaj spać, zostać

na zawsze. Zaczyna się ściemniać, ale się nie ruszam. Drzewo otula mnie całego, jakby mnie kochało i troszczyło się o mnie. Małe pluskwy biegają po mnie bezładnie. Sądzą, że jestem częścią pnia. Nie chcę wracać do domu.

Kiedy samochody na dole włączają światła i przez szpary w liściach widzę gwiazdy, schodzę na dół. Coś mnie kłuje w stopy, gdy zeskakuję na ziemię. Zbieram resztę kasztanów, pakuję do worka i ciągnę za sobą w pojeździe—straszydło zrobionym z kółek od dziecinnego wózka. Nie chce mi się wchodzić do domu, rozkładam kasztany na głównej ścieżce i depczę po nich z całej siły, aż spod zielonych, kolczastych skorupki ukazują się niczym perły ich piękne, brązowe, połyskujące w świetle lampy owoce.

Do drzwi podchodzi mama. Trzepie mnie w głowę.

— Zobacz, jaki zrobiłeś burdel! — wydziera się.

Butami próbuję usunąć ze ścieżki zielony szlam.

Dużo później wchodzę do domu z kasztanami. W domu panuje cisza. Mama na mnie czeka. Już nie ma w niej złości. Jej głos jest dziwny. Zerkam na nią i widzę, że oczy ma przekrwione, a twarz czerwoną i napuchniętą. Płakała i wygląda okropnie, budzi obrzydzenie. Odwracam się i chcę przejść, bo w naszej rodzinie nikt się nad nikim nie rozczula.

Nie jestem wystarczająco szybki. Mama łapie mnie i obejmuje ramionami, przyciskając mocno do wełnianego swetra. Nie mogę oddychać. Dusi mnie. Moje kasztany upadają na podłogę. Próbuję się wyrwać, ale mi na to nie pozwala. A teraz płacze, a łzy kapią na moją głowę, czuję je. Walczę o powietrze. Odrzuca mnie od niej. Jest mi niedobrze. Chcę ją uderzyć,

kopnąć, zwymiotować na nią, walić w nią głową, zrobić cokolwiek, byle się od niej uwolnić. Klei się do mnie w rozpacz, ale to nie w porządku, bo ja mam tylko dziewięć lat i przytulanie nie powinno tak wyglądać.

Walczę na śmierć i życie — w końcu się wyrrywam, chory z obrzydzenia. Zbieram swoje piękne, lśniące kasztany i zostawiam ją płaczącą na sofie, tak jak robi to ojciec po tym, jak ją uderzy. Idę prosto na górę.

W pokoju jest Shane, leży na swoim łóżku, słucha muzyki, jest w swoim świecie. Prawie w ogóle mnie nie zauważa. Kładę się. Przypomina mi się, jak próbowałem zmusić mamę, żeby mnie przytuliła, kiedy byłem mały. A teraz, gdy to zrobiła, to było ohydne.

Rozdział szósty

Jill, mama, Bethany i ja jedziemy do Londynu. Mamy odwiedzić ciocię Jill, Betty, która mieszka na przedmieściach, ale pierwsza część dnia chcemy spędzić w centrum. Nigdy wcześniej nie byłem w Londynie i od pierwszej chwili, gdy tu przyjechałem i poczułem uliczny gwar, sposób, w jaki ludzie szybko się poruszają, różnorodność ich kolorów i akcentów, nieustający przepływ znaków, twarzy i wystaw sklepowych - od razu pokochałem to miejsce. Zataczam się, gdy wyciągam szyję, by zobaczyć dachy budynków, stoję i przyglądam się zmianie warty, wdrapuję się na potężne lwy na Trafalgar Square, słucham, jak Big Ben wybija godziny, jem kanapki pod kołami rydwanu Budyki obok mostu westminsterskiego, widzę Erosa, boga miłości, oraz autobusy i taksówki okrążające go na Picadilly Circus, a gdy wracam i ludzie pytają mnie, co najbardziej podobało mi się w Londynie, odpowiadam: pomniki. Mówię Jill Allbut, że pewnego dnia na pewno tam wrócę.

Ciocia Betty jest zachwycona moim entuzjazmem i od tej pory regularnie przysyła mi paczki pełne informacji o stolicy i różnych pamiątek. Mam album na wycinki o Londynie i wszystko starym tam wklejam. Lubię być sam w swoim pokoju i się tym

zajmować. Albo być na dworze z kumplami. Nie kręcę się nigdy po domu, bo teraz cały czas jest tu ojciec.

Naszym nowym premierem jest pani Thatcher. Jill Allbut mówi, że to czasy ogromnego bezrobocia w Wielkiej Brytanii. Nasz tato wpisuje się w statystyki. Nie ma pracy i w domu brakuje pieniędzy. Mama uwija się, gotując i sprzątając, gdzie tylko może, ale kryzys najbardziej uwidacznia się w tym, że tato nie ma kasy na picie. A jedyną rzeczą gorszą od tego, że ojciec chodzi do pubu, jest to, że do niego nie chodzi.

Jest niedziela i rozpaczliwie potrzebuje coś wypić. Musi coś wypić, bo jest niedziela. Miota się po całym domu jak wielki, niebezpieczny goryl w klatce. Mówi do mamy, żeby mu dała piątkę. Ona odmawia. Potrzebuje tych pięciu funtów na jedzenie. On ją olewa i rusza do jej portfela. Ona go zatrzymuje, próbuje wyrwać torebkę. Goryl przyciska ją do ściany jedną masywną łapą, a drugą wyciąga piątkę z portfela. Ona protestuje, i to go naprawdę wkurza.

Patrzymy z przerażeniem, jak wkłada jej w usta niebieski banknot, a potem wpycha go do gardła dwoma palcami. Mama przestaje się mocować. Robi się czerwona i charczy, próbując złapać powietrze. Przyglądamy się. Nic nie robimy. Jesteśmy bezsilni. Patrzymy, jak mama umiera. Przestaje charczeć. Jej ciało robi się bezwładne. Potem goryl sięga do jej gardła, jak ktoś otwierający list, i wyciąga banknot. Pewnie jest mokry, ale jemu to nie przeszkadza. Warczy i przeklina w gorylim języku, a potem wychodzi do pubu, trzaskając drzwiami. Teraz mama zacznie płakać. Uciekam stąd tak szybko, jak tylko mogę.

Idę z kumplami nad kanał, a kiedy wracam, widzę, że na naszej ulicy zbierają się dzieciaki. Dołączam do jednej grupy, potem

wszystkie bandy gromadzą się na opustoszałym podwórku szkolnym. Zaczyna się dziać. Ludzie do siebie krzyczą. Wybuchają bójki. Kręcę się w pobliżu, trochę się przyglądając, a potem w jednej z walczących grup zauważam wysokiego, kościstego, ciemnowłosego chłopaka z pięściami w górze, trochę starszego ode mnie. To Trevor.

Gdy tylko go dostrzegam, od razu wiem, że chcę z nim walczyć. Chcę go pobić. Chcę z niego zrobić miazgę.

Idę w kierunku jego grupy i wpycham się między chłopaków, pomagając sobie łokciami. Inne dzieciaki widzą wyraz mojej twarzy. Odstępują o krok. Kilkoro z nich krzyczy: — Dalej, Marki, dalej!

Kiedy tak stoi tuż przede mną, wydaje się przestraszony. Widzi wściekłego psa, z wyszczerzonymi kłami i nastroszoną sierścią. Rzucam się na niego. W ciągu kilku chwil leży na ziemi. Raz za razem okładam pięściami jego twarz. Moje ręce lądują na jego żołądku i zapadają się głęboko, walę w klatkę piersiową, następnie w podbródek. Ma zamknięte oczy. Tłukę jego głową o asfalt. Rozwalam drogie implanty w szczęce, którymi od jakiegoś czasu chełpił się na ulicy. I dla pewności, podczas gdy on ciągle leży oszołomiony, biorę cegłę i wpycham mu w usta.

Dzieciaki patrzą na mnie z niedowierzaniem. Teraz wszyscy się przyglądają. Nikt inny się już nie bije, tylko my. Potem rozlegają się wiwaty.

Trevor powoli się podnosi. Maca się po twarzy. Przeciąga palcami wzdłuż miejsca, w którym powinny być jego zęby. Kiedy patrzy na rękę, widzi krew. Już wie, że ma powybijane zęby.

Jest wściekły. Wrzeszczy na mnie i zaczyna iść ulicą w kierunku mojego domu. Ruszam za nim. Naprawdę zaczynam

mieć pietra, co powiedzą rodzice. Mówię, żeby nie wchodził do mojego domu. Ale on bełkocze: — Zapłacisz za to.

Zastanawiam się, ile kosztowały jego zęby. Zastanawiam się, czy ojciec wydał tę piątkę i wrócił już z pubu.

Trevor wali w nasze drzwi, mama otwiera. Widzi chłopca, któremu z ust leje się krew, i mnie stojącego za nim. Jej twarz robi się blada.

— Pani Mark to zrobił! — Trevor wydaje ryk ze swoich krwawiących ust. — Niech pani patrzy!

Mama patrzy. Ja nic nie mówię. Trevor żąda, żeby mama zapłaciła za jego nowe zęby. Widzę, że ona zaraz przeprosi i się zgodzi! Trevor jest wściekły, krzyczy. Nagle za mamą pojawia się w drzwiach ojciec.

— Co się dzieje? — pyta. Trevor odpowiada mu, plując krwią.

Ojciec pyta: — Ile masz lat? — Jego głos jest groźny. Jest cichy, za cichy. Czy Trevor wie, że głos taty jest groźny, czy też musiałby być członkiem naszej rodziny, żeby odczytywać takie sygnały?

— Piętnaście! Mam piętnaście lat i wszystkie moje implanty są połamane, i musicie za nie zapłacić! — drze się Trevor. Wzdrygam się. Nie wrzeszczałbym tak na mojego ojca.

— Piętnaście... — głos ojca jest teraz półszepceniem i jest przepełniony groźbą. — Piętnaście. A mój chłopak ma dziesięć. I ty tu stoisz, skarżąc się na niego? Zabieraj się z tą swoją krwią z mojego progu i spieprzaj do domu, ciotojedna.

Trevor się gapi, z połamanymi zębami i otwartą buzią. Potem powoli odwraca się i idzie.

Zanim ojciec zamyka drzwi, ślę mu chytry uśmieszek. Ojciec mamrocze: — Co za cholerny pedał z tego chłopaka! — I to jest jeden z tych momentów, kiedy naprawdę go kocham, nawet jeśli

on nie wie, co dla mnie zrobił. Idę ulica za Trevorem i wyśmiewam się z niego. — Pierdol się, Trevor, po prostu się pierdol.

Kiedy następnym razem idę do Allbutów, przekazują mi złą wiadomość. Przegryzamy coś w kuchni i wszystko wydaje się w miarę normalne. Potem Jill mówi, że mają mi coś do powiedzenia. Przystaję jeść. Patrzę na nich podejrzliwie. Ich miłe, gładkie twarze są zatroskane. Jill mówi, że się wyprowadzają.

Moja pierwsza myśl jest taka, że chcę się wyprowadzić razem z nimi. Też chcę wyjechać z Reynolds Street. Potem myślę sobie, że może chcą się tylko przeprowadzić na drugą stronę Kidderminster. Brian zaprzecza ruchem głowy. Wyjeżdżają do innego miasta. Redditch. Nigdy tam nie byłem, ale już tego miejsca nie lubię. Właściwie to nienawidzę Redditch. Wyjeżdżają, bo zmieniają pracę.

Nie kończę jedzenia. Nie mogę już jeść. Nie mogę przełykać. Ale nic nie mówię. Nie zadaję pytań. Nie komentuję. Nie mówię im, że są moim schronieniem i że bez nich moje życie będzie nie do zniesienia, bo nie będę już tamtym Markiem, który uwielbia malować i rozmawiać, Markiem, do którego można się zwracać w miły sposób.

Więcej już ich nie odwiedzam. W dniu, w którym wyjeżdżają, przychodzą do naszego domu, żeby się pożegnać i powiedzieć mi, że jak najszybciej zorganizują mój przyjazd w odwiedzinę do Redditch. Przytakuję, ale nie mówię wiele. Widzę dwie smutne, strapione twarze. W końcu zamykam drzwi, idę na górę do swojego pokoju i przez jakiś czas nie wychodzę, bo nie chcę oglądać ciężarówki przed ich domem, zabierającej nagrania Martyego Feldmana i radio, w którym ludzie ze sobą rozmawiają. Nie chcę oglądać mężczyzn wywożących te wszystkie rozmowy i rysunki. W nocy, kiedy kładę się spać, czuję się, jakby ktoś dzisiaj umarł.

Rozdział siódmy

Kiedy jestem w domu, nie mam nic do roboty. Panuje tam duszna atmosfera, nienawidzę jej. Ale gdy jestem na ulicy z bandą miejscowych dzieciaków, z którymi dorastałem, wtedy całe miasto jest dla nas jednym wielkim placem zabaw do spenetrowania, zdemolowania i okradzenia.

Moim najlepszym kumplem jest koleś z ulicy, który nawet nie chodzi do naszej szkoły. Daniel pochodzi z dużej rodziny i jak nikt inny potrafi wymyślać coraz to nowe złe rzeczy. Ma twarz małego dziecka i wątłą budowę ciała, więc nie nadaje się do bicia, ale rwie się do wszystkiego, odpowiednio się ubiera i tam, gdzie inni używają pięści, on posługuje się mózgiem. Od pierwszego spotkania zostajemy wiernymi kumplami.

W domu jest teraz więcej dzieci - skolonizowały go. Nie tylko dlatego, że mama opiekuje się niektórymi po szkole, zanim ich rodzice wrócą z pracy, ale też znacznie więcej dzieci z domu dziecka idzie za nią Reynolds Street, kiedy kończy pracę w tamtejszej kuchni. Chodzimy do szkoły z tymi dziećkami z domu dziecka, więc je wszystkie znamy. Pieniądze, które chłopaki dostają na ubrania, wydają na papierosy, a ubierają się

w stare marynarki i poszarpane džinsy, kupione w szmateksach. Shane i ja uważamy, że wyglądają strasznie.

Ciuchy są dla nas ważne: Shane jest modem, a ja suedeheadem. Suedehead jest kimś pomiędzy skinheadem a modem. To znaczy, że mam fryzurę na marynarza, inaczej Number One, która jest tak krótka, jak tylko daje się obciąć włosy [pas włosów na czubku głowy jest nieco dłuższy, boki i tył są niemal zgolone — *przyp. tłum.*]. Noszę zamszową kurtkę, mocno czerwoną koszulkę polo marki Fred Perry i džinsy z martensami albo mokasynami. Tak wygląda suedehead. Muzyka, której słuchają suedeheadzi, to The Beat, The Selecter, The Jam i UB40. Shane, jako mod, nosi bluzę, jakby się właśnie wybierał na łódki, i jaskrawą koszulę zapinaną na guziki.

— W młodości byłam hipiską — mówi mama. Patrzymy z niedowierzaniem na jej okrągłe ciało i pomarszczoną twarz. Nasz dom często pulsuje w rytm muzyki Johnnynego Mathisa. To z pewnością nigdy nie był hip. Mama wyjmuje zdjęcie pięknej, młodej dziewczyny.

— To ja — mówi — Tak właśnie wyglądałam, gdy miałam siedemnaście lat.

Trudno się doszukać jakiegokolwiek podobieństwa między tą dziewczyną z fotografii i naszą mamą. Dziewczyna na zdjęciu wygląda, jakby miała jakieś marzenia. Ale mama jest żoną taty.

Opowiada nam, że przesiadywała w modnych wtedy wśród hipisów klubach na północnym wschodzie. To było „podziemie”. Kiedy mówi, że słuchała The Animals, Gerry ego i The Pacemakers oraz The Who, opadają nam szczęki. Czy na pewno Gerry i The Pacemakers grali hip i byli w podziemiu?

— O, tak — mówi mama. — To nie była muzyka popowa. To był hip. Zwłaszcza Animalsi; w ich muzyce były dźwięki Newcastle — oni byli dokładnie w środku tego wszystkiego.

I mama tam była. Trudno w to teraz uwierzyć, kiedy patrzy się na nią, opartą o odkurzacza.

Mówi, że tato był kiedyś bikiniarzem, i to jest dla nas jeszcze zabawniejsze.

Pytamy: — Widziałas kiedyś Beatlesów?

Kiwa głową; wygląda na rozmarzoną. — Całą noc koczowałam przed City Hall w Newcastle, żeby mieć pewność, że wejdem. I weszłam. — Uśmiecha się. — Gdy pojawili się na scenie, myślałam, że życie nie może być piękniejsze.

Patrzymy na mamę. Z jej twarzy można wyczytać, że przez te wszystkie lata była żoną taty. Ręce ma zniszczone od sprzątanania u innych i zajmowania się nami. Wygląda na zmęczoną i godną politowania. Pewnie miała rację, myśląc, że życie nie zaoferuje jej niczego lepszego niż wtedy, gdy widziała The Beatles. Ale jej nie współczujemy. Nie obchodzi nas zbytnio to, że kiedyś była młoda, ładna i miała marzenia. Żyjemy we własnym świecie znajomych i muzyki, a ją odstawiamy na bok. Mama z tatą tracą nas. I właśnie wtedy znajdują Paula.

To jeden z dzieciaków z domu dziecka, cztery lata starszy ode mnie. Spędza u nas dużo czasu. Wszyscy go lubią. Nawet ojciec go lubi. Razem się śmieją i żartują. Nigdy nie mógłbym tego osiągnąć, nawet gdybym był w wieku Paula. Widzę, że Shane też im się przygląda, i wiem, że myślimy to samo. Myślimy, że ojciec wolałby, żeby to Paul był jego synem, a nie ja czy Shane.

Nie dziwimy się więc, gdy mama zaczyna mówić o adoptowaniu Paula. Bardziej dziwię się jemu, że chce dołączyć do naszej

rodziny. Ja zawsze marzyłem o tym, żeby zamieszkać w domu dziecka, zwłaszcza od kiedy wyjechali Allbutowie, więc może moglibyśmy się zamienić. Ja zostałbym sierotą, a Paul mógłby być synem, jakiego nasi rodzice zawsze chcieli mieć.

Rozpoczyna się procedura adopcyjna. Paul spędza u nas większość czasu. Śpi w pokoju na poddaszu ze mną i Shaneem, a teraz, kiedy Boże Narodzenie za pasem, zostanie u nas na całe święta. Pieniądzy jest niewiele. Ojciec mówi, że po kupieniu prezentów świątecznych prawie nic mu już nie zostało, ale zachowa sobie jakiegoś funciaka, żeby mieć za co wypić podczas świąt. Mówi coś takiego, kiedy Paul jest w pobliżu, bo chce mu się wydać normalnym tatą.

Naprawdę odkłada piątkę. Wkłada ją do małej srebrzystej maselniczki i zostawia na półce w salonie. Wszyscy wiedzą, że kiedy ja jestem w pobliżu, zostawianie pieniędzy w domu jest rzeczą niebezpieczną. Ojciec myśli pewnie, że tak się go boję, że mu ich nie ukradnę. Ale od momentu, gdy wkłada te pięć funtów do maselniczki, zaczynam mieć na ich punkcie obsesję. Muszę je dostać. Nawet jeśli jestem pewny, że zostaną przyłapany.

Znalezienie okazji to dla mnie kwestia kilku godzin. Skończył się podwieczorek, ale mama jeszcze nie posprzątała ze stołu. Paul, Kelly, Shane i rodzice siedzą ciągle przy stole w jadalni. Kiedy Paul tu jest, moi starzy lepiej się zachowują. Mniej się biją i wszyscy więcej mówią.

Udaję znudzonego i wstaję od stołu. Idę do salonu. Włączam telewizor. Ale nie siadam i nie oglądam programu. Zamiast tego ukradkiem wspinam się na oparcie brązowego fotela. Przez chwilę się nie ruszam, żeby złapać równowagę, inaczej spadłbym i rozwalił całą kolekcję płyt rodziców, i to byłby koniec

Johnnyego Mathisa. Z walącym sercem i oczami dookoła głowy sięgam po maselniczkę i bardzo, bardzo cicho podnoszę przykrywkę. Wyjmuję piątkę i wsuwam ją do kieszeni dżinsów. Przykrywam maselniczkę z powrotem. Potem zapadam się w fotel i udaję, że oglądam telewizję. Serce wali mi tak głośno, że nie słyszę nawet programu.

Po krótkiej przerwie idę na górę. Wciskam piątkę pod dywan obok łóżka. Później pokazuję banknot Paulowi. Chętnie by się nim zaopiekował.

— Pilnij go dobrze, to w weekend go wydamy — instruuje mnie.

W weekend kupujemy cukierki, całe mnóstwo. Cukierki dla brata Paula w domu dziecka, cukierki dla Shanea i Kelly, cukierki dla naszych kumpli, no i dla nas. Oczywiście nic dla Bethany, tego zepsutego dzieciaka, który biega na zebrania świadków Jehowy, trzymając mamę za rękę. Nie dostanie ode mnie żadnego cukierka.

W drugi dzień świąt mama odkrywa, że maselniczka jest pusta. Mówi o tym ojcu. Nikt nie ma wątpliwości, kto wziął tę piątkę.

— Ja? W życiu!

— Ty cioto jedna — warczy ojciec tym swoim groźnym głosem. — Zatłukę cię, cholero.

Kiedy leje mnie w salonie, cały czas krzyczę, że ja tego nie zrobiłem, a on powtarza, jak bardzo mnie nienawidzi, i czuję się tak, jakbyśmy nigdy nie mówili do siebie nic innego. Ale tylko jeden z nas mówi prawdę, i tym kimś jest ojciec. Naprawdę mnie nienawidzi. Kiedy jest w domu, nigdy nie czuję się tam dobrze. Schodzę mu z drogi, i to mu się podoba. Nie chce mnie widzieć, nie chce mnie słyszeć i wolałby, żeby mnie tu w ogóle nie było.

— I co kupiłeś za te pięć funtów taty? — pyta mama po laniu.

— Cukierki — przyznaję się.

— Cukierki! I zjadłeś wszystkie?

— Nie! Kupiłem je z nim — mówię i wskazuję na Paula.

Zapada straszna cisza i wszyscy odwracają się w stronę Paula. Czerwieni się.

— Czy on wiedział, skąd pochodziły te pieniądze? — pyta mama słabym głosem. Ma nadzieję, że powiem, że nie wiedział. Ojciec patrzy to na Paula, to znów na mnie. On też nie chce, żeby to była prawda.

— Tak! — krzyczę, a w moim głosie słychać triumf. — Tak! Wiedział, że to piątek taty!

I to jest koniec adopcji i ostatnia noc, którą Paul spędza w naszym domu. Mama idzie na górę spakować jego torbę i chłopak natychmiast wraca do domu dziecka. Po tym zdarzeniu widuję go czasem w szkole, ale nie jest już jednym z nas. Mówi się o odesłaniu do domu dziecka również mnie. O niczym innym nie marzę.

Rozdział ósmy

Piję teraz towarzysko. Upijam się na imprezach ze starszymi dziećmiakami, zwłaszcza na imprezach mojej siostry Kelly. Jestem duszą towarzystwa, przynajmniej dopóki nie upiję się do nieprzytomności. Nie wiem, co robię potem, bo nie pamiętam. Ale kiedy zaczynam pić, na początku wszyscy uważają, że jestem zabawny i inteligentny, tylko nie Kelly — ona niemal zawsze jest na mnie zła, że zadaję się z jej znajomymi. Osobiście jestem zdumiony tym, że tak wiele szesnastolatek chętnie obściskuje się z jedenastolatkiem, który wygląda na tylko nieco starszego.

Kelly nie znosi, gdy kręcę się wśród jej znajomych, ale jeszcze bardziej wkurzają, kiedy widzi, że spędzam czas z Peteem i jego paczką. Któregoś dnia Kelly postanawia zostać policjantką. Ma okrągłą, ładną buzię, dobrze się prowadzi i uważa, że w hierarchii społecznej stoi o stopień czy dwa wyżej od nas. Jest przeciwieństwem Petea. Kiedyś był skinheadem, i to z takimi jak on po raz pierwszy upiłem się Strongbowem. Teraz jest punkiem i mieszka w squacie.

Kelly boi się trochę ludzi, którzy mieszkają w squacie, ale mnie oni fascynują. Pete wydaje się nie mieć żadnej rodziny,

tylko kumpli, którzy przychodzą do squatu i odchodzą z niego. Z zewnątrz squat wygląda jak normalny dom z czerwonej cegły, ale w środku ściany są pokryte hipisowskimi malunkami, ogród z tyłu jest zachwaszczony i zagracony częściami rowerowymi, a płot się wali. Ludzie w tym domu nie stosują się do żadnych reguł. Wstają, kiedy chcą, czasem dopiero wieczorem. Rozbie-
rają się, kiedy chcą, nawet jeśli obok są inni ludzie. Jedna babka ma cycki takie duże i ciężkie, że nie mogę przestać się na nie gapić. Jak ona chodzi z tym majdanem przez cały dzień? Nikt inny nie zwraca na to uwagi.

Od kiedy Allbutowie wyjechali, squat stał się moim nowym schronieniem. Dobrze się tu czuję. Za klosze do lamp służą puszki po konserwach, a zamiast łóżek są materace. Lubię gadać z Peteem i jego kumplami. Każdy każdego akceptuje, bez względu na to, kim jest. I nikt nie zadaje tu pytań w stylu: dlaczego nie byłeś w szkole? Czasem podbieram jedzenie z naszej kuchni i w czasie gdy rozmawiamy, Pete je przygotowuje. Albo gadamy, kiedy Pete pierze skarpetki. Czasem pomagam mu naprawiać jego starą motorynkę.

Pete zapoznał mnie z mnóstwem nowych rzeczy — jedną z nich jest wążanie gazu z zapalniczki butanowej. To było kilka lat temu i teraz często robię to w domu. W odróżnieniu od picia wążanie gazu nie jest dla mnie czynnością towarzyską. To przepustka do innego świata i lubię tam podróżować sam. Jedno pociągnięcie nosem i już mnie nie ma. Normalnie nigdy nie zauważam maminych kwiatków doniczkowych, ale kiedy powącham gaz, mogę się znaleźć wprost w doniczce i dwadzieścia minut rozmawiać z łodygami. Mogę też siedzieć sobie na drobinie kurzu i gawędzić z kawałkiem cegły. Kiedy

się budzę, widzę, że jestem zaśliniony, a głowę opieram o ścianę, ale mam to gdzieś. Jestem w salonie, ale jednocześnie przez cały ten czas mnie w nim nie ma, więc to jest świetny sposób, żeby wyjść z domu bez otwierania drzwi.

Nie mogę znieść obecności swoich sióstr. Obie się bardzo dobrze zachowują i ojciec jest dla nich zupełnie inny. Ale nie cierpię tylko swoich sióstr. Do innych dziewczyn nie czuję nienawiści. To dlatego, że teraz wiem, do czego one służą. To odkrycie wydaje mi się niezwykle ekscytujące. I to Włosi z naszego sąsiedztwa pokazują mi, o co w tym wszystkim chodzi.

W Kidderminster żyje duża społeczność włoska. Pochodzą z Sycylii, gdzie jest bardzo gorąco i gdzie ludzie cały dzień jedzą pomidory. Mają katolickie szkoły i własne sklepy z czymś w rodzaju kiełbas zwisających z krokwi i koszami oliwek pod każdym stołem. Kiedy te rodziny opuszczały Włochy, część przyjechała do Kidderminster, a część trafiła do New Jersey w Ameryce, i teraz te dwie gałęzie latają tam i z powrotem i się nawzajem odwiedzają.

Niektórzy włoscy koleśki są moimi dobrymi kumplami. Moja przyjaźń z Antoniem opiera się na wymianie zniewag i biciu się. W katolickim klubie młodzieżowym (za złe zachowanie ja, mój brat i Daniel zostaliśmy wyrzuceni ze wszystkich młodzieżowych klubów w mieście, ale katolicy zniosą wszystko) Włosi są przeciwko Anglikom. W każdy sobotni wieczór Antonio i ja kopujemy sobie tyłki i obrzucamy się wyzwiskami, ale ciągle jesteśmy dobrymi kumplami.

Z chłopakami się rozbijamy. Natomiast dziewczyny są do dymania. Masz się dupczyć z tyloma dziewczynami, z iloma możesz, tak często, jak możesz. A potem mówisz o tym kumplom. Od czasów Trevora szlajałem się już z dziewczynami,

obściskałem je i obmacywałem, i wkładałem im palce, ale żadnej jeszcze nie dupczyłem. Ale teraz mam już jedenaście lat. I jest takajedna Bianka.

W katolickim klubie młodzieżowym wszyscy to robią. My, chłopaki, siedzimy obok siebie i gadamy, a przy tym Daniel i ja podajemy sobie papierosy. Dziewczyny są tuż obok, w tym samym pokoju. Poza dupczeniem, chłopaki i dziewczyny w ogóle się sobą nie interesują. Ale wcześniej dobrze się sobie przyglądają.

Ja wybrałem Biankę. Ma włosy obcięte na boba, oliwkową skórę, duże oczy i pełne usta. Jest wysoka i szczupła, ale nie za chuda. Wygląda świetnie w modnej spódniczce, czarnej bluzce i czarnych wełnianych rajstopach. I jest taka piękna. Musi mieć co najmniej czternaście lat.

Ja mam jedenaście, ale jak na swój wiek jestem dobrze rozwinięty; przyłapuję Biankę na tym, że mi się przygląda. Szybko odwraca wzrok. I wtedy próbuję podejść.

— W porządku?

— Tak.

— Chcesz się przejść?

To może oznaczać tylko jedno. I ona to rozumie.

— OK.

Wychodzimy z sali obok stołu bilardowego i piłkarzyków. Na dworze, mimo że mamy na sobie kurtki, uderza w nas zimno. Pada deszcz i to on powoduje, że czuje się chłód. Biorę Biankę za rękę. Nic nie mówimy. Prowadzę ją wokół sali do przedsiönka klasztoru. Pewnie przechodziła tędy tysiąc razy, kiedy była dziewczynką i uczyła się u sióstr. Ale teraz jest tu w innym celu.

Zaczynam ją całować. Pozwala mi. Potem wkładam ręce pod jej ubranie, a kiedy nie okazuje żadnego sprzeciwu, ściągam z siebie kurtkę i kładziemy się na niej na ziemi. Ponieważ dzisiaj jest bardzo zimno, nie zdejmuję rękawiczek. Ona nie ściąga kurtki.

Nad naszymi głowami deszcz wali w falisty, plastikowy dach przedsionka. Podciągam jej spódnicę. Przez rękawiczki nie czuję jej skóry, więc wodzę po niej ustami. Jest piękna. Pachnie po włosku. Nie jest to niemiła woń, przypomina mi zapach z zaplecza włoskich restauracji, zapach cebuli, czosnku i przypraw. Zaczynam zsuwać jej grube rajstopy. Początkowo odtrąca moją rękę, ale przytrzymuję ją i za moment wiem na pewno, że mi pozwoli. Pozwoli mi to zrobić!

Leży nieruchomo. W chwili gdy wchodzę w nią i tracę dziewictwo, jej ciało jest drewniane. Nie rusza się i nie wydaje żadnego dźwięku. Może dla niej to też jest pierwszy raz. W żaden sposób nie daje po sobie poznać, że jest jej przyjemnie, ale wcale tego od niej nie oczekuję. Nie trwa to długo.

Potem nie ma między nami żadnej rozmowy. Nie chcę do niej nic mówić ani z nią być. Chcę odejść, i to szybko, wrócić do klubu i swoich kumpli. Podnoszę ją, zakładam kurtkę i zaraz jesteśmy z powrotem w gorącym, pulsującym klubie. Tyle że ja jestem teraz inny. Naprawdę pieprzyłem się z dziewczyną.

Pierwsza rzecz, jaką robię, to mówię o tym Danielowi. Śmieje się do mnie tym swoim szerokim, dziecięcym uśmiechem. Potem mówię wszystkim pozostałym kumplom. Opo-wiadam im wszystko poza tym, że to był mój pierwszy raz.

W wakacje wszystkie dzieciaki z okolicznych ulic zbierają się na podwórku szkolnym przy Reynolds Street. To stara podsta-wówka z czerwonej cegły; poza tym skrawkiem terenu nie ma

gdzie pójść, a już na pewno nie ma gdzie pograć w piłkę. Wystarczy, że *zacznę* się kręcić w okolicy — zaraz zbierają się inne dzieciaki, palimy papierosy i decydujemy, co będziemy dzisiaj robić.

Ktoś proponuje, żebyśmy poszli popływać.

Rozpierzchamy się na chwilę; wracamy z ręcznikami, kąpielówkami i drobnymi, żeby zapłacić za basen i kupić paczkę chipsów. Jest nas około dziesięciu czy piętnastu kolesiów, Anglików i Włochów, idziemy przez miasto na basen obok pośredniaka, waląc w drzwi, kopiąc kosze na śmieci i wykrzykując różne świństwa. Antonio i ja jesteśmy najmłodszy, Carlo chyba jest najstarszy. Ma siedemnaście lat i chodzi już do pracy.

Rozkazuje wszystkim naokoło: — Chodź tu, mała cipo, masz robić to, co ci, kurwa, każę.

I robimy to, bo on jest naszym bohaterem. Nazywamy go babcindupczyk, bo gdy w któryś weekend pojechał do Butlins, wydupczył tam jedną staruszkę, a na dowód wziął z jej chaty łańcuszek od drzwi w kiblu. Chodzi teraz wszędzie z tym łańcuszkiem w portfelu.

Carlo podrywa moją siostrę, ale on się jej nie podoba. Kiedy zakłada swoje kąpielówki, widać wylewające się z nich fałdy tłuszczu.

Na basenie łamiemy wszelkie zakazy. Nie wolno skakać na główkę — my skaczemy. Nie wolno przytrzymywać nikomu głowy pod wodą — my to robimy. Nie wolno biegać, skakać na bombę, bić ani popychać innych — dlaczegóż by nie. Cały czas przyglądam się Carlowi i jego młodszemu bratu Gianniemu.

Carlo znajduje dziewczynę — chyba najbrzydszą, jaką w ogóle w życiu widziałem. Ma ogromną twarz i końską szczękę, do której przykleiło się z pół obiadu. Nie ma mowy, żeby Carlo mógł się

nią interesować w innym celu niż seks. Rozmawia z nią z przejęciem, jedną rękę trzyma za nią, przy obręczy basenu, druga przyciska dziewczynę do obręczy. Bóg raczy wiedzieć, co do niej mówi, ale dziewczyna chichocze. Gdy się jej dokładniej przyglądam, widzę, że nie jest po prostu brzydka, tylko upośledzona. Ma około czternastu lat i z pewnością chodzi do szkoły specjalnej.

Kilka metrów dalej Gianni robi to samo z koleżanką tej dziewczyny. Ta jest może ładniejsza, ale już na pierwszy rzut oka widać, że też chodzi do szkoły specjalnej. Dziewczyna Gianniego się denerwuje. Nie patrzy na niego i ciągle go odpycha, ale on znów ją łapie. Jest władczy i stanowczy, jednak ona nie wkłada zbyt wielkich starań w to, żeby mu się oprzeć. Kiedy po chwili na nich patrzę, Gianni obejmuje ją nogami pod wodą. Po chwili całą ją obmacuje.

Wychodzimy wymoczeni, z pomarszczoną skórą na palcach i rozczochranymi włosami. Antonio i ja idziemy na parking, żeby poczekać na resztę. Parking jest poniżej drogi; w rogu stoi mały, kwadratowy budynek pompowni. Widzimy starszych kolegów zmierzających w tamtym kierunku, więc idziemy za nimi. Ustawiają się w kolejce. Widzimy, że się kłóć. Kiedy podchodzimy bliżej, słyszymy, o co idzie kłótnia. Każdy chce być następny. Następny do czego? Obchodzimy pompownię, żeby zobaczyć, co się dzieje. Droga jest wysoko nad nami. W tym miejscu murek oporowy jest pęknięty. Wyrastają z niego chwasty. Z pobocza drogi ludzie pozrzucali tu wózki zakupowe — ich metalowe szkielety walają się teraz naokoło. A pomiędzy pompownią a wysoką ścianą rozgrywa się walka zapaśnicza.

Przyglądam się. Carlo walczy z tą dziewczyną o końskiej szczęce. Nie, nie walczy. Pieprzy ją! Trzyma jej podniesioną

nogę i gdy stoi tak oparta o ścianę, on uderza w nią rytmicznie swoim ciałem. Dziewczyny prawie nie widzę, bo inny koleś zajął się jej górą. Kończy obściskiwać końską twarz i jego ręce są już na jej cycach. Wtedy Carlo kończy to, co robił, i inny koleś podsuwa się, żeby teraz pieprzyć dziewczynę, a jego poprzednie miejsce zajmuje gość z przodu kolejki.

Ta ładniejsza dziewczyna jest parę metrów dalej, uniesiona na ścianie i obrabiana przez dwóch następnych koleśków. Widzę jej twarz. Jest bez wyrazu. Pusta. Nie protestuje i nie bawi jej to. Jej głowa kiwa się lekko w rytm tego, jak poruszają się chłopaki. Nie wydaje mi się, żeby naprawdę tam była. Może patrzy na siebie z jakiegoś wysokiego drzewa. A więc wszyscy to robią?

W każdej kolejce stoi około dziesięciu koleśków, więc dziewczyny będą dosyć zajęte. Przyglądamy się jakiś czas, zafascynowani. Potem odchodzimy na papierosa i czekamy na starszych chłopaków. Jest mi smutno. Nie wiem dlaczego.

W końcu wszyscy się pojawiają. Chłopaki idą przodem, śmiejąc się, rozmawiając i co jakiś czas podskakując. Dziewczyny wloką się z tyłu, obciążając spódnice. Nikt do nich nie mówi i one też ze sobą nie rozmawiają. Idziemy po paczkę chipsów. Widzę, jak dziewczyny odchodzą w kierunku nędznej dzielnicy pełnej starych materaców na trawnikach i spalonych samochodów. Nikt się z nimi nie żegna.

W szkole dziwnie zawstydzony nauczyciel biologii prowadzi z nami lekcje wychowania seksualnego. Pokazuje nam schematy członków i używa takich słów jak vagina i penis. Mówi też coś o relacjach. Wiemy, że to wszystko jest o pieprzeniu. Ale nie możemy dopasować tego języka, schematów ani tego o relacjach do niczego, co sami robimy albo co widzieliśmy na basenie.

Rozdział dziewiąty

Odwiedzam Allbutów w ich nowym domu w Redditch. Jak zwykle ciepło mnie witają, a potem pokazują mi, co jest u nich za domem. Drzewa. Las poprzecinany strumykami. Moje doświadczenie z drzewami ograniczało się w większości do jabłoni i wielkich kasztanowców przy polu do gry w krykieta, ale te drzewa są inne.

Jill i Brian przechodzą ze mną przez ogrodzenie i wszyscy spacerujemy po lesie. Pnie drzew są grube, ale niewysokie, i jak włosy wyrastają z nich strzępiaste, rozwichrzone odrosty. Brian tłumaczy, że są to wierzby, które zostały ogłowione. To oznacza, że ktoś je przyciął, więc drzewa są niewysokie, chociaż bardzo stare. Pod stopami chrzęszczą suche, pozwijane liście. Lubię odgłos, który wydają.

Chrzęszczę tak przez jakiś czas, przyglądając się drzewom, wspinając się na dziwne kołyski, które tworzą ich szerokie pnie, i brzdąkając na małych, sprężystych gałązkach. Jestem tak zaabsorbowany tym nowym miejscem, że ledwie zauważam odejście Allbutów, którzy zostawiają mnie, bym sam mógł się tutaj pobawić.

Przez cały weekend nie zapalam ani jednego papierosa. Prawie cały czas przesiaduję w lesie, robiąc nory w grubym leśnym poszyciu albo puszczając po rzeczce małe statki z patyków. Niedzielny poranek jest spokojny, w przeciwieństwie do tej pubowo—kościelnej katastrofy panującej zwykle przy Reynolds Street 89. Jill słucha *Rodziny Archerów*, podczas gdy Brian i ja spacerujemy za domem. Rozmawiamy tak jak kiedyś. Dyskutujemy. Początkowo idzie mi to trochę opornie, ale później zaczynam sobie przypominać, jak to się robi.

Jest jasny, rzeźki dzień, słońce ostro świeci. Widzę swój oddech. Idziemy przez las, a później na leżące za nim pola. Jedno z nich jest zaorane. Światło skacze po grzbietach czerwono—nobrazowych bruzd, co sprawia wrażenie, jakby w glebie były drobinki złota. Dostrzegam zająca. Szybko i radośnie przebiega przez błyszczącą, świeżo przewróconą ziemię. Jestem niemal obezwładniony pięknem tej sceny. Kiedy zając znika, wyglądam go, bo wpatrywanie się w miejsce, gdzie pobiegł, przynosi mi ogromną radość. Nigdy nie zapomnę tego piękna.

Brian mi się przygląda. Chciałbym, żeby mi wytłumaczył, jak to się dzieje, że zwierzę na polu może doprowadzić do łez.

— Jesteś artystą, Mark — odpowiada.

Niemal o tym zapomniałem. Prawie zapomniałem o malowaniu, rysowaniu i tych wszystkich rzeczach, które uwielbiałem robić. Zostały wyciśnięte z mojego życia jak z tubki. Do tego potrzebna jest spokojna, cicha przestrzeń, a ja nie mam już do takiej dostępu. Mój świat w całości jest wypełniony kłopotami.

Policja ciągle daje mi ostrzeżenia: z powodu kradzieży, prowokowania bójek z kumplami w centrach handlowych, awantur,

łażenia po czyichś dachach. Kary w domu są cięższe. Następnym razem, kiedy przyłapują mnie na kradzieży, nie chce mi się wracać do domu i słuchać tych krzyków. Zamiast tego idę do squatu Petea.

Nie ma go tam; nie znam też nikogo spośród ludzi, których tam spotykam. Są dorośli, ale wpuszczają mnie i czekam cierpliwie na Petea. Słuchają punkowej muzyki. Pałają. Siedzą na krzesłach albo kucają na podłodze i czuć między nimi atmosferę wyczekiwania. Podają sobie wkoło urwany kawałek folii kuchennej, a na niej brązową kulkę. Osoba siedząca w kółku obok ciebie w jednej ręce trzyma folię, a w drugiej zapalniczkę — zapala ogień pod folią i czeka, aż brązowa kulka zacznie dymić, a ty wciągasz ten dym przez rurkę.

Siedzę i czekam na Pete' a, ale tak się składa, że jestem częścią kółka. Więc kiedy kolejka dochodzi do mnie i facet po mojej prawej stronie trzyma folię i zapalniczkę, ja naśladuję wszystkich i wciągam.

Wciągam, a chwilę później coś bardzo, bardzo ciepłego wypełnia moje ciało. To coś niczym płyn przenika do moich palców u stóp i dłoni. Wciągam jeszcze raz i to dochodzi do mojej głowy — zaczynam zdawać sobie sprawę z wielkiej dobroci, która mnie otacza i sprawia, że wszystko jest w porządku. Wciągam jeszcze trochę i nie dręczą mnie już żadne troski. Moje obawy ulatują. Nic więcej nie ma znaczenia. Po prostu wszystko ze mnie spływa. To jakby w zimowy dzień nałożyć na siebie sześć par rękawiczek — rękawiczek, które idealnie przylegają do mojego mózgu i bezpiecznie trzymają w nim w cieple wszystkie moje myśli.

Brązowa kulka trafia do mnie aż trzy razy. Potem idę do pokoju Petea. Kładę się na podłodze, na jego materacu, pod

szarym, gryzącym kocem. Żarówka przykryta jest starą puszką, podziurawioną, żeby przepuszczała trochę światła. Leżę tam, przyglądając się jej przez całą noc i wymiotując. To najprzyjemniejsze rzyganie, jakie mi się przytrafiło, bo bezbolesne.

Kiedy znacznie później Pete mnie tam znajduje, jest wściekły na swoich kumpli. Słyszę, jak krzyczy. Nie wiem dlaczego. Nie obchodzi mnie to. Tamta brązowa kulka przekonała mnie, że wszystko, wszystko będzie dobrze.

Następnego dnia dziwnie się czuję. Jestem śpiący, otepiały, ale ciepło ostatniej nocy ciągle we mnie tkwi. Idę do podziemnego centrum handlowego i kręcę się tam trochę. Jest tam taki jeden mój wujek. Mówi, że całą noc wszyscy mnie szukali, łącznie z policją. Ciągłe nieswojo się czuję, ale wlokę się na posterunek. Nie jestem tu obcy. Zwykle zawożą mnie prosto do domu, jednak tym razem odprowadzają mnie do celi w areszcie. Zamykają za mną drzwi. Nie podoba mi się to. Niepokoi mnie dźwięk kluczy. Bez przerwy mam kłopoty, ale nigdy dotąd mnie tu nie zamknęli.

Nie ma gdzie usiąść. Pomieszczenie jest puste. Wysoko nad głową grube bloki szkła wpuszczają nieco światła. Ściany mają kolor nikotyny. Powodują, że chce mi się palić. Opadam ciężko na podłogę i czekam.

Odbiera mnie mama. Nie złości się. Jest bardzo blada i wygląda okropnie. Jedziemy do domu i nie wrzeszczy na mnie ani mnie nie bije, ale sterylną, martwą atmosferę tego miejsca i tak można odbierać jako karę.

W telewizji oglądam Michaela Jacksona i jego kosmiczny moonwalk. Wszyscy to oglądają. Wszyscy też chcą tak tańczyć. Wieczorami na szkolnym podwórku próbujemy powtarzać te

kroki. Oglądamy też *Top of the Pops* i Jeffreya Daniela w *Soul Train*; dla mnie i moich kumpli jest oczywiste, że tam się coś *dzieje.*, i chcemy być tego częścią. Ta muzyka to hip—hop, a sposób poruszania się to breakdance, i wszystko to przebyło drogę z gett Ameryki aż na Reynolds Street.

Niektóre dzieciaki, na przykład mój starszy brat Shane, wolą The Ramones. Ale nasza niewielka grupka Anglików i Włochów zaczyna się interesować breakdance em. Uczymy się kroków z telewizji i z filmów, takich jak *Break Dance* czy *Beat Street*, a potem próbujemy je powtarzać. Początkowo idzie nam topornie. Wydaje się, że poza najprostszymi ruchami rąk nigdy niczego się nie nauczymy. Niektóre ruchy wyglądają na niewykonalne: obrót najednym ramieniu albo chodzenie do tyłu, jak krab, i obracanie się na głowie. Ale nie poddajemy się i z czasem udaje się nam wykonać sporo innych ruchów. Ćwiczymy godzinami, każdego dnia, całymi tygodniami. Zainteresowanie przeradza się w obsesję. Kiedy nogi i ramiona zaczynają służyć naszym poleceniom, nasze wymagania rosną. Nie pokazujemy ruchu na ulicy, dopóki nie jest opanowany do perfekcji.

Zeby móc tańczyć breakdance, trzeba być niezwykle silnym i bardzo giętkim, bo każdy ruch trzeba uważnie kontrolować. Górna połowa ciała musi być bardzo mocna, bo ramiona często unoszą całe ciało. Uczę się latać.

W Ameryce breaking rozwinął się z wojen między gangami: goście o najlepszych muskułach zostawali najlepszymi break—danceami. Tu, w Anglii, trzyma nas to z dala od kłopotów. Jestem tak skupiony na breakowaniu ze swoją paczką, że nie mam już czasu na kradzieże czy wszczynanie awantur w centrach handlowych. Zaczynamy nosić ze sobą własne kawałki

wykładziny, zwinięte w rulon pod pachą. Możemy się zatrzymać gdziekolwiek — na chodniku, na szkolnym podwórku, w centrum handlowym. Wykładzina ląduje na ziemi, rozlega się dźwięk ghettoastera [ogromny magnetofon kasetowy, który ma około półtora metra długości — *przyt. tłum.*] i zaczynamy. Sporo ludzi nas ogląda. Wielu nas podziwia. I są wśród nich dziewczyny. Im trudniejszy ruch, tym więcej czasu poświęcamy na ćwiczenia. Uczymy się młynków, z ramionami na ziemi, wyprostowanym tułowiem i nogami w górze. Doskonaliśmy trzyosobowy helikopter. Skaczemy, kręcimy się, jesteśmy w nieustannym ruchu; czasami, gdy ogląda nas pełno dzieciaków, muzyka głośno pulsuje i wydaje mi się, że moje ciało nic nie waży, czuję się tak, jakbym zostawiał Kidderminster za sobą. Jestem na ulicach Ameryki, w filmie breakdanceowym, i właśnie tam chcę być.

Bardzo ważne są ciuchy: odpowiedni dres i najlepsze trampki mówią wszystko. Jestem zatopiony w hip—hopie, a breakdance daje mi najsilniejszą świadomość tego, kim jestem, silniejszą niż kradzieże, pijaństwa czy nawet pieprzenie.

Rozdział dziesiąty

Mam trzynaście lat, gdy któregoś dnia Shane i ja wracamy do domu, pukamy do drzwi, a tu zbliża się jakiś dziwny cień. Nie jest to mama ani babcia. Ojciec jest w okolicy, widzieliśmy wcześniej, jak przejeżdżał. Ale ten cień, to nie jest też on, bo od czasu ostatniej strasznej awantury nie mieszka w domu. Od razu wiem, że coś się stało.

Drzwi otwierają się gwałtownie. Staje w nich długonosa Maureen z chudymi policzkami, koleżanka mamy ze świadków Jehowy, znienawidzona ofiarodawczyni NAJWIĘKSZEGO MIESZADŁA ŚWIATA! Wpatruje się w nas nieprzyjemnie. Nie ma wymiany powitań.

— Gdzie mama? — pyta Shane.

Maureen wstrzymuje oddech. Widzę, jak jej twarz oblewa się rumieńcem.

— Jest w szpitalu.

Stoimy na progu, gapiąc się na nią i próbując zajrzeć jej przez ramię do przedpokoju w poszukiwaniu mamy.

— Zażyła tabletki. Właściwie to przedawkowała tabletki nasenne.

Więc mama nie żyje. Miała żyć wiecznie w niebie razem ze zwierzętami, a zamiast tego umarła, i podejrzewam, że zabiła ją ta złodziejka ciał, Maureen.

— Nie umarła — mówi Maureen po długiej przerwie, bo nie chce się spieszyć z dobrymi wiadomościami. — Ale jest w szpitalu, a wy macie spakować swoje rzeczy i przenieść się do mnie.

Jeszcze raz powtarzam sobie w głowie najnowsze wiadomości. Mama jest w szpitalu. Przedawkowała tabletki nasenne. Słowa nic nie znaczą.

— Próbowwała się zabić — podkreśla Maureen.

Wchodzimy do domu i widzimy, że jest tam ojciec i Kelly, i Bethany. Bethany płacze. Taty nie było w domu od ostatniej wielkiej awantury, ale nie okazujemy zdziwienia na jego widok, bo nic nas już nie jest w stanie zdziwić. Nie wie, co ze sobą zrobić. Wciąż się podnosi i siada.

Kelly tłumaczy, że babcia wiedziała, iż mama była u lekarza po receptę na pigułki nasenne, i zaniepokoiła się, kiedy dzwoniła do niej rano, a ta nie odbierała. Więc od razu przyjechała i znalazła ją zimną w łóżku. Wezwała karetkę, która zabrała mamę na sygnale. Słucham tego, co mówi Kelly, i nic nie czuję. Jestem zimny i metaliczny, jak prawdziwy robot, a nie jak robot, którego udaję, kiedy tańczę breakdance.

Kelly uspokaja nas, że z mamą wszystko będzie dobrze: — Płuczą jej teraz żołądek.

— Ja pierdooolę! — mówimy niemal jednocześnie.

Maureen daje do zrozumienia, że próbując się zabić, mama popełniła bardzo poważny grzech. Świadkowie Jehowy, nawet jeśli ciągle przewidują koniec, nie mogą go sami spowodować. Bóg rozliczy się z niezbawionymi w czasie, który sam uzna za

odpowiedni. Chociaż nam się wydaje, że Maureen mogłaby to zrobić w Jego imieniu. Od kiedy nawróciła mamę, ma nad nią władzę, jak jakaś zła macocha.

Tato wybawia nas od Maureen, zapewniając ją, że sam może się nami zaopiekować. Ona śle mu przesywające spojrzenie, mówiące, że to jego wina, że mama przedawkowała, a potem posyła nam takie samo świdrujące spojrzenie, co oznacza, że to jest również nasza wina. Zabiera torebkę i wychodzi.

Po prostu się odpięrdol, stara wiedźmo, myślę sobie. Bo to mój tato jest tutaj szefem, a nie ty.

W domu jest cicho. Nie zastanawiam się nad tym, co się stało ani dlaczego, ani jakie mogą być tego konsekwencje. W ogóle niewiele myślę o czymkolwiek. Zastanawiam się tylko, czy w tych okolicznościach byłoby w porządku, gdybym się przebrał w strój do breakdance a i wyszedł stąd ze swoim kawałkiem wykładziny i magnetofonem. Reszta rodziny siedzi i nawet nic nie mówi. Shane jest na górze i słucha muzyki. Przebieram się więc, ale kiedy jestem na dworze, od razu się orientuję, że wszyscy wiedzą już, co się u nas wydarzyło. Dorośli na ulicy pozdrawiają mnie, a później odwracają wzrok. Dzieciaki się przyglądają. Kilkoro zadaje jakieś pytania, ale je ignoruję. Taniec też nie idzie mi dzisiaj dobrze. Moje ciało nie ma energii. Moje ruchy nie są płynne. Próbuję trochę robotyku, ale wiem, że nie wyglądam jak robot, co jest dziwne, bo czuję się robotem bardziej niż kiedykolwiek.

Następnego dnia mama wraca. Wygląda blado. Niewiele mówi. Niczego nie tłumaczy, tylko od razu idzie do łóżka. Włączamy telewizor. Bethany idzie na górę i kładzie się przy mamie. Potem ojciec zanoszącej filiżankę herbaty i dużo rozmawiają, ale po raz pierwszy ich głosy są ciche. Zjawia się babcia, kręci głową i mówi, że mama

została doprowadzona do rozpaczy. Ale wszyscy znamy prawdę. Wiedzieliśmy to już od dawna, zorientowaliśmy się po jej dzikich wrzaskach, płaczach i ciągłych ostrzeżeniach, że jej życie dobiega końca. No, a teraz pewnie wie o tym również cała Reynolds Street, a może nawet całe Kidderminster. Mama jest szalona.

Mam teraz trzynaście lat, we wrześniu idę do gimnazjum. Ale wcześniej są wakacje i mam je spędzić z ojcem, żeby mama mogła odpocząć. Ojciec ma pracować w elektrowni Blythe w pobliżu Newcastle. Mamy mieszkać razem w przyczepie kempingowej nad morzem.

Pierwszego dnia ojciec, wychodząc do pracy, zostawia mi funta na mleko i płatki. Leżę w łóżku i zwijam skręta, używając do tego jego papierków lukrecjowych. Włączam radio, leżę na wznak i palę, słuchając miłosnych opowiadań Simona Batesa i zaśmiewając się, bo głosy facetów są takie miękkie i pedalskie. Kiedy wychodzę, niedaleko lasu widzę jakichś kolesiów i dołączam do nich. Zbierają drewno, żeby rozpalić ognisko na plaży. Pomysł jest w porządku. Przez następny miesiąc palimy z tymi gośćmi ogniska, kąpiemy się przynajmniej trzy razy dziennie, łowimy ryby i je smażyjemy, upijamy się, dużo palimy i dupczymy dziewczyny na wydmach. To jest wspaniałe życie.

Najbardziej zaskakuje mnie ojciec. Każdego ranka wychodzi i zostawia mi funta. Każdego wieczoru wraca z pasztetem i chipsami, i to jest to, co jemy. Nasza dieta nigdy się nie zmienia. Jego picie ogranicza się do piwa z puszek — i tata się nie upija. Mamy po jednej filiżance i po jednym talerzu, płuczemy je i zostawiamy na suszarce. Mamy jedną ścierkę, która wytrzyma całe lato bez prania, ale nie przeszkadza nam to. To takie proste. Kocham takie życie i kocham swojego tatę.

Ale wszystkie dobre rzeczy muszą się kiedyś skończyć, więc *przyjeżdża*, mama z sześciolatnią Bethany na holu. Od chwili gdy rodzice znów są razem, powietrze w przyczepie kempingowej staje się sterylne. Ojciec ciągle tkwi przy Bethany, i to jest wkurzające, ale obecność mamy to prawdziwa katastrofa. Nienawidzimy jej. Gniewamy się na nią. I tato mówi tak: — Dobrze nam było razem, prawda, synu, dopóki ona nie przyjechała?

We wrześniu zmienia się wiele rzeczy. Ojciec dostaje pracę na platformie wiertniczej na Morzu Północnym. Dwa tygodnie pracy — dwa tygodnie wolnego, a płaca jest niewiarygodna. Po raz pierwszy w życiu mamy jakieś prawdziwe pieniądze. Zaczynam liceum, a na ferie po pierwszym półroczu jadę do ciotki Tanyi. Ona i wujek Steve przeprowadzili się w rejon Lake District kilka lat temu, kiedy w Kidderminster zamknięto jedną z fabryk dywanów. Kendal jest małym, nudnym miasteczkiem i nie ma tu nikogo, z kim mógłbym pobreakować. To właśnie mówię mamie, gdy pyta mnie, co myślę o tym miejscu, tak jakby moja odpowiedź naprawdę się liczyła.

Kilka dni później wracam do domu i widzę przed nim tabliczkę: Na sprzedaż.

Jestem zupełnie, ale to zupełnie zaszokowany. Nie chcę jechać do Kendal. Nikt nie chce tam jechać. Kelly ma osiemnaście lat i od kiedy zaszła w ciążę i mama wykopała ją z domu, mieszka ze swoim chłopakiem, więc ona na pewno nie pojedzie. Shane niedługo skończy szkołę i zacznie pracować dla firmy ustawiającej rusztowania, więc też nie ma mowy, żeby wyjechał; oświadcza, że zamieszka teraz u babci. Ale moje powody, żeby nie jechać — na przykład to, że mam tu kolegów — się nie liczą.

Kilka osób przychodzi obejrzeć dom i sprzedajemy go niemal od ręki. A potem, kiedy ojciec jest na platformie wiertniczej na Morzu Północnym, przeprowadzamy się.

Nasze rzeczy zostały zapakowane na ciężarówkę; Bethany i ja wchodzimy do przyczepy. Ja siadam w fotelu z odchylanym oparciem, które się nie odchyła, a Bethany na sofie. Sielskie obrazki z jadalni lądują u Bethany na kolanach, ja trzymam duże lustro. Patrzą na Reynolds Street i czerwone domy ciągnące się po obu stronach aż do momentu, gdy znikają za zakrętem. Kelly i Shane mówią nam „do widzenia” i ich twarze są ostatnią rzeczą, jaką widzę przed zamknięciem drzwi ciężarówki. Siedzimy w ciemnościach i na zewnątrz słyszemy pożegnania. Potem ciężarówka rusza i tłuczemy się po ciemku w kierunku, który może być jakikolwiek, ale ja wiem, że jedziemy na północ.

Dojeżdżamy. Ktoś otwiera drzwi. Teraz patrzą na inną ulicę tarasowych domów — wszystko jest szare. Małe kamienne domy są szare. Padający deszcz jest szary. W oddali widzę coś zielonego. To wzgórze, a na nim znajduje się szary zamek, a jeszcze wyżej — szare niebo. Nie chcę wychodzić z ciężarówki, ale gość zaczął już wyciągać rzeczy, a na zewnątrz słychać głos cioci Tanyi. Mama krząta się wokół. Bethany pomaga, jak tylko może.

Idę sobie zapalić w deszczu. Przechodzę z jednego końca Kendal na drugi. Zajmuje mi to około piętnastu minut. Ulice są ciche. Nigdzie nie ma dzieciaków. Nigdzie nie widzę żadnego zadaszonego centrum handlowego, gdzie można by pobreakować, nie moknąc na deszczu. Wszyscy, których mijam, są biali. Nie ma podziemnych przejść ani kolejowych mostów, ani kanałów, ani żadnych takich miejsc, po których zwykle wałęsałem się

z kumplami. I nie ma żadnych kumpli. Kendal to inny świat. Martwy świat. Albo może to ja jestem martwy.

W milczeniu spaceruję, a później w milczeniu wchodzę do nowego domu.

Idę do swojego nowego pokoju i tygodniami prawie z niego nie wychodzę poza odwiedzinami u ciotki Tanyi. Jej młodsze dzieci skaczą wokoło, ciocia pozwala mi palić i jest tu trochę życia. Dzwonię do Shanea, ale nie wiem, co powiedzieć. Pewnie nigdy nie rozmawialiśmy zbyt wiele, ale kiedy mieszkaliśmy w jednym domu, nie zauważaliśmy tego. Dzwonię do Daniela. Opowiada kilka historii. Sam fakt, że go słyszę, budzi we mnie tęsknotę za Kidderminster.

Moja szkoła, leżąca na krańcu miasta, jest nowoczesna i kancka. Pierwszego dnia idę tam chory ze zdenerwowania. Prowadzą mnie do klasy. Pachnie tu tak samo jak w mojej dawnej szkole: mieszaniną kredy, gipsu, środka dezynfekującego i dzieci, tyle że w szkole w Kendal czuć też deszczem. Zadałem sobie wiele trudu, żeby dobrze wyglądać. Mam na sobie ciemnoszare spodnie z czerwonymi bawełnianymi lamówkami przy kieszeniach. Spodnie mają delikatny połysk, co komuś, kto się w miarę orientuje w tych sprawach, powinno powiedzieć, że poza szkołą jestem breakdancerem. Rzecz jasna, dzieciaki z Kendal zauważają spodnie, ale nie odbierają właściwych sygnałów, bo breakdance nie dotarł jeszcze do tej krainy głupków.

— To pewnie pedał — komentuje cicho jakiś chłopak, gdy wychodzę na środek klasy po tym, jak nauczyciel mnie wita. Ku zdumieniu belfra zatrzymuję się w połowie drogi. Jego słowa powitania cichną, a oczy otwierają się szeroko, gdy odwracam się na pięcie. Podchodzę do dzieciaka z niewyparzoną gębą

i wymierzam mu cios pięścią. Klasa zamiera. Nawet nauczyciel nie wie, co zrobić. Potem wyrzuca mnie z klasy. A przecież nawet jeszcze nie usiadłem.

Po tym wielkim wejściu moja szkolna kariera przebiega spokojnie. Całe moje życie jest spokojne. Jest tak spokojne, że zastanawiam się czasem, czy przypadkiem naprawdę nie jestem martwy. Stopniowo poznaję inne dzieciaki i razem wachamy klej nad rzeką. Włóczę się, wacham wodę, potem znikam w jej nurcie i jestem rzeką, a później jestem ziemią. To fajne doświadczenie i jest więcej takich, ale nic nie może mnie podnieść na duchu. Poza wiadomością, że ojciec przyjeżdża na święta wielkanocne i wszyscy jedziemy na dwa tygodnie do Kidderminster. Żyję dla tych kilkunastu dni; pytam ciągle mamę, czy nie mógłbym tam zostać i zamieszkać z babcią. Mówi, że nie.

Kiedy zbliżamy się do Kidderminster, czuję dawne zapachy i widzę stary krajobraz, i po raz pierwszy od kilku miesięcy się uśmiecham. Nic się nie zmieniło. Moi kumple są tacy sami, taniec jest taki sam i od razu wracam do swoich starych zajęć. Przeżywam te dwa tygodnie w rytmie breakdancea, próbując upchnąć cały rok wjedne ferie.

Plączę się po centrum miasta z Danem i kilkoma innymi, kiedy jeden chłopak zaczyna mówić o prostytutkach w Balsall Heath. Za dziesięć funtów możesz podymać każdą kobietkę, którą sobie wybierzesz: wie, bo już to robił. Wszyscy jesteśmy zafascynowani, ale jeden koleś, który już pracuje, jest bardziej niż zafascynowany — jest opętany. Zadaje tyle pytań, że w końcu decydujemy się tam pójść. To będzie ten rodzaj doświadczenia, którego nie można przeżyć w Kendal. W samochodzie po drodze do Birmingham trzęsący się z podniecenia gość, który już

zarabia, wyskakuje ze swojej tygodniówki. Daje każdemu z nas dziesięć.

Docieramy na ulicę, przy której rozebrane prostytutki siedzą w oknach, oświetlone czerwonym światłem. Wyglądają surrealistycznie. Niektóre siedzą w zielonej poświacie i te wyglądają jak kosmitki. Faceci, którzy prawdopodobnie nie myją się zbyt często, włączają się tam i z powrotem; inni wyglądają czysto, ale podejrzanie. Samochody przemykają szybko, zawracają i przejeżdżają z powrotem. Miejscowi przechodzą chodnikiem, nie rozglądając się na boki, z wyrazem bolesnej rezygnacji na twarzach.

Nasza paczka jest podekscytowana różnorodnością kobiet, ich rozmiarami, kształtami, kolorami i wiekiem, oraz sposobem, w jaki nas zachęcają. Jesteśmy jak dzieciaki kupujące cukierki, ale staramy się brzmieć po męsku.

— Ja pierdolę, patrz tam!

— Noooo!

— O, w mordęjebana!

Niektóre prostytutki są młode i piękne. Kilka z nich ma pogardliwy wyraz twarzy, większość, gdy przechodzimy, staje w uwodzicielskich pozach. Są wśród nich odrażające staruchy. Muszą mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Mają na sobie jakieś sieci rybackie, a szminka rozpływa się daleko poza ich usta i zakrywa niemal połowę srogich, zwietrzałych twarzy. Siedzą z rozłożonymi nogami i palą. Cała ulica jest jak cyrkowy pokaz wariatów.

Koleś, który był tutaj wcześniej, objaśnia nam ze znajomością rzeczy: — Pytacie ich, za ile. To właśnie macie zrobić.

Pokazuje nam jak. Mamy spojrzeć prosto na którąś z nich i skinać. Kobiety uśmiechają się kusząco i pokazują dziesięć palców albo mniej.

W końcu wybieramy jedną. Jest dojrzałą kobietą koło trzydziestki, zaokrągloną i piękną, podoba nam się też sposób, w jaki na nas patrzy. Jej uśmiech wiele obiecuje. Jest atrakcyjna i doświadczona i pokaże nam, co znaczy dobra zabawa, to pewnie.

Wchodzimy jeden po drugim. Gość, który dał nam pieniądze, jest pierwszy w kolejce. Znika w wejściu, a kobieta zaciąga zasłonki. Czekaając, palimy kanabis [rodzaj narkotyku na bazie konopii indyjskich — *przyp. tłum.*]. Kilka minut później wraca, wydając z siebie męskie dźwięki pełne aprobaty. Ręka mu się trzęsie, kiedy bierze szluga.

Następny jest Daniel. Wychodzi uśmiechnięty. Teraz moja kolej.

Denerwuję się. Idąc, odwracam wzrok od ściany, z której odłazi tapeta, i od obklejonej taśmą skrzynki na listy. Kiedy wchodzę do środka, ona już czeka. Rozglądam się szybko po pokoju. Zasłony są zaciągnięte. Stoję przy krześle. Poplamione ściany są gołe. W czerwonym świetle z papierosa prostytutki wolno unosi się dym. Ułożyła się na łóżku, opierając się na łokciach. Kolana ma złączone. I te drzwi. Przy łóżku są otwarte drzwi. Od razu włącza mi się alarm. Co jest za nimi? Kto jest za nimi?

Patrzę na prostytutkę. Ona patrzy na mnie. Rozchyła nogi i ukazuje przestrzeń ciemnych włosów. Boję się. Nie jestem chojrakiem. Jestem tylko dzieciakiem, a ta kobieta jest dojrzała. Jest większa ode mnie, wprost przeszywa mnie wzrokiem i na pewno nie ma zamiaru zgasić papierosa, kiedy przejdziemy do rzeczy.

Każe mi się rozebrać. Czuję się nagle bardzo onieśmielony, zaczynam od kurtki. Kiwa ręką, żebym przestał, cienka smużka dymu ulatuje w powietrze w ślad za jej palcami.

— Tylko spodnie — mówi.

Tylko spodnie? Z powrotem naciągam kurtkę i zdejmuję spodnie; teraz naprawdę czuję się głupio. A właściwie absurdalnie — ze swoimi chudymi chłopięcymi nogami pod dużą, grubą kurtką. Podniecony? Seks to ostatnia rzecz, jaką mam teraz w głowie. Nie mogę tego zrobić z tą kobietą, w tym miejscu, wiedząc, że za tymi drzwiami może być ktokolwiek, kto mi się przygląda albo nawet szykuje się do zadżgania mnie. To jest ciemne, nieprzyjazne otoczenie, i chcę się stąd wydostać. Wyciągam dziesiątkę z kieszeni i widzę błysk w jej oczach.

— Słuchaj, dobra — mówię — po prostu, yyy, weź to, OK?

Uśmiecha się, ale to nie jest ten sam uśmiech, który miała w oknie, ten jest cwany, niemiły. Przyjmuje banknot. Zerkam na otwarte drzwi. Wydaje mi się, że dostrzegam za nimi bardzo delikatny ruch. Zakładam spodnie najszybciej, jak mogę.

— No to... cześć — mówię do prostytutki.

Ignoruje mnie. Przechodzi mi przez myśl, że pozostali zrobili to samo. Ta kurwa siedzi sobie na łóżku i pali, podczas gdy my wchodzimy jeden po drugim i każdy daje jej dziesiątkę zupełnie za nic. Ta myśl sprawia, że wychodzę uśmiechnięty. Zapalam papierosa, a do środka wchodzi następny koleś. Całą drogę do domu przechwalamy się, co robiliśmy, jak ona jęczała i jak wkładaliśmy jej palce. Wąchamy sobie nawzajem te palce. Nie mają absolutnie żadnego zapachu.

Kilka dni później wracamy do Kendal. Powrót jest okropny, gorszy niż pierwszy raz, bo teraz wiem, co tam na mnie czeka. Zupełnie nic.

Rozdział jedenasty

Kilka miesięcy później ojciec, jakiś bardzo zadowolony, wraca z platformy wiertniczej do domu. Chce nam coś oznajmić. Przeprowadzamy się.

Właśnie zacząłem uczyć breakdance'a w miejscowym ośrodku kultury. Mam już grupę znajomych. Mam dziewczynę. Wygrałem kilka bójek. Tak, w końcu zadomawiam się w Kendal. I teraz znów mamy wyjechać? Dokąd tym razem?

— Na farmę — mówi ojciec.

Na farmę? Nie chcemy się przeprowadzać na farmę, nie jesteśmy farmerami.

— Teraz jesteśmy.

Ale my pochodzimy z miasta, jesteśmy stąd. Już przeprowadzenie się do tego małego miasteczka było wystarczająco złym pomysłem. Czy on na pewno chce, żebyśmy mieszkali na wsi?

— Zawsze chciałem mieć farmę, a teraz stać mnie na to, żeby ją sobie kupić, więc znalazłem jedną, kupiłem i teraz się tam przeprowadzamy — mówi.

Ale ja nie chcę się tam przeprowadzać!

— Wyjeżdżamy. Prawie nie poczujesz różnicy, to tylko piętnaście kilometrów stąd.

Piętnaście kilometrów!

— Będziesz ciągle chodził do szkoły w Kendal — mówi. Myśli, że to mnie pocieszy.

Nie ma sensu się spierać. Nie ma też sensu, żeby mama się sprzeciwiała. Ojciec już postanowił. A tylko on może tu podejmować jakiegokolwiek decyzje. Nieprzerwanie gada o tej farmie, a kiedy skarżę się mamie, ona mówi do mnie po cichu: — Opętało go.

Sądziłem, że ojciec i ja zbliżyliśmy się do siebie, kiedy mieszkaliśmy latem w przyczepie. I jeśli szukał farmy z zamiarem kupna, to po tym lecie spodziewałbym się, że zabierze mnie ze sobą, bym ją wcześniej obejrzał. Albo przynajmniej mi o niej powie. Ale nie mieszkamy już w przyczepie, a on stał się tym samym ojcem, co dawniej.

No, więc pewnego dnia pakujemy się i ładujemy na furgonetkę, a kiedy po jakiejś półgodzinie zatrzymujemy się i otwieramy drzwi, pierwszą rzeczą, jaką widzimy, jest deszcz. Pada tak mocno, że poza niskimi chmurami i zieloną doliną trudno rozróżnić cokolwiek innego.

— Jest pięknie — mówi ojciec. — Dom jest z szesnastego wieku.

Patrzemy na piękny szesnastowieczny budynek farmy. Jest długi i podzielony na dwa domy. Ojciec nabył połowę i zamierza dokupić drugą, więc wkrótce wszystko to będzie nasze. Ściany są tak grube, że w środku cisza w pomieszczeniach jest naprawdę dojmująca. Podobnie jak cisza we mnie. W tym miejscu jest zupełnie pusto. Ja jestem zupełnie pusty. Za oknem

mojej sypialni na tyłach domu dostrzegam coś czerwonego, ale przemyka tak szybko, że zanim dobiegam do okna, już tego nie ma. Co to było?

Deszcz nieco ustaje i wychodzę na dwór. Oglądam stodoły i rozciągające się w oddali wrzosowiska, zielone od ciągłego deszczu. Dolina kończy się szarym niebem. A w pobliżu domu jest jeszcze więcej wody. Rzeka.

— Mamy jej ponad pięć kilometrów — mówi z dumą ojciec. — I to jedno z najlepszych łowisk słodkowodnych w Anglii. Tak mówią wszyscy w pubie.

Biorę papierosy i idę za dom, przechodzę pod mostem, wspinam się na wzgórze i nagle słyszę łoskot podobny do burzy, tak potężny, tak głośny, tak przerażający, że rzucam się na ziemię. I wtedy znów widzę czerwoną migawkę. To pociąg. Superek—spres. Ten most, pod którym przechodziłem, to wiadukt, a tory przechodzą tuż za domem. Idę dalej na wzgórze. Z oddali słychać jakiś warkot, ale to nie jest kolej. Gdy patrzę ze wzgórza na dolinę, jak na dłoni widzę farmę i dom, tatę chodzącego po podwórzu, stację kolejową, a za stacją autostradę M6, która wije się wzdłuż zbocza doliny jak wielki, szary wąż. Odległy warkot, który słychać, to tiry i samochody jadące na północ lub na południe, zmierzające dokądś w jakimś celu. Wielu ludziom obecność linii kolejowej i autostrady może w krajobrazie przeszkadzać. Dla mnie to one są krajobrazem. Bo wiedzą gdzieś indziej.

Wkrótce ojciec wyjeżdża z powrotem na swoją platformę wiertniczą. Rano chodzę przez wrzosowiska do szkoły, a gdy już tam dojdę, ciągle mam jakieś problemy. Bez przerwy jestem odsyłany do dyrektora. Któregoś dnia, siedząc przed jego gabinetem i czekając na burę, spotykam innego łobuza, czekają—

cego na to samo. To jedna z tych przyjaźni, które zaczynają się natychmiast i wiesz, że będą trwały długo.

Łan ma kruczoczarne włosy i zrosnięte brwi. Jest wysoki i gdyby nie jego zaokrąglone, dziecięce policzki, wyglądałby jak mężczyzna. Pod wieloma względami musi być mężczyzną, bo ma młodszego brata i młodszą siostrę, a jego ojciec zmarł. Matka jest beznadziejną, sikającą w łóżko alkoholiczką. Mieszkają w brudnym, zagraconym domu z plamami po piwie i papierosach na dywanie, Łan robi, co mu się podoba, bo nikt się nim specjalnie nie przejmuje, poza babcią, ale ta nie zawsze jest w domu.

Szybko zaczynamy razem wagarować. Nauczyciel bierze dziennik, my zerkamy na siebie i za chwilę biegniemy przez szkolne boisko. Nauczyciele stoją i patrzą, jak znikamy.

Chodzimy na pola albo nad rzekę, kładziemy się w wysokiej trawie i palimy, zazwyczaj papierosy, ale czasem też trawkę. I rozmawiamy. Rozmawiamy o wszystkim, co pewnego dnia zrobimy, o miejscach, do których pojedziemy. Dla mnie takim miejscem jest Londyn. Odkąd Jill Allbut mnie tam zabrała, zawsze chciałem do niego wrócić.

Rozmawiamy też o swoich ojcach. Chociaż mój rzadko bywa na farmie, to gdy się już pojawi, jest bardziej przerażający niż kiedyś. Strasznie pije i byle czym sprowokowany — albo w ogóle niczym niesprowokowany — posyła mi potężne, dorosłe ciosy, takie, których używa w pubie, gdy bije się o jakąś kobietę. A za każdym razem, kiedy jest zły, przypomina mi tym swoim syczącym, groźnym tonem, jak bardzo mnie nienawidzi.

Przy Bethany jest zupełnie inny. Ona jest słodkim, szczerym dzieckiem i kocha ojca, i jest oczywiste, że on kochają. Kupił jej

konia, którego trzyma w stajni przy drodze, i jeszcze dwa inne, trzymane na farmie. Im miłszy jest dla Bethany, tym gorszy jest dla mnie i dla mamy. Mam o to do Bethany ogromne pretensje. I chociaż Bethany jest grzeczną dziewczynką i chodzi na zebrania świadków Jehowy, to mam wrażenie, że mama też zaczęła mieć do niej żal. Potem, kiedy ojciec wyjeżdża, wszystko znowu jest w porządku i w trójkę udaje nam się utrzymać jakąś równowagę

Łan mówi, że oddałby wszystko, żeby mieć ojciec. Zmarł, kiedy Łan był mały. Ja mówię, że oddałbym wszystko, żeby go nie mieć. Łan przynajmniej we wspomnieniach ma ojca, którego może szanować. I może powiedzieć, że był dobry.

Ostatnio mama sama zaczęła trochę zarabiać. Odkąd kupili drugą część domu, wynajmuje ją latem wczasowiczom. Ludzie przyjeżdżający nad okoliczne jeziora zatrzymują się tutaj na jedną noc albo na dłużej. Dom ma wszystko, czego potrzeba, a dodatkowo mama zostawia jeszcze turystom produkty, by mogli sobie robić śniadania.

Za zarobione pieniądze kupiła sobie mały samochód, czerwone renault. Jeździ nim codziennie na stację obsługi przy autostradzie, gdzie dostała pracę w restauracji.

Ojciec ma dzisiaj wrócić, ale pierwsza rzecz, jaką widzę po powrocie ze szkoły do domu, to renault mamy. Stoi w tym samym miejscu, co zwykle, ale jest inne. Zniszczone. Są na nim ślady potężnych cięć, maska jest przesunięta, dach wpada niemal na siedzenia, po obu stronach zwisają wielkie kawały blachy, światła są wybite, wszędzie leżą odłamki roztrzaskanych szyb. Oglądam samochód, nie dowierając własnym oczom. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakiego rodzaju wypadek mógł spowodować takie zniszczenia.

W domu od razu rozpoznaję tę ciszę. Rozpoznaję ją od czasów Reynolds Street. W powietrzu czuć gniew, ból i przygnębienie. To znaczy, że ojciec wrócił.

Znajduję mamę. Ma czerwone oczy i wypieki na twarzy, trzęsie się jak galareta.

— Co się stało? — pytam. — Rozbiłaś samochód?

Potrząsa przecząco głową. — Twój ojciec to zrobił.

— On? Rozwalił samochód?

Przytakuje. Patrzę przez okno na zniszczoną renówkę.

— Siekiera — tłumaczy mama. — Cały samochód porąbał siekierą. Wszedł nawet na dach.

Potem zadaję pytanie, na które zawsze trudno jest udzielić odpowiedzi.

— Dlaczego?

Mama powstrzymuje płacz. — Z powodu mojej pracy.

— Na stacji przy autostradzie? — No tak, jasne, ojciec przyjechał do domu i dowiedział się o nowej pracy mamy.

— Nie podoba mu się, że tam pracuję.

— Dlaczego? Przecież pracowałeś w innych miejscach.

— Mówi, że tam pracuje pełno ludzi, z którymi on przesiaduje w pubie, i wszystko wie o tym miejscu. Mówi, że jestem dziwką tirowców. Chce, żebym się zwolniła.

Po czym następuje nowy wybuch płaczu. Zbyt wiele razy widziałem mamę płaczącą, żeby odczuwać współczucie. Ale jestem wstrząśnięty. Jej samochód został porąbany na kawałki przez szaleńca.

— Gdzie on teraz jest? — pytam nerwowo. — W pubie?

— W stajni, z Bethany.

Nic nie mówię.

— Kupiłam nowego konia. Palomino [koń złocistej lub kremowej maści, zazwyczaj krwi arabskiej, ze srebrzystymi ogonem i grzywą — *przyp. tłum.*]. Wszystkie dziewczynki chcą mieć palomino.

Brak mi słów.

Idę na spacer na wzgórzu. Dzień zbliża się ku końcowi. Na zachodzie, za wrzosowiskami, płonie niebo, a autostrada na wschodzie odbija jego czerwone światło. Asphalt wije się leniwie wzdłuż brzegu doliny jak długi, czerwony kot. Na nim odbywa się ledwie dostrzegalny ruch — wszystko tam zmierza dokądś, w jakimś celu. Myślę, że to najpiękniejsza droga, jaką kiedykolwiek widziałem.

Przechodzę przez podwórko, wolno mijam zmasakrowaną renówkę i wdycham spokojne nocne powietrze, gdy nagle słyszę krzyki dochodzące z domu. Znajduję mamę na podłodze w holu. Leży i wrzeszczy. Nie wiem, czy ojciec ją uderzył. Wydaje się oszołomiony. Stoi nad nią i jak na mężczyznę, który właśnie pobił kobietę, wygląda dosyć nieporadnie. Ona skręca się u jego stóp. Nie wsłuchuję się w jej słowa. Nigdy tego nie robię, kiedy oni się kłócą, staram się dbać o własną skórę. Wiem, że wyśpiewuje swój rozdzierający, oskarżający, gniewny lament. W większości niezrozumiały. Prawdopodobnie szaleńczy. Nie słucham.

Tato patrzy na mnie i się wzdyga. Przypominam sobie poharataną renówkę na podwórku. Spoglądam na mamę lamentującą na podłodze. To jest dom wariatów.

— Pomóż mamie — mamrocze. — To znaczy, zabierz ją stąd.

Wychodzi, aja dostrzegam przerażoną Bethany, wyglądającą zza drzwi.

Duszę się, ale klękam przy płaczącym, lamentującym zwale, jakim jest moja mama. Właściwie to mnie od niej odrzuca. Mam ochotę ją kopnąć. Zamiast tego podaję jej rękę.

— Chodź, mamó — mówię. Mój głos brzmi niepewnie nawet dla mnie samego. Wiem, że w stosunku do wariatów należy używać lekkiego, a jednocześnie stanowczego tonu, ale nie mogę się zdobyć na taki głos i zawodzenie mamy nie ustaje jeszcze przez jakiś czas.

W końcu podnosi się i sadzam ją w salonie. Bethany robi jej filiżankę herbaty. Mama przestaje płakać, ale nadal wygląda na kompletnie oszalałą. Mówi do Bethany: — Lepiej idź i spakuj swoje rzeczy. Wyjeżdżamy.

— Zawsze każe mi się pakować — mówi do mnie cicho Bethany. — Ale nigdy nie wyjeżdżamy.

Postanawiam położyć się wcześniej. Idę do swojego pokoju i palę jednego za drugim; ekspres z Glasgow do Londynu rozświetla nagle noc, a potem znika.

Nazajutrz przyglądam się ojcu i Bethany. Widzę, jak z nią dowcipkuje, w miły sposób stroi sobie z niej żarty. Ze mnie też żartuje, ale nie jest to takie miłe. Zdecydowałem już, że pójdę do szkoły plastycznej, więc ciągle nazywa mnie pedałem. Ale kiedy jest z Bethany, zachowuje się jak duży, uległy kucyk, służący do zabawy. Często jej dotyka i tylko w stosunku do niej jego ręce są delikatne. Wydaje mi się, jakby tych dwoje miało swój własny świat, z własnymi problemami, którymi dzielą się szeptem.

Rozdział dwunasty

Mama rezygnuje z pracy i wymienia renówkę, Bethany jeździ na koniu, a ojciec wraca na platformę i w domu znowu panuje spokój. Tego lata mogę skończyć gimnazjum i zamierzam to zrobić. Mój podstawowy cel to wydostanie się z domu i z farmy, a teraz mam już miejsce w szkole plastycznej w Stourbridge, czyli w West Midlands. Muszę tylko zdać kilka egzaminów i w czerwcu będę wolny.

Ale kiedy ojciec wraca z platformy, odkrywa, że podebrałem mu trochę tytoniu. Wciąż nie mogę nad tym zapanować. Mama od lat śpi z portmonetką pod poduszką, bo wie, że kradnę, kiedy tylko mam okazję. Zaklinam się, że naprawdę miałem zamiar oddać mu ten tytoń, ale zapomniałem. Ojciec nie słucha. Jest zły. Mówi, że się ze mną rozprawi, potem idzie do pubu, a ja już wiem, co to oznacza. Żeby mnie ukarać, musi wypić trochę wódki.

Cały wieczór jestem spięty. Wszyscy jesteśmy. Bethany niechętnie idzie do łóżka. Zostaję z mamą przy kominku. Znacznie później słyszę, jak otwierają się drzwi. Ze sposobu, w jaki trzaskają, i po odgłosie kroków można poznać, że do domu wszedł wielki byk i zamierza wybrać sobie ofiarę. Oczywiście jestem

niąja. Czekałem na niego, na te drzwi i na te kroki. Nie przychodzi po mnie od razu. Obija się dookoła, miota. Nie zasługuje na taką rodzinę jak nasza. Jak, do diabła, mógł mu się trafić taki syn, taki pieprzony złodziej? Dlaczego przez te wszystkie lata musiał się ze mną użerać? Burza robi się coraz groźniejsza, powoli nadciągają potężne, czarne chmury.

I nagle w salonie ukazuje się on — masywna, ciemna sylwetka. Podnoszę na niego wzrok. Przechodzi przez pokój, łapie mnie i zaczyna bić.

Unosi czoło, linia włosów się cofa, oczy płoną nienawiścią, oddech czuć wódką, a z ust wydobywa się piana. Wali mnie mocno prawą ręką. Widzę, jak wytatuowany na niej krucyfiks leci raz po raz w moją stronę. Lewa ręka, ta, na której wytatuowane jest LOVE, trzyma mnie mocno, zbyt mocno, za gardło. Czuję jego olbrzymie palce. Jestem przerażony. Po prostu przerażony. W obliczu jego nienawiści, poza przerażeniem nie ma we mnie nic innego; nagle, w ten niezemiński sposób, znajduję się znowu na wysokim, zielonym drzewie, przyglądam się, jak on mnie nienawidzi, i zadaję sobie jedno pytanie: nie dlaczego on mi to robi, ale dlaczego chce to robić.

Pojawia się Bethany, jest w piżamie, płacze. Mama zawodzi. Potężne ramię ojca cofa się i za każdym razem, gdy się prostuje, jego pięść łąduje na mojej twarzy.

Widzę jego kostki jakby w zwolnionym tempie. Czuję trzaskanie w nosie, w ustach wyczuwam metaliczny smak.

Kiedy mnie tak bije, ja szybuję gdzieś ponad tym wszystkim, wysoko nad domem, ale potem rzuca mnie na kolana. Bierze mnie za kark i pcha moją głowę w kierunku ognia. Czuję ogromny strach i rezygnację. Nagle wszystko wymknęło

się spod kontroli i wszystko może się zdarzyć. Ogień jest już przygaszony na noc, ale w dalszym ciągu się tli. Zapieram się z całej siły, jednak nie mogę w żaden sposób dorównać człowiekowi z żelaza.

Zerkam na stojącą na sofie, czerwoną na buzi i mokrą od łez Bethany. Mama biega histerycznie dookoła. Po dziwnym wyrazie jej twarzy i po wrzaskach siostry poznaję, że będzie źle. Kiedy ojciec wpycha mi głowę nad ogień, zamykam oczy. Czuję, jak gorąco owiewa mi policzki, zaczyna penetrować skórę aż do delikatnych, wrażliwych miejsc w środku mojego ciała. On mnie zabije. To nie może się skończyć inaczej.

Słyszę mamę mówiącą coś do telefonu. Rozmawia z policją. Prosi, żeby przyjechali.

Nagle, bez ostrzeżenia, on zwalnia uścisk; wykorzystuję ten moment, żeby się od niego odsunąć, wije się, jak złapane w sidła dzikie zwierzę. Szamoczę się z tym jego ogromnym cielskiem. Wystrzeliwuje w moją stronę swoje wielkie dłonie. Jest silniejszy, ale ja jestem szybszy.

Wybiegam z domu bez butów. Jedyne, co czuję, to panika. Nigdy nie wrócę do tego miejsca, do tego domu wariatów, nigdy. Bo nic już nie może być takie samo. Poza tym głębokim instynktem nic już nie wiem, o niczym nie myślę. Nie ma mnie.

Policja znajduje mnie idącego wzdłuż autostrady w przemozonych skarpetkach. Wsadzają mnie do radiowozu i zawożą do domu. Ojciec nie wychodzi. Mama rozmawia z policjantami, a potem idzie do domu wczasowiczów i mówi im, że musi skoryzstać z jednego pokoju. Tam właśnie mnie umieszcza.

Dopóki ojciec jest w domu, mieszkam u ciotki Tanyi. Kiedy wyjeżdża na swoją platformę wiertniczą, wracam do domu.

Bethany wita mnie ciepło, co sprawia, że zaczynają mnie piec oczy. Wchodzę do holu, słyszę znajomą, głęboką ciszę, czuję domowe zapachy i nagle niespodziewanie zaczynam płakać, co mnie samego przeraża. Idę prosto do swojego pokoju, żeby mama i Bethany nic nie zauważyły, i przypominam sobie tamte więzy z dzieciństwa, jak mocno się wokół mnie zaciskały, tak mocno, że nie mogłem się poruszyć ani oddychać. No, więc teraz wróciły.

Pociąg ekspresowy pojawia się w oknie i znika jak widmo. Próbuję opanować łzy. Zmuszam się do wodzenia oczami po wszystkich elementach graffiti, którym pokryłem ściany. Kiedy to nie pomaga, próbuję powstrzymać łzy, napinając się, jakbym się szykował do walki. Potem zaciskam oczy tak mocno, że moje ciało zaczyna się trząść z wysiłku. Poddaję się sile łez. Płaczę i płaczę, i nie mogę przestać. Płaczę całymi dniami. Nie przez ileś tam minut czy godzin, ale przez wiele tygodni.

Mama mówi, że to rozumie. Mówi, że mam depresję i że ona to rozumie, bo sama dużo płacze. Patrzę na nią i myślę: sama się wpakowałaś w tę sytuację. I pociągnęłaś mnie za sobą.

Czuję się lepiej, kiedy jestem w Kendal. Za każdym razem nie mogę się doczekać, kiedy tam wrócę. Ale gdy jestem z powrotem w naszym więzieniu na farmie, łzy znów zaczynają płynąć. I jest tak jak z deszczem nad okolicznymi jeziorami — kiedy zacznie się ulewa, nie może się skończyć.

Skoro tak ryczę, to muszę być ciotą.

Wraca ojciec. Usuwam mu się z drogi. A potem dzieje się najgorsze: przyłapuje mnie, jak płaczę. Jego twarz wykrzywia się w obrzydzeniu, tak samo jak wtedy, gdy mama płacze, krzyczy albo zamienia się w trzęsącą się na podłodze galarete.

Nie ma w nim miejsca na dobroć. Widzę tylko nienawiść. On mną gardzi. Kiedy na mnie patrzy, jego oczy są mrozącym niebieskim lodem.

Ten niebieski lód skłania mnie do podjęcia pewnej chłodnej, klarownej decyzji. Jestem w swoim pokoju, w którym ściany są tak grube, że nie słychać nawet pędzących pociągów ekspresowych. Leżę w łóżku, otacza mnie ogromne graffiti. Cisza jest tak przejmująca, że niemal ją widzę, prawie mogę jej dotknąć.

Postanawiam, że przestanę płakać. Koniec z piekącymi łzami. Już nigdy więcej nie zapłaczę. Nigdy. Ojciec mnie nienawidzi i jest ku temu powód: mnie też przepełnia nienawiść. Nienawidzę samego siebie. Gardzi mną, bo jestem podły. Sam sobą gardzę. Chce mnie zniszczyć, bo to najlepsza rzecz, jaką można zrobić z takim dzieciakiem jak ja. Teraz ja sam siebie zniszczę.

Gdy tylko kończę egzaminy, pakuję swoje rzeczy. Mam szesnaście lat i na zawsze opuszczam farmę. Wybieram się do szkoły plastycznej. Będę artystą, bez względu na to, jak bardzo ciotowatym zajęciem jest to według ojca. Kiedy wyjeżdżam, mama chyba odczuwa ulgę. Jego nie ma. Tylko Bethany płacze.

Rozdział trzynasty

Szkoła plastyczna rozpoczyna się dopiero jesienią. A jest czerwiec. Nie mam gdzie się podziać, więc wybieram się do Kelly. Moja starsza siostra mieszka w komunalnej szeregówce. Ma dziecko, ale po trosze matkuje i mnie. Podoba mi się to. Kiedy patrzę wstecz, uświadamiam sobie, że już dawniej próbowała odgrywać wobec mnie rolę matki, ale ja jej tylko nienawidziłem, bo była moją starszą siostrą i ulubionym dzieckiem taty, przynajmniej dopóki nie pojawiła się Bethany. Teraz jest dla mnie bardziej koleżanką.

Mimo że zawsze była taką ułożoną dziewczyną, żyje z jednym z najbardziej gwałtownych i siejących postrach koleśków z naszego dawnego sąsiedztwa. Ten początkowo się ze mną kumpluje, ale moja obecność szybko go męczy i zaczyna mi to okazywać. Szkoda mi Kelly. Ale wiem, że nadeszła pora, żebym się wyniósł.

Lato spędzam, śpiąc na kanapie u każdego, kto mnie przyjmie: u babci, ciotek, Shanea, Daniela. I obczajam idealne zajęcia na wakacje.

Od czasu gdy przed laty ugrzęźliśmy w miniaku wujka Mikea w parku safari w West Midlands, zawsze ciepło wspominałem

to miejsce. Pamiętam, jak śmiejąc się, siedzieliśmy wszyscy w zaparowanym samochodzie, a świat zamykał czerwony horyzont nieba. A teraz tam pracuję. W wesołym miasteczku, przy kolejce strachów. Zawsze podobały mi się rysunki w parku rozrywki: w zakrętach i zawijasach jest coś z graffiti, które tak pokochałem. Kolory kolejki są odważne, fiolety i czerwienie są tak głębokie i intensywne, że można nie zwrócić uwagi na duży kunszt, z jakim zostały namalowane.

W pracy jestem odpowiedzialny za uruchamianie kolejki i dbanie o nią, co robię z zapałem. I... podrywam dziewczyny. Jest coś w muzyce, hałasie i kolorach kolejki, co wszystkich trochę rozluźnia. Stoję przy wagonikach i rozmawiam z najładniejszymi dziewczynami, które czekają w kolejce do wejścia.

— W zeszłym tygodniu był tu taki zwalisty facet, wielkie łapska z tatuażami na kostkach i przedramionach, chyba jakiś hutnik, ubrany jak kowboj, z wielkimi wąsami...

Patrzę na nie. Dziwię się, że jeszcze nie trzęsą się ze strachu.

— No, więc wsiadł do kolejki i się przeraził. Poważnie mówię, tak wrzeszczał, że musiało go być słyhać aż w Kidderminster. Jak wychodził z wagonika, włosy miał siwe. Siwiuteńkie. I wąsy też.

Wsiadają do wagoników z szeroko otwartymi oczami.

— Odwagi, dziewczyny — mówię poważnie.

Jeśli mi się podobają, wyłączam zasilanie, gdy wagoniki są w połowie drogi. Krzyczą. Ale ich krzyki nie przypominają krzyków mamy: nie ma w nich prawdziwego strachu, tylko mieszanek zadowolenia i podniecenia. Kiedy wagonik kończy przejażdżkę, pomagam im wysiąść. Uśmiecham się.

— Podobało się? — pytam, jak gdyby nigdy nic.

Celują we mnie palcem. — To ty wyłączyłeś prąd!

I zaczyna się zabawa. Chcą przejechać się kolejką jeszcze raz i może jeszcze raz, i pod koniec dnia mam ich numer telefonu.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego jadę do Stourbridge, rozejrzeć się za jakąś stacją. Jestem niezależny, wolny i dorosły. Tyle że potajemnie, gdzieś głęboko, tak głęboko, że nie mogę się do tego przyznać, chciałbym, żeby mama mi pomagała. Oczywiście tego nie robi, ale przynajmniej załatwiła mijakiś dochód. Wytłumaczyła w opiece społecznej, że chociaż mam dopiero szesnaście lat, nie mogę mieszkać w domu ze względu na przemoc ojca, i teraz płacą mi trzydzieści funtów tygodniowo.

Czuję, że różnię się od innych uczniów. Większość z nich mieszka ciągle z rodzicami. Po zajęciach wsiadają do autobusów i jadą do domu na gorący obiad i po odrobinę miłości. Jestem młodszy od większości z nich, ale czuję się znacznie, znacznie starszy.

Cieszę się, bo ciągle mam starych znajomych, którzy łagodzą moją samotność. Trzydzieści funtów z opieki społecznej przychodzi w poniedziałek rano, a już wieczorem wychodzimy z chłopakami do klubu i przez noc przepuszczamy większość kasy. W ciągu tygodnia przychodzą zasiłki i zarobki innych kumpli, które też wydajemy, bo tym razem to oni płacą. Wiemy, kim jesteśmy, gdy pijemy i bierzemy narkotyki. Jesteśmy źli. Jesteśmy panami samych siebie. Nikt nie może nas powstrzymać i możemy robić, co nam się podoba. I co z tego, że czasem nie mamy kasy na jedzenie? Jedzenie nie jest ważne, a w pobliżu nie ma nikogo, kto by nam mówił, że jest inaczej.

Na początku chodzę codziennie na wszystkie zajęcia. Poranne wstawanie i wychodzenie do szkoły jest straszne. Czyja na pewno

chcę być artystą? Może tylko chciałem uciec. Nigdy specjalnie się nie zastanawiałem, co chcę tworzyć, jak i dlaczego.

Wykonuję tuszem serię sześciu autoportretów. Wiem wszystko o tuszu, bo była to ulubiona technika mojego nauczyciela plastyki w Kendal. Był dokładnym, tradycyjnym artystą znad jezior, który tworzył szczegółowe pejzaże, a potem kreska po kresce malował wełnę owiec. Nie pochwalał mojego zainteresowania graffiti i abstrakcją. Teraz staram się używać tradycyjnych metod, takich jak tusz, w bardziej abstrakcyjny sposób. I zakochuję się w oleopasto, plastycznej substancji o konsystencji podobnej do kitu, której używam jako podłoża swoich prac.

Lubię niektórych nauczycieli, ale sercem nie jestem w szkolnych murach, tylko na zewnątrz, w świecie ludzi i pojęć. Stopniowo poznaję innych uczniów, którzy poszerzają mój światopogląd. W większości są starsi ode mnie, a niektórzy to prawdziwi artyści, operujący równocześnie wieloma środkami ekspresji. Są to mili, przyjaźni ludzie. Część z nich należy do punków, inni są hipisami. Od czasów, gdy jako dziecko chodziłem do Allbutów, nigdy nie rozmawiałem o sztuce. Ale tutaj wszyscy mają coś do powiedzenia na temat sztuki i polityki. Tam, skąd pochodzę, ludzie uważali, że nie powinno się wyrażać swoich opinii. A tu nagle ludzie ze mną rozmawiają, ja zaś odkrywam, że mam sporo do powiedzenia. Starym autobusem, w którym kobiety karmią dzieci piersią, zabierają mnie na wycieczkę do Stonehenge. To trochę jak squat u Petea: kolejna bezładna rodzina, i mogę udawać, że do niej należę. Ale pochodzę z Kidderminster. Nie mógłbym ich przedstawić swoim starym kumpłom. Jeśli Dan usłyszałby którąkolwiek z naszych rozmów, nigdy nie przestałby się ze mnie nabijać.

Bycie artystą nie jest łatwe w otoczeniu ludzi takich jak Daniel i jemu podobni. Pewnego wieczoru z paczką chłopaków jedziemy do Birmingham. Zachodzi słońce. Niebo na zachodzie płonie. Nienaturalne czerwienie, pomarańcze, żółcie i błękity, jak warstwy jedwabiu, rozcinają niebo za chmurami.

— Patrzcie tam! — mówię.

Wyglądają przez szybę. Zastanawiają się, o czym mówię.

— Zachód słońca! Jaki piękny!

Wszyscy, nawet kierowca, odwracają się i gapią się na mnie.

— Co? — pytają.

Mój najlepszy kumpel, Daniel, szturcha mnie. — Ty popaprany świrze — mówi. No cóż, więcej czegoś takiego nie powiem. Ci ludzie nie są w stanie albo nie chcą docenić piękna. Muszę pamiętać, żeby przy nich być mniej artystyczny niż w szkole. A przebywam z nimi bardzo często.

Jedyną rzeczą, która łączy ludzi z Kidderminster z tymi ze szkoły plastycznej, są drugi. Proste chłopaki biorą, bo narkotyki są najszybszym sposobem na zapomnienie. Ludzie ze szkoły biorą, bo szukają jakichś artystycznych bodźców, a narkotyki w pewien sposób zmieniają i poszerzają granice myślenia. Starsi, bardziej poważni artyści umieszczają to, co wówczas powstaje w ich głowach, w swoich pracach. Za każdym razem zamierzam zrobić tak samo, bo branie narkotyków wydaje mi się bardzo kreatywnym doświadczeniem, ale potem wszystkie pomysły umykają ze mnie jak strzępy snu. Szukam więc zapomnienia, bo w głębi duszy wiem, że jestem prostym chłopakiem z Kidderminster.

W szkole jest tylko parę osób podobnych do mnie: prości koleś, którzy chcą zostać artystami. Stają się moimi wyjątkowymi

znajomymi. Jeden z nich jest kamieniarzem, który odkrył, iż tak bardzo lubi rzeźbić, że musiał zapisać się do tej szkoły, by nauczyć się nowych sposobów wyrażania swojej pasji. Jest dziesięć lat starszy ode mnie i wprowadza mnie w bluesowe klimaty nielegalnych czarnych klubów powstałych po zamieszkach w Handsworth [dzielnica Birmingham — *przyp. tłum.*]. Pełno tam muzyki reggae i słodkiego zapachu haszu. Pewnego razu wracamy z Handsworth do jego mieszkania w dzielnicy Black Country z małą paczuszką brązowego proszku. Nie mogę się doczekać, kiedy tego spróbuję. Ten narkotyk to dar samego diabła. Jest przeklęty i budzi strach. To heroina.

Obserwowany przeze mnie i całą kolekcję niedokończonych kamiennych rzeźb, kumpel rozkłada na kuchennym stole srebrną folię, tak jakby robił maleńki papierowy samolot. Potem owijają wokół ołówka, żeby powstała rurka. Składa więcej folii, rozcina pakunek wielkim nożem kuchennym i wysypuje zawartość na przygotowany kawałek sreberka. Sięga po zapalniczkę i płomień zaczyna omiatać spód folii. Proszek kipi, aż przestaje być proszkiem; staje się kroplą, a on przechyla głowę na jedną stronę i — trzymając rurkę przy ustach — wdycha tę kroplę. Heroina jest teraz płynna, a on zbiera ją w zagięciach folii. W pokoju rozchodzi się dziwny zapach, który od razu rozpoznaję. Skądś¹ Skąd znam tę gorzką, chemiczną woń heroiny?

Podaje mi ją. Na początku czuję tylko niemiły smak w gardle. Ale po trzykrotnej pogoni za kroplą na folii czuję, jak para ciepłych, wełnianych rękawic obejmuje ciasno mój mózg, i wiem z całą pewnością, że wszystko już będzie w porządku, wszystko będzie dobrze. Wiem też, że kiedyś już próbowałem tego narkotyku. Ten zapach, te efekty, ta folia — pierwszy raz spotkałem

się z nimi, gdy miałem jedenaście lat. W squacie Petea w Kid—derminster, tej nocy, kiedy uciekłem z domu, a jego tam nie było. Usiadłem w kręgu nieznamych, którzy podawali sobie coś w kółko. To była heroina. To dlatego Pete tak na nich wrzeszczał, kiedy wrócił. Bo miałem wtedy dopiero jedenaście lat, a już pozwolili mi polować na potwora.

W szkole plastycznej mam dziewczyny; jedna z nich, o imieniu Kirsty, jest fryzjerką. Lubi przebywać w towarzystwie fajnych gości z plastyka. Razem odkrywamy muzykę rare groove. Chodzimy w Birmingham do klubu o nazwie Kłęska Zbawienia; wszyscy, którzy tam bywają, bardzo się starają, żeby się jakoś odłotowo ubrać. Przeciętniaki ubierają się w połyskliwe ciuchy i czekają w długiej kolejce do dużego, popularnego klubu, zwanego Domem Mocy, mieszczącego się na parterze, podczas gdy ja i Kirsty stoimy w wąziutkiej kolejce dziwaków wchodzących do góry po krętych schodach. Jesteśmy ubrani w stylu czystego, psychodelicznego funku. Są dziewczyny w olbrzymich kapeluszach z mnóstwem falbanek na wielkich sukniach, mężczyźni w bryczesach ze szpicrutami, fanki Kraftwerku z grzywkami przyciętymi pod kątem prostym i w ołówkowych spódnicach, które nadają im futurystyczny wygląd, Murzyni w kapeluszach z szerokim rondem, ubrani w skóry i lamparcie futra. Ja mam na sobie białe—czarne spodnie w kratkę, inspirowane stylem modsów, czerwone skarpetki i solidne buty, czerwony kapelusz, czerwone szelki i białą koszulę.

Przeciętniaki niemiłosiernie się z nas nabijają. Ale mamy to gdzieś. Ukradkiem patrzymy na nich z góry, na ich ograniczenie, brak wyobraźni, sposób, w jaki wszyscy się przepychają, kiedy wychodzimy na nocny autobus w swoich szalonych ciuchach.

Ja uczę się w plastyku i jestem inny: nasza bajka to rare groove, a naszym narkotykiem jest amfetamina, nie tylko alkohol, który zresztą za chwilę sprawi, że oni będą bardzo agresywni.

Kiedy zamykają Kłęskę Zbawienia, przenosimy się z Kirsty do Paki, całonocnego klubu przy Uniwersytecie Aston. Tu jest ekscytująco i inaczej, bardziej jak na ogromnej imprezie tanecznej niż w klubie. Puszczają nagranie *Future Acid Tracks* zespołu Future i inne podobne; odczuwam to jak jakiś sygnał. Sygnał, że w muzyce i kulturze dzieje się coś nowego, ale nie wiem co. Jesteśmy teraz zbyt pochłonięci funkiem.

Z amfetaminą łatwo przetrwać całą noc. Jeśli bierzesz amfę, możesz dużo wypić, a po alkoholu nie jesteś też taki oziębiały. Całą noc tańczysz albo gadasz głupoty, i to gadasz szybko, bez względu na to, czy ktoś cię słucha, czy nie, gadasz godzinami i nie oczekujesz, że ktoś ci odpowie albo zada jakieś pytanie. Jadąc na amfie, możesz gadać do ściany i po chwili wmówić jej, że nie jest ścianą, tylko płótem.

Nie wyobrażam sobie życia bez narkotyków: znam tylko ten jeden sposób na życie. Za trzydzieści funtów tygodniowo nie kupię może wiele, ale do tej pory próbowałem albo regularnie używałem heroiny, opium, amfetaminy, LSD, kokainy, grzybów halucynogennych, haszu i mojego starego przyjaciela, alkoholu. Tych dwóch ostatnich używam codziennie. Muszę się napić. I muszę wypalić choćby jedną lufę. Nie ma mowy, żebym bez tego zasnął.

Nie jestem jedynym, któremu brakuje na narkotyki; kumpli z Kidderminster na nie też nie stać. Ale znamy rozwiązanie. Kradzieże. Zwykle kradniemy razem. To kradzieże trzymają mnie w grupie twardzieli. To kradzieże czynią mnie jedynym

z nich, a nie to, że chodzę do plastyka. I gdzieś głęboko czuję, że tak właśnie musi być. Bo może tylko udaję, że uczę się na artystę. Razem ze starymi kumplami jadę pociągiem, z którego nie mogę wyskoczyć, bez względu na to, jak bardzo bym się starał. Wszyscy, którzy ze mną dorastali, są na tych samych torach, prowadzących do narkotyków i przestępstw. Kończysz szkołę i na następnej stacji czeka cię właśnie to. Kiedy przyszedłem do plastyka, starałem się uciec nie tylko od ojca, ale też z tego pociągu. Teraz, gdy przypominam sobie ekspres relacji Londyn—Glasgow, mknący z prędkością światła wzdłuż dolin nad jeziorami, wiem na pewno, że nikt nie może z niego wysiąść.

Któregoś wieczoru jestem z kumplami z Kidderminster, palimy amfę, pijemy alkohol i tak się składa, że bierzemy też trochę grzybów halucynogennych. Zataczamy się już, ale jesteśmy pewni jednego. Chcemy się jeszcze napić. Istnieje tylko jeden sposób, by dostać alkohol. Wybrany gość rozstawia jakieś płótna przed witryną sklepu monopolowego, a ja i kuzyn, nabuzowani i podnieceni, tłuczemy kopniakami szybę, wpadamy do środka i porywamy parę butelek. Jesteśmy niezgrabni: przewracamy się. Butelki rozbijają się na podłodze. Światła wirują i wszystko dzieje się z prędkością blisko dwustu kilometrów na godzinę.

Uważamy się za doświadczonych kryminalistów, a przecież wiemy, że nieplanowane kradzieże najczęściej się nie udają. Rzecz jasna, w ciągu paru minut otaczają nas policyjne radiowozy. Najpewniej nasz napad został zarejestrowany na kamerach w sklepie i na ulicy. Byliśmy tak zamroczeni, że nie przyszło nam do głowy, żeby zakryć twarze.

Mam już na koncie parę drobnych przestępstw z młodości, więc to nie pierwsza moja sprawa, ale pierwszy raz, gdy

prawnie nakłada się na mnie wymóg zachowywania spokoju [złamanie tego nakazu grozi bezwzględna odpowiedzialnością karną — *przyp. tłum.*]. To niewykonalne, kiedy jestem w towarzystwie moich kumpli.

Jest poniedziałek, prawie koniec roku szkolnego; jak zwykle w poniedziałek, wydaję z Danielem socjalne pieniądze. Spotykamy mojego brata Shanea, naszego kuzyna i paru ich kumpli. Shanea nie pociąga funk. Jest szykownym stadionowym chuliganem. Kolesie, z którymi ostatnio się zadaje, to w większości przedstawiciele klasy średniej w wyprasowanych koszulkach, wyperfumowani wodą Kouros.

Spotykamy się w winiarni w Kidderminster, do której zaglądamy yuppie i która nie jest w moim guście, ale w tych czasach takich winiarni jest strasznie dużo. Nagle się namnożyły, jakby pani Thatcher przejechała przez cały kraj i zasadziła wszędzie nasiona winiarni.

— Co tam chowasz pod bluzą? — pyta Daniel.

Sięgam pod ubranie i wyciągam coś, czego używałem dziś na zajęciach. Nie miałem gdzie schować swojego krzywika: to forma z pleksiglasu, wykorzystywana w rysunkach technicznych. Kumple podają go sobie z ręki do ręki. To coś jest ze szkoby plastycznej, więc musi być głupie i pedalskie.

W drugiej części baru grupka przyjezdnych zwija się do wyjścia, a wychodząc, popychają stojącą na ich drodze ciężarną kobietę. Jest oburzona, podobnie jak jej chłopak i parę innych osób, ale to winiarnia, a nie pub, więc nikt się tu nie bije. I kolesie, sądząc po akcencie — skądś z północy, nie przepraszają.

Jadę na alkoholu i arnie. To te same narkotyki, które biorę na imprezach z ludźmi z plastyka, ale teraz jestem tym innym

Markiem i mają na mnie inny wpływ. Kiedy Shane, nasz kuzyn i ich znajomi podnoszą się i wychodzą za prowokatorami, chowam krzywik z powrotem pod bluzę i z Danem też wychodzimy.

Podążamy za północniakami przez całą dzielnicę handlową i w końcu zaczynamy ich prac. Moje łokcie zginają się i prostują jak tłoki, czuję, jak pięści wbijają się w mięso. Przerывam na chwilę, bo wylatuje mi krzywik, chowam go znów pod bluzę, ale w tym czasie gość, którego okładałem, ucieka. Miejsce bijatyki to kłębownisko butów, pięści, światła ulicznych lamp i krawężnika. Wypatruję Dana, zbyt chudego, żeby się nadawał do poważnej bójki, jak czyha nad jakimś kolesiem, okładanym przez kogoś innego, żeby dołożyć mu jeszcze kopniaka. W końcu na ulicy pojawia się krew, goście leżą na ziemi, mój brat wymierza jednemu kopniaka w głowę, a ten dostaje drgawek. Wtedy wiejemy.

Tej nocy zjawia się u mnie policja. Zaczynają się niezdrowo interesować ranami na moich kostkach. Tłumaczę, że zostałem bezwzględnie zaatakowany przez puszkę piwa, którą próbowałem otworzyć. Wpuszczam ich, żeby zobaczyli puszkę. Mówię, że mam nadzieję, że to nie grozi aresztem. Teraz przyglądają mi się bardzo uważnie. Chcą wiedzieć, co robiłem tego wieczoru, gdzie byłem. Kłamię. I żeby udowodnić, że nie jestem kimś, kto się wdaje w bójki, mówię, że chodzę do plastyka. Wyglądają na tak zaskoczonych, że wyciągam spod bluzy to, co schowałem tam pod koniec dzisiejszych zajęć.

— Co to takiego? — pyta ciekawski policjant.

— Krzywik — mówię. — Używa się go w rysunku technicznym.

Policjant delikatnie bierze ode mnie krzywik swoimi wielkimi dłońmi i mu się przygląda. Odwraca go, a tam z tyłu jest krew. Teraz przypominam sobie, że krzywik wypadł mi

podczas bójki, i serce skacze mi do gardła. Próbuję zrzucić winę na puszkę od piwa, ale policjanci już zakuwają mnie w kajdanki. Mówią — bo upieram się, że o niczym nie wiem — że po pewnym incydencie w winiarni rozegrała się bójka. W rezultacie jeden człowiek jest w śpiączce, a kilku ma połamane kości. Przypominam sobie, jak gość, którego kopnął Shane, dostał drgawek na ulicy. Robi mi się niedobrze.

Jeden po drugim, cała nasza szóstka łąduje w policyjnych celach. Gdzieś daleko gra radio. Właśnie leci najnowszy hit: *Dorit worry, be happy.*

Przez kolejne trzy dni przesłuchań stopniowo odehciewa mi się kłamać. Nie ma to sensu, bo jeden z koleżków mojego brata nas wsypał. Policja dowiedziała się też, ile wypiliśmy tamtego wieczoru; uznają, że nasza zbiorowa pamięć jest przytłumiona, i rzucają nam papier z zarzutami. Wszyscy będziemy odpowiadać za rozbój, paragraf drugi artykułu o użyciu przemocy. Mam siedemnaście lat.

Rozdział czternasty

Adwokat z urzędu mówi, że na pewno pójdziemy siedzieć. Społeczeństwo kipi ze złości na stadionowych chuliganów i chamskich pijacków, więc rząd bardzo chciałby wykazać się rozwiązywaniem takich spraw jak nasza. Ponieważ żaden z nas nie jest w stanie zdać sensownej relacji z tego, co się działo podczas bójki, a niektórzy nie pamiętają zupełnie nic, uznają nas za winnych. Dlatego też dostaniemy wyroki więzienia, może nawet po kilka lat, bez procesu z udziałem ławy przysięgłych. Adwokat pyta, czy chcemy opóźnić nasze wyroki tak długo, jak się da. Chcemy.

Opuszczam stację. Moje życie ulegnie teraz radykalnej zmianie. To już koniec mojej nauki w szkole plastycznej. Chyba i tak od początku, odkąd tu trafiłem, udawałem. Udawałem artystę, udawałem, że jestem jednym z tych, którzy się tu uczą, udawałem, że to moje miejsce, podczas gdy tak naprawdę jestem tylko prostym chłopakiem. Pociąg jedzie własnym torem, a ja wskakuję do niego na kolejnej stacji i dołączam do reszty. Idę do paki. Będę siedział za coś, czego nawet dobrze nie pamiętam.

Przynajmniej nie będę już musiał udawać Mogę przestać starać się być inny. Jestem zły. Brutalny. Twardy. I na dowód tego wkrótce zostanę skazany wyrokiem sądu na więzieniu.

W trakcie długich letnich miesięcy między tamtą bójką a naszym pojawieniem się w sądzie — poddaję się. Prowadzę życie wypełnione narkotykami i przestępstwami; ja i Daniel pozostajemy nierozłącznymi kumplami. Nie mamy się gdzie podziąć, więc prowadzimy surowe życie i śpimy pod gołym niebem. Albo czasami zajmujemy czyjeś mieszkania. Należą do dziewczyn albo jakichś frajerów, więc wprowadzamy się i wyrzucamy ich jak głupków. Pieprzymy nastolatki, które pozwalają nam robić ze sobą, co tylko chcemy, a potem w smutny, łagodny, dziewczęcy sposób proszą o więcej. Kleją się do nas jak namagnesowane. Myślą, że zasługują na takich facetów jak my.

Włamujemy się do garaży, domów i samochodów, a potem silimy się, żeby cokolwiek sobie z tego przypomnieć. Oszukujemy każdego, kto się nawinie. Obrabiamy pijacków wysypujących się z tamtej lansiarskiej winiarni, w której zaczęła się pamiętna bójka. Jeśli stawiają opór, zaciągamy ich za róg i dajemy wycisk. Nie jestem prowodyrem tych bijatyk i nawet nie lubię brać w nich udziału, ale stanowią część grupy, która to robi. Szukamy towarzystwa gości, którzy są od nas starsi i bardziej bezwzględni. Tak naprawdę to się boją. Czy upodobnienie się do nich to następny przystanek na trasie mojego pociągu?

Najbardziej przerażający są bracia Jake i Glen. Siedzimy na haju w zasyfionym, pustym pokoju w zasyfionym, pustym mieszkaniu. Mieszkanie jest pełne ludzi zamroczonych alkoholem. Jake drapie się po twarzy. Nie może przestać. Drapie się i drapie, aż do krwi. Wstrzykuje sobie amfę i pije wódkę.

Kończy butelkę, ale nie przestaje przystawiać jej sobie czołwu. Trwa to minutę, może dwie, gdy uświadamiam sobie, że on nie pije z tej butelki, tylko ją normalnie. Odgryzł właśnie kawałek szkła i je przeżuwa. W ustach ma pełno krwi. Chrząst, chrząst, chrząst. Staram się na niego nie gapić. Tak naprawdę to chcę stąd zwać.

Jeszcze bardziej przerażający jest jego brat, Glen. Jestem u niego w mieszkaniu, gdy przychodzi jakiś Murzyn, żeby kupić trochę haszu. Od progu popisuje się swoją brawurą, a Glen zaczyna go podkręcać. Czarny myśli, że zyskał nowego kumpla, i zaczyna trochę palić, pić, i chociaż ma już nieźle w czubie, ciągle się przechwala, a ja już wiem. Po prostu wiem, że Glen da mu porządny wycisk. Atmosfera się zagęszcza. Strasznie jest czekać na to, co się stanie; to jak czekanie na mojego starego, kiedy wraca z popijawy. Murzyn jest już nieświadomy, radośnie zagłębia się w tym stanie, śmiejąc się i żartując z Glenem. I wtedy to się dzieje. Glen przestaje się śmiać i zmienionym, zimnym głosem mówi: — A co ty, kurwa, myślisz, że z kim ty rozmawiasz? Nie znoszę cię, pieprzony czarnuchu, i oskubię cię ze wszystkiego, co masz.

Stoję tam bezradnie z poczuciem obrzydzenia, udając, że dawanie wycisku temu Murzynowi to coś normalnego. Na prośbę Glena udaję nawet, że dokładam jego ofierze. Potem potrzebuję azyłu. Idę prosto do Vanessa.

Vanessa jest moją pierwszą prawdziwą dziewczyną. Miałem oczywiście wiele dziewczyn, ale Vanessa jest inna. Poznałem ją w grupie koleżanek, gdy byłem z kumplami, i od razu wiedziałem, że jest lepsza od innych. Chcę jej pokazać, że ja też jestem inny. Może wyglądam jak bandzior i tak się zachowuję, i tak

gadam, ale chcę, by ta dziewczyna zrozumiała, że w środku mnie jest ktoś zupełnie inny. I krok po kroku ona zaczyna mi wierzyć.

Vanessa jest drobna i prześliczna, czarne włosy ma zawsze starannie ułożone. Pracuje w sklepie odzieżowym. Inaczej niż większość ludzi, których znam, wstaje rano i idzie do pracy. Mieszka w nieskazitelnie czystym domu z atrakcyjną mamą, która najpierw przeżuwa twarde facetów, a potem ich wypluwa. Ale Vanessa taka nie jest.

Dziewczyny zawsze gadają o miłości i po krótkim czasie Vanessa mówi, że mnie kocha. To tak, jakby dawała mi prawo, żebym traktował ją jak śmiecia. Ale uciekam w jej ramiona za każdym razem, kiedy bałagan, którego narobiłem, jest zbyt duży nawet dla mnie. Ona zawsze na mnie czeka, kocha, rozumie, daje mi pieniądze, jedzenie i ciepło, jest moją ucieczką od szaleństwa. Czasem wydaje mi się, że ją kocham. Cokolwiek to znaczy.

We wrześniu nadchodzi czas, byśmy się stawili w Sądzie Koronnym w Worcester. Przyjeżdża mama Daniela. W samochodzie zgadzamy się co do tego, że od momentu aresztowania maksymalnie wykorzystaliśmy czas. Napawaliśmy się wolnością. Nieźle się bawiliśmy. Jeśli trochę jechaliśmy po bandzie, to najczęściej byłem zbyt zamroczony, żeby się tym przejmować.

Zanim wejdziemy, musimy wypalić luźną, więc ja i Dan spóźniamy się do sądu i jesteśmy na fazie. Mój skórzany kożuch jest z tyłu rozpruty: mieszkaliśmy, gdzie popadnie, i tak też wyglądamy. Mój brat pojawił się w ładnej koszuli i eleganckich spodniach. Jest też ten gość, który uciekł. W tygodniu pracuje na rusztowaniach, a w weekendy zmienia się w agresywnego

kibola. Mój kuzyn i jego kumple wyglądają przyzwoicie. To kolesie, którzy sporo piją, ale nie są tacy jak ja czy Dan. Tylko dla nas przestępczość napędzana narkotykami stała się normą. Dla innych jest może częścią życia, dla nas stanowi samo życie. Sala sądowa jest w stylu wiktoriańskim. Olbrzymia, z wysokim sufitem i brązowymi panelami. Siedzimy na ławie oskarżonych wyniesionej na absurdalną wysokość blisko pięciu metrów, a sędzia siedzi jeszcze wyżej, i to nadaje rozprawie karykaturowy charakter. Nie ma śladu mamy ani ojca, ani naszej siostry Kelly. Nawet babci nie ma, chociaż trzech jej wnuków jest dzisiaj w sądzie. Nie spodziewaliśmy się, że ktokolwiek przyjdzie. Ale dobrze mi z myślą, że jest tu mama Daniela, dobra dusza, która czasem daje mi ubrania lub pozwala spać w swoim domu. Ta kobieta urodziła się, żeby się troszczyć. Oglądała już niemal całą swoją rodzinę włączając się po sądach i więzieniach. A teraz przyszła kolej na Dana.

Stoimy w kajdankach w ławie oskarżonych, a stary sędzia w peruce zaczyna mówić. Czuję, jak płoną mi uszy. Nie rozumiem konkretnych słów, które wypowiada, ale wiem, że to, co mówi, jest straszne. Musi mówić o kimś innym. Nie może mieć mnie na myśli. Czy on nie wie, że tak naprawdę w środku nie jestem brutalny?

Kiedy zostają ogłoszone wyroki, każdy reaguje inaczej. Dwaj goście z klasy średniej, kumple mojego brata, załamują się: ten, który nas zakapował, płacze, drugi prawie mdleje, gdy słyszy, że niespodziewanie — jak na przypadek brutalnego rozboju — wysyłają go do otwartego zakładu karnego. Mój brat, kuzyn i Daniel śmieją się, kiedy słyszą swoje wyroki. Ja stoję sparaliżowany, niezdolny do śmiechu, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

Dostaję dziewiętnaście i pół miesiąca.

Jestem oszołomiony, gdy wyprowadzają nas z ławy oskarżonych, z sali, a potem na dół w długim konwoju, powłóczących nogami, zakutych w kajdanki, z policją po obu stronach. Myślę: zatrzymajcie ten pociąg, chcę wysiąść. Ale jest już za późno.

Na zewnątrz czeka autobus, który ma nas zabrać do więzienia — wsiadamy do niego, nadal skuci.

Rozdział piętnasty

Do czasu, gdy przydzielą nam inne zakłady karne, mamy zostać w więzieniu w Gloucester. Jestem w celi z moim bratem. Boję się, ale nie ma żadnych niespodzianek. Łóżko po każdej stronie. Małe okno. Odrapane ściany. Proste kąty. Żadnych ustronnych miejsc, żadnego miejsca, w którym można by się schować. Krzyki innych więźniów. Dźwięk kluczy tuż obok albo gdzieś daleko w korytarzu, ciągle zamykających, otwierających i znów zamykających. I ten zapach środka dezynfekującego, taki jak w szkole, tylko mocniejszy.

Dostajemy więzienne ubrania, a nasze osobiste rzeczy zwracają nam w poszewce na poduszkę. Mój brat wyrzuca zawartość powłoczki na łóżko i jest tam coś, co do niego nie należy: ogromna para gaci. Podnosi je. Są podarte i poplamione krwią. Patrzymy na siebie z przerażeniem. Słyszeliśmy o molestowaniu w więzieniu: czy właśnie to nas czeka? Czy tylko strażnicy stroją sobie z nas żarty?

Już po pierwszym dniu zaczynamy się z Shaneem kłócić i obaj domagamy się zmiany współlokatora celi. Brat idzie dzielić celę z naszym kuzynem, a do mnie dołącza Daniel. Jest teraz

wysoki, ale ciągle wygląda anemicznie. Jego ciało jest przerażająco chude, ma niebieskie żyłki na twarzy i jak dawniej wielkie, dziecięce oczy, takie jak wówczas, gdy był mały, co sprawia, że wygląda na czternastolatka. Całe lato tworzyliśmy zwariowany, przepełniony narkotykami świat zbrodni: inni być może go odwiedzili, ale my dwaj naprawdę w nim żyliśmy. Więc co z tego, że Dan nie docenia zachodów słońca tak jak ja? Jesteśmy sobie bliżsi niż kumple, jesteśmy braćmi.

Przez godzinę na dobę możemy chodzić w kółko po zewnętrznym dziedzińcu, otoczonym wysokim murem. Któregoś dnia spaceruje z nami facet, który ma twarz pokrytą bliznami; kiedy się dowiaduje, że to nasz pierwszy raz, daje nam pewną radę. Tłumaczy, że w więzieniu płaci się za wszystko tytoniem.

— Jeśli chcesz mieć władzę nad innymi, nie wypalaj całego pieprzonego przydziału tytoniu. Wypalasz tylko połowę, a pod koniec tygodnia cała reszta skręca się z ochoty na fajkę, a ty masz do pożyczenia frajerom siedem gramów. I ile byś nie dawał, w następnym tygodniu odbierasz dwa razy tyle. Rozumiesz? Dwa razy tyle.

To podła lichwa. Zastanawiamy się nad tym, wypełniając w ten sposób długie godziny w pustej celi z naszym nocnikiem. Zgadamy się, że jeśli tytoń jest środkiem płatniczym, to daje tutaj władzę.

Codziennie możemy sobie wybrać jakąś książkę z biblioteki, więc czytam wszystko, co kiedykolwiek napisał Orwell, chociaż większość jego esejów jest nudna. Ale żeby choć na chwilę uciec myślami z celi, przeczytałbym nawet nalepkę na słoiku z dżemem. Każdy więzień dostaje w bibliotece zakładkę z obrazkiem faceta wspinającego się po murze i napisem: „Uciekaj, czytając”.

Zaczynam akceptować nową sytuację. Akceptacja to wiedza, że jesteś w pacy i szybko z niej nie wyjdiesz. Prowadzę życie w niewielkim pomieszczeniu; prowadzę je według reguł, które ustalił ktoś inny. Nie mogę się tu jednak zadomowić, bo wiem, że gdzieś mnie stąd przeniosą.

Po dwóch tygodniach jedziemy do Pucklechurch, gdzie zwozi się więźniów z całego kraju, żeby ich potem rozdzielić na grupy według docelowego miejsca pobytu. Wcześniej nie miałem pojęcia o istnieniu takich ogromnych ludzkich przewozów towarowych, cichych i niewidocznych, bez przerwy przerzucających więźniów po całej Anglii. A teraz jestem ich częścią.

Daniel, Shane i ja jedziemy do Portland w hrabstwie Dorset.

— Portland! — mówią inni więźniowie.

— Coś nie tak? — pytamy. Wzdrygają się.

W końcu któryś mówi: — Bo widzicie, Portland ma kiepską reputację.

Wiemy tylko, że to więzienie wychowawcze i dyscyplinarne. Jednym słowem — zakład poprawczy. Droga wydaje się nie mieć końca, a kiedy autobus dojeżdża na południowe wybrzeże, jest już wieczór. Słońce tonie na zachodzie i rzuca na wodę czerwone światło. Kolejny piękny zachód słońca, ale niejestem taki głupi, żeby wspominać o tym Danielowi czy komukolwiek innemu. Plaża jest ciągnącą się daleko ogromną wydumą kamieni, a autobus zmierza w jej kierunku. Czekam na chrzęst, a potem zdaję sobie sprawę, że właściwie jedziemy wzdłuż mierzei. Przesiąknięta zachodem słońca czerwona woda płynie po obu stronach.

Portland wygląda jak wyspa. Wynurza się w oddali z szarej mgły. Tam, gdzie łączy się z morzem, zaczyna się przemysłowe pustkowie: budynki marynarki, zbiorniki paliwa, ogromne

magazyny i nieskończona ilość wielkich, szarych, kanciastych budynków, które mogłyby być zakładem poprawczym. Ale autobus się tu nie zatrzymuje. Z silnikiem rżącym na niskim biegu wjeżdża na strome wzgórze, omijając ponure szare domy. Kiedy już jesteśmy na szczycie wzniesienia i oglądamy się za siebie, widzimy, że otacza nas ocean. Daleko w dole ciągnie się prosta, cienka linia plaży — nitka łącząca Portland z lądem.

Nagle autobus zatrzymuje się przed wysoką ścianą klifu. Kiedy uświadamiamy sobie, że jesteśmy na samej górze, a klif jest pod nami, wszyscy równocześnie bierzemy głęboki wdech. Przed nami mury. Masywne, imponujące, szarobiałe mury.

Ogromna brama otwiera się i autobus wjeżdża do środka. Robi mi się niedobrze. Brama zatrząskuje się za nami z hukiem.

Mgła opada tu zasłoną do samej ziemi. Wychodzimy na wilgotne powietrze w głęboką noc.

Kiedy tylko moja stopa dotyka ziemi, w tym miejscu zawieszonym w czasie i przestrzeni, jakiś głos grzmi: — Równaj, kurwa, do linii!

A więc jestem w zakładzie poprawczym.

Wielki, groźnie wyglądający klawisz mierzy srogim wzrokiem nasz nierówny rząd i wrzeszczy: — Cokolwiek wiedzieliście, zanim tu trafiliście, możecie o tym, kurwa, zapomnieć!

Dają nam mundury: czerwone chustki z kory, niebieskie koszule w paski, dżinsowe spodnie i kurtki z zaokrąglonymi kołnierzykami. Potem odprowadzają nas do cel.

Portland nie jest właściwie wyspą, ale gdy siedzę sam w celi z widokiem na morze, zbudowanej z masywnego kamienia, tak się właśnie czuję. Przez małe, zakratowane okno patrzę, jak morze zmienia nastrój, z burzliwego staje się spokojne, a potem

znów *przerażające*. A więc to jest prawdziwe więzienie. Gloucester było na swój sposób towarzyskie, a strażnicy byli wyluzowani. *Teraz* jestem całkiem sam w małym pomieszczeniu, przede mną niepewna przyszłość. A więc właśnie tak od zawsze czują się więźniowie.

W Gloucester Daniel i ja, gdy tylko mogliśmy, zadawaliśmy współwięźniom pytania, i teraz wiemy, że więzienie to układ i musimy się nauczyć, jak w nim grać na naszą korzyść. Zamiast być na dnie, wśród tych wszystkich słabych i molestowanych frajerów, trzeba się dostać na samą górę. Zdążyliśmy już zrozumieć, że na pewnym poziomie jest mnóstwo reguł i przepisów. Złam je, a odeślą cię do miejsca zwanego blokiem, które przeraża nawet największych twardzieli. Na innym poziomie, na tym codziennym, nie obowiązują żadne reguły. To dżungla.

Daniel i ja chcemy dwóch rzeczy: być razem i pracować w kuchni. Nie zabrało nam wiele czasu, by zrozumieć, że skrzydło kuchenne to w więzieniu miejsce najlepsze i najlepiej płatne — 5,60 funta tygodniowo.

Mówimy klawiszom, że jesteśmy kuzynami i że Dan ma problem z czytaniem, więc mnie potrzebuje, żebym mu czytał listy, które do niego przychodzą. Mówię też, że jestem kucharzem. Nasz kit działa. Przenoszą nas obu do skrzydła kuchennego, z dala od morza. Shanea mają przenieść do skrzydła roboczego. Jesteśmy na paradzie — tak to się nazywa, kiedy się maszeruje w kółko i ustawia w kolumnie — gdy wywołują Shanea i go odprowadzają. Obserwuję go ze swojego rzędu. Nawet jeśli jest już dorosły, to ciągle ma odstające uszy i jest tamtym zaniedbanym, niekochanym dzieciakiem. Przypominam sobie, jak kiedyś błagał, żeby ojciec chodził na jego szkolne mecze, ale on nigdy

się na żadnym nie pojawił. Chciałbym, żeby teraz Shane się odwrócił i na mnie spojrział. Ale nie robi tego. Znowu czuję tamten ból i dotkliwy smutek, który jest zarezerwowany tylko dla mojego brata. Patrzę za nim, jak kroczy przez dziedziniec, aż w końcu nie mogę rozpoznać jego sylwetki na tle tylu innych, ubranych tak samo więźniów.

Pierwszego dnia w kuchni dowiadujemy się, że Dan będzie zmywał, a ja mam robić śniadania.

Kuchnia jest ogromna i błyszcząca, pośrodku stoi masywny, drewniany stół. Ze szklanej budki przygląda się nam strażnik więzienny. Chłopaki dają mi chwilę, żebym się zainstalował, a potem, kiedy mamy przerwę, odchodzą od sprzętów kuchennych i krzyczą: — Inicjacja!

Czas na otrzęsiny. Mam się na swój sposób sprawdzić przy użyciu pięści.

Chłopaki zerkają w stronę biura, gdzie za szklaną przesłoną pracuje strażnik. Nie widzi, co się dzieje we wnęce z toaletami, ale my wszyscy się tam widzimy, bo w kabinach nie ma drzwi. W sposobie, w jaki strażnik pochyla się nad papierami, podejrzenie skoncentrowany, jest coś, co daje mi pewność, że on dobrze wie, co się kroi.

Chłopaki dają mi możliwość wyboru. Mogę sobie wybrać kogoś mojego wzrostu i wagi. Będziemy się bić do krwi. Albo oni wszyscy mi dołożą.

Wybieram jakiegoś Walińczyka, który jest nieco wyższy ode mnie i ma tatuaże na ramionach i twarzy. Za rękawice bokserskie ma mi służyć para grubszych rękawic kuchennych. Przypominam sobie lekcje boksu, na które chodziłem jako dziecko. I jeszcze raz po cichu dziękuję szkolnemu psychiatrze.

Przechodzimy do wnętrza z toaletami, poza zasięg wzroku strażnika, gdzie rozchodzi się zapach moczu, a na podłodze widać ślady plwocin i krwi. Stajemy naprzeciwko siebie w białych kuchennych kombinezonach i w żaroodpornych rękawicach. Boję się. Mamroczę: — Słuchaj, stary. Weźmy się tylko trochę poobijajmy. Nie zrobię ci krzywdy, jeśli i ty mnie nie skrzywdzisz.

Ale Walińczyk nie bawi się w żadne ceregiele i ledwie kończę mówić, wali mnie mocno prosto w twarz. No, to teraz mnie wkurwił. Jestem wściekły. Więc walczę. I to ostro. Ze strachu i w zajadłej furii, o której nie wiedziałem, że we mnie siedzi, walę z całej siły. Czuję swoje ciosy przez kuchenne rękawice, pod pięściami czuję jego skórę i kości twarzy. Rozpoznaję w jego oczach ten szklisty wyraz przerażenia. Mięśnie moich ramion kurczą się niczym tysiące gumek recepturek za każdym razem, gdy je cofam, a kiedy uderzam, zamieniają się w stal.

— John—son! — krzyczą chłopaki. W więzieniu nie używa się żadnych imion. Ale z czasem okrzyk przechodzi w John—o, John—o!; w rytm skandowania okładam twarz walijskiego koleśka, aż jego ciało zwala się pod moje nogi. Wskakuję na niego i nie przestaję bić. Z głębi mnie wyskoczył jakiś demon, demon czystego, rozpalonego do białości gniewu.

Siły mnie nie opuszczają, dopóki nie ma wystarczająco dużo krwi, by zakończyć walkę. Biały kombinezon Walińczyka jest cały we krwi i szczyinach. Wygrałem. Podnoszę głowę. Chłopaki wiwatuja. Strażnik najwyraźniej ogłuchł. Odsuwam się. Przede wszystkim jestem zaskoczony. Skąd wziął się tamten zły John—o i dokąd poszedł? Nie czuję już gniewu. Nic nie czuję. Pomagam wstać mojej ofierze.

Do końca dnia wszyscy skandują pod nosem: John—o, John—o! A więc dokonała się moja inicjacja, zaliczyłem sprawdzian i teraz jestem jednym z chłopaków. To taka forma projekcji, która dodaje pewności siebie. Mam tylko siedemnaście lat, a zakład przyjmuje chłopaków do dwudziestu jeden. Większość z nich to tak jak ja — proste chłopaki z plugawych miejsc. Ale niektórzy są niezwykle groźni: można to stwierdzić na pierwszy rzut oka. Jest taki jeden zwalisty wariat, wojskowy, który siedzi za gwałt. Skazano go tuż przed jego dwudziestymi pierwszymi urodzinami, więc ciągle tu jest, chociaż ma dwadzieścia dwa lata. Jest twardy i rzuci się na każdego słabszego albo na kogokolwiek, kto mu się postawi. Nie zamierzam wchodzić mu w drogę.

W pierwszym tygodniu Dan i ja pamiętamy, że za wszystko płaci się tutaj tytoniem. Wypalamy więc połowę naszych przydziałów, a resztę pożyczamy innym, i w bardzo krótkim czasie w całym bloku jest pełno chłopaków, którzy nam wiszą, i to tak dużo, że nigdy nie uda im się nas spłacić. Mamy ich w garści. Wkrótce też mamy tyle tytoniu, że sami nie jesteśmy w stanie go wypalić, więc mówimy chłopakom, żeby w zamian dawali nam ciastka, sok albo szampon. Koniecznie Timotei. To jest władza.

Kiedy przyjeżdża mama Daniela, mówi strażnikom, że przyjechała do nas obu. W pokoju widzeń są rzędy stolików, ale żaden stół nie będzie przeszkodą pomiędzy nią a jej chłopcami. Rzuca się przez blat, żeby nas przywitać. Cieszymy się, widząc ten wiecznie cierpiący, twardy kłębek miłości. Ocierając łzy ze zmarszczek, sięga do ust i wyjmuje mały prezent. Dan ma już w gotowości rozpięte spodnie. Przechwytuje paczuszkę

i szybko wsuwa w jedyną kryjówkę, jaką ma — w dupę, miejsce, które za pomocą oliwki już wcześniej na to przygotował. Resztę widzenia spędzamy w atmosferze wyczekiwania i paranoi.

Mama Daniela mówi szeptem: — Nigdy więcej, kurwa, nie przesmugluję tu żadnego haszu, nigdy!

Mężczyźni z jej rodziny kazaliję to przynieść. Wszyscy się dzieli. Wszyscy wiedzą.

— Przyjadę za dwa tygodnie — zapewnia nas. — I nie zamierzam przywozić więcej żadnego gówna.

Ale wiemy, że przywiezie. Dla innych może mieć srogą twarz i być słomianą blondyną, ale dla nas jest księżniczką. Nie posiadamy się z radości, gdy w celi udaje nam się bezpiecznie odzyskać hasz. Cały zatrzymujemy dla siebie. I kiedy strażnicy ryglują na noc wszystkie zamki, znów mogą się odprężyć przy lufie i wiem, że będę spał.

Od tej pory mama Daniela nieźle nas zaopatruje. A kiedy kochająca Vanessa mówi, że przyjedzie, ją także przekonuję, że przywiezienie nam odrobiny haszu nie jest takie znowu niebezpieczne.

Lubię piec i jestem dobry w ciastkach. Wstajemy o czwartej trzydzieści, jest nas około dziesięciu. Wszyscy razem jemy śniadanie przy ogromnym stole. Wcinamy kanapki z bekonem i pijemy herbatę, a na środku stołu stoi wielkie wiadro z mlekiem, w którym możemy zanurzać kubki. Kiedy kończę zmianę, przemycam ciastka i płatki kukurydziane i płacę dyżurnym, żeby pozwolili mi je wziąć do celi. Cały dzień śpię. Budzę się, gdy zaczyna się czas wspólnoty, co oznacza, że możemy się ze sobą bratać i grać w bilard. Na koniec się nawalam. Często mi się to zdarza, ale zawsze przed snaniem. A kiedy zasypiam, w prostym

rytmie swojego dnia odnajdują rodzaj szczęścia. Więzienie nie jest takie straszne, pod warunkiem że trzymasz się z daleka od bloku.

Ale tęsknię za światem zewnętrznym. Bo wiem, że on się zmienia, i to beze mnie. Kiedy przychodzą nowi więźniowie, mówią o nowej muzyce, nowych dragach i nowych imprezach. Narkotyki, które teraz wszyscy biorą, to LSD i amfa. Muzyka nazywa się acid house. A nowa rozrywka to rejwy. Rejwy to masowe imprezy, zwykle organizowane na powietrzu albo w jakichś ogromnych pomieszczeniach, takich jak hangar lotniczy, gdzie tysiące ludzi biorą amfę i kołyszają się w rytm muzyki.

Przypominam sobie, jak całymi nocami tańczyłem w Pace. Wydaje mi się, że to było trochę podobne do tych rejwów, o których teraz wszyscy mówią, tyle że na mniejszą skalę, a muzyką był wtedy rare groove. Co do amfy, to oczywiście jej próbowałem. To interesujący narkotyk, poszerzający granice widzenia, umożliwiający przekraczanie barier, dający dzikie odloty, ale niezupełnie rozumiem, dlaczego nagle zaczęły go brać tysiące ludzi.

Chłopaki opowiadają o rejwach, na których byli, i pożyczają mi nagrania z muzyką acid house. Słucham jej na okrągło. Słucham uważnie. Ale jej nie rozumiem. Nie wiem, w jaki sposób ta muzyka, ten narkotyk i te imprezy do siebie pasują. Nie mogę się doczekać, żeby stąd wyjść i wreszcie zobaczyć, co się dzieje w prawdziwym świecie.

Rozdział szesnasty

Pewnego dnia ktoś z nas próbuje przeszmyglować z kuchni kanapkę. Strażnik znajduje ją w szybie windy i się wścieka. Wszyscy jesteśmy w tarapatkach. Klawisz mówi, że odbierają nam posiłek. Ale my chcemy śniadanie, jesteśmy głodni i chcemy jeść.

Musimy się naradzić. Zbieramy się we wnęce w kiblu, tej samej, w której w kuchennych rękawicach pobiłem Walińczyka. Po paru minutach burzliwej dyskusji uzgadniamy wspólne stanowisko. Odmawiamy pracy.

Strażnicy stukają w szybę i każą nam wziąć się do roboty. My na to: - Odchrzańcie się!

Stukają mocniej. Ich twarze nagle się zmieniają: czerwienieją, pochmurnieją i jakby tężeją.

Tłumaczymy: - Nie ma śniadania - nie ma roboty.

Kilku klawiszy wychodzi z biura. Stanowczym krokiem kierują się w stronę wnęki w kiblu; przy każdym ich ruchu brzęczą łańcuchy i klucze. Próbują otworzyć drzwi. Blokujemy je nogami. Barykadujemy się. Tak naprawdę jesteśmy tylko dziesiątką dzieciaków, które chcą dostać śniadanie, ale dla władz więzienia w Portland jesteśmy buntownikami.

Jeden ze strażników włącza dzwonek oznaczający bunt i nagle zza drzwi słychać dudnienie kroków w ciężkich butach. Wpadają do środka i nas zalewają: buty, kaski, tarcze ochronne... na dobrą sprawę wszystkie elementy zestawu przygotowanego na wypadek buntu.

Wyciągają nas z wnęki jednego po drugim i brutalnie rzucają na podłogę. Kiedy przychodzi kolej na mnie, jednym szybkim ruchem pałki ścinają mnie z nóg i przygniatają do ziemi. Kolejna pałka ląduje na moich plecach i barkach. Potem, niemal wlokąc po podłodze, targają mnie do celi. Mówią, że idę na blok.

Wrzucam wszystkie swoje rzeczy do koca, który ściagam z materaca, i oddaję klawiszom. Na bloku nie wolno mieć nawet szczoteczki i pasty do zębów. Towarzyszą mi dwaj strażnicy. Rozdzielają nas, zajmują się każdym z osobna. Jestem sam i strasznie się boję. Nie wiem, co mnie czeka, ale wiem, że będzie źle.

Zabierają mnie na blok, a ponieważ to najstarsza część więzienia, czuję się, jakbym trafił do lochów. Na progu widać wgłębienie, które musiało powstawać przez wiele lat, a tabliczka wisząca przy drzwiach jest nieczytelna — napis ścierał się stopniowo przy każdym szorowaniu.

Żeby przejść przez drzwi, muszę się pochylić. Widzę rząd czekających na mnie strażników.

— Chodź no tu, gnojku! — krzyczą. Drzwi się zatrzasują, a stopy nawet nie dotykają podłogi. Strażnicy wnoszą mnie za łokcie i wrzucają do celi, gdzie z hukiem wpadam na ścianę. Zsuwam się po niej. Wrzeszczą na mnie, żebym wstawał. Kiedy to robię, widzę, że w mojej maleńkiej kamiennej celi jest chyba z sześciu mężczyzn. Wskakują na mnie, naciągają mi koszulę na głowę, a na ręce zakładają kajdanki. Opuszczają mi spodnie

i majtki do kostek, i gdy tak leżę, nagi i bezbronny, okładają mnie. Z całej siły. Pięściami, kolanami, łokciami. W którymś momencie podnoszę głowę i rozpoznaję jednego z nich. Jest chrześcijaninem, a przynajmniej zawsze gadał, jakby nim był. Teraz szczyrzy zęby, a najego szyi pobłyskuje maleńki krzyżyk. Podoba mu się to, może nawet czuje seksualne zadowolenie na widok nagiego, upodlonego, cierpiącego nastolatka. Zamykam oczy. Wszystko może się zdarzyć. Teraz zrozumiałem, że jestem daleko od tamtego uporządkowanego systemu reszty więzienia. Trafiłem do więzienia w więzieniu. Część strażników stworzyła własny, wypaczony, potajemny świat i urządziła go według swoich reguł. Mogą w tym świecie robić, co im się tylko podoba, i nikt się o tym nie dowie. Zaciskam mocniej powieki. Siedzę wśród gałęzi bardzo wysokiego drzewa i patrzę z góry, jak na dole sześciu facetów poniewiera przerażonego chłopaka.

Trwa to w nieskończoność. Kiedy wreszcie przestają się nade mną znęcać, dają mi instrukcje. Podłoga pokryta jest gumowymi płytkami; mówią mi, że za każdym razem, gdy usłyszę, że drzwi się otwierają, mam stanąć na dwóch płytkach na końcu celi po lewej stronie — na baczność, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, tak jak na paradzie — i podać swoje nazwisko, numer i nazwę zakładu.

Potem wychodzą i zostawiają mnie nagiego. Trzęsę się z zimna. Jest grudzień, a małe, wysokie i okratowane okno jest otwarte na oścież. Choć próbuję na różne sposoby, nie mogę go dosięgnąć i zamknąć.

Ściany więzienia wzniesiono z typowych dla Portland szaro—białych, kamiennych bloków. Poza nocnikiem, szmatą do podłogi i paroma kartonami w tym karcerze nie ma absolutnie nic.

Kartony są pewnie dlatego, że istnieją jakieś prawa człowieka, które mówią, że w każdej celi mają być krzesło i stolik. No, i faktycznie, kartony są złożone w kształt krzesła i stolika. Ale nie można przecież usiąść na kartonowym krześle. A do czego może służyć kartonowy stolik?

Nie mogę palić. Nic nie mogę robić. A gdy zbliża się pora obiadowa, sygnalizuje mi to tylko mój żołądek, bo w żaden inny sposób nie mogę zmierzyć upływającego czasu. Kiedy słyszę, że otwierają się drzwi, rzucam się na swoje dwie płytki i stoję na baczność.

— Johnson WM1702, Raleigh House, sir!

— Obiad! — drze się klawisz. Włazi do środka, łapie mnie za głowę, odchyłają do tyłu i tak mi ściska skronie, że wydaje mi się, że jego kciuki zagłębiają się w mózg. Wrzeszczy dalej, chociaż jego twarz znajduje się tuż przy mojej twarzy.

— Biegiem po obiad! Już!

Chcę wyjść z celi, ale od razu mnie zatrzymuje.

— Słuchaj no, kiedy mówię biegiem, to masz biec. I chcę to widzieć na twojej pieprzonej gębie, zawszony gnojku!

Staję z powrotem na dwóch płytkach i przygotowuję się do biegu. Moje ciało wyraża bieg. Moja twarz wyraża bieg. Klawisz wydaje okrzyk, rzucam się do drzwi, ale natychmiast zostaję powstrzymany.

— Gdzie! Nie mówiłem, kurwa, że masz wybiec ze swojej celi, nie? Masz biec do mnie. Biegniesz prosto na mnie. Tak szybko, jak tylko, kurwa, potrafisz. I pamiętaj, chcę to widzieć na twojej gębie.

Waham się przez moment, bo nie wiem, co ta gra ma oznaczać, ale dostałem instrukcje i nie chcę kolejnego lania. Jestem przerażony. Rozpędzam się od zera do setki — z wysuniętą do

przodu *szczęką* i wyszczerzonymi zębami wciskam się prosto w strażnika. Łapie mnie i wyrzuca z celi, wykorzystując moją siłę rozpędu. Łup, odbijam się od ściany i biegnę dalej, biegnę jak szalony wzdłuż starego korytarza do innego strażnika, który mnie przechwytuje i rzuca dalej, a po nim kolejny. Na końcu sprintu czeka na mnie obiad. Klawisz ciska go w moją stronę i teraz biegiem muszę z nim wrócić. Obiad jest wszędzie. Wylewa się na mnie i na podłogę, ale biegnę dalej. Jestem nagi, a strażnicy się ze mnie naśmiewają.

— Patrz, jakiego ma kutaska! — wrzeszcza. — Jaki mały kuta—sek! Mały, zawszony kutasek!

Potem zamykają za mną drzwi. Siadam nagi i zjadam resztki obiadu.

Na zewnątrz jest już ciemno; strasznie mi zimno. Znow próbuje zamknąć okno, ale bez skutku. Pod oknem wzdłuż ściany biegnie gorąca rura. Przyciskam się do niej w poszukiwaniu ciepła. Za jednym razem mogę ogrzać tylko parę centymetrów swojego ciała, ale to już coś.

Jednak strażnicy wracają i dostrzegają czerwone ślady po ciepłej rurze. Znow spuszczają mi manto. Nie można się ogrzewać.

Jeszcze później drzwi po raz kolejny się otwierają, więc skaczę na płytki, mówię nazwisko i numer, ale teraz już trzęsę się i ze strachu, i z zimna. Nigdy nie wiesz, co może się zdarzyć, gdy klawisze otwierają drzwi. Tym razem jednak, ostrożnie i cicho, do celi wchodzi ktoś mniejszej postury. Kapelan.

Widzi moje przerażenie. Widział to już wcześniej, w każdej celi, każdego wieczoru. — Nie bój się — mówi. — Nie skrzywdzę cię.

Ogląda moje sińce, przygląda mi się z troską. Jestem teraz w spodenkach, które dostałem wcześniej, inaczej ciągle byłbym

nagi. Nawet kapelan trzęsie się z zimna. Pyta, czy nic mi nie jest, czy chciałbym pogadać i czy coś mógłby dla mnie zrobić. Może mógłby się ze mną pomodlić? Mówię: — Nie, dziękuję, ojcze. Wychodzi, ciągle zatroskany.

Strażnicy wrzucają mi do celi materac i koc. Materac ma zaledwie kilka centymetrów grubości. Kładę go na podłodze, a potem, trzęsąc się pod kocem, rozmasowuję siniaki. Dookoła panuje głęboka cisza. Raz po raz przerywana krzykami. Gdzieś dalej w korytarzu kogoś biją. Później z oddali dochodzi do mnie dźwięk przypominający wycie zranionego zwierzęcia lub łkanie małego chłopca. Aleja nie płacze. Wiem, że niedługo będzie Boże Narodzenie i że to oznacza moje osiemnaste urodziny.

Codziennie rano muszę wyczyścić nocnik, to ohydne zajęcie, bo każą mi jeszcze płukać szmatę, którą dostałem zamiast papieru toaletowego.

— Łóżko w kostkę, mały jebańcu! — wydziera się klawisz. Muszę poskładać wszystko — łącznie z ubraniem — w idealną kostkę o równiutkich bokach. — Książka! — huczy strażnik, a ja muszę pobiec korytarzem do regału, złapać jakąś książkę — nie mam nawet sekundy, żeby zerknąć na tytuł — a potem wrócić do celi. Wszystkie książki to powieści, ale — niestety — każda bez wyjątku ma wyrwane przynajmniej dziesięć ostatnich kartek. Kanalie.

Za każdym razem, gdy mknę przez korytarz, mam ułamek sekundy na to, żeby zadziwić się jego czystością. Wystarczy spojrzeć do góry, by zauważyć, że lśnią nawet miedziane rury pod sufitem. Dopiero po jakimś czasie odkrywam, że na zewnątrz celi, po cichutku i pracowicie, armia porządkowych czyści i poleruje, czyści i poleruje. To cioty, przestępcy seksualni,

których trzyma się na bloku dla ich bezpieczeństwa, ale to daje im wolność. A oni lubią, jak wszystko dookoła łśni.

Poza krótkimi przerwami na bieganie i bicie, całymi dniami zostawiają mnie samego w celi, bez ubrania. Po kilku dniach nie jestem w stanie nawet czytać książki, którą chwyciłem rano. Na niczym nie mogę się skupić. Ciągłe na nowo liczę kamienie na ścianach (sto czterdzieści dwa z każdej strony). Biegam w kółko, wyśpiewując wszystkie piosenki, jakie znam, i wymyślając kilka innych. Krzyczę, tańczę, podśpiewuję, podskakuję. Próbuję też breakdancea. Próbuję body—popu. Tańczę robotik. Znow śpiewam. A potem mój mózg jest zbyt otępiały nawet na to, więc tylko skaczę beładnie w ciszy, by utrzymać ciepło. Ciągłe próbuję zamknąć to okno. Bezskutecznie.

Któregoś dnia pozwalają mi napisać listy. Zwykle dostaję ich sporo od Vanessy, więc próbuję jej odpisywać, ale nie tak, że ją kocham i proszę, żeby na mnie czekała (na to jestem zbyt twardy). Vanessa jest jedną z nielicznych osób, które wiedzą, że istnieje inny Mark, więc gdy do niej piszę, staram się jej pokazać, że jestem kimś więcej niż bandytą. Opowiadam, jak bardzo chcę się zmienić. A ona chyba to rozumie. Dzisiaj piszę do niej najbardziej otwarcie i szczerze, jak umiem. Piszę też do Kirsty — tej dziewczyny, którą poznałem w plastyku. Nasza znajomość była krótka, ale teraz, w tej małej celi, muszę mieć z kimś kontakt. Kirsty nie jest zwykłą fryzjerką, tylko stylistką. Maluje usta jasnoczerwoną szminką i nosi modne ciuchy. Mieszka ze swoimi bogatymi rodzicami w Wolver—hampton. Jej też nie przyrzekam dozgonnej miłości, ale nadmieniam, że kiedy wyjdę z więzienia, moglibyśmy się spotkać.

Strażnicy, rzecz jasna, czytają moje listy. I robią mi kawał. Do koperty zaadresowanej do Kirsty wkładają list do Yanessy

do Vanessy wysyłają ten przeznaczony dla Kirsty. Dowiaduję się o tym, bo niemal natychmiast dostaję dwa krótkie pożegnalne listy, a przynosi mi je rozradowany, szeroko uśmiechnięty kawiś. Jestem bliski płaczu. Teraz już naprawdę jestem sam w tej zimnej, pustej celi. Straciłem Vanesę.

Matka z Bethany przyjeżdżają w odwiedziny do mnie i do Shanea. Odkąd opuściłem dom, prawie ich nie widywałem, ale ponieważ jestem na bloku, nie możemy rozmawiać dłużej niż kwadrans. Z Lake District do Portland musiały przejechać osiemset kilometrów. I mają tylko piętnaście minut, żeby mnie zobaczyć. Kiedy strażnicy wprowadzają mnie do sali widzeń, Shane już tam jest. Mama i Bethany przyglądają się moim ranom, siniakom i podbiteму oku. Zaczynają płakać. Staram się im wytłumaczyć, jak to jest na bloku. Shane oczywiście o tym wie, ale nawet on jest zszokowany.

Mama mówi przez łzy, że napisze do premier Margaret Thatcher. Proszę, żeby tego nie robiła, bo to może tylko pogorszyć moje położenie.

W ciągu tego kwadransa dowiaduję się, że Kelly zostawiła swojego chłopaka i przeprowadziła się w rejon Lake District. Ach! No, i w końcu rodzice formalnie się rozwiedli. Jeszcze w plastyku, czyli jakieś tysiąc lat temu, dowiedziałem się, że nareszcie postanowili przestać się wzajemnie torturować. I wcale nie dlatego, że mama wyrzuciła tatę, bo ten miał kolejną dziewczynę, która była w ciąży. Ojciec poprosił Kelly, żeby ta powiedziała mamie, że on nie wróci już do domu. Teraz mieszka ze swoją nową partnerką w Durham. Mama mówi, że farma została sprzedana, a ona i Bethany mieszkają w Kendal. I wtedy kończy się mój czas. Nie patrzę na nich, gdy strażnik mnie wprowadza.

Na dziesięć dni mojego pobytu na bloku przypada tylko dziesięć minut spaceru po maleńkim dziedzińcu. Akurat pada. Przez resztę czasu jestem zamknięty w celi. Cisza jest bezgraniczna. Podobniejak nuda, depresja, smutek i przerażenie.

Moja najszczęśliwsza chwila przychodzi razem ze strażnikiem, który daje mi do obrania brukselkę. A więc musi być Boże Narodzenie. Jestem wdzięczny, bo ten strażnik nie tylko dał mi coś do roboty, ale też odniosłem wrażenie, że był miły. W większości jednak klawisze są okrutni, sadystyczni i nieprzewidywalni. Terroryzują cię ciągłym straszaniem, że oberwiesz. Jakbym już to wszystko kiedyś przeżywał...

Kiedy w końcu wracam na stary oddział, widzę, że Daniel pewne rzeczy przeorganizował, i teraz jestem w celi obok niego. Nowa cela wydaje mi się dziwna i źle ustawiona. Początkowo czuję się tu nieswojo. Jestem zdezorientowany. W więzieniu każda zmiana celi jest traumatyczna, nawet jeśli to zmiana na lepsze, bo burzy rutynę, niezbędną do zachowania zdrowych zmysłów, i przypomina, że tutaj nad niczym nie ma się kontroli. Ktoś za pomocą pasty do zębów przykleja do ściany zdjęcia swoich bliskich, a ty patrzysz na cień ich obecności i musisz się nauczyć z nimi żyć.

Kiedy przychodzi strażnik z kocem, w który zawiąłem wszystkie swoje rzeczy, zaczynam się czuć jak w domu. Wyjmuję małe radio. Włączam je i kładę się na łóżku. Leci Sinead O'Connor, która śpiewa *Nothing compares to you*. Zamykam oczy. Odprężam się. Czuję, jakbym właśnie wyszedł z więzienia.

Rozdział siedemnasty

Będę inny. Zmienię się. Jadę więziennym minibusem do Weymouth. Tam wypuszcza się więźniów na wolność. Będę inny. Zmienię się. Jedziemy po wąskiej mierzei, aja patrzę z niedowierzaniem na horyzont. Czy wcześniej świat też był taki duży:¹ Kolory były takie żywe? Ogrom morza przypomina mi, jak mały był mój wszechświat przez ostatnie miesiące. Wdycham głęboko powietrze i czuję zapach wolności.

W minibusie jest nas sześciu; każdy ma w kieszeni brązową kopertę z trzydziestoma funtami. Wyglądam żałośnie, bo jestem w tych samych ciuchach, które miałem na sobie podczas ogłaszania wyroku: w podartym kożuchu i jakichś złachanych spodniach od dresu.

Wysiadamy przy stacji kolejowej w Weymouth. Jestem lekki jak piórko. Przez osiem miesięcy dźwigałem straszny ciężar, a teraz nagle się od niego uwolniłem. Większość z nas idzie prosto do sklepu monopolowego, umiejscowionego dogodnie naprzeciwko parku. Kupuję moje ulubione mocne piwo Special Brew. Zamykam oczy i czuję, jak bosko chłodny napój wlewa mi się do gardła. Nigdy wcześniej tak bardzo mi nie smakował.

To jak powrót do najlepszego przyjaciela, największej miłości, najwygodniejszych ciuchów albo ulubionego miejsca. Moje ciało się odpręża. Czuję, jak rozchodzi się po nim i dociera do głowy znajome, przyjemne i nieokreślone uczucie. Wsiadam do pociągu jadącego do Birmingham.

Miałem mnóstwo czasu, żeby zdecydować, gdzie udam się po zwolnieniu. Dan jest już w Kidderminster. Moja kara została przecież przedłużona po kuchennym buncie. Ale jeśli pojedę do Kidderminster, wiem, co się stanie: znów wpadnę w tamto szaleńcze życie, które za sobą zostawiłem. Najlepiej byłoby chyba, gdybym wrócił do mamy i spróbował się ustatkować. Mógłbym podjąć pracę, wykorzystując swoje piekarskie umiejętności. Ale najpierw muszę się spotkać z pewną dziewczyną. Vanessa ciągle jest na mnie obrażona po tym, jak przeczytała mój list do Kirsty. Ale Kirsty mi wybaczyła i obiecała pokazać, co do tej pory straciłem. Pomoże mi też znaleźć nowy styl, fryzurę i ubrania, jakie powinienem teraz nosić.

Mamy rok 1989, a ja czuję, jakbym w więzieniu spędził całe życie. Z Kirsty bardzo często uprawiamy seks, ale wcale nie jest mi dobrze. Jest dziwnie i niewygodnie, bo na dobrą sprawę w ogóle jej nie pamiętam, nie pamiętam jej ciała. Za to gdy zapadam się w prawdziwym łóżku z miękką pościelą i poduszkami, mam wrażenie, jakby moje życie nabierało kolorów.

Kirsty obcina mi włosy zgodnie z obowiązującą modą, z grzywką. Wybieramy się na zakupy i znajdujemy zielony, obszerny płaszcz z kapturem. I dzwony. Bezwzględnie muszę mieć szerokie spodnie. Gdy mam już komplet ubrań, jestem gotowy na pierwszy rejw. Ale nasza znajomość z Kirsty wygląda mizernie. Oboje świetnie zdajemy sobie sprawę z tego, że nasza

zażyłość skończyła się dawno temu, i nie wiemy, dlaczego ją kontynuujemy. Wybieram się do Kendal.

Mama i Bethany mieszkają w domu przy maleńkiej, brukowanej uliczce, która nazywa się Shambles. Cieszą się na mój widok. Bethany ma dwanaście lat, ale kiedy tak skacze z radości wokół mnie, ciągle wygląda jak mała dziewczynka. W naszej rodzinie nigdy wcześniej nie okazywaliśmy sobie uczuć, więc kiedy Bethany mnie przytula, robi mi się niedobrze. Patrzę na nią, na to bezradne dziecko, i przypominam sobie, jak lata temu wyglądało życie moje, Shanea i Kelly.

Odwiedzam Kelly, która też mieszka w Kendal. Jest teraz sama z dwójką dzieci, jedno z nich niedawno się urodziło.

Mówię rodzinie, że zamierzam się zmienić, i od razu szukam pracy. Mój kumpel Ian wyprowadził się z Kendal ze swoją rodziną, ale są inni znajomi, i kiedy wpadają mi w ręce wszechobecne ulotki o rejwie w Blackburn, wiem, że nie może nas tam zabraknąć.

Gdy dojeżdżamy do Blackburn, okazuje się, że miasto jest totalnie sparaliżowane. Wszystkie auta, od mercedesów po garbusy, tkwią w gigantycznym korku. Wyją odtwarzacze w samochodach, ludzie wchodzą na dachy wozów albo tańczą na ulicach, niektórzy się rozbierają, słodki zapach haszyszu rozchodzi się szybciej, niż posuwają się pojazdy, ludzie gwizdzą, śpiewają, pokrzykują, przytulają się, a światła zmieniają się z zielonych na czerwone i znów na zielone, a wszystko stoi. Impreza zaczyna się rozkręcać tu i teraz.

Policja jest zupełnie zdezorientowana. Nikt ich nie uprzedził, że dziś wieczorem w Blackburn będzie się działo coś takiego. Są absolutnie nieprzygotowani.

W końcu docieramy do ogromnego pola. Nikt nie chce od nas kasy. Nigdy nie widziałem tylu ludzi — wszyscy są równie młodzi jak ja, wszyscy biorą kwas i kołyszają się w rytm muzyki. Podoba mi się. Bardzo mi się podoba. Dołączam do tłumu.

Kiedy biorę kwas, wszystko, co wcześniej wiedziałem, staje się zagadką. Moje życie nie było niczym więcej niż błahostką i nudą, zostało zdominowane przez durną codzienną rutynę w więzieniu, a teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko cudownie i radykalnie przeobraża się w nieskalany, kolorowy świat. Mam wrażenie, że zaczynam odkrywać jakieś prawdy, że po tych wszystkich miesiącach więziennych przemyśleń wkraczam teraz na inny poziom świadomości, z nowymi możliwościami i nową nadzieją. Pierwotny rytm muzyki kompletnie mnie wciąga. Doświadczenie jest niemal hipnotyczne. Chwilami nawet nierzeczywiste. Alkohol, bójki czy pieprzenie się z kimś, kogo rano nawet nie pamiętasz, to miniona epoka. Z obecnej perspektywy wszystko to wydaje mi się obrzydliwe i płytkie. Teraz już rozumiem fenomen rejdów. Są nowe, są na czasie, są rewolucją.

Po tym doświadczeniu trudno mi się zająć szukaniem pracy. Ale wkrótce ją znajduję. Będę piekarzem hotelowym. Codziennie rano wstaję wcześniej, a po pracy do późnej nocy przepijam zarobki. Piję dużo. Na umór. Którejś nocy zsikuję się do łóżka. Mama ma dość.

— Stałeś się taki sam jak ojciec — mówi smutno. I prosi, żebym się wyniósł.

Przez kilka nocy śpię w samochodzie i zastanawiam się, czy życie może polegać na czymś więcej niż rozprostowywaniu rano zbolałych kości i wleczeniu ich do durnej pracy, gdzie zasuważą

inni bezmyślni ludzie roboty. A potem myślę sobie: chrzanić to. Byłem w końcu na bloku, więc muszę być bardzo zepsuty. Za bardzo, bym mógł się zmienić. Łapię najbliższy pociąg do Kid—derminster, gdzie czeka na mnie Daniel — mój brat i przyjaciel Daniel. Rozpoczniemy na nowo tamto zwariowane życie, które zaprowadziło nas do więzienia.

Mama Daniela cieszy się, gdy mnie widzi, i pozwala mi u siebie zostać. Wydaje się rozumieć, że ja i Daniel jesteśmy prawdziwymi braćmi, bo dzieliliśmy wspólną celę. Od teraz jesteśmy zawsze razem.

Znów zaczynamy kraść i handlować, tyle że teraz jesteśmy twardsi, znacznie twardsi, a to, co robimy, jest bardziej cyniczne. Wiem, że się zmieniłem. Szkoła plastyczna;¹ Tamten zwariowany pomysł, by zostać artystą? No cóż, wybito mi go z głowy, i to dosłownie. W więzieniu nauczyłem się nie tylko polegać na własnym sprycie i manipulować innymi, ale też i tego, że standardowym sposobem na przetrwanie jest stosowanie przemocy i odwetu. I mogę jeszcze podziękować blokowi za to, że stałem się ekspertem w brutalności. Portland było dla przestępców świetnym ośrodkiem szkoleniowym: teraz znacznie łatwiej przychodzi mi robić nawet najgorsze rzeczy bez żadnych skrupułów.

Już po kilku dniach jestem u rąbniętych braci Jakea i Glena. Są też ich znajomi. Czuję się beznadziejnie. Nie chcę być z tymi ludźmi i nie chcę zachowywać się tak jak oni. Obezwładnia mnie własna bezsilność.

Lepiej być nie mogło, bo okazuje się, że Vanessa mi wybacza. Patrę na jej słodką, kształtną buzię i przepraszam. Raz jeszcze w Marku bandycie Vanessa dostrzega Marka, który jej potrzebuje, ale nie potrafi się do tego przyznać. Uśmiecha się. Nadal

mnie kocha. Kolejny raz znajduję w jej domu schronienie. Choć moim głównym schronieniem są używki. Te z wyboru to mocne piwo Special Brew oraz amfetamina. Amfa pozwala dużo wypić i cały czas trzyma człowieka na nogach, a przy tym dostarcza dodatkowej dawki emocji. Minusem jest to, że takie połączenie może być psychotyczne. Człowiek nie upija się na wesoło. Wszystko mu się miesza, wpada w paranoję i robi rzeczy, których normalnie by nie zrobił.

Pewnego dnia, nieźle podchmieleni po Special Brew i nabuzowani po amfie, siedzimy w parku. Podchodzi do nas znajomy facet. Michael jest stary, ma ponad trzydzieści lat, nosi garnitur i koszulę z eleganckimi spinkami przy mankietach. To znany miejscowy kanciarz. Mówi, że jest interes do zrobienia. Kiedy słyszymy, że tego dnia w Kidderminster ma się pojawić broker ubezpieczeniowy, w głowach zapalają się nam ostrzegawcze lampki. Broker ma mieć przy sobie kupę kasy, karty kredytowe i bardzo przydatne książeczki czekowe, które potem Michael może łatwo zamienić na pieniądze.

Przytakujemy. Brzmi nieźle. Jesteśmy zepsuci i potrzebujemy kasy na narkotyki, więc to dla nas żaden problem — posunąć się do takiego łatwego przestępstwa. Siedzieliśmy w pace, wiemy zatem, że jesteśmy przestępcami.

Michael mówi, że potrzebuje paru szybkich, sprytnych gości, którzy skutecznie oddziela od tego brokera zawartość jego kieszeni. Jeśli podejmiemy się tej roboty, dostaniemy nagrodę.

Energicznie i zuchwale podążamy za Michaelem do pubu niedaleko centrum miasta. Mówi, żebyśmy na niego poczekali, a sam wchodzi do środka. Jakiś czas później wynurza się z lokalu i daje nam sygnał, wskazując głową mężczyznę, który

idzie ulicą. Wysoki, wyprostowany, w niebieskim blezerze i szarych spodniach, z włosami delikatnie siwiejącymi na skroniach.

Podążamy za tym facetem. Jesteśmy strasznie podekscytowani; amfetamina przyspiesza puls. Daniel ciągle chichocze: zawsze to robi, gdy się boi. Gość schodzi ulicą w dół. My, starając się wyglądać normalnie, choć przecież jesteśmy porządnie podchmieleni, idziemy za nim. Przy dużym rondzie mężczyzna schodzi do przejścia podziemnego. Przypominam sobie, jak jeszcze jako dziecko zjeżdżałem po tych schodach na tacy.

Pod rondem mężczyzna wchodzi do toalety. Idziemy za nim. Atmosfera się zmienia. Jest zimno i obskurnie. To odpowiednie miejsce na to, co mamy zrobić. Gość podchodzi do pisuaru, a gdy tylko przy nim staje, za jego plecami pojawia się my. Ramieniem opasującego jego szyję, a nogą kolana — to chwyt, który niegdyś dość często stosowałem. Mężczyzna się szamocze. Żeby się uspokoił, walę jego głową o ścianę. Szybko go łapię i przyciągam do siebie tak mocno, że widzę ścieg na jego drogim niebieskim blezerze. Mówię: — Jeśli nie będziesz się ruszał, nic ci się nie stanie. — Dobra, dobra — odpowiada i nieruchomieje, podczas gdy Daniel przeszukuje mu kieszenie i wyciąga portfel. Wszystko trwa tylko kilka sekund, a jest tak ekscytujące jak przejażdżka kolejką górską w wesołym miasteczku.

Gdy tylko go puszczam, facet się odwraca i próbuje mnie złapać. Dopada go Daniel i wyciąga skądś nóż. Nie wiedziałem nawet, że go ma. Widzę krew, i nagle jest ona wszędzie, pokrywa podłogę w toalecie, ściany, rozpryskuje się na moim ubraniu. Mężczyzna się krzywi. Już nie stoi na nogach. Osuwa się po ścianie obok pisuaru, a my się odwracamy i biegniemy z powrotem przez przejście podziemne, a potem do parku.

Mijamy jakąś kobietę obładowaną siatami. Dan popycha ją na ścianę, torby z zakupami wypadającej z rąk, a zawartość rozsypuje się po ulicy. Dan śmieje się jak psychol.

Wbiegamy do parku. Pod drzewem wyciągamy z portfela gotówkę i zatrzymujemy ją dla siebie. Nie zamierzamy szukać Michaela. Idziemy do domu i siedzimy cicho. Kiedy trochę trzeźwiejemy, zaczynam odczuwać głęboki, paniczny strach, że zabiłem tego brokera. Jestem przerażony. Ale przeraża mnie coś jeszcze. Zrobiłem komuś krzywdę, a może nawet go zabiłem, i nic nie poczułem. Tak jakby zrobił to za mnie ktoś inny, nie ja. To samo czułem, gdy bił mnie ojciec albo strażnicy w więzieniu. Wszystko to jakby przytrafiało się komuś innemu.

Następnego dnia przychodzi Michael. Oddajemy mu karty, a on zabiera nas do sklepów, gdzie kupuje nam mnóstwo rzeczy, na które mamy ochotę, takich jak ubrania i złota biżuteria. Dostaję jaskrawą koszulkę, żółte spodnie i parę jasnobrązowych, wysokich butów marki Kickers. Zaczęliśmy jeździć na rejsy do Birmingham, do klubu, który nazywa się Kolibri, gdzie słucho się acid houseu, bierze się kwas i ubiera w dziwaczne, kolorowe ciuchy.

Kilka tygodni później Michael zostaje aresztowany za próbę sfałszowania jednego z czeków tamtego faceta. Wyśpiewuje wszystko jak ptaszek. Na posterunku dowiaduję się, że tamten gość wcale nie był brokerem ubezpieczeniowym — to był ponoć jakiś emeryt. Cóż, nie wyglądał aż tak staro. Na szczęście nie umarł, chociaż Daniel najwidoczniej odciął mu jednak kawałek ucha. A więc Michael zmyślił całą historię o brokerze: wszedł do pubu i po prostu wybrał kogoś, kto nieźle wyglądał. Michael był kanciarzem i najwidoczniej okantował także nas.

Przez dwa dni przesłuchań wciąż zaprzeczam, żebym cokolwiek wiedział o przestępstwie, ale pod koniec drugiego dnia zaczynam się godzić z faktem, że wrócę do więzienia. Kiedy policjanci mówią, że mają zamiar sprawdzić sklepy, w których Michael kupił nam ubrania, poddaję się. Wiem, że zostaliśmy tam zarejestrowani na kamerach.

Mówię gliniarzom o wszystkim, co się wydarzyło, przemilczam tylko, że byliśmy naćpani. Po ostatnim wyroku zdążyłem się nauczyć, że jeśli się przyznasz, że byłeś niezupełnie świadomy, ściągasz na siebie wszelkie możliwe zarzuty. Taki jest system, ale ja umiem już się w nim poruszać.

Stawiają nam zarzut rabunku z użyciem przemocy i zaciągają przed troje sędziów. Przewodniczącą składu jest staruszka. Musi mieć co najmniej dziewięćdziesiąt lat. Wszystko wygląda jak w filmie, bo czuję się, jakby mnie tam wcale nie było, jakbym oglądał kogoś innego. Sędzia mówi, że stawia mi się zarzut ohydnej zbrodni i że ulice nie są bezpieczne, kiedy jestem na wolności. Mówi, że jestem niebezpieczny. Patrzę na nią z niedowierzaniem. Myślę: przecież ty mnie wcale nie znasz!

Mówi dalej, że ten sąd nie ma wystarczających uprawnień, by zajmować się naszą sprawą, co musi oznaczać, że pójdziemy siedzieć na dłużej niż rok: policjanci mówili coś o pięciu latach. Nagle brakuje mi powietrza. Chwilę to trwa, zanim łapię oddech. Daniel jest przy mnie; on pierwszy odzyskuje równowagę. Odwracając się, zdobywamy się na dawną zuchwałość. Słyszę, jak któryś z nas się śmieje i mówi sędzi, żeby się odwaliła — nie wiem, czyj to głos, Dana czy mój. Wypełnia mnie pustka.

I w ten sposób po niespełna dwóch miesiącach od zwolnienia znów trafiam do paki. Miejsce, w którym czekam na wyrok, to

Redditch. Ostatni raz byłem tu, kiedy odwiedziłem Allbutów, cały dzień bawiłem się wtedy w lesie i widziałem zająca biegnącego po zaoranym polu. Piękno tamtego kadru sprawia mi przyjemność nawet teraz. Zastanawiam się, czy Allbutowie ciągle tu mieszkają. Jeśli tak, są kilka kilometrów ode mnie, ale równie dobrze mogliby być na drugim końcu świata.

Po czterech miesiącach skazują mnie na dwa i pół roku. Sędzia mówi, że mój czyn był nikczemny.

Rozdział osiemnasty

Trafiam do specjalnego więzienia dla młodocianych przestępców w Rugby. Mam teraz własną celę, a odwiedziny Vanessy, mojego brata Shanea i mamy Daniela zapewniają mi zapas skrętów z haszyszem na każdą noc. To dobre więzienie, są tu przyzwoici strażnicy, a gdzieś tam nawet... toalety ze spłuczkami. Ale po niemal roku uwięzienie daje mi się we znaki. Jestem rozdrażniony. Nie mogę się uspokoić. Skręty już mnie nie rozluźniają, powodują tylko większy niepokój. Miewam napady paniki, pocę się ze strachu. Z jednej strony nie mogę się doczekać zwolnienia, z drugiej - nie wiem, jak mógłbym się zmienić. Vanessa jest moją dziewczyną. Wrócę z nią do Kidderminster? Jeśli to zrobię, z miejsca trafię z powrotem do paki.

Zadaję te wszystkie pytania, kiedy kurator sądowy przeprowadza ze mną rozmowę, po której ma się okazać, czy po roku zawieszą mi karę. To kobieta w średnim wieku, typowa przedstawicielka klasy średniej, urzędnik państwowy. Pochyla się w moją stronę.

- Przyznaj, Mark, że masz problem z narkotykami.

Patrzę na nią bezmyślnie.

— Nie mam.

— Popełniłeś przestępstwo, którego prawie nie pamiętasz. Wyszedłeś na dwa miesiące i popełniłeś kolejne, znowu pod wpływem narkotyków. Branie kosztowało cię już dwa lata młodości. Nie możesz przyznać, że masz z tym problem?

Ciężko przełykam ślinę.

— No więc... — Kaszlę. Długa przerwa. Urzędniczka czeka. — Jeśli tak to pani przedstawia, to pewnie mam.

— I kiedy wyjdiesz, wszystko znów może się powtórzyć. Potrzebujesz pomocy, Mark, prawda?

Coś w jej głosie sugeruje, że za chwilę złoży mi jakąś propozycję. Tak coś czuję. Wyczuwam możliwość zmiany mojego położenia.

— Prawda — mówię. — Potrzebuję pomocy.

— Co robiłeś przed pierwszym wyrokiem? Miałeś jakąś pracę?

Mówię, że chodziłem do plastyka. Kiedy drżącym głosem przyznaję się, że marzyłem o tym, by zostać artystą, chce mi się z siebie śmiać — śmiać i płakać jednocześnie.

Kuratorka słucha. Potem proponuje, żebym — zamiast odsiazywać karę w więzieniu — poszedł do ośrodka odwykowego dla narkomanów w Birmingham. Ta kobieta mówi, że mogę wyjść z więzienia! Nie wierzę własnym uszom.

— Są jednak pewne warunki — ostrzega mnie. — Podczas terapii nie możesz pić ani brać żadnych narkotyków. Jeśli złamiesz zasady, z miejsca zostaniesz odesłany do więzienia, by dokończyć karę.

Mówię: — Chcę spróbować. I naprawdę tak jest. Nie tylko chcę wyjść z więzienia. Ja naprawdę chcę się zmienić. Ale muszę trafić gdzieś, gdzie mógłbym prowadzić życie z dala od

tego pociągu, do którego wsiadłem. Ta kobieta oferuje mi bezpieczny azyl.

Gdy tylko Dan się o tym dowiaduje, mówi to samo co ja, że ma problem z narkotykami i że dramatycznie potrzebuje odwyku. Ignorują go.

Opuszczając więzienie, czuję straszny niepokój. W pociągu się denerwuję. Wyglądam przez okno i patrzę na zadziwiającą świeżość świata. W więzieniu wszystko jest zwietrzałe, a tutaj kolory są tak żywe, że niemal agresywne.

Kuratorka zabiera mnie do olbrzymiego, pięknego domu w Edgbaston. Został ostatnio odremontowany przez fundację charytatywną pomagającą osobom uzależnionym od narkotyków. Fundacja nazywa się Turning Point [Punkt Zwrotny — *przyp. tłum.*], a ośrodek otworzyła księżna Diana. Są w nim wysokie pokoje, ogromne okna, sięgające od podłogi po sufit, są tarasy i ogrody. Ktoś mówi mi, że w jednym z tych ogrodów Tolkien napisał *Władcę pierścieni*; kiedy wychodzę na zewnątrz, pod wielkimi krzewami widzę oryginalne, ozdobne i bardzo stare lampy.

Onieśmielony wielkością domu, wracam do swojego pokoju i kładę się na łóżku; mam wrażenie, że to jedyne bezpieczne miejsce. Na drugim posłaniu leży jakiś facet, trzęsie się, jęczy, chwytając kurczowo za nogi, kołysze w przód i w tył i coś do siebie mówi.

Wiem, co to jest; już to kiedyś widziałem. Jest uzależniony od heroiny, a to są objawy głodu narkotycznego. To się nazywa klekot.

— Nie brałem nic od tygodnia — mówi.

Wchodzi mój opiekun, Hugh, więc zrywam się na równe nogi i zaczynam składać pościel w kostkę, tak jak robiłem to w pace.

— Uuuuuuu — Hugh reaguje śmiechem. Jest ode mnie starszy o jakieś dziesięć lat, ma modną fryzurę i dżinsy. — Wyluzuj, nie jesteś w więzieniu! Chciałbym z tobą pogadać o tym, jakim rodzajem sztuki się interesujesz. Ostatnio obroniłem licencjat ze sztuki.

Siadam z powrotem na łóżku.

Hugh objaśnia, jak działa ośrodek. Cały zespół to pracownicy społeczni albo ludzie pracujący z upośledzonymi umysłowo. Są przekonani, że uzależnienie narkotykowe to wynik uwarunkowań rodzinnych i środowiskowych.

— Uzależnienie to wyuczona reakcja — mówi. — Uważamy, że po odpowiednim leczeniu można się od niego uwolnić!

Brzmi to niezwykle prosto. Tyle że ja nie uważam się za uzależnionego od narkotyków. Co innego Joe, który leży na sąsiednim łóżku i klekocze, bo nie może wziąć ani grama heroiny. On jest ćpunem. Ja brałem co prawda wiele dragów, pewnie więcej niż większość ludzi, ale nie jestem taki jak on. A poza tym nie mam zamiaru robić sobie zbyt długiej przerwy w braniu. Życie bez alkoholu i narkotyków byłoby dla mnie jak życie bez nóg albo rąk. Nie do pomyślenia. Niewyobrażalne.

Hugh miał rację, mówiąc, że to miejsce nie jest więzieniem. W drzwiach nie ma żadnych zamków. W każdej chwili mogę wyjść. Zamiast zmuszać nas do pracy, dają nam pieniądze. Są wycieczki, spotkania grupowe, na których opowiada się swoją historię, albo takie, na których można porozmawiać o swoim samopoczuciu. Któregoś dnia dają nam do wypełnienia formularz z listą wyrazów wypisaną po lewej stronie. Po prawej mamy napisać, co te słowa dla nas oznaczają. Te słowa to bezsilność, desperacja, nieuczciwość...

Jestem skołowany. Nie wiem, co mam napisać o nieuczciwości. Odwracam się do gościa siedzącego po prawej stronie i stosując sposób ściągania, którym posługiwałem się podczas egzaminów w szkole, zerkam na jego kartkę. W odpowiednim miejscu gryzmołę trochę zmienioną wersję jego odpowiedzi. To właśnie oznacza dla mnie nieuczciwość.

Przez pierwsze miesiące ciągle jestem niespokojny. Po więziennym reżimie konieczność przystosowania się do normalnego świata trochę mnie przeraża. Tak długo samotnie spożywałem posiłki, że teraz boję się to robić przy ludziach. Nie jestem pewien, jak powinienem się zachowywać. Nie wiem też, jak układać stosunki z innymi bez więziennych schematów, czyli manipulacji, gróźb i przemocy. W dodatku już od dawna w konfrontacji ze światem towarzyszył mi Dan, a teraz jestem sam.

Jednak stopniowo zaczynam się czuć swobodniej i włączać w życie domu. Pracownicy społeczni zachowują się jak sympatyczni, ale nadwrażliwi rodzice. Natomiast relacje między pensjonariuszami są dość złożone. Każdy sypia z każdym, niemal bez wyjątków. Skomplikowany układ par zmienia się co kilka tygodni. Po wymianie partnerówjedni się obrażają, inni są wkurzeni, i generalnie atmosfera domu na jakiś czas ulega zmianie. A potem wszystko układa się na nowo i czekamy na kolejną zmianę. Vanessa, która w czasie moich obu odsiadek dostarczała mi skręty, często do mnie przyjeżdża. Udaje nam się nawet ze sobą sypiać. Ale mam też dziewczyny w domu. Najlepsza z nich to Jodie, bardzo atrakcyjna Murzynka, dziwka i ćpunka. Jest zabawna i wesoła, często się śmieje i jest miła dla innych.

Jodie jest pięć lat starsza ode mnie, ale szybko odkrywam, że pod tym ciągłym chichotem i luzackim jamajskim stylem bycia

kryje się głęboki smutek. Jest w nim coś takiego, co upodabnia go do mojego własnego smutku.

Całe zachowanie Jodie jest jakby podszyte seksem: praktycznie wszystko, co mówi czy robi, ma podtekst erotyczny. Wielokrotnie w życiu doświadczyła brutalnej fizycznej i seksualnej przemocy, a teraz, kiedy jest narkomanką, prostytutka stanowi dla niej jedyną szansę pozyskania środków na finansowanie nałogu. Jodie jest tutaj, bo tak jak każdy narkoman, naprawdę chce przestać brać. Albo przynajmniej chce zrobić sobie przerwę od codziennej udręki, jaką niesie uzależnienie. Wszyscy jednak wiedzą, że jej szanse na wyleczenie są mizerne. Właściwie to miejsce jest dla niej sposobem na podratowanie zdrowia. Mimo że niczego tu nie bierze, czeka na dzień, w którym wyjdzie i na nowo wróci do narkotyków — tak jak większość z nas.

Poza Jodie najlepszą stroną tego odwyku są zajęcia artystyczne. Jestem na nich niemal bez przerwy. Bardzo pomaga mi Hugh, rozmawia ze mną o moich pomysłach, sugeruje środki ekspresji. Robię szkice, maluję, czasem lepię coś z gliny, ale moją nową miłością staje się fotografia. Hugh namawia mnie, żebym zwrócił się do Fundacji Księcia Karola z prośbą o dotację na zakup aparatu. Robię nim zdjęcia w okolicy Birmingham, niektóre zostają nawet wybrane na jakąś wystawę. Na moim ulubionym zdjęciu trzech trampów z psem i butelką wina opiera się o siebie na ławce. Widać, że każda z tych twarzy ma swoją historię; można się zastanawiać, jak to się stało, że znaleźli się na ulicy. Czy dokonali serii wyborów, czy też popełnili serię pomyłek?

Dostaję zlecenie fotograficzne. W Birmingham ma się odbyć spore wydarzenie charytatywne związane z modą, płacą mi za zrobienie oficjalnych zdjęć. Idę tam z Jodie. Zakłada czarną

sukienkę wyszywaną maleńkimi koralikami. Wygląda fantastycznie. Zaraz *zaczynają* się koło niej kręcić superważni faceci w czarnych krawatach. Robię zdjęcia modelkom, a potem, na szampańskim przyjęciu po imprezie, pstrykam jeszcze parę fotek kilku grubym rybom. Wszyscy wyglądają jak bohaterowie *Dynastii*. Kiedy kończę, idę prosto do swojej ciemni. Jodie nie wraca ze mną. Zostaje na przyjęciu i wypija kolejne lampki darmowego szampana. W ośrodku zjawia się następnego dnia, zmięta i cuchnąca alkoholem. A tu nie wolno pić. Wyrzucają ją.

Kiedy przychodzi na mnie pora i opuszczam ośrodek, idę prosto do monopolowego. Wszyscy tak robią. W ośrodku czas spędza się na rozmowach o tym, co się weźmie pierwszego dnia po wyjściu — nikt z nas nie zamierzał rzucić nałogu na zawsze. Serdeczni, lecz wprowadzeni w błąd pracownicy społeczni starali się nas przekonać, byśmy się zmienili, ale z tego, co wiem, z żadnym z nas im się to nie udało. Wszyscy uważamy, że kontrolujemy nasze nawyki narkotykowe. Dla nas dragi nie stanowią problemu, który należy rozwiązać.

Nie mogę jednak powiedzieć, by ta terapia była zmarnowanym czasem. Było znacznie przyjemniej niż w więzieniu, poznałem Jodie i spełniałem się artystycznie. Miałem też czas, by podjąć decyzję, że nie chcę już żyć jak bandyta z Danem w Kidderminster. Wiem, że nie chcę spędzić reszty życia, włóczęc się między okropnymi domami, w których dorastałem, wciąż pijąc i kradnąc. Podejmuję świadomą decyzję, żeby wysiąść z pociągu, którymjadę, i zmienić kierunek.

Piszę do Daniela, który jest jeszcze w więzieniu. Informuję go, że zostaję w Birmingham i zmieniam swoje życie. Z pewnością na zawsze zostaniemy przyjaciółmi, ale teraz moje życie

obiera inny kierunek. Tłumaczy też Vanessie, że ją opuszczam. Płacze. Wygina w podkówkę swoje słodkie usta. Ostatnich kilka lat spędziła, odwiedzając mnie w więzieniu, a kiedy teraz wyszedłem, mówię jej, że odchodzę.

— Dlaczego? — pyta z twarzą zalaną łzami.

Nie mogę spojrzeć jej w oczy. Nie wiem, jak wytłumaczyć, że jej życie biegnie jednym torem, a moje — drugim. Nie mogę jej powiedzieć, że nie chcę już jechać tym samym pociągiem co ona, że nadszedł już czas, żebym zmienił dobrą, ale zwyczajną ekspedientkę na kogoś znacznie bardziej pociągającego: na uzależnioną od cracku prostytutkę.

Rozdział dziewiętnasty

Pewna grupa znajomych proponuje mi mieszkanie w Birmingham. Podoba mi się tutaj. Uwielbiam miejski gwar, otaczający mnie ze wszystkich stron. No, i po długim okresie abstynencji gotowy jestem na wchłonięcie każdej ilości narkotyków.

Rozpytuję wszystkich o Jodie, której nie było parę tygodni. Wiem, że pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie palenie cracku.

Jodie mieszka w lepkiej od brudu, maleńkiej kawalerce w podupadającej dzielnicy Handsworth, w rozsypującej się kamienicy przy Murdock Road. Na schodach leży gruby, zniszczony dywan, a pokój jest obskurny i prawie pusty. Właściwie trudno to nazwać mieszkaniem Jodie, bo standardowa koncepcja posiadania domu nie pasuje do jej stylu życia: crack sprawia, że wszystko dzieje się w szalonym tempie. Jodie może spać na melinie, na ulicy, w domu u klienta, w samochodzie, wszędzie.

Wygląda na to, że Jodie pracuje również w swoim pokoju. W koszu na śmieci widzę stertę zużytych prezerwatyw. Na łóżku leży narzuta, ale nie ma pościeli. Ściany są puste. Pod sufitem wisi tylko żarówka. Stoją za to lodówka i sprzęt stereo.

Crack to pochodna kokainy. Są to małe kryształki, białe, żółte albo szare, nadające się jedynie do palenia. Przyglądam się, jak naga, czarna, piękna Jodie przygotowuje fajkę. U stóp łóżka, na lodówce tli się papieros, a kiedy jest już wystarczająco dużo popiołu, Jodie wrzuca go na wierzch fajki. Fajka to skomplikowany zestaw, składający się ze stłuczonej małej butelki po bacardi, blu—tacku [masa podobna w konsystencji do plasteliny — *przyp. tłum.*], recepturki i folii. Jodie przyklepuje popiół na fajce, a na nim bardzo ostrożnie kładzie crack. Trzyma to wszystko z wielkim pietyzmem i szacunkiem, bo to cenny towar, cenniejszy niż złoto czy diamenty. Wdycha. Próbuje przytrzymać dym w ustach, nadymając policzki. Część dymu ucieka nosem. Odchyła głowę i opierają o ścianę. Ma zamknięte oczy, ale widzę, jak one drgają pod powiekami. Połyka dym małymi porcjami. Po dwóch minutach wraca do rzeczywistości.

Gdy przesuwa się w stronę lodówki, jest ciągle na haju. Siedzę nagi na brzegu łóżka, przyglądam się, czekam, przewiduję jej ruchy, podczas gdy ona znów napełnia fajkę popiołem i kokainą. Przenoszę fajkę baaardzo, baaardzo powoli pod ścianę, obracam i ostrożnie, by nic nie upadło, podnoszę do ust. Przyglądam zapalniczkę, a fajka wydaje z siebie odgłos przypominający rechot, bezzębny śmiech. Patrzę, jak crack topnieje niczym gorące szkło, a fajka stopniowo wypełnia się cudownym białym dymem. Skupiam na nim wzrok. Potem, nie dotykając folii, wdycham.

Wciągany dym rozsadza mi klatkę piersiową. Włosy stają dęba. Źrenice się powiększają, oczy przewracają. Drżą mi ręce. Czuję to wszystko. Serce, pulsującą krew i kanał w tyle głowy otwierający się do mózgu — wtedy zalewa mnie rozkosz. Niepodobna do żadnej innej. To najlepszy seks, to latanie w przestworzach,

radość z narodzin, podróż na Księżyc, zwycięstwo na olimpiadzie, symfonia, miłość. To najbardziej niesamowita rozkosz, jakiej można doznać, i jeszcze więcej. Nie da się tego z niczym porównać, ale żeby to uczucie trwało, muszę zatrzymać dym w sobie, muszę oddychać uszami, by nic nie uciekło z moich ust, muszę zadbać o to, żeby nie uronić, nie zgubić, nie upuścić z fajki ani odrobiny cracku, bo zmarnowanie go byłoby gorsze niż zmarnowanie sobie życia.

Mniej więcej po trzech minutach, kiedy jestem już siny z braku tlenu, zaczynam odczuwać zjazd. Początkowo to tylko niewielka rysa na moim szczęściu.

Potem ta rysa robi się coraz szersza, aż w końcu staje się ogromną wyrwą w moim doświadczeniu z crackiem, a ja jestem ludzikiem pikującym bez spadochronu, znikającym w przestworzach, próbującym przytrzymać się powietrza, usiłującym przeciągnąć działanie narkotyku choć o sekundę, o chwilkę dłużej.

Ale zjazd już się zaczął i spadam ciężko w otchłań rozpacz i cierpienia. Ogarnia mnie niepokój. Wydarzy się coś strasznego. Przyjdzie po mnie policja. Czyha na mnie szatan. Katastrofa jest tuż za rogiem, kataklizm wielkości tsunami, nastąpi koniec świata, mój świat się skończy, słyszę głosy, które tak mówią. Niepokój zmienia się w przerażenie.

A więc to jest ta słynna paranoja, w którą się wpada po cracku. No, to teraz wiem już wszystko o tym narkotyku. Crack to okrucieństwo, crack to zbrodnia, crack niszczy wszystko. Zaczynj brać crack, a przestaniesz się troszczyć o żonę, dzieci, zarabianie pieniędzy i pozycję, nic już cię nie będzie obchodziło poza hajem, będziesz w stanie zabić, popełnisz każde przestępstwo, byleby dostać crack.

Palimy jeszcze trochę, ale wtedy crack się nieuchronnie kończy. Zmagamy się ze zjazdem, od którego nie ma ucieczki. Rozsada nas. To jak nieustannie wibrujący udarowy młot. To jak zderzenie dwóch potężnych tirów na autostradzie. To jak odgłos paznokci na przykrywie metalowego kubła na śmieci. To ciało i mózg rozprute i wystawione na działanie wszystkiego, co bolesne i dojmujące.

By ulżyć mi w cierpieniu, Jodie daje mi valium. Jestem mały i wystraszony jak dziecko, więc mnie obejmuje. Ona zjeżdża, gadając, prorokując i robiąc swoje jamajskie sztuczki dżu—dżu [oryg. ju—ju, słowo wywodzące się z Afryki Zachodniej, odnoszące się do nadprzyrodzonych właściwości przypisywanych przedmiotom — *przyp. tłum.*]. Potem rzuca się na podłogę i na czworakach zaczyna skamleć. Szuka upuszczonych okruczeń cracku, podnosząc wszystko, co mogłoby nimi być. Na litość boską, próbuje palić nawet ten pieprzony dywan! W końcu płucze fajkę i wylewa płyn na lustro, podpala go, a potem próbuje odzyskać crack, ale żałosna ilość, którą udaje się jej zebrać, tylko przyprawia nas o dreszcz, zamiast dać haj. Może minimalnie powstrzymuje zjazd, ale nie dłużej niż minutę po wypaleniu.

Żeby jakoś przeżyć ten stan, próbuję zasnąć, próbuję się położyć, próbuję wziąć prysznic. Spływające i otulające mnie kaskady wody na chwilę odwracają uwagę i wszystko powstrzymują. Zjazd trwa około dziesięciu minut, a kiedy mija, nie myślę o niczym innym, tylko żeby znowu wziąć. I najczęściej znów bierzemy. Wkrótce palenie cracku z Jodie staje się sposobem na życie. To narkotyk seksualny, ale nie integrujący. Jego jedyna wspólnotowość wiąże się z nieodłącznym zjazdem: jestem tak

bliski załamania, że potrzebuję przyjaciela, podobnie jak Jodie, i ta potrzeba nas wiąże.

Mam jednak także inne życie. Dopiero przekroczyłem dwudziestkę, w dodatku parę lat straciłem, więc teraz chcę się trochę zabawić. Palenie cracku z Jodie to niewątpliwie mocne doznanie, ale nie mógłbym tego nazwać zabawą. Zabawa to kluby. Wkrótce po tym, jak wychodzę z ośrodka rehabilitacyjnego, mój brat wprowadza mnie do nowych undergroundowych klubów Birmingham i zapoznaje z grupą swoich kumpli, którzy to uwielbiają.

Goście nie są może z wyższych sfer, ale pochodzą z dobrych rodzin ze Staffordshire. To niezła ekipa, elita wśród klubowiczów. Mają długie włosy, noszą ubrania najlepszych marek. Od razu zaprzyjaźniam się z jednym z nich, Markiem Downesem. Sprzedaje samochody. Drugi, Neil Macey, jest didżejem. Kiedy miał mniej więcej tyle lat co ja, prowadził firmę fonograficzną, i wie o muzyce więcej niż ktokolwiek, kogo znam. Ten wygląda trochę dziko i podejrzanie, ale reszta ma pracę z prawdziwego zdarzenia, projektują albo sprzedają, co oznacza właściwie, że od poniedziałku do piątku chodzą do roboty. Nigdy wcześniej nie miałem takich kumpli. No, i mają swoje własne, piękne samochody, a niektórzy kupują już nawet domy.

Gdy tylko ich poznaję, uświadamiam sobie, że nie wyglądam najlepiej. Niedawno wyszedłem z więzienia, później byłem na rehabilitacji, więc nie mam pojęcia, jak należy wyglądać, a poza tym i tak nie mam kasy na nowe ciuchy. Chodzę w bluzie, którą kupiłem za parę funtów. Jest ciemna i to jest w porządku. Ale ma też jeden poziomy pasek, a to już nie wygląda dobrze. Ze sposobu, w jaki inni mi się przyglądają, wnoszę, że nawet bardzo źle.

Wybieramy się razem do klubu. Siadamy jak najbliżej jego ciepłego, bijącego serca. Dostaję niewielką, szarą, cętkowaną tabletkę, którą nazywają dropsem. Moja pierwsza tabletkę ekstazy. Biorę ją. I walę, kurwa, prosto w sufit.

Jakby ktoś rozpiął mi głowę i wyjął mózg. To jest tak silne, że przez minutę mam szczękościsk i nie mogę się poruszyć. Potem biegnę na zaplecze i staram się wywołać wymioty, bo to, co się dzieje w mojej głowie, jest nieprawdopodobne.

Jestem w obłoku euforii spowodowanej ekstazą. Wszystkich kocham. Wszystko mi się podoba. Chcę rozmawiać z Sha-neem i moimi nowymi kumplami, chcę rozmawiać ze wszystkimi, bez względu na to, czy ich znam, chcę się zapoznać przynajmniej z setką osób i chcę, żeby oni wszyscy wiedzieli, że ich kocham. W klubie puszcza muzykę w rytmie cztery na cztery. Ten hipnotyczny rytm był w muzyce od początku świata. Królujący do niedawna acid house też był w tym rytmie, ale teraz narkotykiem jest ekstaza, więc acid house ewoluje w kierunku techno houseu, radosnego houseu i garageu. Muzyka ekstazy opiera się na rytmie cztery na cztery. Jest on tak potężny, że porywa cię i każe nieustannie podrygiwać; otula cię przy tym ciepłą kołderką, jakbyś właśnie wrócił do domu. Wydaje mi się, że ze swoimi nowymi kumplami mógłbym tańczyć wiecznie. Bo ich kocham. Wyrzucam ramiona w górę, pocę się, zamykam oczy, nie czuję nic poza miłością, doświadczam niemal ewangelicznego objawienia. Jakie znaczenie ma to, że biały pasek na mojej szarej bluzie nie jest modny? Żadnego, bo ja wszystkich kocham. To jest cudowne. Gdzie ja, kurwa, wcześniej byłem? Powinienem być tutaj! Kocham was! I was, tam dalej, też kocham!

Chcę tańczyć całą noc. Patrzę na światła odbijające się w parkiecie i zachwycam się ich bielą. Patrzę na swojego brata i jestem szczęśliwy: mam brata i trzymamy się razem, jest tak, jak trzeba. Jest przy mnie Mark Downes. Wokół są przyjaciele. W przeciwieństwie do innych narkotyków ekstaza to celebrowanie życia. Ekstaza poszerza twój świat. To narkotyk towarzyski. Jednoczy ludzi, kończy wojny między gangami i przemoc pseudokibiców, przypomina, że liczy się tylko miłość. To właśnie coś dla nas, coś dla pokolenia pani Thatcher.

Kiedy zamykają klub, przenosimy się do innego, potem na jakąś imprezę, a później jest już prawie sobotnie popołudnie. Idziemy spać. Gdy się budzimy, czas szykować się na sobotni wieczór. Wszystko się powtarza. Aż do niedzieli wieczorem. W poniedziałek rano wszyscy kumple muszą iść do pracy.

Moje życie szybko dopasowuje się do rytmu kumpli ze Staffordshire. Weekendy spędzam na balangach i braniu narkotyków rekreacyjnych, gdy zaś reszta rozpoczyna swój roboczy tydzień, ja zjeżdżam, a mój mózg powoli się rozkłada, i zaraz potem zaczynam codzienne palenie cracku z Jodie. To ona przynosi towar, i to tak dobry, że jestem skłonny zapomnieć o tym, że aby go zdobyć, musiała się przespać z niejednym obleśnym żonatym gościem. Nie obchodzi mnie roboty. Nie przejmuję się tym, że zjazdy są upokarzającym doświadczeniem, które odziera moje życie z sensu. Mam to gdzieś, że palimy crack w tym ohydny, obscurnym miejscu. Mam w dupie, że kupujemy go od niebezpiecznych typów na ulicy. Martwię się tylko o to, by go mieć.

W ośrodku mówili nam, że crack, podobnie jak heroina, uzależnia psychicznie. Twoje ciało wcale nie potrzebuje ciągłej

dostawy cracku. Ale twoja psychika — owszem. Jeśli twój umysł choć raz wybrał się na wycieczkę z crackiem, to będzie tego chciał ciągle na nowo. Mój już tego chce. Nie żebym się uważał za uzależnionego. Patrząc na Jodie, wiem, że to ona jest prawdziwym uosobieniem uzależnienia.

W weekendy jestem zupełnie innym Markiem, ale na swoje nowe życie potrzebuję kasy. Zatrudniam się więc na stacji benzynowej. To miejska, podziemna stacja i pracuję tam nocami. Ze szklanej budki przyglądam się szaleństwu nocnego świata, a gdy wracam do domu, miasto budzi się ze snu. Potrajam swoją pensję, kupując od azjatyckiej mafii kradzione karty kredytowe i robiąc na nie swoje zakupy.

No, to teraz stać mnie, żeby w siebie zainwestować. Zmieniam ubrania na ciemne i jednolite. Noszę teraz czarne, wysokie buty marki Caterpillar, granatowe płócienne spodnie i niebieski golf. Bluzę z jednym pasem wyrzucam. Neil zaczynał już sobie z niej żartować, więc kiedy się jej pozbywam, czuję się jak jeden z nich. Tyle że tak nie jest. Oni wszyscy razem dorastali, ja jestem tylko ich ostatnim nabytkiem. Oni mają niezłe posady i ładne samochody, aja pracuję na stacji benzynowej i nie mam nawet prawa jazdy. Oni nie mają żadnej kryminalnej przeszłości, ja mam już za sobą dwie odsiadki. Chcę być taki jak oni, ale nigdy mi się to nie uda, bo jest coś takiego w moim postrzeganiu świata — może ta cząstka, przez którą trafiłem do plastyka — co czyni mnie kompletnie odmiennym.

W któryś weekend bawimy się jak zwykle w jakimś klubie, a kiedy go zamykają, wsiadamy do samochodów. Neil dowiedział się o jakiejś imprezie w szczerym polu i wszyscy wybierają się, żeby to zobaczyć.

Mam wrażenie, że w kawalkadzie samochodów są nas setki. Ale na miejsce docierają jedynie garstka. Pozostali zataczają szerokie kręgi i odjeżdżają, podczas gdy my, niczym ludzie zmierzający donikąd, jedziemy w ciemność — raz w górę, raz w dół. Potem zostawiamy samochód przy jakimś polu. Dotarliśmy donikąd.

Na wsi powietrze ma innych zapach: jest czystsze i radsze, można więc wyczuć wszystko — rośliny, drzewa czy zwierzęta, które wcześniej przechodziły nieopodal. Moje zmysły się wyostrzają. Przyglądam się, nasłuchuję, cały się wytężam, bo wiem, że tam w oddali coś jest. Nad głowami jest ciemno, zupełnie ciemno, nie tak jak w mieście. Spoglądam w górę i widzę gwiazdy.

Spotykamy się na drodze, przy której stoją inne samochody, potem gdzieś skręcamy i wtedy niemal od razu czujemy, że ziemia pulsuje muzyką. Wyczuwamy jej tętno. To tak ekscytujące, jakby za chwilę miało się zdarzyć coś naprawdę wyjątkowego. Idziemy w kierunku tych dźwięków, słyszymy je coraz wyraźniej, i zanim dostrzegamy światła imprezy, ja już cały buzuję. W tej muzyce jest coś nowego i innego. Acid house to podstawa, ale to, co słyszę, jest głębsze, świeższe i bardziej melodyjne niż cokolwiek, co do tej pory grano. Ten dźwięk dosłownie hipnotyzuje. Jestem nim tak zdumiony, że na chwilę muszę przystanąć. To coś nowego. To jest czyste. Wyjątkowo klarowne.

W końcu mamy przed oczami tę imprezę, jest piękna. Widać ją już z daleka. Na środku pola stoi wielki namiot, a wokół niego porusza się może ze trzysta migoczących cieni. Przyciągają nas, nie możemy oderwać wzroku od wielkiego, lśniącego namiotu, lgniemy do niego jak ćmy. Dźwięki są teraz głośne i powodują,

że całe moje ciało drży, basy wnikają we mnie od dołu, wysokie tony penetrują głowę. A kiedy wchodzimy pod namiot, wpadamy w sam środek muzyki. Jestem w nieznanym świecie.

Przy jednej ścianie stoi rząd głośników. Didżej wpisany w pejzaż wielkiej technologii, czyli kanciastych, twardych i masywnych sprzętów, wyglądających jak płyty nagrobkowe, wydaje się maleńki. Wszystko poza tym się rusza. Ludzie tańczą razem w rytm cztery na cztery, tworząc jeden olbrzymi organizm. Wykrzywione twarze, wywrócone oczy; wszyscy tu biorą ekstazę i tańczą tak, jak chcą, ale razem tworzą falujące morze ludzkości, w którym każdy język, ramię i głowa napędzane są tym samym rytmem. My też łykamy ekstazę i włączamy się w to wszystko, pozwalamy porwać się temu rytmowi, a on prowadzi nas na kraniec świata.

Rozdaję trochę mikrodotów. To tabletki kwasu, ale są niewiele większe od główki od szpilki. Potęgują i tak już niesłychane doznania. Zwałam się na ziemię. Jestem bliski delirium. Teraz piękno światła, kolorów i ludzi jest wprost niezemskie. Nie wiem, gdzie kończy się impreza, a zaczynają moje halucynacje.

Bolą mnie ręce. Dlaczego? Widzę jakiegoś gościa bez ustanku wykonującego ramionami symetryczne ruchy — jakby malował ogromny obraz — i posyłającego w niebo tumany kurzu za każdym razem, gdy dłońmi uderza o ziemię. Godzinami maluje powietrze, a ja zdaję sobie sprawę, że robiłem dokładnie to samo. Bolą mnie też kostki. Dlaczego? Spoglądam w dół i widzę, że moje stopy są ułożone do wewnątrz — tańczyłem na kostkach. Jak długo? Może piętnaście minut. Może pięć godzin. To taniec w transie. Jestem w transie.

W głębi namiotu widzę dziewczynę. Tańczy tak pięknie, że na jej widok brakuje mi tchu. Patrzę na nią, a ona mówi do mnie: „chodź tutaj”. Bez wymawiania słów czy poruszania wargami, po prostu w myślach, odpowiadam jej: „nie, gdybym to zrobił, wszystko bym zepsuł, a tego nie chcę”. Wie, co do niej mówię, i się uśmiecha. Porozumieliśmy się bez słów. Ekstaza i kwas pozwalają ci zobaczyć rzeczy, których normalnie byś nie widział. I niczego nie możesz ukryć. Jeśli jest w tobie nienawiść, to z ciebie wyjdzie. Jeśli jesteś twórczy, stanie się to oczywiste. Smutek, radość, gniew — wszyscy mogą to zobaczyć, bo twój umysł jest nagi.

Kiedy budzi się słońce, światło układa się inaczej i atmosfera ulega zmianie. Muzyka ma nową melodię i jest wolniejsza. Wszystkie nuty są oddzielne. Każda przylega do innego kręgu w moim kręgosłupie, więc gdy poruszam głową w górę i w dół, czuję różne dźwięki.

Wszyscy wokół są tacy jak ja. Młodzi i piękni. Nasze twarze tryskają życiem. Ciuchy dziewczyn leżą na nich doskonale. Dziewczyny tańczą dziko, płynnie albo powoli, ale nigdy niezgrabnie. To wędrowniczki, punkowy albo hipiski, większość z nich można by wziąć za kompletne wariatki, ale tutaj ich dziłość jest urocza i jak najbardziej na miejscu.

Namiot utworzono z kolorowego jedwabiu rozpiętego między palami; w porannym świetle przenikającym przez materiał i połyskującym między tancerzami scena wygląda niesamowicie. Tutaj należę. Tu jest moje miejsce. Tutaj powinienem być. Nie w klubach, które są tylko dla wybranych, ale tutaj, bo to miejsce i ci ludzie są otwarci. Otwarci również na mnie. Kiedy jakiś gość udający farmera jedzie traktorem przez namiot, śmiejemy się do łez. Bo on nie jest farmerem, tylko jednym z nas.

Muzyka to świeżo zapożyczony z Ameryki deep house; po całym dniu i nocy impreza jest wciąż tak magiczna, że aż nieznośna. Chciałbym, żeby to doznanie wreszcie się skończyło, bo wiem, że zmieni ono moje życie — nie tyle zmieni, ile zrujnuje. Wiem też, że to jest moje przeznaczenie i że nie mam już wyboru.

Rozdział dwudziesty

Jadę autobusem do centrum Londynu, by odnaleźć Jodie. Jest zimny niedzielny wieczór, od czwartku tańczyłem w klubach, a potem byłem jeszcze na otwartej imprezie. Właśnie skończyłem. Kumple rozjechali się do domów w Staffordshire, by wyspać się porządnie przed czekającą ich jutro pracą. Ja nie mogę przestać. Jeśli kończą mi się narkotyki miękkie, to znajduję Jodie i palę z nią crack. Chcę Jodie. A właśnie teraz jest w odwiedzinach u matki, pastorki na emeryturze, która mieszka na ohydny betonowym osiedlu w centrum miasta.

W głowie mam dziwny zamęt. Może trochę za bardzo przepakowałem ją w ten weekend. W pubie wpadamy z Jodie na Beano, wielkiego Murzyna, dealera narkotyków. Zna mnie, bo z nim siedziałem, i ku zdumieniu pozostałych Jamajczyków wita mnie ciepło.

Dziwię się, bo wciska mi coś do ręki. Wielką kostkę cracku.

- Naprawdę, weź to - nalega. - Za dawne czasy.

Dziękuję mu i idziemy z Jodie do mieszkania jej matki. Jodie niemal tańczy na tle betonowego krajobrazu. Ale ja jestem podejrzliwy, a nawet zły.

— Ale dlaczego Beano mi to dał? — nie przestaję się dopytywać.

— Bo cię lubi! Lubi cię tak bardzo, że dał ci czekoladkę! — wykrzykuje szczęśliwa, ciągle tańcząca i śmiejąca się Jodie. Tak właśnie nazywa crack. Czekoladką.

Potrząsam głową.

— Nie. To zła odpowiedź. Nie dlatego, że mnie lubi. Dlatego, że chce mnie uzależnić. Dał mi tę kostkę, żeby mieć nade mną władzę.

— Ajaką on ma władzę? Zaraz to razem wypalimy, ty i ja! — mówi Jodie, łapiąc mnie za rękę. Wkładam kostkę do kieszeni i odpycham Jodie.

Mówi kusząco: — Wrócimy do twojego mieszkania i...

— Nie.

Patrzy na mnie zdziwiona. Nie odpowiadam, gdy próbuje nawiązać rozmowę.

Jej matka, otoczona jamajskimi pamiątkami oraz zdjęciami, ogląda w salonie telewizję. Nie zwracamy na nią uwagi. Idę do łazienki.

— Co robisz? — pyta Jodie. Stoi tuż za mną. Jest połączona z kostką niewidzialną pępownią.

— Zaraz mu pokażę, kto tu ma władzę — mówię. Wciąż nie-
zbyt dobrze się czuję. Może jestem chory. Bola mnie oczy. Krew
w moim ciele pulsuje tak szybko, że przepływając przez uszy,
niemal mnie ogłusza.

— Nie! — krzyczy Jodie. Nie wiem jeszcze, co zamierzam zro-
bić, ale dobrze przeczuwa. — Nie, nie, kurwa, tylko tego nie rób!
To szaleństwo, przestań!

Wyciąga rękę w stronę kostki, którą wrzucam do toalety, ale
jestem szybszy. Plusk. Kostka ląduje w sedesie. Jodie rzuca się

do niego. Przytrzymuje ją. Potem ona próbuje mnie powstrzymać przed spłukaniem kostki; teraz już krzyczy i histerycznie płacze. Pociągam za spłuczkę i trzymam Jodie, żeby nie wskoczyła za kostką do kibla, rur, a potem kanałów Birmingham. Sparaliżowani patrzymy, jak kostka znika. Gdy obraca się kilka razy, by w końcu spłynąć, przejmuję mnie dotkliwe poczucie straty.

Dla Jodie to piekło. To jakby skąpiec przyglądał się dwudziestofuntowym banknotom unoszonym przez wiatr albo górnik rzucał w przepaść bryły węgla — to jakby spuścić w kiblu swoje życie. Rzuca się na podłogę z histerycznym szlochem i wraskiem. Patrzę na nią z góry. Mam ochotę ją kopnąć. Kiedy to ja czułem coś takiego i Ach, tak, gdy byłem dzieckiem. Ojciec stoi bez ruchu, a u jego stóp skręca się *płacząca*, i zawodząc mama. Przyglądam się Jodie z zimną obojętnością. Zadaję sobie pytanie, jak to się stało, że zmieniłem się w starego, a Jodie w matkę. Potem podnoszę głowę i widzę mamę Jodie stojącą w drzwiach, jest zmieszana, na jej twarzy maluje się nieme pytanie.

Po straszliwej kłótni łapiemy autobus do domu. Jodie się do mnie nie odzywa. Jesteśmy sami na górnym poziomie, wypalamy skręta.

Zaczynam czuć się koszmarnie. Zamykam oczy i kilka minut jestem nieobecny.

— Dobrze się czujesz? — pyta zaniepokojona Jodie. Przyglądam się z niedowierzaniem.

Przykładam dłonie do twarzy i czuję, że jest mokra. Patrzę na ręce. Są we krwi. Skąd ta krew?

Jodie zaczyna nerwowo chichotać, nie panuje nad sobą. Zerka na mnie raz po raz, potem znowu odwraca głowę.

Wnioskuje z tego, że nie wyglądam dobrze. A już z pewnością dobrze się nie czuję. Mam wrażenie, że zaraz się w środku zapalę. Uczucie, że coś we mnie eksploduje, jest tak mocne, że gdybym mógł otworzyć okno, wyskoczyłbym z niego w tej chwili, żeby tylko uwolnić się od tego wrażenia.

Schodzę na dolny poziom szczękając zębami, z twarzą zalaną krwią. Kierowca zatrzymuje autobus. Wyłazi z kabiny i podchodzi do mnie zatroskany.

— Słuchaj, stary, musisz pójść do szpitala — mówi.

Jodie zapewnia go, że mieszkam niedaleko, ale cały czas chociaż jak wariatka, więc kierowca ją ignoruje.

— Tam dalej taksówkarze zatrzymują się na papierosa i kawę.
— Wskazuje małą budkę przy drodze. — Któryś podrzuci cię do szpitala.

Ale wiem, że nie mogę tam pojechać. Szpital brzmi dla mnie zbyt urzędowo, a ja unikam wszelkich urzędów.

Z pomocą Jodie, która ciągle nie może opanować nerwowego chichotu, wychodzę z autobusu. Jej śmiech nadaje temu surrealistycznemu światu jeszcze bardziej surrealistyczny odcień. Mimo to ciągnie mnie do budki taksówkarzy, jeden z nich grzeje się tam przy elektrycznym piecyku. W małym, potłuczonym lustrze przyglądam się swojej twarzy. Wszędzie jest krew. Wypływa z moich oczu.

Kierowca mówi, że zawiezie mnie prosto na ostry dyżur.

Protestuję, podobnie jak Jodie między wybuchami śmiechu. Kierowca zawozi mnie więc do domu, a Jodie owija w kołdrę i nic już więcej nie pamiętam. Następnego dnia budzę się, ale Jodie nie ma. Zostawiła mnie, żebym umarł. Nie chciała być przy mojej śmierci.

Moje oczy są ciągle zakrwawione, ale poza tym czuję się dobrze. Co mogło spowodować taką reakcję? Od czwartku do niedzieli wzięłem dziesięć esek [jedna z potocznych nazw tabletek ekstazy — *przyp. tłum.*], wypaliłem trochę trawki i koki. Może trafiłem na jakąś trefną partię esek? Z ekstazą nigdy nic nie wiadomo. Piguły zawierają chemiczną substancję nazywaną MDMA, która należy do wielkiej rodziny podobnych związków. Ze względu na tę skomplikowaną genealogię nie masz możliwości sprawdzenia, co tak naprawdę bierzesz i z czego to zostało zrobione.

Po tym, co stało się w autobusie, za bardzo się boję, żeby się zastanawiać, po raz pierwszy zresztą, co te wszystkie narkotyki ze mną robią. Postanawiam nie brać więcej ekstazy. Wytrzymuję tydzień. Przez cały ten czas, gdy tylko zamknę oczy, widzę splukiwaną w sedesie kostkę cracku. Dlaczego to zrobiłem? Zalewa mnie poczucie straty i żalu, jakby w niedzielę zmarł ktoś bardzo mi bliski.

Ale przychodzi następny weekend i następna otwarta impreza, i oczywiście kolejne eski. Po tamtym pierwszym niesłychanym doznaniu w namiocie w szczerym polu nie opuściłem ani jednej otwartej imprezy i wszystkie były równie dobre jak pierwsza. Grupa, która prowadzi te imprezy, nazywa się DIY, choć na dobrą sprawę, ponieważ ekipa jest z założenia anarchistyczna, nikt niczego nie prowadzi. DIY znaczy Do It Yourself [zrób to sam — *przyp. tłum.*], co z kolei oznacza, że ty sam ustalasz zasady i robisz wszystko po swojemu. A może DIY znaczy Devil In You [diabeł w tobie — *przyp. tłum.*]? Nikt właściwie na tych imprezach nie zarabia: są robione przez ludzi dla ludzi. Trwają całymi dniami i nie mają wyraźnego początku ani

końca. Muzyka jest głównie elektroniczna, czasem przerywana acid houseem, ale ma charakterystyczne brzmienie, zwłaszcza basy. Zbierają się nas dziesiątki albo setki i gdy jesteśmy razem, cokolwiek nas łączy, urasta do rangi czegoś nie do opisanania; to coś, tutaj, teraz, jest dla nas wyjątkowe. DIY jest stworzone dla nas. Jesteśmy dziećmi pani Thatcher, dorosłymi już, zostawiającymi za sobą lata osiemdziesiąte.

Dla wcześniejszych pokoleń muzyka oznaczała żywe kapele. Dla dzieciaków takich jak ja to didżej jest bogiem. Musi wybrać odpowiednią muzykę i puścić ją w odpowiednim czasie. Czyta z tłumy i zabiera go w podróż. On jest naszym flecistą z Hameln [*Flecista z Hameln* — niemiecka baśń ludowa, spisana przez braci Grimmów, opowiadająca o szczurołapie, który za pomocą muzyki cudownego fletu wyprowadził gryzonia z miasteczka Hameln, gdy jednak nie dostał obiecanej nagrody, to samo zrobił z dziećmi z miasteczka — *przyp. tłum.*], a my jesteśmy jego dziećmi i podążamy za nim. Dobry didżej sprawi, że będziesz *tańczył*, a potem zwolnisz, poprowadzi cię do szczęścia i przez bramę ciemności, zrelaksuje cię i rozpali, a potem pokaże ci światło. Każdy wieczór jest inny i każdy jest żywym dziełem sztuki, którego nie można powtórzyć ani podrobić: nawet jeśli to nagrasz, nie odbierzesz tego tak samo, bo sztuka może się dziać tylko w wybranym miejscu i w wybranym czasie. Niektórzy didżeje z DIY tworzą sztukę najlepszą na świecie.

Stopniowo zaczynam ich poznawać. Jest na przykład taki Simon DK, dziadunio w tym całym interesie. Chudyjak patyk, ale interesujący, bo możesz zobaczyć jego charakter w jego miłej i niezwykle życzliwej twarzy. Rick i Pete, inaczej znani jako Digs i Whoosh, mają taki sam otwarty, anarchistyczny stosunek

do pieniędzy i życia. Puck, absolwent fizyki, jest bardzo wysoki, podczas gdy Pete, również po studiach, jest malutki, mierzy mniej więcej metr pięćdziesiąt. Zwykle grają razem, a ta różnica wzrostu wygląda zabójczo. Są też didżej Sheffield, zwany Callumem, albo Jack z dreadami, który — to niesamowite — pochodzi z Kendal, chociaż tam go nie znałem, rudowłosa Cookie, Harry, który jeździł traktorem pod namiotem na pierwszej imprezie i nas wszystkich rozśmieszył, jego dziewczyna Barbara i dwie didżejki, Pip i Emma. W większości są to absolwenci Uniwersytetu Nottingham, atrakcyjni, muzycyjni, kreatywni, chaotyczni i inteligentni. Nie zadają pytań i nie wygłaszają opinii, wiedzą, jak żyć obecną chwilą. Moje życie towarzyskie zaczyna się kręcić wokół otwartych imprez.

Dziś wieczorem jest impreza w jednym z klubów w Birmingham, coś, co DIY robią tylko okazjonalnie. Klub nazywa się Attic i jest w nim strasznie dużo gejów. Wzięliśmy mikrodoty. Kiedy tańczę, wydaje mi się, że jestem wojownikiem Zulu z maczetą i dzidą. Potykam się i upadam na podłogę. Tańczę. Tańczę jak szaleniec.

Nagle wyczuwam zapach czegoś dziwnego, czegoś, co nie powinno się tu znaleźć. Krowie łajno. Krowie łajno? Muzyka się nasila i osiąga tę nową klarowność, która mną wstrząsa. Podnoszę wzrok i uświadamiam sobie, że za didżejem i rzędem jego głośników majaczy jakaś olbrzymia, ciemna postać. Didżej ma jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu. Wielka, zacieniona postać za nim ma co najmniej dwa siedemdziesiąt. Widzę wyraźny kształt. To człowiek z kręconymi włosami. Ma rogi. Rozglądam się dookoła w nadziei, że ktoś jeszcze to zobaczył, ale tancerze pochłonięci są intensywnością muzyki.

Odwracam się w stronę sceny, ale ta olbrzymia ciemna postać, półczłowiek z rogami, ciągle góruje nad nami wszystkimi. Wyteżam wzrok. To groźna postać, ale jest w niej coś, co mnie uspokaja. Myślę sobie: znam cię. Należę do twojego ludu i ty się mną zaopiekujesz. Jest stary, stary jak ludzkość, a może nawet starszy.

Kiedy znów spoglądam w tamtą stronę, ciemna postać znika.

W drodze powrotnej do domu przypominam sobie, jak przez te wszystkie lata skradałem się na dół, by zobaczyć Jacka Frosta siedzącego na ogrodzeniu i spoglądającego na mnie swoimi lodowo—kryształowymi oczami. Nigdy nie wątpiłem, że to był Jack ani że go widziałem.

Kim jest postać z klubu Attic? Gdy pozostali idą do pracy, ja jadę do biblioteki publicznej w Birmingham. Znajduję książkę o mitologii greckiej, bo bibliotekarka mówi mi, że właśnie w niej zebrane są jedne z najstarszych legend, i wiem już, że cień, który widziałem, należy do najbardziej starożytnej postaci. Pan, bo to o nim czytam, to bóg muzyki i odległych wzgórz, który pojawia się tam, gdzie słyhać czystą muzykę, fletnię Pana. Pan zagląda często do Attyki, gdzie młodzi mężczyźni ćwiczyli umiejętności intelektualne i krzepę.

Związek między nazwą klubu a jego gejowską klientelą, to, że postać pojawiła się w momencie, w którym muzyka osiągnęła niezwykłą klarowność, rycina w książce przedstawiająca postać z rogami podobną do człowieka — wszystko utwierdza mnie w przekonaniu, że widziałem boga Pana i że to on uczestniczy w naszych imprezach.

Późną zimą jestem na jednej z otwartych imprez DIY w starej kamiennej stodole, wśród zaśnieżonych dolin. Samo drganie basów wydaje się ogrzewać budynek. Tańczę, wczuwam

się w muzykę, gdy nagle osiąga ona nowy stopień klarowności. Fletnia Pana. Rozpoznaję to po nagłej gęstości powietrza i tej melodii, która wydostała się z plątaniny dźwięków. Podnoszę wzrok i widzę go. Ogromny cień pojawia się za Simonem DK, który wraz ze swoim sprzętem wygląda jak figurka wycięta z kartonu. Pan nie ma twarzy, ale wiem, że to on.

Wziąłem, co prawda, kwas, ale do euforii mi daleko, a widzę coś, co porusza moje serce. Rozglądam się. Cała stodoła osiągnęła stan niezwykłego napięcia i delirium. Każdy zamknięty jest we własnym szalonym tańcu. Muzyka jest tak przenikliwa i piękna, że chce mi się płakać. Patrzę znów w stronę Pana i przez kilka minut on tam jest, i chociaż jest srogi i tajemniczy, to wiem, że uśmiecha się do swoich dzieci, że jest naszym przyjacielem i obrońcą. A potem znika. Zostawia mnie w uczuciu ciepła oraz świadomości, że ktoś się o mnie troszczy. Jestem częścią czegoś starożytnego, czego doświadczyło zaledwie kilka osób na przestrzeni wielu pokoleń. Nabieram pewności, że te dzikie, piękne, niczym nieograniczone imprezy pochodzą z jakiejś ponadczłowieckiej baśni. Czuję się uprzywilejowany, że mogę tu być, i wiem, że razem z tymi ludźmi należę do starożytnego boga Pana.

Rozdział dwudziest pierwszy

W niedzielę wieczorem jestem z powrotem w Birmingham. Jodie przygotowuje fajkę. Przyglądam się jej. Mój umysł przemieszcza się z tamtego dzikiego miejsca, gdzie spędziłem ostatni weekend, do tej małej, ciemnej dziury, w której jestem teraz.

Gdy wypalamy cały crack, który załatwiła Jodie, chcę więcej. Zawsze chcę więcej, ale tym razem moja potrzeba jest wyjątkowo dotkliwa. Muszę dostać więcej cracku. Po niesamowitych doznaniach z ostatniej imprezy niejestem w stanie zmierzyć się ze zjazdem. Próbuję go powstrzymać, ale po kwasowo—ekstazo—wej euforii ostatnich dni, która pozwoliła mi znowu poczuć się dobrze, to dla mnie zbyt trudne.

— No, to idź — mówię do Jodie. — Przynieś jeszcze.

Wie, o coją proszę. Ma teraz wyjść na ulicę i wykręcić numer albo dwa.

Ubiera się. Nie musi się ubierać jak dziwka, żeby przyciągać facetów. Wystarczy, że wskoczy w dżinsy, i już wygląda pięknie. Przechadza się po ulicy. Wychodzi za róg w stronę parku. Czekam. Biorę prysznic. Dalej czekam. Sucho mi w gardle, czuję

w nim popiół z wypalonego cracku. Cisza panująca w mieszkaniu pogłębia najgorsze obawy i myśli towarzyszące zwale [zwała, zjazd: trudny do zniesienia stan po ustąpieniu działania narkotyku — *przyp. tłum.*]. Zaczynam podejrzewać, nie, jestem pewien, że Jodie mnie oszuka. Będzie miała trzech gości, a powie mi tylko o dwóch, albo pójdzie z kimś do samochodu i się nie przyzna. A potem wróci ze znacznie mniejszą ilością cracku, niż mogłaby kupić. Albo kupi crack za wszystko, ale da mi mniej niż połowę.

Ta ewentualność obezwładnia mnie niemal z fizyczną siłą, tak jakby podkradł się do mnie policjant i zakuł w kajdanki. Odwracam się w jedną stronę. Nikogo nie widzę. Odwracam się w drugą. Nikogo. Tylko cisza. Wiem, że sięga po mnie łapa uzależnienia; kiedy przeżywasz zjazd, wydaje ci się, że ktoś za chwilę odbierze ci wszystko, całe życie. W ciszę wkrada się moja paranoja. Mój strach przed policją. Mój strach przed zdradą. Jodie jest potworem, to chciwa narkomanka i dziwka. Z pewnością coś knuje, żeby mnie oszukać.

Już mam zamiar pójść za nią i to sprawdzić, kiedy słyszę ją na parterze. Ma jakiegoś klienta. Wsłuchuję się, czy gość nie robi żadnych problemów. Nie, za chwilę wychodzi. Niedługo po nim wchodzi jeszcze jeden. A parę minut później Jodie wychodzi po towar. Każdy moment transakcji kupna cracku jest niebezpieczny, nie tylko ze względu na policję. Niebezpieczne są negocjacje. Niebezpieczne jest wręczanie kasy. Niebezpiecznie jest zdać sobie sprawę z tego, że zamiast cracku dostałeś miętowe cukierki i nic nie możesz zrobić, bo cię zadźgają. Wszyscy, którzy kupują narkotyki od ludzi z ulicy, narażeni są na niebezpieczeństwo, bo kupują go po to, żeby wziąć. Wielu deale—

rów cracku, czy to starzy Jamajczycy, czy młodzi przedsiębiorcy goście w czarnych bmw, stara się nie brać. Dotykają towaru tylko wtedy, gdy go sprzedają. Dopóki udaje im się trzymać z dala od dragów, dopóty mają nad tobą przewagę. Nienawidzę ich za tę władzę.

Kiedy Jodie wraca, jestem na nią gotowy, jestem też gotowy na crack.

Rozbiera się. Sprawdzam dokładnie, ile zarobiła, ile wydała, ile zużyła prezerwatyw, a gdy już jestem spokojny, że mnie nie oszukała, w końcu przygotowuje fajkę.

Nie nazwałbym się ćpunem. Ćpuny to ci, którzy sobie wstrzykują i mieszkają na ulicy. Ale są chwile, gdy zauważam, że ciągnie mnie do narkotyków znacznie bardziej niż moich kumpli. Jestem od nich chudszy, bledszy i nie wyglądam na postać z tej samej bajki. Ludzie ze Staffordshire biorą dragi tylko rekreacyjnie, a ostatnio jakby trochę mniej imprezowali.

Mark Downes przygląda mi się uważnie.

— Powinieneś nieco zwolnić, stary — mówi.

Zaskoczony mrugam oczami. — Że co?

Nie chcę wciskać hamulca. Zawsze chcę więcej. Chcę, żeby impreza trwała wiecznie. Nie panuję nad tym, co biorę ani ile, i nie chcę nad tym panować, biorę wszystko, co jest. Moi nowi znajomi, wędrowcy i imprezowicze, są chaotyczni tak jak ja. Ich życie nie ma żadnego porządku ani schematu. To anarchiści.

Coraz częściej zdarza się jednak, że w zaparkowanych niedaleko masowych imprez przyczepach kempingowych można kupić crack. Na arenę otwartych imprez wkradają się mocne narkotyki. Teraz, gdy palimy już crack, niektórzy z nas palą też heroinę, która pomaga znieść zjazdy. Palimy, nie wstrzykujemy

sobie. Bierzymy heroinę regularnie, palimy ją kilka dni, aż do momentu, gdy poczujemy oznaki umiarkowanego heroynowego kłektu: drgawki i łamanie w kościach związane z odstawieniem. Zwykle można im zaradzić kilkoma drinkami, ale nie bezboleśnie. Innym sposobem na przetrwanie jest przyrzeczenie sobie, że za chwilę weźmie się kolejną działkę.

Jest Boże Narodzenie, czas, za którym nigdy specjalnie nie przepadałem. Jestem u brata. Zanim przyjechaliśmy z Jodie, Shane ze swoją dziewczyną zdążyli już wziąć trochę kwasu, więc są nieco skołowani. Teraz pijemy razem i rozsiadamy się wygodnie w salonie. Co mogłoby być bardziej normalne w święta? W telewizji pokazują jakiś komediowy skecz: z piekarnika ciągle wyskakuje indyk, wszyscy się śmieją. To też jest normalne. Tylko jedna rzecz nie jest normalna. Ja odchodzę od zmysłów.

Siedzę, trzymając się kurczowo krzesła, i patrzę w telewizor. Przeraża mnie indyk wyskakujący z piekarnika, wszystko mnie przeraża. Mój umysł odpływa w rejony, które odwiedza tylko wtedy, gdy jestem w stanie najcięższego i najciemniejszego odurzenia narkotykami. Ale dzisiaj, mimo że piłem jak zwykle, nic nie brałem.

Słyszę jakieś głosy. Grożą mi. Śmieją się ze mnie. Jest tu coś złego, to jest groźne, przenika mój świat. Zaczynam się trząść. Krzyczę. Jęczę.

Reszta, zaskoczona, odwraca się od telewizora.

— Co brałeś? — pyta spokojnie Shane. Jodie patrzy na mnie pośpiesznie: więc Mark brał crack beze mnie.

Próbuję wziąć się w garść, ale to uczucie jest coraz silniejsze, przejmuję nade mną władzę, coś strasznie podłego walczy o moje życie.

— To szatan! — *krzyczę*. — Nie widzicie, że przyszedł po mnie szatan!

Przyglądają mi się. Normalne gadanie po cracku. Wszyscy to już widzieli.

— Spokojnie — mówi dziewczyna Shanea.

Na pewno coś knuje. Powie szatanowi, gdzie jestem. Łapię ją za ramię żelaznym uchwytem. Zrywa się Shane.

— Mark, kurwa, co się z tobą dzieje?!

Ale za bardzo się trzęsę, żeby odpowiedzieć. To najgorszy zjazd, jaki miałem, a przecież nawet nie brałem żadnego cracku.

Wrzeszczę na wszystkich. Wykrzykuję przestrogi i obelgi. Kiedy milknę na chwilę, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Muszę się stąd wydostać, te wszystkie odczucia są tak mocne, że nie jestem w stanie nad nimi zapanować, nie mogę zapanować nad swoim strachem. Wracam do domu, do pustego mieszkania, ale tym razem nie znajduję w nim schronienia. Jest tu coś potwornie złego. Czai się, chowa, ale tu jest, bo wie, kim jestem. Krzyżąc i zawodząc, wrzucam wszystko, co mam, do plastikowych czarnych worków. Płacząc, wydieram się na to coś, żeby sobie stąd poszło. Ale ciągle tu jest. I wie, kim jestem.

— Jesteś mój, jesteś mój! — śmieje się szatan. — Diabelskie nasienie. Diabelskie nasienie, takie jak ja.

Już wiem, co się stało. Dotknąłem słońca i się spaliłem. To w DIY, w tym cudownym, szaleńczym chaosie, tak opętańczym, że czasem odwiedza go śmiejący się z aprobatą Pan, dotknąłem słońca, i teraz przyszedł po mnie szatan, bo nikt nie może dotknąć słońca i żyć dalej.

Dopada mnie paranoja, wypełnia wszystkie pory, równocześnie mnie paraliżuje i ciska po całym mieszkaniu. Głowę rozsadzają

mi strach i gniew. Oszalałem. Narkotyki doprowadzały mnie czasem do takiego stanu, ale tym razem trafiłem do piekła bez jednej pigułki, bez jednego wciągnięcia, bez jednego skręta.

Potrzebuję pomocy. Ktoś musi mi pomóc. Shane jest nawalony, Jodie do niczego się nie nadaje — jak ona się ze mnie śmiała wtedy, gdy krwawiły mi oczy! — wszyscy kumple są w domach, bo są święta, aja jestem tu sam i odchodzę od zmysłów.

Samotność przyprawia mnie o płacz. Boję się. Jestem sam. Oszalałem. Kto mi pomoże? I wtedy sobie przypominam. Jest ktoś, kto powinien się mną przejmować bardziej niż ktokolwiek inny. Ktoś, kto powinien otrzeć moje łzy i ukoić lęki.

Znalezienie budki telefonicznej nie jest łatwe. Ciemne ulice roją się od diabolicznych cieni, czekają na mnie, wyskakują na mnie, próbują mnie zaciągnąć w ciemną otchłań. Idąc, krzyczę i przeklinam. Biegnę, by im uciec, raz po raz się chowam. Drzwi do budki wydają się zbyt ciężkie, tak jakby jakieś ogromne siły przeciągały je na swoją stronę.

Powietrze w środku jest nienaturalnie martwe. Ręce trzęsą mi się tak, że udaje mi się wybrać numer dopiero za którymś razem.

— Mama? Toja, Mark.

Jest zaskoczona moim telefonem. Nie rozmawialiśmy od bardzo dawna, ale kiedy mówię jej o dotknięciu słońca, zapada milczenie. Mówię, że od jakiegoś czasu próbował mnie złapać szatan i w końcu mu się to udało. To już rozumie. Od wielu lat miała do czynienia z szatanem, więc na gadanie o nim zawsze jest gotowa.

Głos mamy jest kojący. Stare frazesy, których słuchałem całe życie, o Jehowie patrzącym na mnie i mnie kochającym, o życiu wiecznym dla wierzących, dziś brzmią dobrze. Słucham. Wierzę jej.

Kiedy wracam do mieszkania, po kilka razy otwieram i zamykam każdą szufladę, sprawdzam wszystkie zakamarki, upewniam się, że szatan nie ukrył się za zasłonkami ani pod zlewem. Spuszczam rolety. Wrzucam do worków jeszcze parę rzeczy. Płaczę.

Kiedy słyszę pukanie do drzwi, wpadam w panikę. Gaszę światła. Ostrożnie podchodzę do okna i wyglądam ukradkiem. Dwoje Murzynów, mężczyzna w garniturze i kobieta, oboje mają w rękach jakieś książki. Widać po nich od razu, że to świadkowie Jehowy. Musiała ich wysłać mama. Pozwalam im wejść, otwierają Biblię na psalmie 61.

— Usłysz moje wołanie, Boże...

Mówią niskim, kojącym tonem. Gdy wychodzą, nie odkładam Biblii. W kółko czytam psalm, jak mantrę. Następnego dnia przyjeżdża mama z koleżanką od świadków. Kobieta rozmawia ze mną cicho, podczas gdy mama ładuje spakowane worki do samochodu.

Już w aucie obecność mamy wydaje mi się dziwna. Kto to jest? Wygląda jak mama, którą pamiętam, może jest tylko nieco starsza i okrągłejsza. A może tak naprawdę to ona jest szatanem? Trzęsę się i pocę. Potrzebuję jakiegoś narkotyku, ale boję się brać cokolwiek, bo przecież teraz, mimo że nic nie wzięłem, doświadczam najgorszego w życiu stanu narkotycznego.

Kierujemy się na północny zachód. Z tyłu zostawiamy ulice i bloki, które tak długo składały się na mój krajobraz. Przed nami rozciąga się bezkresna autostrada. Po jakimś czasie przejeżdżamy w końcu przez Kendal, szare miasto w szarym deszczu, i znów mam czternaście lat.

Zatrzymujemy się przed niewielkim domem. To stróżówka; dalej zwirowa droga prowadzi do widocznej w oddali kamiennej

gotyckiej rezydencji na wzgórzu, w której mógłby mieszkać szatan, choć mama mówi, że to dom jej pracodawcy, a ona pracuje u niego jako gospodyni.

Jest tam Bethany. Ma teraz piętnaście lat, ale dla mnie ciągle wygląda jak mała dziewczynka. Nie żebym zwracał na nią uwagę. Nie żebym zwracał uwagę na mamę albo kogokolwiek innego. W końcu przecież jestem wariatem.

Jodie i ja przeprowadzamy ze sobą wiele emocjonalnych rozmów. Bardzo za mną tęskni. Chce ze mną być. Też nie chce już być narkomanką, chce być czysta. Jeśli ja mogę w Kendal rzucić narkotyki, to ona też. I za kilka dni już do mnie jedzie.

Mama i Bethany są przerażone widokiem czarnej naćpanej prostytutki. W okolicy nie ma ich zbyt wiele. Na dobrą sprawę nie ma chyba żadnej. Poza tym dom jest bardzo mały. Niemniej starają się być wyrozumiałe. Wiedzą, że jesteśmy teraz bardzo nerwowi, bo próbujemy się powstrzymać od brania narkotyków, i jak na dobrych świadków Jehowy przystało, traktują nasze trudne położenie jako okazję. Cała grupa członków zboru ciężko pracuje nad pozyskaniem mnie i Jodie. Ponieważ nasze dzieciństwo — i moje, i jej — przesiąknięte było walką dobra ze złem, w rozmowach z nami posługują się językiem, który dobrze rozumiemy. Chwytamy się kurczowo każdej formy pomocy, którą nam oferują, godzimy się na regularne studiowanie z nimi Biblii, a nawet uczestniczenie w zebraniach.

Mieszkanie w maleńkiej stróżówce jest trudne dla nas wszystkich. Jodie i ja zajmujemy cały dom. Ogarnięci obsesją spowodowaną brakiem cracku, prawie nie zauważamy obecności innych mieszkańców. Jesteśmy, co prawda, na „diecie bezcrackowej” ale żeby sobie z nią jakoś radzić, nadrabiamy piciem i zażywaniem

hurtowych ilości tabletek nasennych. Mamy zmienne nastroje, jesteśmy źli, kłótniwi, a czasem agresywni.

— Nie poznaję cię — mówi mama, gdy któregoś dnia krzyczę na nią i odpycham na bok. — Kim ty jesteś, Mark?

Bethany jest przerażona. Obie z mamą schodzą nam z drogi. Podczas gdy my rządzymy się w każdym pomieszczeniu, one zamieniają się w niewidoczne cienie. Boją się Jodie i mnie, są blade i zmęczone.

Raz w tygodniu chodzę do pewnego starszego małżeństwa, by z nimi studiować Biblię. Są mili. Ich podejście działa na mnie kojąco. Dzięki wydawanym na receptę lekom narkotycznym oraz przy pomocy tej dwójki znów zaczynam czuć się bezpiecznie. Przestaję słyszeć głosy.

Po kilku tygodniach mama wraca z pracy zapłakana. Lekarz, który wypisywał nam leki narkotyczne na receptę, okazał się znajomym jej pracodawcy. Przy szklaneczce porto powiedział mu, że jego gosposia trzyma w swojej stróżówce dwoje ćpunów. Mama została wyrzucona. Straciła dom i pracę.

Wszyscy się przeprowadzamy: mama z Bethany do mieszkania w Kendal, ja wynajmuję pokój w domu na obrzeżu miasta, a Jodie kawalerkę w Penrith, gdzie podejmuje pracę w supermarkecie i kontynuuje nauki u świadków Jehowy.

Ja nie czuję się jeszcze wystarczająco dobrze, by zacząć pracować. Próbuję malować. Sprzedaję kilka obrazów. Robię ciemnię. Ale wewnątrz odczuwam ogromny strach, niekontrolowany smutek, bo wiem na pewno, że szatan jest gdzieś we mnie. Upijam się na umór, często budzę się rano na jakimś zimnym wzgórzu z butelką wina w rękę, zupełnie nie pamiętając, jak tam dotarłem. Ale powoli z tego wychodzę. Czuję, że osiągam pewien rodzaj stabilizacji.

Kiedy tylko mogę, jadę na południe na jedną z otwartych imprez DIY. Zanurzam się w muzykę, narkotyki, ludzi, szaleństwo. Jestem tu szczęśliwy. Cieszę się, że mogę wszystkich zobaczyć. Chcę, by ta impreza nigdy się nie skończyła.

— Wszystko w porządku? — pytają ludzie, patrząc na mnie niepewnie.

— Wszystko gra — odpowiadam. — Czuję się świetnie.

Kiedy impreza się kończy i moja głowa znów nie nadaje się do użytku, wracam do Kendal i na nowo podejmuję życie z lekami narkotycznymi i świadkami Jehowy. Kiedy znów czuję się lepiej, wyruszam na kolejną imprezę. Niestety, ponieważ narkotyki, które teraz bierzemy, są silniejsze i jest ich więcej, a może dlatego, że zmienia się muzyka, otwarte imprezy też ulegają zmianie. W pewnym momencie stanowiły nieodłączny element kultury, ale teraz ich pięć minut mija. Czuję to sercem, ale nie chcę, by zdarzyło się to naprawdę, nie chcę, by czas mijał, nie chcę się starzeć, chcę się bawić. Choć zabawyjeszcze nie brakuje.

Jadę z Neilem zabawić się w klubach Liverpoolu i Birmingham, a potem kończymy na imprezie DIY w lasach Sherwood niedaleko Nottingham. Wszyscy szaleją. Bawię się już trzy dni i trzy noce. Nie panuję nad tym, ile narkotyków zażyłem i co to było. Nie chcę nad tym panować. Chcę się oddać całkowicie przeżywaniu tego, co dzieje się podczas zabawy. Zacznę się martwić, kiedy wrócę do Kendal.

Jeszcze zanim wjeżdżamy do lasów Sherwood, czuję, jak rozsadza mi głowę. Po drodze w samochodzie Neila wziąłem trochę tabletek, kokę, piłem Special Brew, no i wypaliłem całą garść mocnej brązowej amfy, a mimo to ciągle potrafię doceńnić piękno lasów. Smokescreen [dosłownie „zasłona dymna”

— odmiana imprez organizowanych na wolnym powietrzu — *przyp. tłum.*], nowe wcielenie otwartych imprez, odbywa się pod brezentem rozciągniętym między drzewami, na których gałęziach rozwieszono światła. Didżej stoi na specjalnym rusztowaniu. Głębiej w lesie przygotowano okrągły dół, w którym płonie ogromne ognisko. Ludzie siedzą na trawie. Na niewielkim wzniesieniu stoi namiot DIY ze ścianą głośników i niewielkim didżejem. Ludzie krążą między dźwiękami.

Neil przedziera się ze mną przez las. Musiał się urodzić podczas imprezy. Całe jego życie to jedna wielka impreza. Zauważamy grupę znajomych siedzących na płocie jak dzieciaki. Rozmawiają.

— To miejsce jest niesamowite — mówi Neil. — Sto lat nie miałem odjazdu, ale dzisiaj zamierzam go sobie zafundować.

— Ja z tobą — odpowiadam. No, cóż, znają mnie z tego, że nie zamierzam zostawać w tyle.

Siedząca na płocie dziewczyna wyciąga dłoń, na której leży kwas.

— Amerykański — mówi.

Kwas ma kształt kwadracika pomalowanego błyszczącymi fioletami i złoceniami w celtycki szlaczek. Wzorek jest równocześnie intrygujący i piękny. Nigdy nie widziałem takiej pigułki LSD.

Patrzę na tę śliczną tabletkę, a potem z jakąś dziką agresją wyrывam ją dziewczynie z ręki i połykam.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem. Neil podobnie. Wszyscy się na mnie gapią.

— To, co się za chwilę stanie — mówi dziewczyna powoli — będzie karą za twoją chciwość.

— To były cztery pigułki, stary, niejedna — tłumaczy mi Neil.

Przekonuję się o tym dotkliwie w ciągu kilku minut. Nie jestem w stanie przeżywać muzyki, nie mogę się z nikim porozumieć: odjęto mi mowę. Siedzę na wzniesieniu między dwoma dźwiękami, tym z DIY w jednym uchu i tym ze smokescreen w drugim. Nie wiem, jakim sposobem, ale te dwa dźwięki spotykają się w środku drogi i mój umysł eksploduje. Przekroczyłem próg obłądzenia. Nie mam rąk ani nóg, nie jestem Markiem Johnsonem, nie jestem nawet człowiekiem, odszedłem, odszedłem tak daleko, że nie czuję już nawet strachu. Jestem niczym.

Wstaje słońce, mechanicznie rejestruję szaleństwo zabawy. Języki ognia, hipisi z dreadami do kolan, stare świry jadące na amfie i tańczące półnago, światła zwisające z gałęzi, wędrowcy, kolory, wirujące sukienki. Wiem, że gdziekolwiek jest krawędź, już ją przekroczyłem.

Kiedy docieram z powrotem do Kendal, nadal jestem sparaliżowany. Naćpałem się ekstazy, amfy, kwasu, koki, Special Brew, trawy i MDMA w proszku. Nie spałem, prawie nic niejadłem, a przeżycia związane z imprezą niemal mnie przerosły. Nie jestem w stanie normalnie funkcjonować. Gdy mówię lekarzowi, że moje oczy to reflektory i nie mogę nimi oświetlić nic innego poza ziemią, odsyła mnie do psychiatry. By ulżyć mi w cierpieniu po nielegalnych narkotykach, psychiatra przepisuje mi więcej tych legalnych. Nie wiem już, jak mogę od siebie uciec.

Chwilowo zrywam kontakt z ludźmi z klubów i DIY. Moją ucieczką i wsparciem jest Jodie, a jedyną możliwością oczyszczenia się z narkotyków — terapia prowadzona przez świadków Jehowy, dlatego okazjonalnie kontaktuję się właśnie z nimi. Kiedy tylko możemy, spotykamy się u nich razem z Jodie. Ale żadne z nas do nich nie należy. Oboje jesteśmy banitami.

Rozdział dwudziesty drugi

Kiedy do moich drzwi puka Jodie i proponuje spędzenie wspólnego weekendu w Manchesterze, zgadzam się. Wiem, o co jej chodzi. Jestem jak odbiornik radiowy, a moja antena została nastawiona na dragi. Jodie jest uzależniona, od miesiąca żyła w Penrith ogarnięta obsesją cracku, a teraz ta obsesja wyziera już ze wszystkich jej porów, niemal ją widzę. Jodie właśnie dostała wypłatę i wiem, że niedługo ją wydamy.

Łapiemy pociąg, meldujemy się w hotelu w rejonie Piccadilly, a potem bierzemy taksówkę do parku w Moss Side, w którym roi się od narkotykowych dealerów.

Mamy do wydania całą miesięczną pensję Jodie, więc nieźle się obławiamy. Potem zabieramy narkotyki do hotelu i szalejemy. Od piątku do niedzieli wieczorem, bez przerwy chociażby na sen, palimy crack, potem zjeżdżamy przy valium, brandy albo heroinie. Wszystko po to, by później po cichu, wstydliwie, bez słowa w drodze powrotnej, wrócić do naszego pobożnego życia w Kendal.

Za miesiąc robimy to samo. Za dwa miesiące również.

Jesteśmy w dużym hotelu w Manchesterze, właśnie wróciliśmy z narkotykowych zakupów i powietrze jest aż gęste od

wyczekiwania. W pokoju pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu czy charakteru Jodie rozbiera się i zaczyna przygotowywać fajkę. Drzwi uszczelniliśmy ręcznikami, tak żeby słodki, syntetyczny zapach narkotykowego dymu nie mógł się nigdzie wydostać. Na łóżku leży cały nasz towar, w tym trochę heroiny stopionej na folii. Jej krople będziemy gonić, gdy dopadnie nas zjazd.

Każde z nas zaciąga się dymem. Jodie robi kolejną fajkę. Siadzę w slipkach na brzegu łóżka. Zjeżdżam, jestem roztrzęsiony, pograżam się w tym paranoicznym, nerwowym stanie, w którym straszą mnie głosy w mojej głowie. Oddychając powoli i nie ruszając się, próbuję je opanować. Nagle słyszę coś na zewnątrz.

— Słuchaj! — mówię do Jodie.

Rzuca mi krzywe spojrzenie. Daję jej znak, żeby się nie ruszała.

— Słuchaj! Słyszysz to?

Jestem pewien, że słyszę szept.

— No, nie, kurwa, znów się zaczyna — mówi Jodie poirytowana.

— To nie paranoja! Słyszę coś!

Teraz Jodie jest już zła. Nadyma wargi.

— Odpierdol się, świrujesz — mówi i zaczyna wdychać. Rozumiem jej irytację. Kto by chciał, żeby czyjaś paranoja zepsuła mu haj? Tylko że to nie jest paranoja. Naprawdę coś słyszę. Ale czy na pewno? Crack zaciera granicę między lękami uzasadnionymi a paranoicznymi i jeśli jesteś w stu procentach pewien, że ktoś jest za drzwiami, możesz się w stu procentach mylić. Tylko że ja jestem pewien, że za drzwiami naprawdę ktoś jest.

Podchodzę do drzwi, żeby się przysłuchać. Jodie zaczyna się denerwować. Jeśli wcześniej nie wpadła jeszcze w paranoję, to teraz już tak.

Kończy połykać maleńkimi porcjami zgromadzony w ustach dym. Nie rusza się, ale widzę, że jest bardzo spięta i zła na mnie.

— Ktoś tam szepcze za drzwiami — donoszę. Nie wierzy, ale zaczyna się bać.

Trudno cokolwiek usłyszeć, bo z zewnątrz dobiega coraz głośniejszy dźwięk, odgłos jakiejś latającej maszyny. Przysłuchuję się jednak pilniej i teraz słyszę — na korytarzu, wprost przed naszym pokojem. Niezawodna oznaka obecności policji. Rzucam się z powrotem do Jodie.

— Są tu! Pieprzona policja. Są tutaj, słyszałem trzeszczenie krótkofalówki.

W tym momencie hałas za oknem narasta do łomoczącego crescendo. Tyr, tyr, tyr, tyr, tyr, tyr... To chyba helikopter. Jodie nieruchomieje, ja rzucam się teraz w drugi koniec pokoju, gdzie dziwnie falują zasłony. W szaleńczym, zuchwałym porywie odrzucam je na boki i wtedy z nieba pada na mnie potężny, biały snop światła. Dźwięk helikoptera ogłusza. Światło oślepia. To jak scena z filmu wojennego. Kurwa, policja pewnie myśli, że namierzyła dwójkę poważnych międzynarodowych dealerów narkotykowych, a tymczasem to tylko ja i Jodie.

Patrzymy na siebie. Rozsadza mi mózg. Jodie pewnie też. Jesteśmy w jakimś amoku nakręcanym paranoją.

Wtedy włącza się dodatkowy dźwięk. Łubu—du, łubu—du, łubu—du. Drzwi! Biegnę z powrotem przez pokój, mijam zastygłą w bezruchu Jodie, biorę głęboki wdech, odgarniam ręczniki i otwieram drzwi.

Na zewnątrz stoi nie jeden glina, ale cała ich armia. Zdaję sobie sprawę, że pokój za mną wypełniony jest niebieskim dymem i specyficznym, przenikliwym, słodkim aromatem cracku. Jodie

jest naga, znieruchomiła z fajką w ręce, jakby to było normalne. A na całym łóżku leży tyle dragów, że wystarczy, by wsadzić nas do paki na bardzo długi czas. No, to mamy przejebane.

Co najmniej dziesięciu policjantów zagląda do środka.

— Przepraszam, że przeszkadzamy — mówi jeden z nich. — Ale sądzimy, że na dach nad pana pokojem zbiegł ścigany przez nas podejrzany.

Jestem na takim haju, że nawet mój głos brzmi inaczej.

— Tak?! — piszczę.

— Nie miałyby pan nic przeciwko, gdybyśmy wyjrzeni przez pana okno?

Otwieram szerzej drzwi, dając policjantowi do zrozumienia, że może wejść. Z niewiarygodną przytomnością umysłu idę przed nim i szybkim ruchem zarzucam na łóżko narzutę. Wygląda to tak, jakbym skromnie przykrywał nagość mojej kobiety, ale przecież przykrywam narkotyki leżące na pościeli. Udaje mi się nawet zakryć fajkę, która ciągle tkwi w palcach nieruchomej Jodie.

— Przepraszam panią za to najście — mówi uprzejmie gli-niarz. Jodie nie jest w stanie odpowiedzieć.

Policjant podchodzi do okna, odsłania zasłony i przygląda się bacznie dachowi oświetlonemu przez ogłuszający helikopter. Mówi coś do krótkofalówki, potem odwraca się w moją stronę.

— W porządku, proszę pana, dziękujemy bardzo, nie będziemy wchodzić na dach z tej strony — mówi po jakiejś minucie. — Przepraszamy za kłopot.

Dołącza do kumpli czekających na korytarzu, którzy przez cały ten czas nie spuszczały nas z oka. Zamykam za nim drzwi. Odgłosy kroków na korytarzu cichną. Helikopter odlatuje. Po kilku minutach zapada cisza. Jodie jest ciągle jak sparaliżowana.

Nie odzywamy się. Nie patrzymy na siebie. Nic nie robimy.

W końcu mówię: — Ja mam dość. Dla mnie to koniec. Nie chcę już żadnego cracku, ani teraz, ani nigdy.

By wyciszyć szaleństwo, które mnie ogarnia, podnoszę folię z leżącą na niej heroiną. Wypaliłem fajkę czystej paranoi, a gdy właśnie skończyłem, policja była nie tylko w mojej głowie, ale i za moimi drzwiami. Jak mógłbym kiedykolwiek wypalić ten towar bez okropnych, podkreślonych lęków? A gdybym go wziął jeszcze dzisiaj, te lęki wymknęłyby się spod kontroli.

Jodie bardzo powoli rozluźnia ciało i umysł.

Odzyskuje mowę: — Ja nie przestaję.

— Ale jak gliny skończą z tym uciekinierem, wrócą tutaj. Doskonale wyczuli crack.

— Ja nie przestaję — mówi Jodie.

— Zacznesz coraz bardziej świrować, popadniesz w jeszcze głębszą paranoję. Weź trochę hery, teraz to tego potrzebujesz.

— Ja nie przestaję — powtarza Jodie. No tak, jest ćpunką.

Zasypiam, a Jodie ciągle pali. Budzi mnie co chwila, żądając wsparcia.

— Daj mi spokój — mówię. — Chcę jutro wstać i o tym wszystkim zapomnieć.

Ale Jodie jest przerażona i to jej przerażenie rośnie z każdą minutą. Nie uwalnia mnie z uścisku.

— Nie zasypiaj, Maaark, prooszę cię.

— Przestań palić to gówno i wszystko będzie dobrze, też zaśniesz.

— Proszę, nie zostawiaj mnie!

Przyciąga mnie i odpycha, chlipiąc i płacząc histerycznie. Otwieram oczy i patrzę na nią, widzę, że strach zamienił ją

w starą kobietę. Nie jest już piękną Jodie. Przerażenie postarzało ją o wiele lat. Budzi we mnie obrzydzenie, gdy tak szlocha, leżąc na łóżku. Odpycham ją. Nagle, jak gdyby ktoś pokazał mi zdjęcie, widzę swojego starego, jak wykrzywia usta w obrzydzeniu, gdy mama zawodzi i wije się na podłodze u jego stóp. Jak to się mogło znowu stać? Już raz się to zdarzyło, kiedy spuściłem w toalecie tamtą kostkę cracku, a teraz po raz kolejny zamieniłem się w swojego gruboskórnego ojca, a Jodie przeistoczyła się w przypominającą mamę kupę galarety. Zawsze taka była czy to jajej coś zrobiłem?

Mam tego dość, próbuję znów zasnąć. Ale podejrzewam, że gliny wrócą. Nie wracają. Rano się wymeldowujemy. Wsiadamy do pociągu i jedziemy z powrotem do spokojnego życia.

Próbuję ustabilizować swój stan za pomocą sporej ilości leków narkotycznych i alkoholu. Żyję z zasiłku, czasem handluję lżejszymi narkotykami. Kolejny krok, jaki podejmuję, by się usatkwować, to znalezienie stałego zajęcia. Podjęcie pracy w piekarni przy supermarkecie wydaje mi się znaczącym postępem. Mama ma nowe mieszkanie w Kendal. Bethany zamieszkała z jednym ze swoich kolegów, więc zatrzymałem się u mamy w pokoju od frontu, wśród mnóstwa pudeł.

Pewnej soboty budzę się z uczuciem, że to będzie dla mnie szczęśliwy dzień. Przyszła moja pierwsza wypłata. Odsłaniam zasłony, na dworze świeci słońce. Przed domem rozciąga się park, a w nim widzę jakąś ładną dziewczynę. Od razu ją rozpoznałem. Rosie. Chodziłem z nią do szkoły. Mając czternaście lat, uciekła z domu i dołączyła do jakichś wędrowców. A teraz wróciła; wygląda pięknie, gdy tak stoi w parku z małym dzieckiem, a słońce skacze po jej długich, kasztanowych włosach.

Ubieram się, idę do parku i zaczynamy rozmawiać. Pamięta mnie. Tłumaczy, że przyjechała na jakiś czas do Kendal, żeby przestać brać heroinę. Współczuję jej, bo sam też próbuję wyjść z nałogu. Zgadza się, że rzucenie narkotyków nie jest wcale łatwe. Potem biorę swoją wypłatę, wsiadamy do samochodu jej siostry, dziecko siostry siada z tyłu i jedziemy do Moss Side po narkotyki.

Wracamy z zapasem kokainy i heroiny, który zabieramy do domu Rosie. Jej rodziców nie ma, a ona miała się zająć siostrzeńcem. Siedzimy przed telewizorem, sami bierzemy narkotyki, a potem śpimy razem w pojedynczym łóżku Rosie. To nasza pierwsza randka.

Rozdział dwudziesty trzeci

Rosie pochodzi z dobrej, choć niebogatej rodziny: jej tato pracuje w fabryce, a ona jest najmłodsza z szóstki rodzeństwa. Nosi długie sukienki, gra na piszczałce i uwielbia muzykę folkową. I jest złotą rączką: sama zrobiła kilka drewnianych przyczep kempingowych dostosowanych do konnego zaprzęgu, przypominających w stylu tradycyjne barki pływające po kanałach. Podróżowała nimi sama po Anglii. Rosie uważa, że najlepiej jeździ się końmi. Potem sprzedała te przyczepy za spore pieniądze. Najpewniej wszystko wydała na towar.

Od kiedy opuściła dom, życie Rosie nie było łatwe. Były sprawy z policją, okropny wypadek — ktoś najechał na nią, gdy spała na polu, a teraz jest uzależniona od narkotyków.

Nasze stosunki bardzo szybko się zacieśniają. W moim świecie nie ma już miejsca dla Jodie. Prawdziwą miłością mojego życia jest Rosie. Wspólnie przeżywamy cudowne chwile. Przeprowadzamy się razem do mieszkania w Kendal, ja pracuję w piekarni, a w wolnym czasie remontuję stary wóz kempingowy. Czasem gdzieś nim wyjeżdżamy. Parkujemy sobie w lesie i otwieramy drzwi na oścież, tak że nocą gwiazdy niemal wchodzą

do środka. Pachnie przyjemnie drzewami i torfem. Piękne ciało Rosie kapie się w miękkim świetle świec, które zapalamy przy łóżku. Zażywane przez nas narkotyki jeszcze wzmacniają głębokie uczucie, które do siebie żywimy. Rosie jest rozkoszna, życie jest piękne, wszystko dobrze się układa.

Rosie wstrzykuje sobie heroinę. Nie może przestać — kiedy próbuje żyć bez heroiny, jest naprawdę chora. Więc jeśli Rosie jest blisko, blisko jest też heroina. Wcześniej często ją zażywałem, ale wraz z Rosie stała się częścią mojego życia.

Heroina to dobry narkotyk, otula mnie ciepłem, które przenika całe ciało jak miłość. Szybko, bardzo szybko przestaję ją jedynie lubić, a zaczynam jej potrzebować. Gdy jej nie mam, choruję. Ale w przeciwieństwie do Rosie, nie jestem uzależniony. Nałóg jest dla słabeuszy, a ja jestem twardy. I nigdy nie popełniam jednego błędu — nie wstrzykuję sobie heroiny ani żadnych innych narkotyków. Po cichu gardzę ludźmi, którzy to robią. Czy nie zdają sobie sprawy z tego, że jak raz zaczną, to już nigdy nie będą mogli przestać? Nieraz, choćby u kogoś w domu, otaczają mnie ludzie, którzy sobie wstrzykują, i mogę sobie z nimi zapalić towar, ale nigdy nie dotykam igły, bo szczycę się tym, że unikam igielnej pułapki.

Chociaż równocześnie ciekawi mnie, jak to jest.

To znaczy, wydaje mi się, że to musi być niezłe, w przeciwnym razie nikt by tego przecież nie robił.

Gdy budzę się o trzeciej nad ranem, by iść do pracy w piekarni, zadaję sobie pytanie, dlaczego muszę wychodzić z łóżka. Wysuwam jedną nogę, owiewa mnie nieprzyjemne poranne powietrze. Chowam nogę z powrotem pod kołdrę. Rosie śpi. Łóżko jest ciepłe. Zamykam oczy. Zasypiam.

Kiedy budzę się kolejny raz, słońce zalewa okno. W pokoju jest ciepło. Przeciągam się. Czuję przy sobie Rosie. Jeżeli dwoje ludzi potrzebuje narkotyków, to wychodzenie w środku nocy do pracy z jakimiś ponurakami za marną kasę nie jest najlepszym sposobem na ich zdobycie. Najlepszym sposobem jest kupowanie i sprzedawanie narkotyków. Handel zapewnia ci nie tylko zapas towaru, ale i dochód. Komu potrzebna jest stała praca? Komu potrzebne są ręce upaprane w mące przez cały dzień? Chrzanić to.

W pięknym starym wozie kempingowym Rosie i ja wyruszamy w drogę, na której odtąd będziemy sprzedawać narkotyki. Mamy nadzieję, że wyglądamy jak niewinni studenci, tak niewinni, że przeszukiwanie wozu nie przyjdzie nikomu do głowy. Bo jeśliby jednak przyszło, to odkryto by, że od podłogi po dach jest on wyładowany crackiem, heroiną i ekstazą.

Jedziemy na południe, w okolice Frome w hrabstwie Somerset. Jest lato, krowy toną po kolana w żółtych jaskrach porastających pastwiska. Spoglądają na nas ponad płotami, znad których unosi się słodki zapach dzikich róż. Rosie wie, gdzie zatrzymują się podróżni, i wszędzie ma znajomych. Zapotrzebowanie na narkotyki jest tak duże, że muszę ciągle wracać do Birmingham po nowe zapasy. Kiedy rynek wydaje się zaspokojony, jedziemy dalej, w okolice Bristolu i Bath. Rosie bada przede mną teren: kręci się między wędrowcami, zaprzyjaźnia się z nimi i mówi: — Będzie tędy przejeżdżał taki jeden z akcentem Brummie, handluje towarem, jest ktoś chętny? Zawsze wiadomo, kto kupi. Uzależnieni od heroiny próbują się zachowywać jak inni, ale od razu zdradzają ich martwe spojrzenie, trupio szara cera i chuda sylwetka.

Kiedy zbliża się koniec lata, jedziemy do Kent na zbiory jabłek. Owoce to tysiące maleńkich, zaróżowionych buziek, które zwisają z rosnących rząd w rząd identycznych drzew. Wędrowcy rozbijają się w starych sadach na obrzeżach farmy. Uwielbiam patrzeć, jak podjeżdżają kolejne ciężarówki, autobusy i przyczepy i wysypują się z nich dorośli i dzieci. Są ulotni, jadą tam, gdzie jest czas żniw, wiśni, chmielu, jabłek. Jakże stary to sposób na życie.

Spokojni wędrowcy pracują wysoko na drabinach, całymi dniami na okrągło zrywając jabłka do skrzynek, a gdy wieczorami wracają na miejsce odpoczynku, chcą rozprostować obolałe kości, coś zjeść i sobie zapalić. Jak oni mnie nienawidzą za to, że w zamian za parę woreczków heroiny i trochę pigułek oddają mi swój zarobek.

Nad pracownikami sezonowymi czuwa farmer. Codziennie rano przygląda się naszemu furgonowi i czeka, bym z niego wyszedł i tak jak inni zaczął zbierać jabłka: nie rozumie, że ja bez tego zarabiam tyle, ile on nie byłby w stanie mi zapłacić.

— Zaczynasz dzisiaj? — pyta rezolutnie, stojąc przy drzwiach furgonu i próbując zajrzeć do środka, jakby w poszukiwaniu czegoś, co wytłumaczyłoby moje zachowanie.

— Złapał mnie jakiś wirus. Do jutra pewnie wyzdrowieję — zapewniam go. Ale bynajmniej nie zamierzam zrywać jabłek, skoro mogę golić jego pracowników. Farmer patrzy na mnie podejrzliwie, ale nie wie, co mógłby mi zarzucić. Żyje w innym świecie.

Po Kent przychodzi czas na Wiltshire, potem Gloucester, później wracamy znów do Frome, a wtedy nastaje zima. Już od jakiegoś czasu kłócimy się z Rosie. Zwykle idzie o narkotyki.

Gdy rozcinamy woreczek heroiny, nigdy nie mam pewności, że Rosie równo ją dzieli. Mam też pretensje o sposób, w jaki żąda, bym zawsze miał dla niej zapas towaru. A jeśli nie dostanie działki, zaczyna krzyczeć i lamentować.

Naszym życiem żądają jej gówniane żyły: żeby były bardziej widoczne, musi wziąć gorącą kąpiel albo podkreślić ogrzewanie na maksa, tak że ja niemal się duszę. Dla swoich żył zrobiłaby wszystko. Przyglądam się z obrzydzeniem temu krwawemu, bałaganiarskiemu, odpychającemu procesowi, jakim jest dożylnie branie narkotyków. Za oknem rechocze bezzębna, podstarzała hipis—ka, która prowadzi pole kempingowe. Jej dzieci biegają wszędzie naokoło. Rozmawia z kimś, kto na mnie czeka, a ja palę heroinę i patrzę, jak Rosie nie trafia w żyłę. Potem, gdy już udaje jej się odciągnąć trochę krwi, przygotowanie heroiny zajmuje jej tyle czasu, że krew zaczyna krzepnąć. Zmarnuje działkę.

Przebywanie w pobliżu narkomana, który zmarnował swoją działkę, nie należy do przyjemności, więc wstaję i wychodzę. Na zewnątrz czeka na mnie John, wysoki blondyn z zachodu, który hurtowo kupuje u mnie towar i sprzedaje go później finalnemu odbiorcy. Jest podobny do mnie, panuje nad przyzwyczajeniem, na które może sobie pozwolić, handlując. Był jednym z tych, którzy sprzedawali mój towar na festiwalu w Glastonbury. Chodził między namiotami i wykrzykiwał: — Eski, kwas, amfa, kupuj u mnie!

W dawnych czasach, gdy chodziłem do klubów, handlowałem ekstazą i amfetaminą, bo miałem z tego radochę. Teraz handluję, bo naprawdę potrzebuję narkotyków i pieniędzy. I jestem w tym coraz lepszy. Szybko oceniam, jak chłonny jest rynek i jakie stawki mogę ustalić, do tego mam wystarczająco dużo

dostawców, by szybko zorganizować każdą ilość narkotyków, jakiej potrzebuję. W szkole nigdy nie byłem zbyt dobry z matematyki, ale teraz odkrywam, że w rachunkach jestem naprawdę niezły. Pamięć mi się przydaje; nie powinienem nigdzie pisać, za co ludzie mi wiszą, ale mimo wszystko to robię, skrobię coś na skrawkach papieru, które potem walają się po całym wozie. A właściwie nie muszę tego robić. Jeśli ktoś jest mi winny pieniądze albo narkotyki, prawie nigdy o tym nie zapominam.

Ciągle jesteśmy w drodze i coraz *częściej* się kłócimy. Obrazamy się na siebie. Notorycznie zarzucamy sobie wzajemne oszukiwanie, chowanie działek, ich nierówny podział, niedzielenie się wszystkim. Walczymy ze sobą. Rozstajemy się. Rozjeżdżamy się w przeciwnych kierunkach. Wszędzie sprzedaję dragi. Pieprzę się z innymi kobietami. Jadę dalej. W różnych miejscach bardzo się angażuję, ale nie angażuję się cały w jednym konkretnym miejscu, i to samo można powiedzieć o ludziach, których spotykam. Cokolwiek by się jednak działo, Rosie i ja zawsze się odnajdujemy, bo potrzebujemy się nawzajem. Zdarza mi się włóczyć po różnych kempingach i wołać ją po imieniu.

— Rosie, Rosie, jesteś tu? Pokaż się, kocham cię!

Razem wracamy na północ. Wszędzie jest zimno, ale tutaj jeszcze bardziej. Niebo jest wiecznie szare. W Morecambe morze rozbija się o brzeg, jakby walił się rząd wielkich szarych murów. Jest mokry, wietrzny dzień. Dealer ma tylko jedną działkę. Jedna działka na nas dwoje. Idziemy do publicznej toalety.

Patrzymy na działkę, a potem na siebie.

— Jeśli będziesz palił, nie poczujesz strzału — ostrzega mnie Rosie.

Zamykam oczy. Potrzebuję tego strzału.

Rosie mówi: — Jeśli chcesz cokolwiek z tego mieć, musisz sobie wstrzyknąć.

Potrzebuję heroiny. To substancja chemiczna, która nas wiąże, mimo że Rosieją sobie wstrzykuje, aja palę.

— Jak chcesz — mówi Rosie, czekając. Kapie jej z nosa, oczy ma mokre, bo jej ciało już wie, że jest bliskie strzału. — No, już, decyduj się, kurwa!

To prawda, że branie dożyłne jest bardziej ekonomiczne. Kiedy palisz towar, połowa przepada w atmosferze. Gdy go wstrzykujesz, wszystko trafia do twojego ciała.

— No, i co robisz? — pyta Rosie. Teraz jest już tak bliska strzału, że cała się trzęsie. Opuszcza klapę i siada na sedesie.

Ale czyja zawsze nie powtarzałem, że tego nie zrobię? Czyja zawsze nie mówiłem, że nie będę niczego wstrzykiwał?

Patrzę, jak Rosie przygotowuje się do zastrzyku; wyciąga kwasek cytrynowy, który kupuje w okolicznych sklepach, butelkę z wodą, łyżeczkę i zapalniczkę. Ile razy nie mieliśmy przy sobie łyżeczki, gdy Rosie potrzebowała strzału? Ile razy biegałem po sklepach z używanymi rzeczami albo jakimikolwiek innymi, żeby kupić jej tę łyżeczkę, a kończyło się na tym, że wracałem z kompletem dwunastu, podczas gdy Rosie już się pociła i trzęsła w karawanie? Teraz jej torebka jest otwarta i ma w niej wszystko, czego potrzebuje. Układa to precyzyjnie na zbiorniku wody w toalecie.

— No, więc? — pyta mnie.

Rozglądam się po obskurnym, parnym kiblu. Potrzebuję heroiny, a po wypaleniu działki niewiele mi ulży.

— Dobra, pieprzyć to. — Jeśli mam kiedyś sprawdzić, co takiego fantastycznego jest w braniu w żyłę, to ten szary, marny dzień na zimnej północy jest odpowiednim momentem.

— Pomogę ci — mówi Rosie. Ściąga pasek i owija mi go ciasno wokół ramienia jak opaskę uciskową. To czynność niemal intymna. Ale Rosie trzęsą się ręce. Prawie ich nie kontroluje.

— Najpierw sama muszę sobie wstrzelić — mówi w końcu. Zaciska pasek wokół swojego nadgarstka, a gdy jej dłoń robi się jasnoczerwona, szuka między palcami żyły, wkłuwając igłę i wyciągając ją. Wkłuwa i wyciąga, wkłuwa i wyciąga. W końcu udaje jej się odciągnąć trochę krwi, ale igła jest teraz na zewnątrz, więc Rosie panicznie próbuje ją znów wkłuć w żyłę, zanim krew zakrzepnie. Wreszcie trafia. Zwalnia pasek, zamyka oczy i opiera się plecami o ścianę, pozwalając heroinie rozejść się po ciele. Jeszcze przed paroma sekundami kapało jej z nosa, a oczy zachodziły łzami, teraz jest już sucha. Heroina postawiła ją na nogi.

— Teraz ty — mówi. Patrzę niecierpliwie, jak Rosie przygotowuje dla mnie strzał. Bierze łyżeczkę i wysypuje na nią heroinę, brązową i sypką jak ceglany pył. Dodaje parę ziarenek kwasu cytrynowego, tylko kilka granulek, żeby złamać narkotyk, i trochę wody. Przytrzymuje zapalniczkę pod łyżeczką. Gotuje heroinę. Gdy ta zaczyna bulgotać, jest sterylna.

Oddzielam od papierosa filtr, nie cały, tylko parę milimetrów, tak żebym mógł w palcach zwinąć coś na kształt bawełnianego gazika. Upuszczam filtr na heroinę, a Rosie przebija go igłą i wciąga narkotyk do strzykawki. Gdy przygotowuje strzał dla siebie, wszystko to umie zrobić jedną ręką, teraz używa obu.

Znajduje żyłę na tatuażu, który mam na ramieniu. Szybkie ukłucie igły. Czekam na strzał. Najpierw czuję go w karku, potem we wszystkich nerwach mojego ciała. Palę się, trzęsę, dostaję spazmów. Kurwa, kurwa mać. Coś szalonego zawładnęło moim ciałem i rzuca nim na wszystkie strony w publicznej damskiej toalecie.

W moich żyłach wibruje młot pneumatyczny. Żeby zębami nie odgryźć sobie języka, chwytam w usta końcówkę skórzanego paska. Eksploduję. Co się stało? Branie w żyłę nie powinno tak wyglądać. To musi być wina Rosie! Ona próbuje mnie zabić.

Najpierw zły, potem siny z wściekłości, łapię ją za gardło. Patrzę na jej twarz. Oczy ma szeroko otwarte z przerażenia, nawet jej piegi są blade.

— Przepraszam, przepraszam — mówi — jakiś śmieć musiał się dostać... O kurwa, to brudny strzał, ja pierdolę...

Podnoszę rękę, by ją uderzyć, ale Rosie już wybiega.

— Załatwię ci nową działkę, to jedyne wyjście...

Idę za nią do furgonu. Mam wrażenie, że zaraz umrę. Gdy Rosie jedzie do innego dealera, całym moim ciałem wstrząsają spazmy. Zaciskam zęby. Rosie wchodzi do dealera, ja obejmuję się ramionami i czekam. Myślę: ten brudny strzał to ostrzeżenie. To znaczy, że już nigdy nie powinienem brać niczego dożyłnie. Wiem, że po przeżyciu takim jak to dziewięciu na dziesięciu nie posunęłoby się dalej. Ale ja jestem już uzależniony. I wiem, że Rosie ma rację, jedynym sposobem na zakończenie tej męki jest kolejny strzał, tym razem czysty.

Rosie wychodzi z działką, podjeżdżamy nad brzeg morza i parkujemy przy toaletach. W taki chłodny zimowy dzień nie ma tu żywej duszy. Wiatr rozwiewa włosy Rosie na wszystkie strony, jednak gdy wchodzimy do wilgotnej, zatęchłej toalety, opadają i zamierają. Ciągłe cały się trzęsę. Szczękam zębami.

Rosie przygotowuje kolejny strzał i tym razem, po ukłuciu igły, w ten deszczowy dzień w damskiej toalecie nad morzem w Morecambe dzieje się coś pięknego, tak pięknego, że mam pewność, że to zmieni moje życie i nie ma już od tego odwrotu.

Crack jest głośny, migoczący i ekscytujący, ale crack to Jodie. Heroina to ciepłe objęcia. To ogień, wygodny fotel, miękki dywan i mnóstwo miłości, heroina to Rosie. Heroina przynosi ulgę w bólu fizycznym i emocjonalnym. Weź heroinę, a wszystko będzie dobrze. Gdy Rosie wkłuwła igłę w moje ramię, wstrzykuje mi w żyłę czysty, płynny aksamit, a gdy zdejmuje opaskę uciskową i aksamit rozpląta się po całym moim ciele, czuję, jak ciepło otula każdy mój nerw, cudownie dotyka każdej żyły. Często paliłem heroinę, ale igła tysiąckrotnie intensyfikuje doznania. Teraz już rozumiem, dlaczego ludzie to robią. Teraz moja ciekawość została zaspokojona. Robią to, bo to jest piękne. Rosie jest piękna. Życie jest piękne. Nawet pieprzone Morecambe jest piękne.

Na początku odpływam. To znaczy od razu zapadam w stan sennej, ciepłej nieświadomości. Widziałem, jak robi to Rosie: głowa opada na piersi, źrenice zamieniają się w główki od szpilek, z ust cieknie ślina. To obrzydliwe, ale teraz wiem, jak się wtedy czuje. Zajebiście.

Kiedy się budzę, ciągle mi dobrze. Jest mi dobrze do końca dnia i przez większość nocy. Moje dobre samopoczucie po prostu mnie nie opuszcza. Najlepsze momenty dnia są szczególnie wyraźne, a złe mijają niemal niezauważalnie. Właściwie wszystko jest takie dobre, że zdaję sobie sprawę, że natychmiast muszę przestać brać dożylnie, natychmiast. Heroina wypełniła pustkę w mojej duszy. Jest jak brakująca część układanki. Już nigdy nie powinienem sobie wstrzelić, powinienem też przestać palić. Będzie ciężko, ale wiem, że jeśli teraz nie przestanę, to wpadnę w poważne tarapaty.

Jest sobota. W niedzielę Rosie potrzebuje kolejnej działki, bierze też jedną dla mnie.

Nie. Powiedziałem sobie wczoraj, że więcej tego nie zrobię.
Nigdy.

Biorę działkę.

Teraz już na pewno przestanę.

W poniedziałek biorę kolejną działkę.

Dobra, dość. Branie w żyłę było interesujące, ale już mi wystarczy.

We wtorek źle się czuję. Ciągłe leci mi z nosa. Nie przestaję ziewać ani kichać. Wymiotuję. Bolał mnie kości. Jestem żałosną kupą nieszczęścia wypełnioną po brzegi głębokim cierpieniem. Życie jest straszne i za szybko płynie. Świat jest monotony. Wszystko jest szare. Zegar, kurwa, chodzi do tyłu zamiast do przodu. Nic nie idzie tak, jak powinno. Cały dzień leje. Znow wmiotuję, kości palą mnie tak, że w końcu całym moim ciałem wstrząsają drgawki bólu. Klekot — mocniejszy, gdy się wstrzykuje, bo wtedy narkotyk wnika w każdy zakamarek ciała. A im lepszy strzał, tym większy klekot.

Jeśli jednak mam przestać się kłuć, to wiem, że teraz jest ten właściwy czas, więc muszę to przetrzymać.

Rosie bierze strzał. Nie mogę znieść tego widoku. Oblewa mnie pot. Ogień doszedł już do szpiku kości. Chcę wbić sobie w nie szydełko i wyciągnąć wszystko, co mnie tam tak pali. Trzęsę się. Mam dreszcze. Nie mogę mówić, nie mogę jeść, nie mogę się uspokoić i nie mogę wymknąć się męczarniom.

Rosie proponuje mi działkę. Dziesięć funtów. Mogę zakończyć tę udrękę za dziesięć funtów. I robię to.

To niesamowite. Wiem wszystko o heroinie, a mimo to wpadam w tę otchłań. Widziałem, jak większość narkomanów przechodzi coś w rodzaju miasyca miodowego, który wabi ich

uzależnieniem, tak że nie chcą z niego zrezygnować, a potem jest już za późno. Ja ten swój czas przepaliłem, a potem też chciałem przestać. Teraz chcę przestać brać w żyłę. Ale już wiem, że nie potrafię.

Przyznaję się przed samym sobą, że jeszcze zanim pierwszy raz dałem ją sobie wstrzyknąć, heroina była w moim życiu koniecznością, już wtedy miałem problem. Teraz jednak jest mi potrzebna bardziej niż jedzenie, niezbędna jak woda. Bez niej nie mogę rano wstać, nie mogę mówić, nie mogę funkcjonować, nie mogę żyć. Jeśli nie chcę czuć się podle, muszę ją brać. I nie dlatego, że sprawia mi przyjemność. Tej szukam teraz w innych narkotykach. Heroina po prostu niweluje objawy spowodowane jej brakiem. Strzał przywraca mnie do stanu, w jakim byłem, zanim zacząłem potrzebować heroiny.

Więc teraz Rosie i ja walimy w żyłę razem, ale bynajmniej nas to nie zbliża. Zamiast tego coraz częściej się kłócimy, kto idzie po działkę, kto płaci, jak ją dzieli. Mimo to kocham ją. Tyle tylko, że czasem miłość do Rosie myli mi się z miłością do heroiny.

Rozdział dwudziesty czwarty

Pisze do mnie mój stary kumpel Daniel. Nasze drogi obrały różne kierunki, więc już dawno ze sobą nie rozmawialiśmy. Czasem w Birmingham kupował ode mnie jakieś dragi. Ale on interesuje się inną muzyką. Ciągłe ma zamiar wybrać się na jakąś otwartą imprezę DIY i jakoś nigdy mu się to nie udaje. A gdyby nawet mu się udało, i tak by tego pewnie nie zrozumiał. Teraz znów siedzi w więzieniu za kolejną brutalną kradzież i już się nie zmieni. Ale nasza przyjaźń nadal jest głęboka. Od czasu, gdy zamknięto nas razem w celi, minęło dopiero pięć lat, więc tamta braterska więź jeszcze nie wygasła.

List Dana wygląda dość niewinnie, ale kiedyś dobrze się znaliśmy, więc pamiętam te wszystkie kody: Dan pisze, żebyśmy szybko przyjeżdżali do Birmingham.

— Nie jedź — mówi Rosie. — Nie podoba mi się to. Coś się święci.

— Nie rozumiesz — mówię jej. — Nie rozumiesz mojej więzi z Danielem, bo masz bliską rodzinę. Tam, skąd pochodzimy ja i Daniel, sama dla siebie jesteście rodziną. Sporo razem przeszliśmy i zrobimy dla siebie wszystko. Wszystko.

— Mówiłś — ciągnie Rosie — że nie masz z nim już wiele wspólnego.

Czy może zdarzyło mi się powiedzieć, że Dan nie potrafi docenić piękna zachodu słońca? Że nie ma twórczego zmysłu ani wyobraźni? No cóż, ale poza tym jest moim bratem. Mój rodzony brat, Shane, jakiś rok temu wyjechał do Ameryki i pracuje w Atlancie przy systemach nagłaśniających. Ale i tak zawsze bliżej mi było do Dana niż do Shanea, a teraz Dan daje mi do zrozumienia, że potrzebuje mojej pomocy.

Mimo kolejnych protestów jadę prosto do Birmingham. Dan czeka na mnie z czterema czy pięcioma współwziętniami. To ewidentnie jacyś poważni gangsterzy. Teraz, gdy siedzą, szukają zaufanego dealera narkotykowego. I Daniel im powiedział, że ja jestem właściwą osobą.

W obecności gangsterów staram się zachować spokój. Dan też jest spokojny. W rzeczywistości, gdy tamci opisują nam robotę, ledwo wytrzymujemy z podniecenia.

— Mamy to — szepcze Daniel, gdy wychodzą. Jego wielkie dziecięce oczy płoną w twarzy bladej jak papier. Niemal widzę, jak kalkuluje, planuje, myśli. Widzę, jak na jego skroni pulsuje niebieska żyłka, połączona bezpośrednio z zapracowanym mózgiem.

— Jesteśmy ustawieni, stary, zostaniemy milionerami w tym biznesie. — I zaczyna się śmiać. Znam ten śmiech. To ten sam nerwowy, podekscytowany chichot, który słyszałem, gdy okradaliśmy ludzi.

Gangsterzy okazują się ogniwem tuż za głównym źródłem dostaw z Europy Wschodniej i z więzienia mają ustawić wielki biznes. Moja rola polega na spotykaniu się przy drogach z ludźmi wyglądającymi jak dekarze czy hydraulicy, którzy

przyjeżdżają samochodami wyładowanymi hurtową ilością narkotyków. Ładuję je do swojego wozu. Powinny się w nim znajdować piętrowe łóżka, ale u mnie jest stos esek. Poważnie, tysiące tabletek ekstazy. Muszę je przewieźć z Birmingham do dealerów w całym East i West Midlands.

To bardzo lukratywna, ale i niebezpieczna robota. Ekscytująca. I przerażająca. Nie dość, że płacą mi za rozwożenie narkotyków, to jeszcze sam wypracowuję sobie mały zysk, podnosząc cenę każdej tabletki o pół funta. To daje mi pięćset funtów na każdym tysiącu pigułek. Albo z każdej dostawy gubię parę tabletek i przechowuję je w Kidderminster, w kanale niedaleko domu Dana. Wkrótce gromadzę pokaźny prywatny składzik ekstazy, ale gdy coś z niego sprzedaję, połowę kasy oddaję Danowi.

Rosie jeździ ze mną, we dwoje wyglądamy jak beztroscy studenci, a nie jak dealerzy narkotyków, których samochód wyładowany jest po brzegi tabletkami ekstazy. Ale Rosie nie uważa, że to ekscytujące. Zzerają ją nerwy. Zaczynają jej wypadać włosy. Gdzieś w głębi ja też się boję. Ale się do tego nie przyznam.

— Oni połamia ci nogi, gdy tylko uznają, że nie jesteś im już potrzebny — mówi Rosie, kiedy rozwozimy narkotyki, szeleszczące za naszymi plecami. — W najlepszym razie.

Wzdrygam się. Czy ona nie rozumie, że teraz jestem jednym z nich?

— A jeśli złapie nas policja, dostaniesz za to dożywocie.

— Nie złapie.

— Daniel się tym nie przejmie.

— Jest moim przyjacielem.

— Więc będzie cię odwiedzał w pace przez kolejne dwadzieścia lat? To o to chodzi w przyjaźni?

— Nie rozumiesz tego. To sprawa honoru. — Honoru? Teraz naprawdę brzmię jak gangster, którym chcę być. Ale to prawda, że Daniel i ja poszlibyśmy do piekła, trzymając się za ręce.

— Rozumiem jedno. To nie on dostanie dożywocie.

Oczywiście, że jestem uzależniony. Ale panuję nad swoim nałogiem, tak że udaje mi się go utrzymać w tajemnicy, do pewnego stopnia nawet przed Rosie. Trudno żyć z takim nałogiem jak mój: w tajemnicy muszę zdobyć narkotyki, ukryć je, a potem znaleźć odludne miejsce, żeby sobie wstrzyknąć. Teraz wstrzykuję już nie tylko heroinę, ale też kokę i crack. Jeśli już zaczniesz, wstrzykniesz sobie wszystko. Palenie, wciąganie i połykanie nie dają już żadnych efektów. Nie możesz znieść widoku, gdy przy końcu fajki połowa towaru przepada w atmosferze. Ze względu na czystość strzału, jaką daje ci narkotyk, chcesz go dostać w całości prosto do żyły.

Jestem tak zdeterminowany, by uciec od lamentującej Rosie i w spokoju przeżyć strzał, że któregoś ranka w tygodniu, gdy nie ma nikogo w pobliżu, idę do prostytutki w Birmingham. Nie mówię o jakiejś taniej pannie, która siedzi w oknie przy Balsall Heath: przeszedłem długą drogę od czasu tamtej durnej kompromitacji. Mam na myśli dziewczynę z klasą. Jest piękną Chinką. Nie wierzy mi, gdy mówię, że jestem dealerem narkotyków. Pokazuję więc, że mam przy sobie co najmniej pięćset tabletek ekstazy, a wtedy obskakuje mnie ze wszystkich stron. Bycie dealerem świetnie wpływa na ego. Spędzam z prostytutką cały poranek. W zaciszowej pięknej apartamentu na poddaszu wstrzykuję sobie crack i heroinę. Dobrze mi. Nie lubię brać sam, a ostatnio branie stało się czynnością samotną.

Ale Rosie też ma swoją tajemnicę i w końcu mówi mi o tym jeden z dealerów. Sugeruje, że gdy jestem zajęty rozwożeniem

towaru, Rosie wszędzie rozpytuje i prosi o herę. Wściekam się i bardzo niepokoję. Wszyscy się dowiedzą, że moja dziewczyna jest narkomanką. Wtedy zaczną się zastanawiać, czy ja też nie jestem ćpunem, bo nikt takiemu nie ufa, a już na pewno ćpun nie może rozwozić narkotyków.

Kiedy się dowiaduję, co wyprawia Rosie, na oczach wszystkich łapię ją za włosy, jestem brutalny i opryskliwy. Najważniejsze, by przed nimi wyraźnie się od niej odciąć. Poza tym faktycznie jestem strasznie wściekły. Pierwszy raz w życiu mam dobrą pracę, w której nie muszę zbyt wiele robić, i narkotyki, jakie tylko mi się zamarzą, a Rosie temu zagraża.

Zamykam ją w wozie i nie chcę wypuścić.

— Zrujnowałaś mi, kurwa, życie — warczę do niej.

Rosie płacze, a im bardziej histeryzuje, tym bardziej jestem dla niej nieprzyjemny. Wali rękami w ściany przyczepy i dziko zawodzi, aja czuję tylko odrazę. Znow widzę ten obrazek, którego nienawidzę, pojawiający się w mojej głowie, kiedy tego nie chcę. Matka lamentująca i wijąca się na podłodze na farmie i wyraz obrzydzenia na twarzy ojca, który stoi nad nią, nieruchomy jak skała. Mama była szalona. Stary też. Więc jak to się stało? Jak to możliwe, że stałem się nim? A Rosie, miłość mojego życia, jak mogła zamienić się w moją mamę? Czy my też jesteśmy szaleni? Czy Rosie była już taka, kiedy ją spotkałem, czy to moja wina?

Mam nadzieję, że zrobiłem wystarczająco dużo, by rozproszyc obawy dealerów, z którymi współpracuję, i przekonać ich, że nie jestem narkomanem i można mi ufać, i że cokolwiek brałyby moja dziewczyna — ja sam nie biorę. Ale ludzie o mnie gadają. Czuję to. Paranoja narasta, a i tak było jej wystarczająco

dużo. Biorąc pod uwagę kasę, o jaką chodzi w tym biznesie, policja stanowi ciągle zagrożenie; gangsterzy też są niebezpieczni.

Wiem, że szum wokół mnie dotarł do Dana i do gangsterów kierujących z więzienia całą operacją, bo dzieje się coś dziwnego. Rozmawiam przez komórkę z Neilem, a kilka minut później on oddzwania.

— Jak tylko skończyliśmy gadać, dzwonił do mnie jakiś gość. Pytał o ciebie.

— O co konkretnie?

— O to, o czym właśnie rozmawialiśmy. Musiał nas jakoś słyszeć.

No, to mają mój telefon na podsłuchu. Wielcy chłopcy sprawdzają każdą moją transakcję. Wyczuwam kłopoty.

— Jak sądzisz, co to był za gość? — pyta Neil.

— Z pewnością ktoś z biznesu.

— Ja pierdołę! — mówi Rosie, gdy opowiadam jej, co się stało.

— Musimy się z tego wyrwać. — W jej oczach widzę przerażenie. Odgarnia włosy w geście rozpaczy, i całe mnóstwo zostaje jej w rękach.

Wiem, że Rosie ma rację. Gangsterzy zwracają się przeciwko mnie. Dan zwraca się przeciwko mnie. Pora uciąć to wszystko i wiać.

Sprzedaję połowę tabletek ekstazy, które ukradłem dla siebie i Dana, wsiadamy do kampa i jedziemy na północ. Nie zdejmuję nogi z gazu. Kilka godzin później dzwoni telefon. Głos w słuchawce jest przestraszony.

— Musiałem, kurwa, oddać wszystkie eski, które mi sprzedałeś! — mówi dealer, od którego dopiero co odjechaliśmy. — Banda osiłeków otoczyła dom. Przez skrzynkę na listy wlał mi

benzynę i zagrozili, że mnie podpalą, jeśli nie oddam im towaru. Powiedzieli, że nie miałeś prawa go sprzedać.

Ujechaliśmy już kawał drogi autostradą M6 i, jak się okazuje, wyjechaliśmy w samą porę. Sprawdziły się wszystkie przewidywania Rosie. Mój brat Dan odwrócił się ode mnie. Dogadał się z gangsterami.

W wozie panuje cisza. Trwa kilometrami. A potem, gdy zbliżamy się do Kendal i czujemy się bezpieczniej, zaczynamy się awanturować. Mówimy sobie straszne rzeczy, tak jak za każdym razem, kiedy się kłócimy. Zjeżdżam z autostrady i zatrzymuję się w szczerym polu, żeby móc się skoncentrować na krzyku. Rosie zaczyna płakać. Drę się głośniej.

— Co się z tobą dzieje?! — wrzeszczę na nią zrozpaczony. — Przez ostatnie dni nic nie robisz, tylko płaczesz!

— Jestem... — szlocha. — Jestem... — siąka nosem. — Jestem... — no, wyduś to z siebie, myślę — jestem ... w ciąży.

No, teraz dopiero zapada cisza. Siedzimy w cichym samochodzie na cichej polnej drodze wśród cichych wrzosowisk, z dala od czegokolwiek w hrabstwie Cisy.

W ciąży.

To oznacza, że Rosie urodzi dziecko.

Ciężar gatunkowy tej wiadomości obezwładnia mnie chyba na jakąś minutę. Dziecko. Trzeba je nakarmić, ubrać, opiekować się nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, a potem rośnie coraz większe, zmieniają się jego potrzeby, ale ciągle trzeba je zaspokajać. Niemowlę staje się dzieckiem, później nastolatkiem, i trzeba je kochać i troszczyć się o nie, i uczyć, jak żyć. Kiedy ma się dziecko, nie można być egoistą, nie można być beztroskim i nie można chodzić własnymi drogami. Mój ojciec taki był i to się nie sprawdziło.

Wiedza, poczucie odpowiedzialności, powaga sytuacji — to wszystko przelatuje mi przez głowę. — Nie cieszysz się? — szlocha Rosie.

— Taaak. Jasne, że się cieszę — mówię, obejmując ją ramieniem. — Dziecko. Taaak, cieszę się.

— Nie chcesz go, prawda?

— Skąd... To... to wspaniała nowina.

Rosie od dłuższego czasu chciała mieć dziecko. Powtarzała mi to, ale dla mnie nie liczyło się nic oprócz moich własnych potrzeb i nałogu. Słowa nic nie znaczyły, ale teraz rozumiem, że dla Rosie dziecko jest rozwiązaniem. Ciągłe jesteśmy w drodze, nasza potrzeba heroiny, jak błędny ogień, sprawia, że znajdujemy się w nieustannym ruchu, ciągle się kłócimy, a teraz Rosie potrzebuje stabilizacji. Wierzy, że dziecko może jej to zapewnić.

Jestem pełen wątpliwości i obaw. Odpalam wóz. Odgłos silnika wypełnia ciszę. Jedziemy do naszego starego mieszkania w Kendal. Mama ciągle tam mieszka, podobnie jak obie moje siostry. Bethany chodzi własnymi ścieżkami, poznaje życie wolnego ptaka, podczas gdy Kelly na dobre ugrzęzła z dziećmi. Czasem je widuję. Jeszcze w domu, gdy tato nami rządził, nauczyliśmy się żyć osobno; teraz żyjemy osobno w tym samym mieście i żadne z nas, poza Kelly, nie ma kontaktu z ojcem. Kiedy przyjeżdża z Durham w odwiedziny do Kelly, Bethany go unika. Gdy stary jest w mieście, moja młodsza siostra nie chce nawet wychodzić z domu.

— Co się dzieje? — pytam, skupiając wzrok na Bethany, może pierwszy raz od wielu lat. Jest bardzo ładna, a przy tym łagodna i serdeczna, widać to po niej od razu. Córeczka tatusia. Byłem taki zazdrosny o tę ich wyjątkową, intymną relację, o konie,

o żarty, o delikatność jego rąk w stosunku do Bethany. A teraz ona nie chce nawet spotkać ojca przypadkiem na ulicy.

Bethany nie patrzy mi w oczy i widzę, że nie chce o tym rozmawiać. Nie nalegam. Jestem zbyt zaabsorbowany tym, co niedługo wydarzy się w moim życiu.

W miarę jak brzuch Rosie rośnie, coraz częściej mam ataki lęku przed odpowiedzialnością, jaka nas czeka. Dostaję pracę na część etatu w wiejskiej posiadłości jakiegoś bogacza i dla dobra dziecka próbujemy brać mniej heroiny, ale teraz, gdy już nie muszę trzymać swojego nałogu w tajemnicy, jak w szufladzie albo na dnie szafy, on się rozprzestrzenia. Szybko wypełnia mieszkanie i moje życie, tak się nasila, że wiem już, że go nie kontroluję. To on przejął kontrolę nade mną.

Gdy Rosie jest w ósmym miesiącu, okrągła jak piłka, próbuje ograniczyć branie do palenia. By sobie pomóc, używa metadonu. Ja próbuję całkiem rzucić heroinę, ale objawy odstawienne są straszne. Oboje klekoczymy, leci nam z nosów i oczu, pękają nam głowy. Pali nas, wymiotujemy, mamy dreszcze, trzęsiemy się, płaczymy. Nie znosimy się nawzajem i każde z nas nienawidzi klekotu drugiego. Z każdym dniem nasze ciała są coraz bliższe rozkładowi. Do czasu, gdy się poddajemy. Efekt pierwszego strzału jest natychmiastowy. Mój siąpiący organizm nagle staje się suchy, jestem znów młody, moje ciało jest całe, myśli i pomysły znów furkoczą w mojej głowie, bo ktoś włączył zasilanie.

Teraz, gdy jestem po strzale, przestaję się zamartwiać, jak poradzimy sobie z dzieckiem i z nałogiem, i zaczynam się ekscytować. Ta wewnętrzna samotność, o której nigdy nie chcę myśleć ani stawić jej czoła, ta sama, którą czułem, od kiedy byłem małym chłopcem, i którą w dużym stopniu wypełniła heroina —

jeśli wokół niej zbuduję rodzinę, to może ta samotność zniknie. Przyjście na świat dziecka będzie wspaniałym przeżyciem.

Dziecko rodzi się w kwietniu 1996 roku, po cesarskim cięciu i długiej, emocjonującej nocy. Stoję obok Rosie z maską na twarzy i w ochronnym fartuchu, położna unosi prześcieradło i nagle prezentuje przede mną dyndającą do góry nogami, wrzeszczącą replikę człowieka.

To mój syn. Nie mogę w to uwierzyć. Rozpierają mnie emocje, z którymi ledwie sobie radzę. Głęboka, bardzo głęboka miłość, głębsza od czegokolwiek, co do tej pory czułem, tak głęboka, że mnie przeraża. Pozwalają mi go potrzymać, spogląda na mnie i na chwilę się uspokaja. Niewiele waży, jego ciało przytula się do mnie z ufnością. Nie ocenia mnie, nie myśli, że jestem zły. Przez chwilę wszystko jest możliwe. Zaczyna własne życie. Może chce, bym i ja na nowo zaczął swoje. Jestem radosny. Wpadam w euforię.

Nazwiemy go Jack. W szpitalu nawiązuję z moim synkiem więź, więź miłości, która jest silniejsza od wszystkiego, co do tej pory znałem. Jedyną rzeczą, która kiedykolwiek miała dla mnie znaczenie, były narkotyki. Teraz jest Jack.

Prowadzą nas do pokoju, gdzie Rosie niemal natychmiast zasypia, a Jack zaciska swoje małe paluszki wokół mojego palca. Stopniowo moją radość przyćmiewa strach. Jack jest taki bezbronny, a my jesteśmy za niego odpowiedzialni. Jak ja będę się nim opiekował, skoro sam jestem takim dzieciakiem, skoro sam potrzebuję tyle uwagi co dziecko? Czy ja wiem, jak go kochać? Przypomina mi się kostka cracku kręcąca się, a potem znikająca w sedesie. To było coś, co bardzo kochałem, a mimo to spuściłem do kanału. To wspomnienie mnie przeraża.

Siedzę na szpitalnym oddziale i rozmawiam z naszym dzieckiem, zwyczajnie rozmawiam, tak jakby ono mnie naprawdę rozumiało. Mimo że urodziło się jako narkoman, to życie, które się przed nim otwiera, jest pełne możliwości. Mówię mu, że dla mnie wszystko źle się potoczyło, ale ja postaram się być dla niego prawdziwym ojcem, nie takim jak mój tato. Będę się nim opiekował i zadbam o to, by te rzeczy, które mnie spotkały, jemu się nie przytrafiły. Udało mi się już przecież zdobyć odpowiednią pracę, teraz przestanę brać narkotyki i nie będę musiał doraabiać, handlując nimi. I będziemy prawdziwą rodziną.

Zostawiam ich w szpitalu i wracam do mieszkania, żeby w nim posprzątać. Przepęłnia mnie bojaźń. Jestem tylko małym chłopcem, który nagle musi dorosnąć. Ale to konieczne. Bo to ja teraz jestem ojcem.

Naprawdę staram się dotrzymać obietnic, które złożyłem Jackowi. Przez pierwsze sześć miesięcy jego życia ciągle podejmuję próby odstawienia heroiny. Ale za każdym razem się podaję, a okrutna kochanka bierze na mnie odwet i zsyła mnie na jeszcze głębsze dno uzależnienia. Utknąłem w błędnym kole, z którego nie mogę uciec, a na dodatek cały czas słyszę płacz dziecka.

Jestem egoistą. Nie ściszam muzyki, gdy Jack próbuje zasnąć. Leżę w łóżku, zamiast zabrać go na spacer. Daję sobie w żyłę, a powinienem w tym czasie go nakarmić. Ciągnę go w miejsca, w których roi się od igieł. Rosie ciągle mnie zostawia i wraca z Jackiem do swojej mamy. Ale kocham synka bardziej, niż potrafię to wyrazić. Kiedy czuję, jak jego ciało przytula się do mojego, gdy dotykam jego mięciutkich włosów, gdy patrzy na mnie z miłością i ufnością, której nie mogę zawieść, podejmuję decyzję.

Podczas jeszcze jednej rozpaczliwej próby zmiany swojego życia pokazuję portfolio ze zdjęciami w renomowanym studium fotograficznym w Blackpool. Przyjmują mnie na kurs. Zamierzam zostać fotografem. Gdy nie udaje się nam znaleźć taniego mieszkania w Blackpool, myślę o przeprowadzce do Newcastle—upon—Tyne. Tamtejszy uniwersytet też organizuje niezłe kursy fotograficzne, a w tak dużym mieście tanich mieszkań nie brakuje. Pokazuję swoje portfolio na wydziale sztuki i zgadzają się na moje przeniesienie. A więc przeprowadzam się do Newcastle, tam, gdzie się urodziłem i gdzie jeszcze wcześniej urodzili się moi rodzice. Wszystko w moim życiu zostało zatarte przez narkotyki i potrzebę ich zdobycia, ale przez tę mgłę dostrzegam coś trwałego. Kurs fotografii prowadzący do pracy, do zarobków... Przestanę handlować narkotykami i je brać, zacznę żyć. Z rodziną u boku.

Wkracza moja starsza siostra Kelly. Ani ona, ani ja nigdy nie rozmawiamy o ojcu: wszystko, co o nim wiem, to że mieszka ze swoją nową rodziną w Durham. Ale teraz Kelly mi mówi, że zaraz po rozwodzie zainstalował się ze swoją partnerką w Newcastle, gdzie ciągle mają mieszkanie i są gotowi pozwolić nam w nim zamieszkać.

Rosie, Jack i ja ładujemy się do samochodu. W drodze do nowego początku przemierzamy Góry Pennińskie. Jedziemy w zadziwiającej wysokogórskiej scenerii, na zewnątrz dmie zimny wiatr, pada śnieg, Jack płacze z tyłu samochodu, a my z deski rozdzielczej wciągamy kokainę: nie wygląda to na podróż na spotkanie nowego życia.

Mam się spotkać z ojcem, więc jestem zdenerwowany i rozemocjonowany. Kocham go, kocham go bardzo, bo jest moim

tata, i bez względu na wszystko, co się między nami wydarzyło, czekam na to spotkanie. Mam teraz dwadzieścia cztery lata, a ostatni raz widziałem go, gdy miałem szesnaście.

Przyjechał z Durham i czeka na nas w swoim mieszkaniu.

Nie zmienił się. Kowboj, niczym z wielkiego przydrożnego billboardu reklamowego Marlboro Country, conajmniej trzykrotnie większy, niż jest w rzeczywistości. Jedno spojrzenie na niego wystarczy, bym poczuł się jak kłębek nerwów. Chcę wyjść mu naprzeciw, podobnie jak Jack, kiedy wyciąga do mnie rączki. Chcę, ale nie potrafię. Dzielią nas długie lata dzieciństwa, kiedy nie czułem nic poza odrzuceniem. Widzę te stalowe, niebieskie oczy, srogą twarz, tatuaże na dłoniach, i się cofam. Mam sześć lat i jestem przerażony. Mierzy mnie od stóp do głów i przez moment widzę to co on. Żrenice jak główki szpilek, mokre oczy, ciekący nos, drżenie, ślady po igle. Wszystkie oznaki narkomanii. Ojciec wie. Wie o mnie wszystko. Patrzy na Jacka, który jest na rękach Rosie.

— Siemasz, synek — mówi do niego. Jack odwraca się w jego stronę. Nie chcę, żeby ojciec go dotykał.

Przychodzi jego kobieta. Krząta się, przygotowując herbatę. Jest miła. Czy nie wie, jaki on jest naprawdę? Pijemy herbatę, ale rozmowa się nie klei. Kiedy wszyscy się podnoszą do wyjścia, tato i ja na chwilę zostajemy sami w kuchni. Posyła mi to przenikliwe, lodowate spojrzenie, i boję się go jak mały chłopiec.

Mówi: — Nie możesz mnie winić. Nie możesz mnie winić za to, jak skończyłeś.

Potem wychodzi.

Rozdział dwudziesty piąty

Wkrotce heroina, którą przywieźliśmy z Rosie, się kończy. Zaczyna się klekot.

- Wiedzieliśmy, że to będzie piekło, ale jeśli tym razem mogłabyś mi pomóc - mówię do Rosie - to później już wszystko będzie inaczej.

Potrzebuję jej pomocy. Chcę, by towarzyszyła mi w tej drodze, bo sam nie dam rady tego wytrzymać. Ale Rosie, oczywiście, nie może mi dać tego wsparcia. Jest w swoim własnym świecie uzależnienia i szaleństwa, w którym opiekowanie się Jackiem wymaga jakiegoś nadludzkiego wysiłku. A przecież zajmuje się nim, więc jest supermenką. Jeśli chodzi o mnie, to w ogóle sobie z nim nie radzę. Po prostu go kocham. Ale nie potrafię mu dać całej reszty, której dziecko potrzebuje. Nie potrafię tego dać samemu sobie, więc co mówić o kimś innym.

Rosie i ja często się kłócimy. Jack się nam przygląda. Jego mała, okrągła buzia zwraca się raz w jedną, raz w drugą stronę, wreszcie zaczyna płakać, ale nawet to nas nie powstrzymuje. Nasze scysje to szalone, gwałtowne kłótnie, mieszanka miłości, gniewu i urazy. Właściwie są nieznośne. W końcu któregoś

dnia Rosie nie może ich już znieść. *Zabiera* Jacka i odchodzi. Odchodzi już wcześniej, ale tym razem jej brak majaków drugie dno i strata jest okropna, bo zabrała Jacka.

Moja wstrzeźliwość w stosunku do heroiny topnieje. Po kilku dniach znów biorę. Ale branie w żyłę nie jest takie łatwe w Newcastle. Szlak narkotykowy zdaje się zanikać, nim dotrze na północny wschód. Nie po raz pierwszy prowadzę podwójne życie. W dzień chodzę na zajęcia, bawię się fotografią i przebywam wśród miłych, wykształconych studentów. W nocy kręcę się po najciemniejszych zakątkach najgorszych dzielnic północnego wschodu i szukam heroiny.

Całe wieczory spędzam w wieżowcach, czekając z innymi narkomanami na powrót dealera. Wygląda na to, że jego żona ma tego dość. Próbuje prasować, a w za małym i za gorącym pokoju siedzi z nią prawie dwudziestu ćpunów. Ale dealer nie może sobie pozwolić, żebyśmy łązili po ulicy pod jego domem i zwracali na siebie uwagę. Więc tak siedzimy na podłodze, na sofie, na krzesłach i wszyscy przechodzimy męki, bo gdy się wie, że niedługo dostanie się strzał, objawy są silniejsze. Wszystko nas boli i pali, z nosów cieknie. Niektórzy przyszli z dziećmi, które biegają po pokoju w pieluchach i chcą wracać do domu. Ludzie jęczą, kołyszają się, drapią. Od kiedy uzależniłem się od heroiny, moje życie to jedno wielkie oczekiwanie. Czekam i czekam, ciągle tylko czekam na działkę. Czas mija, aja czekam na narkotyk. Siedzę w mieszkaniu komunalnym w Newcastle i jestem w stanie myśleć tylko o jednym: o tym, ile czasu już tak czekam i czekam. Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni, cała dwudziestka narkomanów, nawet dzieci. Nienawidzę ich wszystkich. Ciągle myślę: dziesięć minut, poczekam jeszcze dziesięć minut. A potem kolejne

dziesięć. Ostatecznie czekam kilka godzin. I nienawidzę dealerów, bo dzięki prochom mają władzę. Zasztywają się gdzieś i każą tym wszystkim ludziom czekać na to, czego ci pragną, a tamci już to mają; pewnie śpią gdzieś, podczas gdy my tu cierpimy, klekoczymy i się ślinimy. Wiem, bo kiedy byłem dealerem, sam to robiłem. Jako kupujący myślę: gdzie oni są, dlaczego jeszcze nie wrócili i nie dali mi towaru? Małeńkie dziurki po wkłuciach na moich rękach stają się otworami gębowymi, a każda taka gęba mówi: nakarm mnie! Nakarm mnie, kurwa! Chcę wsadzić palce w te otwory i powstrzymać uczucie swędzenia. Ale tylko czekam. Ciagle, kurwa, na tę heroinę tylko czekam i czekam, i czekam.

W końcu przychodzi. Kupuję tyle, żeby mi wystarczyło na dziś i jutro. Ale wiem, że nie dam rady się powstrzymać i wezmę całą jeszcze dzisiaj, a potem znów przyjdę tutaj albo do jakiejś innej odległej dziury.

Niedostatek heroiny w Newcasde co weekend mnie z niego wygania. Często jadę na południe, do Nottingham. Tam wiem, gdzie się udać po towar. Weekendy ze znajomymi są wyluzowane, czasami jest jakaś dzika impreza. Poznają się bliżej z Ange, artystką, która przygotowuje oprawy imprez. Moją kochanką jest teraz heroina, więc seks nie interesuje mnie już tak jak kiedyś, ale zbliżam się do Ange tak bardzo, jak tylko może się zbliżyć narkoman. Przedstawia mnie swojemu przyjacielowi Seanowi. To ciemnowłosa, ciemnonooki gej, student socjologii. Zaciekawiają go moje zdjęcia.

Gdy DIY oznajmiają, że wyjeżdżają na tournée po Ameryce, Sean natychmiast mówi didżejom, tym, których nazywają Digs i Whoosh: — Mam świetny pomysł! Podczas trasy musicie mieć oficjalnego fotografa.

Wydają się zainteresowani.

— Pan Mark Johnson jest wasz! — ogłasza. Ma bardzo specyficzny sposób mówienia.

Tak się faktycznie złożyło, że kilka magazynów prosiło już o fotograficzny dziennik ich tournee.

— Jak długo będziecie w Stanach? — pytam. Wzdrygają się. Nie wiedzą, jak długo ani gdzie będą, są przecież anarchistami.

Mówię: — Mój brat zajmuje się systemami nagłaśniania w Atlantycie...

Wszyscy uważają, że to idealny punkt wyjścia. Szybko angażuję się w organizację tournee i jeszcze szybciej wyjeżdżam. Jako oficjalny fotograf. A to oznacza odejście z uniwersytetu i porzucenie kursu. Żałuję, ale nie mogę przegapić takiej szansy, no a poza tym ta trasa po Ameryce będzie dla mnie swego rodzaju kursem fotograficznym. Pierwszy raz od kilku lat zobaczę też swojego brata Shanea. I łatwiej będzie mi rzucić heroinę w nowym środowisku, z grupką znajomych, którzy zajmują się tym samym co ja, niż w samotności w Newcastle.

Moje tournee po Ameryce trwa siedem miesięcy, do lata 1997 roku. To kompletny chaos. Biorę wszystkie dostępne narkotyki, w tym dwa nowe: metamfetaminę, nazywaną również metką, i DMT [najsilniejszy ze znanych środków psychodelicznych — *przyp. tłum.*], które rozwalają mi mózg. Ale heroiny nie biorę. Z pewnością bym ją brał, gdyby udało mi się ją dorwać, ale nie potrafię odczytać tajemnego kodu, który pozwala to zrobić. Pozyskanie towaru jest niemal niemożliwe, a gdy jestem już blisko, trafiam na muszkę jakiegoś bandyty i zostaję z pustymi rękami. W zamian za to piję na umór, biorę crack, kokainę, wszystko, co tylko mogłoby mnie uwolnić od monstualnego pragnienia jednej rzeczy: heroiny. Kilku kumpli przechodzi

podobne objawy odstawienne. Biorę ogromne ilości narkotyków, a tymczasem tournée rusza z Atlanty do San Francisco. Schludni Amerykanie uwielbiają nasze zwariowane angielskie zachowanie, naszą muzykę i scenę. Jak na ironię, deep house narodził się w Stanach, ale eksplodował z całą mocą dopiero w Anglii. Teraz przywieźliśmy tę muzykę z powrotem do Ameryki i zalewamy ją nią. Amerykanie dopiero poznają niektóre narkotyki, otwarte imprezy, muzykę, którą my odkryliśmy ładnych parę lat wcześniej, i przeżywają swoje lato miłości. Nasze skończyło się dawno temu. Co do bycia fotografem tournée — no cóż, dość szybko wymieniłem aparat na porcję kokainy.

Którejś nocy w klubie nie mogę się oderwać od koki. Za każdym razem, gdy muzyka cichnie i mój świat staje się głuchoniemy, zmieniam się z dzikiego zwierza imprezowego w przestraszonego dzieciaka, którego dopadają dawne strachy i rozpaczliwe potrzeby. Teraz muzyka ciągle gra, światła są wciąż blisko, wokół krąży kokaina, aleja nie mam już kasy. A muszę dostać tę kokę. Tak łatwo z niej nie zrezygnuję. Więc kiedy dealer proponuje mi trochę narkotyku w zamian za seks, przyjmuję ofertę. Muszę mieć ten proszek. Basy pulsują we wnętrzu mojego mózgu. Na czubku głowy tego gościa widzę czarne włosy, ale nie widzę jego twarzy. Nie muszę. Wiem, że to Trevor z Kidderminster. Przez chwilę czuję tamten mdły, wstrętny zapach zwierząt hodowlanych, przypominam sobie szarość pustaków wokół krowich zagród, a płynąca z klubu muzyka ustępuje miejsca ciszy ogromnego, pustego targu bydłowego. I nie mogę nikomu powiedzieć. Trevor zaprzeczy i nikt mi nie uwierzy. Ciota.

Potem czuję się upokorzony. Dlaczego pozwoliłem mu to zrobić, skoro nie jestem *gejem*? I co mnie to w ogóle obchodzi?

Czy powinno? Wziąłem tyle narkotyków, że nie wiem już, kim jestem, i nie mam żadnych zasad. Pogubiłem się. Jest mi wstyd. Łapię najbliższy samolot do Londynu, by uciec w ramiona swojej kochanki i wielkiej pocieszycielki — heroiny.

Na myśl o perspektywie rychłego powrotu do kraju, w którym heroina jest szeroko dostępna, zaczynam nieznośnie klekotać. Siedzę w samolocie, trzęsąc się pod wpływem straszliwego kaca, i chociaż od momentu odstawienia heroiny minęło prawie osiem miesięcy, wszystkie objawy osiągają porażającą moc. Ale moje ciało już wie, moja dusza wie, wie każda molekula, korpuskuła i każda komórka, że na końcu tego lotu czeka heroina. Przyklejony do fotela, prześladowany wspomnieniami tego, co zrobiłem, i tego, co zawałem, zlany potem i śluzem wyciekającym z nosa i oczu, czekam, czekam i czekam, aż samolot wylądjuje. Ciagle tylko, kurwa, czekam na tę swoją działkę, ale tym razem to czekanie należy do najgorszych.

Wychodzę z terminala i widzę Rosie. Na przednim siedzeniu samochodu leży towar, z tyłu siedzi Jack, ale nawet na niego nie patrzę, widzę tylko herę. Za chwilę igła lądjuje w moim ramieniu. Ulga, ciepło, odprężenie, narkotyk wita mnie z powrotem w swoim królestwie. Przerazenie i obrzydzenie, które towarzyszyły mi w samolocie, ulatują. Znow jestem człowiekiem i wszystko będzie dobrze.

Dopiero teraz mogę przytulić Jacka i mu się przyjrzeć. Nie ma jeszcze półtora roku, ale nie wygląda już jak niemowlak, jest raczej chłopcem. Blond włosy, niebieskie oczy — nawet ja zauważam, że jest do mnie podobny. Jest takim samym małym dzieckiem, jakim ja byłem. Przygląda mi się, ma mądre spojrzenie, ale mnie nie poznaje. Mój piękny syn.

Wracamy do Kendal. Zawsze wracamy do Kendal. Nie zmieniły się szare ulice i szary deszcz, i nasz związek też się nie zmienił. Jest słaby i gwałtowny jak dawniej. Rosie nie może znieść mojego chaotycznego, szaleńczego zachowania podyktowanego narkotykami. Odchodzi. Zabiera Jacka do swoich rodziców. Znajduję małą, nędzną kawalerkę nad zakładem fryzjerskim.

Teraz godzę się z tym faktem, że nie potrafię żyć bez heroiny. Potrzebuję jej. W dodatku do mojego życia wraca crack, który w Ameryce stanowił dla mnie zamiennik hery. Niemal od razu zaczynam znowu handlować i brać, i to nie mniej niż wcześniej. Znacznie więcej.

Jeśli muszę czekać na działkę, wpadam w straszny kłopot. Heroina jest moją miłością, moją kochanką. Gdy oddalam się od niej na zbyt długo, pyta: odchodzisz? Nie zostawiaj mnie! I każe mi cierpieć tak mocno, że zawsze wracam po ulgę, którą mi przynosi. Stawia mnie na nogi, skleja mnie na nowo z kawałków, przywraca do normalności. Tylko ona sprawia, że funkcjonuję. Nie daje mi nic więcej, żadnej przyjemności, jedynie ulgę w męczarni spowodowanej jej brakiem. Moja kochanka nie jest hojna. Chce, żebym wrócił, ale niczego mi nie oferuje. Jeśli więc szukam przyjemności, biorę crack z heroiną, jeśli chcę przeżyć to, co nazywa się odlotem, ten euforyczny stan niczym marzenie, wówczas do hery dokładam valium lub mogadon.

Próbuję tak urządzić kawalerkę, bym czuł się tu jak w domu, więc zabieram od siostry swoją kolekcję płyt. Mam pojedyncze łóżko. I telewizor. Rosie czasem zostawia u mnie Jacka. Dzisiaj obaj zasypiamy w łóżku. Jestem odurzony heroiną. Telewizor jest włączony. Nie całkiem przebudzony, słyszę w nocy przejęty głos obwieszczający śmierć księżnej Diany. Zasypiam.

Musiało mi się to przyśnić. Ale rano poważne twarze potwierdzają tę śmierć. Ludzie płaczą. Pielucha Jacka jest już tak pełna, że z niego spada, ale nie mam siły, by ją zmienić, bo cały jestem obolały. Lamentują kolejne osoby. Przez okno widzę, że świat to szare, mokre, przygnębiające miejsce.

Jack przytula się do mnie, a ja go odpycham. Zaczyna biegać po kawalerce, robi straszny bałagan, ale nie mam siły, by cokolwiek zrobić, tylko krzyczę. Hałas odbija się z podwójną mocą w mojej głowie i sprawia jeszcze większy ból.

— Uspokój się! — wrzeszczę. Zamykam oczy. Zapada cisza. Otwieram jedno oko. Jack mi się przygląda. Zamykam oko. Wiem, że wdrapuje się teraz na łóżko. Czuję, jak jego małe rączki łapią za prześcieradło. Potem powolutku pełźnie po mnie. Jego paluszki są ostrożne. Uważnie rozkłada swój ciężar. Obejmuje mnie, jakbym był wulkanem, który może wybuchnąć. Potajemnie. Żebym nie zauważył.

Tego już za wiele. Nie mogę tego znieść. Nie mogę ścierpieć tej uwagi, obejmujących mnie rączek, wymagających czegoś, potrzebujących uwagi, żądających miłości, wymagających, proszących, potrzebujących. To za bardzo boli. Boli, bo niczego nie mogę mu dać. Zbyt duże są moje własne potrzeby. Moje własne potrzeby mnie pożerają.

Odrącam go. Patrzy na mnie i nie jest nawet zaskoczony: tego się spodziewał. Przecież właśnie tak postępują ojcowie w naszej rodzinie.

Wychodzimy na zewnątrz, bo muszę znaleźć działkę. Kiedy ją zdobywam, parkuję w zatoczce. Oprócz nas stoi w niej jeszcze jakaś ciężarówka. Kilka metrów dalej pędzą samochody, nikt nie zwraca na nas uwagi.

Jack jest głodny i *placze*. Mam paczkę cukierków. Nie odpinam go z pasów, zostawiam na przednim siedzeniu, a sam gramolę się do tyłu po cukierki. Moje ręce trzęsą się tak bardzo, że ledwo mogę otworzyć paczkę. Łapię ją zębami, jak zwierzę, i rozrywam, rzucam Jackowi cukierka, patrzy na mnie i od razu przestaje płakać. Dostał swoją działkę. Podczas gdy on jest zajęty odwijaniem papierka, ja otwieram moją paczuszkę. Mam dobre żyły. Są moim wrogiem. Od dwóch lat ciągle wkłuwam się w tatuaż i nie muszę nawet używać opaski uciskowej. W moim przypadku nie ma zabawy w szukanie igłą żyły, tak jak u Rosie.

Podgrzewając łyżeczkę, podnoszę głowę i widzę małą buzię Jacka. Przekręca się w foteliku, żeby móc na mnie patrzeć. Odkładam zapalniczkę i rzucam mu kolejnego cukierka; łapie go i przestaje mnie podglądać. Zanim się wkłuwam, rzucam mu jeszcze jednego, by zapewnić sobie parę minut spokoju. Kiedy po niego sięga, zwracam uwagę na jego buzię. Błada, zmęczona, niezdrowa. Dzieciak, którego rodzice nie widzą nic poza swymi igłami. Wewnątrz mnie otwiera się otchłań smutku i wstydu. Tylko w jeden sposób mogę ją zamknąć. Dzięki Bogu za tę igłę.

Rosie widzi, że moje życie ogranicza się tylko do brania. Patrzy z pogardą na moją nędzną kawalerkę.

— Co to? — pyta, gdy słyszy, jak ktoś raz po raz gwizdże na ulicy. Odsuwa czarną folię zasłaniającą okno. Pod nim widać mokrą od śluzu twarz narkomana, oświetloną przez jaskrawe halogenowe żarówki zakładu fryzjerskiego. Oczy chłopaka są tępe z pragnienia. Kendal nie jest już dawnym zaściankiem wolnym od narkotyków. Wielu ludzi z naszego pokolenia zostało ćpunami — i wiedzą, gdzie przyjść w potrzebie.

— Klient gwizdże. Tu nie ma dzwonka — tłumaczę.

Rosie coraz niechętniej zostawia u mnie Jacka, zwykle tylko na czas, kiedy musi sobie zorganizować towar i strzał. Ale po długich negocjacjach kiedyś w końcu zostawia go u mnie na cały dzień. Zapewniam ją, że wszystko będzie w porządku. Kłamię. Tak naprawdę czuję się źle, strasznie źle. Ale po strzale pewnie mi się poprawi. Mówię jej, że zabieram Jacka do parku, ale zamiast tego jadę z nim po działkę do Morecambe. Wracam z połówką grama.

Jack się nudzi. Tyle czasu siedział w samochodzie, a teraz znowu jest w moim ciasnym pokoju, więc wyprawia cuda. Wykańcza mnie samo patrzenie na niego. Najpierw chce to, potem tamto. Bawi się czymś minutę, zaraz potem biegnie do czegoś innego. Płacze. Robi w pieluchę. Biega w kółko i ryczy, nie słuchając żadnych racjonalnych argumentów i nie reagując na moje krzyki. Niejestem w stanie opiekować się tym dwulatkiem. Kocham go bezgranicznie, ale najbardziej wtedy, gdy śpi, z okrągłą, niewinną buźką i spokojnym ciałkiem. Nie wytrzymuję, kiedy jest taki jak teraz.

Idę do kuchni i podgrzewam całe pół grama heroiny. Wszystko. Gdy zalewa mnie fala odprężenia, słyszę, że Jack krzyczy, a kiedy jego wrzaski stają się głośniejsze, otwieram oczy. Leżę na podłodze. Skąd się tu wziąłem? W pokoju jest niemiłosierny hałas. W ramieniu ciągle tkwi igła, ale niebo na zewnątrz jest już ciemne. Musi być wieczór. Jezu, o matko, musiałem odpłynąć. Jak długo tu leżałem?

W tym samym momencie, w którym uświadamiam sobie, że leżałem tu cały dzień, zamknięty z Jackiem w kawalerce, ale nieprzytomny, zdaję sobie sprawę, że ten hałas w mojej głowie to wiele głosów. Słyszę jakieś nawoływania, krzyki, płacz. Słyszę

też walenie młotkiem i pięściami. Zrywam się na równe nogi. Jack jest przyklejony do drzwi, w hysterii, opada mu pielucha. Podnoszę go, jest cały mokry od moczu i łez. Otwieram drzwi Rosie. Wściekła i błąda jak prześcieradło, wrzeszczy wniebogłosy. Z przeraźliwym krzykiem rzuca się na mnie i próbuje uderzyć, potem wyrywa mi Jacka. Za jej plecami widzę tłum sąsiadów, którzy mi się przyglądają. Nic nie mówią.

— Co robił tatuś? — pyta Rosie. Mam nadzieję, że sąsiedzi nie słyszą odpowiedzi Jacka, która jakoś wydobywa się z niego spośród szłochu: — Tatuś spał na podłodze.

Jest mi strasznie wstyd. Przez kilka tygodni biorę na samo wspomnienie o tym. Teraz, gdy jestem pozbawiony kontaktu z dzieckiem, nawet w święta, nie kłócę się już z Rosie.

W Boże Narodzenie wstaję o wpół do siódmej. Na dworze jest zimno i ciemno, podobnie czuję się w środku. Jestem człowiekiem z żelaza, z zimnego metalu, dziurawy i klekoczący idę przez ciemny poranek. Na ulicach nie ma nikogo. Nikt nie widzi żelaznego człowieka.

Idę do domu rodziców Rosie. Światła na parterze już się palą. Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. Skradam się przez ogród i ustawiam się na wprost szpary w zasłonach. Niewiele widzę. Przytykam nos do szyby. Jest bardzo zimna, ale nie mogę oddychać, bo oddech zamienia się w parę i zasłania mi widok.

Drzewko. Pięknie przystrojone. Maleńkie, błyszczące lampki w różnych kolorach. Przesuwam się nieco w prawo, potem w lewo, później przykładam policzek do szyby i zaglądam do środka jednym okiem. Widzę Jacka w pizamie. Jest też Rosie. Podnosi głowę, więc szybko się odsuwam, ale mnie nie zauważyła. Podaje Jackowi prezenty, jeden po drugim, a on zrywa

z nich papier i go gniecie. Jest zauroczony samym papierem, samym otwieraniem prezentów. Rosie spokojnie próbuje mu pokazać zawartość paczek. Jest zbyt podekscytowany, by się przyglądać prezentom. Skacze dookoła. Jego małe, chudziutkie ciało jest jak w gorączce. Uśmiecham się i od razu zimno mi w zęby. Gdybym był z nim tam w środku, podniósłbym go i na moment przytulił mocno jego nóżki i rączki, tak by pamiętał również uczucie spokoju, a nie tylko ciągłego miotania się.

Słyszę jego piskliwy głos i widzę Rosie, jak delikatnie próbuje go uciszyć. Jest zbyt mały, by zrozumieć zarówno Boże Narodzenie, jak i sens prezentów, ale i tak chcę, by otworzył ten ode mnie. Kombinezon Spidermana.

Znikają mi z pola widzenia. Mojemu metalowemu ciału jest bardzo zimno, tak zimno, że tego nie czuję. Nic nie czuję. Czekam. Nasłuchuję. Wyglądam mego Spidermana. Potem zapala się więcej świateł, tym razem na piętrze. Wstają rodzice Rosie. Zmiana gęstości powietrza mówi mi, że już prawie świta. Muszę odejść, inaczej mnie znajdą. Po raz ostatni zaglądam do środka ciepłego pokoju. Nie widzę Rosie. Nie widzę mojego Spidermana. Nie wie, jak bardzo go kocham, i nie wie, że tu jestem.

Rozdział dwudziesty szósty

Okolice Kendal obfitują w lasy. Część z nich to stare, pełne zwierzyny bory liściaste. Inne to nowsze lasy iglaste z prostymi pniami drzew układającymi się w długie rzędy, gdzie trudno się przebić zarówno słońcu, jak i zwierzętom. Uwielbiam te zalesione tereny i zanosi się na to, że spędzę w nich sporo czasu. Dostałem pracę. Dzięki dawnym znajomym ze szkoły przyjęto mnie do zakładu leśnego. Będę się przyuczał do zawodu chirurga drzew.

Jeśli chcę być dobrym chirurgiem drzew, muszę rzucić heroinę. W akcie desperacji idę w Kendal do doradcy mającego wspierać narkomanów, który w ramach pomocy daje mi książkę. Wskazówki dla uzależnionych od heroiny. Pełno w niej komiksowych postaci, które próbują złagodzić stan narkotycznego klekotu, pijąc herbatę albo kawę lub biorąc gorącą kąpiel. Kiedy przyglądam się tym postaciom, nie wydaje mi się, by czuły się tak samo jak ja. One są uśmiechnięte. Próbuję sobie wyobrazić, że jestem jednym z nich. Robię sobie gorącą kąpiel. Nie pomaga.

Doradca wysłała mnie do lekarza, który przepisuje mi meta—don. Przede wszystkim ma on pomóc znieść objawy głodu

narkotykowego, ale podczas wcześniejszych prób przetrzymania klekotu przekonałem się, że odstawienie metadonu jest jeszcze gorsze niż odstawienie heroiny. Mimo to biorę go. Ale jak zawsze wspomagam się alkoholem.

Uwielbiam swoją nową pracę. Odkąd jako dziecko zbierałem kasztany w Kidderminster i odkąd odwiedziłem mieszkających pod lasem Allbutów, zawsze lubiłem drzewa. Kocham ciszę panującą w lesie, grę światłocieni, niecodzienne piękno wertykalnego krajobrazu. A teraz drzewa pomogą mi wyzdrowieć.

Wspinaczka na wysokie drzewo to podróż w inny świat. To taki mikroświat, buzujący życiem, utrzymujący swoje własne poletka paproci, owady, rozćwierkane ptaki. Pień jest olbrzymi i chropowaty, tak mocny, że bez trudu mnie podtrzymuje, kiedy wchodzę w ten świat. Zawijazuję liny, przypinam karabinki.

Gdy tylko odrywam stopy od ziemi, skupiam się na następnym kroku, na kolejnym poziomie. Za co chwycić dłońmi, w którym miejscu oprzeć stopy, gdzie zaczepić linę i czy uda mi się złapać na lasso kolejną gałąź. Wspinaczka po drzewach to ruch i tylko o nim myślę, bez względu na to, na jakim kacu jestem czy jak bardzo klekoczę. Uczę się, że każdy ruch wykonuje się po coś i nigdy nie wykonuje się ruchów nieprzemyślanych. Bez szamotania się, bez pośpiechu. Uwielbiam to. Muszę po prostu wejść wyżej. Do tego sprowadza się moje życie.

A gdy jestem już tam na górze, na wysokości ponad trzydziestu metrów, nawet jeśli się boję — zatrzymuję się, opieram na gałęzi i wyglądam z drzewnego świata na zewnątrz. W Lake District jest pięknie. Docenienie tej okolicy zajęło mi wiele lat, wcześniej oznaczała ona dla mnie jedynie marne dzieciństwo

i więzienie, trochę później miejsce, do którego wracałem i w którym traciłem zmysły. *Teraz*, gdy podziwiam ją z perspektywy drzewa, zapiera mi dech.

Patrzę przed siebie przez gałęzie korony i widzę kolejne drzewa, a na nich blisko trzydziestu innych pracowników. Widzę białe kaski, słyszę piły i przypominam sobie, że ja też jestem arborystą, przyuczam się do zawodu arborysty, i ta myśl poprawia mi samopoczucie. Dziś pracujemy przy przecince wzdłuż linii wysokiego napięcia. Prąd ma moc czterystu tysięcy woltów, i chociaż został wyłączony, musimy być bardzo ostrożni i usuwać gałęzie leżące na przewodach bez dotykania ich. Taka przycinka to zezwolenie na okaleczanie drzew i choć tego nie popieram, to jedyna szansa, bym zdobył kwalifikacje. Podczas pracy staram się być jak najdelikatniejszy dla drzew. Koledzy, z którymi pracuję, mają takie samo nastawienie.

Na kursie bardzo się przykładam, uczę się też wieczorami. Mam szczęście być uczniem jednego z najlepszych chirurgów drzew w kraju. Wiem, że jestem w tym dobry, i właśnie w tej pracy po raz pierwszy czuję, że jestem coś wart. Jest tylko jeden problem. Nie potrafię żyć bez heroiny. Nawet gdy biorę meta—don. Nawet gdy piję. Budzę się rano z podbitymi oczami i wiem, że musiałem się bić, ale byłem tak pijany, że nie pamiętam ani z kim, ani o co. Otwiera się we mnie jakaś rozpadlina, zadaje sobie pytanie, kim jestem. Nieodwiedzanym przez matkę pijakiem, który śpi z kobietami, ale nie ma dziewczyny, który bez powodu bije się z nieznajomymi i nie nadaje się nawet do tego, by zobaczyć własnego syna. Rozpadlina otwiera się w potężną, ciemną, zięjącą przepaść, której już nie ogarniam. O ile jestem jeszcze w stanie znieść fizyczny ból kłopotu, o tyle ten ból

psychiczny mnie przerasta. Jest tylko jedno wyjście i staje się ono możliwe, gdy tylko dostaję pierwszą wypłatę: w moim ramieniu znów ląduje igła.

Teraz już muszę zaakceptować fakt, że jestem ćpunem i takie jest moje przeznaczenie. Muszę nauczyć się żyć ze swoim uzależnieniem. Niektórzy potrafią to robić latami. Ich znajomi czy sąsiedzi nie wiedzą nawet, że mają do czynienia z narkomanami. Wstrzykują sobie w ukryciu i udaje im się osiągnąć pewien rodzaj stabilizacji. Gdyby i mnie się to udało, mógłbym widywać Jacka i być dla niego prawdziwym ojcem, mógłbym utrzymać pracę, zdobyć wszelkie uprawnienia, może nawet mógłbym sobie znaleźć dziewczynę. Wszystko byłoby normalne, heroina po prostu wypełniłaby te wszystkie puste szczeliny.

Jak zwykle po okresie abstynencji, później biorę w nadmiarze i moje uzależnienie jeszcze się pogłębia. Teraz moje potrzeby są naprawdę duże. Nie mam etatu, mam ich już trzy. Cały dzień pracuję w lesie. Potem, jeszcze w roboczym ubraniu, spieszę do Lancaster, by kupić towar i sobie wstrzyknąć. Muszę się trochę targować, bo moja pensja nie starcza na zbyt wiele. No, i jeszcze muszę zająć się sobą. To znaczy muszę się uczyć, jeść, kupować środki narkotyczne na receptę, myć się, próbować rozmawiać z ludźmi, spać. I cały czas, mimo że heroina jest znowu moją żoną, mam ekscytujący romans z crackiem.

Nie zawsze daję radę. Bywają dni, kiedy nie mam heroiny i dostaję takiego klekotu, że muszę coś wziąć, żeby pójść do pracy. Często dzwonię i mówię, że jestem chory, wtedy najczęściej kryją mnie koledzy. Ale jeśli uda mi się dotrzeć do lasu, te wielkie drzewa sprawiają, że dzieje się ze mną coś cudownego i wspinam się na nie. A ponieważ opuszczam w pracy bardzo

wiele dni, to gdy już tu jestem, chcę być najszybszym, najgorliwszym i najodważniejszym chirurgiem drzew. Wyobrażam sobie, że mój szef myśli: może on i wygląda jak trup, ale przynajmniej się do roboty.

Choć w weekendy nadal odbywają się imprezy DIY, to nie są już tak dziko oryginalne jak te wcześniejsze. Ale wszystko, co nowe i odmienne, skazane jest w końcu albo na komercjalizację, albo na samoczynne wygaśnięcie. Generalnie scena imprez zaczyna zanikać.

No, więc teraz pracuję, żeby brać, i biorę, żeby móc pracować. Zbyt często bywam markotny, zamykam się w sobie i nie przychodzę do pracy, bo źle się czuję, ale arborystą jestem jednak dobrym. Ciągłe obiecuję sobie i innym, że rzucę drugi i się zmienię. Pomagają mi moja siostra Kelly i jej obecny partner. Widzą, że jestem w stanie zapewnić sobie tylko narkotyki, a poza tym nie potrafię o siebie zadbać, więc mieszkam z nimi i Kelly codziennie wieczorem pilnuje, żebym coś zjadł, a jej partner, Paul, wesoły rzeźnik, każdego ranka przygotowuje dla mnie kanapki. Ale mają w domu beznadziejnego, bezradnego narkomana. Po krótkim czasie kradnę samochód Kelly, żeby kupić towar. Kiedy dowiaduje się o mojej zdradzie, najpierw jej twarz robi się biała z niedowierzania, a potem się wykrzywia. Kelly równocześnie krzyczy i płacze. Mógłbym znieść ten krzyk. Boli mnie jednak jej rozczarowanie. Odchodzę. Zużyłem całą jej życzliwość.

Ponieważ wszystko, co zarabiam, wydaję na narkotyki, nie stać mnie na własny ką. Koledzy mają trzypokojowe mieszkania, ładne samochody i wspaniałe wakacje. Ja muszę kraść jedzenie z miejscowych sklepów.

Nie chcę taki być. Nienawidziłem się za to, że okradłem Kelly, ale nie mogłem się powstrzymać. Narkotyki odarły mnie z ludzkiej natury. Wszystko, co dobre, i wszystko, czego nauczyłem się o życiu z ludźmi, przepadło razem z moim człowieczeństwem. To, co po nim zostało, jest twarde i prymitywne i troszczy się tylko o własne przetrwanie.

Muszę gdzieś wyjechać, więc kiedy znajomy wraca z Irlandii i mówi, że szukają tam wykwalifikowanych wspinaczy do pracy przy liniach wysokiego napięcia, wiem, że to jest rozwiązanie wszystkich moich problemów. Irlandia to piękny kraj. Z ładnymi krajobrazami, ciepłymi ludźmi i liryczną historią. W Irlandii zacznę nowe życie. W Irlandii przestanę brać.

Na lotnisku w Manchesterze biorę ostatni strzał i spuszczam sprzęt w toalecie. Potem odlatuję do nowego życia. Lądujemy o zmierzchu. Odbiera mnie mój szef i zawozi do ośrodka prac na wolnym powietrzu w hrabstwie Wicklow, gdzie mieszkają wszyscy robotnicy. Miejsce mnie zachwyca. Chcę zanurzyć się w tutejsze zielone doliny i jeziora, bo wiem, że jutro, kiedy wezmę ostatnią porcję metadonu, będę zbyt chory, by móc cokolwiek docenić.

Klekoczę przez cały tydzień, tak dotkliwie, że niemal tego nie kontroluję. Kolegom mówię, że strasznie się przeziębilem. Dużo z nimi piję. Siódmego dnia dostajemy wypłatę.

Tak bardzo potrzebuję narkotyku, że jestem niemal nieprzytomny. W nocy, gdy szef śpi, biorę firmowy samochód i jadę do Dublina. Wiem, dokąd zmierzam. Do najgorszych, najbardziej zasyfionych dzielnic. Trafiam tam zawsze, gdy chcę zdobyć dragi.

Docieram w jakiś ohydny rejon i u podejrzanych typków rozpytuję o właściwy kierunek, co szybko doprowadza mnie do więźowców, które są tak zdewastowane, że jeszcze czegoś takiego

nie widziałem. W ogóle miejsce jest surrealistyczne. W środku nocy na drodze widzę małego dzieciaka kłusującego na wielkim koniu pociągowym.

Ponieważ IRA może ci nawet podpalić dom, jeśli przyłapie cię na handlu narkotykami, kupno towaru stało się czymś jeszcze bardziej potajemnym niż w Anglii. Przy blokach są nieużytki, na których przywiązuje się konie. Wewnątrz budynków czuć pieluchami, wymiocinami i moczem.

Obok mnie, na rowerze bez siodełka, śmiga chłopak, mniej więcej siedmioletni. Pyta, czego chcę. Jest arogancki, bo gardzi mną za to, że potrzebuję heroiny, i przestraszony, bo jeśli złapią go ludzie IRA, połamią mu nogi. Dzieciak znika, a ja czekam w tym żałosnym krajobrazie wielkich koni, zepsutych lodówek i błota. W końcu wraca z towarem. Wstrzykuję go sobie za drzewem. Wyjeżdżając, w różnych zakamarkach zauważam innych narkomanów, którzy zaczepiają dzieciaki na rowerach.

Od tej pory nocami można mnie spotkać w Ballymun, Clondalkin, Fatima Mansions, Tallaght i Finglas, dzielnicach Dublina, których część to po prostu irlandzkie slamsy. Gdy tylko dostaję wypłatę, natychmiast przyjeżdżam tutaj i od razu wstrzykuję sobie wszystko, co tylko uda mi się dostać. Jakość towaru jest gówniana, cena cztery razy wyższa niż w Anglii, a na dodatek zdobycie czystych igieł jest prawie niemożliwe, więc kończy się tak, że w aptece udaję chorego na cukrzycę, a igły, którą dostaję, używam wielokrotnie, nawet gdy jest już tępa. Wracając do bazy, cofam licznik w samochodzie. Rano szef patrzy na moją wynędzniałą twarz. I wie.

Nie mogę tak dalej. W Irlandii nie da się zdobyć tak dużej ilości narkotyków, by starczyły na zaspokojenie mojego nałogu.

Jestem teraz wspinaczem i mogę wejść na najwyższe drzewa, przycinać je i wycinać, a zapotrzebowanie na moje umiejętności będzie wszędzie. Nie muszę się tu męczyć. Wracam do Kendal, żeby zająć się swoimi rosnącymi potrzebami. Rosie i ja zabieramy Jacka na spacer do parku, tego samego, w którym spotkaliśmy się tamtego dnia, milion lat i wiele gramów heroiny temu.

Zdążyłem już zapomnieć, jaki piękny jest mój syn. Jest mały, ma taką słodką twarzyczkę i patrzy na mnie z tą samą bezwarunkową miłością i zaufaniem, które widziałem, gdy był niemowlakiem, gdy pierwszy raz trzymałem go na rękach i czułem przypływ nadziei i radości, że wszystko się uda.

Jack się nie bawi. Idzie poważnie między nami, podając nam obojgu małe, ciepłe rączki. Dziecko powinno czuć dużą dłoń ojca i to powinno oznaczać bezpieczeństwo i miłość, ale gdy ja okazałem ją swojemu ojcu, on ją odrzucił. Teraz mocno ściskam rączkę Jacka. Narkotyki niemal wyparły go z mojego życia, ale kocham go i pragnę mu to okazać. Nie chcę, by czuł się odrzucony. Próbuje wyrwać rączkę z mojej dłoni.

Rosie naprawdę postanowiła rzucić narkotyki. Czeka na miejsce w pewnym ośrodku odwykowym w West Country, do którego mogłaby zabrać Jacka. Daje mi numer telefonu i mówi, że za tydzień wyjeżdża. Pamiętam swoją bezcelową terapię w Birmingham. Życzę jej szczęścia.

Potem wyjeżdżam do pracy w Londynie. Zeby się do czegoś nadawać, potrzebuję dwóch rzeczy: drzew do pracy i narkotyków. W Londynie mam i to, i to. A w aptece można zdobyć za darmo czyste igły.

Dostaję pracę w firmie znajdującej się we wschodnim Londynie i nawet proponują mi zakwaterowanie. W przyczepie, na

kawałku terenu, gdzie trzymają ciężarówki i sprzęt. W nocy jestem tu sam ze sforą wyleniałych wilczurów.

Moje pierwsze zlecenie to usunięcie chorych drzew z Downing Street, numer 11 [pod numerem 10 znajduje się siedziba premiera Wielkiej Brytanii — *przyt. tłum.*]. Potem pracujemy przy katedrze Świętego Pawła. Gdy tylko kończę pracę, jak zwykle muszę coś wziąć. Moje życie skupia się nie na pracy, lecz na drogach. Nie wstanę, jeśli nie wezmę heroiny. Bywają dni, że muszę się nieźle namęczyć, by znaleźć w sobie siłę do podniesienia piły.

Pewnego popołudnia wzywa mnie szef.

— Słuchaj, Mark, chciałbym z tobą pogadać...

Wiem, co zamierza powiedzieć. Czeka.

— Mark... Będę musiał cię zwolnić.

Kiwam głową. Jestem przerażony, ale nie zaskoczony.

— Przykro mi. Naprawdę mi przykro, stary.

Próbuję się bronić. Nie chcę go zawieść. Gdybym tylko trochę bardziej się postarał... ale on wyciąga do mnie swoją wielką, twardą dłoń. — Słuchaj, nikt nie chce z tobą pracować. Mają dość uważania na ciebie. Więc weź się w garść, Mark, przytyj, wydobrzej, pozbieraj się trochę... ale dopóki tego nie zrobisz, nie przydasz mi się tutaj.

Rozdział dwudziesty siódmy

Czuję się upokorzony. Nie chcę tu być, kiedy inni wrócą z roboty i się dowiedzą, że zostałem wylany. Nie zabieram swoich rzeczy, wychodzę z przyczepy, zostawiam za sobą plac i kościste wilczury i zmierzam w stronę metra Jubilee Line. W tych okolicznościach można zrobić tylko jedno: wziąć działkę.

Kiedy pociąg tłucze się w stronę stacji Waterloo, dociera do mnie, że nie wrócę już do przyczepy. Nigdzie nie wrócę, bo nie mam dokąd. W myślach rozważam wszystkie możliwości. Przypominam sobie ludzi, którzy okazali mi uprzejmość lub zaoferowali mieszkanie. Teraz ich drzwi są dla mnie zamknięte. Zawiodłem ich zaufanie. Wziąłem wszystko, co mogli mi dać, a nawet więcej. Całe życie jechałem tą kolejką, a teraz dotarłem do ostatniego przystanku.

Pociąg zatrzymuje się na stacji Waterloo.

Nie mam gdzie spać - ani dziś w nocy, ani jutro, ani pojutrze, ani żadnej innej nocy. Pieniądze, które mam przy sobie, wydaję na heroinę i crack. Ludzie, którzy nie mają dokąd pójść, są bezdomni. Będę musiał spać na ulicy. Jestem bezdomny. Strach sprawia mi mdłości. Jestem bezdomny.

Wsiadam do metra Northern Line.

Jestem ćpunem. Kiedyś myślałem, że nie jestem ćpunem, bo nie brałem w żyłę, potem myślałem, że nie jestem ćpunem, bo byłem w stanie kontrolować swoje uzależnienie, jeszcze później myślałem, że nie jestem ćpunem, bo nie mieszkam na ulicy. No, więc teraz wiem, że muszę być ćpunem. Jest mi niedobrze. Jestem bezdomny.

Przyglądam się innym pasażerom. Wszyscy myślą o swoim zabieganym życiu, a moje jest teraz puste, nie ma w nim nic poza narkotykami. W ich teczkach i walizkach są klucze. Klucze do mieszkań, klucze do domów. Jadą do domu, do pracy, na spotkania. Wszyscy mają dokąd jechać.

Pociąg dojeżdża do stacji Tottenham Court Road. Drzwi się rozsuwają. Przechodzę przez nie szybko, mieszając się z tłumem, jakbym był jego częścią. A przecież nie jestem. Jestem sam, nikt się mną nie przejmuje, nie mam domu, dachu nad głową. Moje ciało jest obolałe, nogi jak z ołowiu, cieknie mi z nosa, boli mnie głowa. Jestem przerażony i natychmiast potrzebuję narkotyku, natychmiast, już, w tej chwili muszę coś wziąć.

Wychodzę na ulicę. Panuje tu ten sam gwar, który słyszałem wiele lat temu, gdy byłem w Londynie z Jill Allbut. Wspomnienie tamtej wycieczki sprawia, że muszę się na chwilę zatrzymać, przystaję na chodniku i ogarnia mnie straszny smutek. Jill zabrała mnie do Londynu i była dla mnie miła, czułem się bezpiecznie. Teraz nie ma w moim życiu miejsca na żadną uprzejmość ani na bezpieczeństwo i minęło już wiele lat, odkąd cieszyłem się ciepłym sympatii Allbutów.

Przypominam sobie, jaki byłem podekscytowany w Londynie tym nieustającym ruchem na ulicach, wielkością pomników i budynków. Potem, w Kendal, siedziałem w wysokiej trawie nad rzeką, paliłem i wagarowałem ze swoim kumplem łanem, i opowiadałem mu,

że kiedyś wyjadę do Londynu. To było tysiąc lat temu. A teraz, tysiąc lat później, jestem tu i wciąż słyszę gwar wielkiego miasta. Ale nie tak to miało wyglądać. Nie takim człowiekiem miałem być.

Dociera do mnie, że jestem tu i teraz, że nie mam dokąd pójść dziś w nocy i że będę spał na ulicy, więc ruszam się z miejsca. Mrozi mnie strach. Każe mi iść przed siebie i szukać, szukać narkotyku.

Na skraju chodnika zauważam niskiego, przygarbionego człowieka powłóczącego nogami. Rozpoznaję go: to Steve. Ulga. Wyczekiwanie. Steve na pewno ma towar. Kupowałem od niego wcześniej, gdy jeździłem do West Endu.

Widać po nim, że od dawna mieszka na ulicy. Jest mniej więcej w moim wieku, ciuchy ma podarte i śliskie od brudu, a czubki jego butów odstają od podeszew. Twarz ma brudną, ale chociaż nie znam go dobrze, w tym momencie jest dla mnie najdroższym przyjacielem na świecie.

Spogląda na mnie, ale nie wymieniamy pozdrowień.

Mówię tylko: — Daj mi. — Jeśli teraz mi da, kiedyś i ja mogę się z nim podzielić. Ale potrząsa odmownie głową.

— Nie mam — mówi.

— Muszę coś wziąć. Mogę zapłacić.

Wygląda na zainteresowanego. Jest narkomanem. Wie, że jeśli ktoś może zapłacić za siebie, to jest szansa, że zapłaci też za niego.

— Możemy się rozejrzeć za tym Włochem — mówi. — Luca. On zawsze coś ma.

Luca to włoski ćpun, którego kiedyś spotkałem. No, więc teraz szukamy Luki. Oxford Street, Dean Street, Old Compton Street, Frith Street. Klekoczę. Pocięszam się, że mam przy

sobie trochę pieniędzy, więc klekot nie potrwa długo, ale znów jest to straszne czekanie. Czekanie na działkę, szukanie, znowu czekanie. Ile setek lat spędziłem tylko na czekaniu? Zaczynam się trząść. Przypominam sobie, że nie mam dzisiaj gdzie spać. Mdłości, uczucie pustki i zagubienie otwierają szczeliny w mojej duszy i klekot, niczym trucizna, wślizguje się w te rozpadliny, dociera do kości i serca. Moje serce. Nawet ono klekocze.

Ogarnia mnie rozpacz. Frith Street, Manette Street, Charing Cross Road, Sutton Row. W końcu znajdujemy Lucę przy Soho Square. Wyjmuje komórkę i dzwoni do kogoś, od kogo może kupić heroinę i crack. Bierze ode mnie pieniądze, ale Steve posyła mi podejrzliwe, cwane spojrzenie, mówiące, że bym nie ufał Luce, bo nie znamy go dobrze. Idziemy więc za nim w pewnej odległości ulicami Soho, bardzo wolno, bo Steve wlecze się w ten swój przygarbiony sposób. Skupiamy wzrok na sylwetce brudnego Luki z tłustymi włosami. Mijamy wiele osób, ale nikogo nie zauważamy. Czekamy. Wpadamy w obsesję. W końcu widzimy, że Luca dokonuje transakcji i wraca w stronę Soho Square, więc wracamy i my. Dostajemy towar.

Co za ironia. W centrum Londynu najłatwiej znaleźć narkotyki, ale najtrudniej znaleźć miejsce, żeby je wziąć. Rozglądam się gwałtownie i ruszam w stronę krzewów przy Soho Square, ale Steve mnie stamtąd odciąga. Teraz idziemy już inaczej. W naszych ruchach widać pewną sprężystość. Dowcipujemy. Jesteśmy na najlepszej drodze do strażu.

Carlise Street, Wardour Street, Brewer Street, Glasshouse Street. Docieramy do toalety w metrze Piccadilly Circus, przy wyjściu na Shaftesbury Avenue. Po schodach, przez drzwi, do podziemnego świata. Biznesmeni, geje, drzwi się otwierają,

zamykają, *mężczyźni* z pochylonymi głowami wchodzi, wychodzą, wchodzi, wychodzą. Tylko jedna osoba stoi nieruchomo.

— To Dave — mówi Steve.

Dave stoi przy umywalkach, a przy jego nogach cierpliwie czeka pies. Dave ściągnął koszulkę, w ręce trzyma puszkę Special Brew. Powinien się myć, ale ma odlot po strzale. Zamknął oczy i jęczy. Rozumiem ten jęk. Nie jęczy dlatego, że fizycznie go coś boli: dopiero co wziął działkę. Ale strzał nie ugasił głębokiego psychicznego cierpienia.

Steve i ja idziemy od razu do kabiny z kwaskiem cytrynowym i puszką po coli znalezioną na ulicy. Nie mam przy sobie swojego sprzętu, więc musimy skorzystać z jednego. Mam gdzieś, że będę używał tej samej igły. Potrzeba nam też trochę wody, ale jesteśmy tak blisko upragnionego strzału, że nie będziemy się już włączyć po żadnych Burger Kingach. Steve spuszcza wodę w toalecie i nabiera trochę z miski sedesowej. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem.

Siadam na zbiorniku, Steve na sedesie. Gdyby ktoś zajrzał od dołu, myślałby, że w kabinie jest tylko jedna osoba. Musimy wyjść stąd najszybciej, jak się da. Steve mówi, że jeśli zostaniemy zbyt długo, to Afrykańczycy, którzy nadzorują to miejsce, zaczną się dobijać do drzwi.

Bierzemy crack z heroiną. Zeby dostać porządnego kopa, zamykam usta i nos i staram się oddychać oczami i uszami. W miarę jak crack przechodzi przez moje ciało, włosy stają mi dęba, więc mogę powiedzieć, gdzie narkotyk znajduje się w danej chwili. Podchodzi już do głowy i oto jest — crackowy haj. To jak zakręcenie bączkiem, ujeżdżanie dzikiego konia lub wystrzelenie rakiety na Księżyc. Wybucho w mojej głowie i nie

pieści mózgu, tylko go pieprzy. O tak, tak dobrze. Taaak, to lepsze niż cokolwiek innego gdziekolwiek indziej.

Po kilku minutach to uczucie mija i zastępuje je ciepłe buzowanie heroiny, które przynosi ulgę w budzącym się na nowo bólu, łagodzi zjazd.

Ale nadal nas rozwala. Z dudniętymi sercami, rozglądając się wokół, wychodzimy z kabiny; ciągle czujemy pocrackowy lęk, irracjonalną panikę. Przed lustrem stoi Dave ze swoim psem. Nie ruszyli się jeszcze z miejsca. Są jak martwa natura w całym tym wariackim młynie.

Wychodzimy po schodach wprost w szaleństwo tych wszystkich ludzi i kroków na Piccadilly Circus, i tego jest już naprawdę za wiele dla dwóch gości, którzy próbują zapanować nad zgiełkiem we własnych głowach, nad głosami szepczącymi coś raz w jednym, raz w drugim uchu, nad krokami spieszącymi po korytarzach naszych mózgów. Nie możemy tego znieść. Po strzale potrzebujemy trochę spokoju. Skręcamy w jakąś alejkę i idziemy dalej.

Glasshouse Street, Golden Square, Beak Street, Lexington Street, Broadwick Street, Berwick Street, Rupert Street, Coventry Street, Leicester Square, Cranbourn Street.

Stoi tu kościół katolicki. Wchodzę po marmurowych schodach i sprawdzam drzwi. Zamknięte. Tymczasem Steve od razu podchodzi do okienka. Jest tu stałym bywalcem, więc wie, co i jak. Prosi kobietę w okienku, czy nie mógłby wziąć kubka herbaty i kanapki również dla kolegi. Kobieta jest pewnie wolontariuszką. Wygląda jak niektóre koleżanki z mamy zboru. Ma siwe włosy, nie uśmiecha się, nic nie mówi, nawet nie wygląda na miłą, wykonuje tylko swoją pracę i za to jestem jej wdzięczny. Podaje mi herbatę w styropianowym kubku i kanapkę ciasno owiniętą w folię.

Schodzimy po schodach. Oddaję swoją kanapkę Steve'owi. Wiem, że nie dam rady jej zjeść, nawet jeśli poczuję się lepiej; jestem zbyt przerażony i smutny. Steve wkłada kanapkę do kieszeni. Chodzimy bez celu, a czas mija, minuta, godzina, trzy godziny, wszystkie do siebie podobne. Znow muszę wziąć, ale tym razem nie muszę czekać, bo kupiłem u Luki kilka dodatkowych woreczków.

Po strzale chodzimy dalej, a potem, na którymś rogu, bez uprzedzenia czy choćby słowa pożegnania, Steve się zmywa. Nagle go nie ma. Zostaję sam. Ściemnia się. Zaczynam panikować. Moja samotność mnie przerasta. Przypominam sobie, że mam syna i już go nie widuję, i myślę: to dobrze, że teraz mnie nie widzi. Powstrzymuję łzy.

Błąkam się. Boję się. To wrogie otoczenie. Trzeba być wariatem, żeby tu mieszkać. I nie wolno niczego mieć, bo inaczej cię znajdą — głosy, kroki — obedną cię ze skóry i wszystko zabiorą.

Wardour Street, Broadwick Street, Poland Street, Oxford Street, Wardour Street, Brewer Street, Beak Street, Broadwick Street, Berwick Street, Brewer Street, Glasshouse Street.

Przy Piccadilly schodzę po schodach i znow widzę Dave'a. Zbierze przy stacji metra z wyciągniętym kubkiem, z głową pochyloną tak, jakby się modlił, z psem opierającym łeb na jego kolanach. Niejęczy już. Rozmawiam z nim przez chwilę.

Obaj musimy wziąć, więc za resztę pieniędzy kupuję parę woreczków. Dave mówi, że jeśli będę kiedyś w potrzebie, a on użebrze trochę pieniędzy, to też mi kupi działkę.

Zapadł już zmierzch. Wstyd mi, gdy mówię Dave'owi, że to moja pierwsza noc. Jest miły. W ludziach z ulicy jest jakaś przejrzystość, więc widzę jego uprzejmość tak wyraźnie jak każdą

część ciała, jak palce czy nos. Siedzimy *razem* u stóp schodów na tyłach stacji Piccadilly i rozmawiamy. Najpierw cały czas mówię ja. Nic nie mogę na to poradzić. Po prostu muszę mówić. O wszystkim. O swojej rodzinie, o ojcu, o uzależnieniu, o Jacku, o tym, jak wiele razy próbowałem rzucić narkotyki, później o tym, jak się szkoliłem, by dostać pracę, i o tym, jak próbowałem zaplanować nad nałogiem, ale nigdy mi nie wyszło. Nie mogę rzucić dragów. I wykorzystałem dobrą wolę wszystkich, którzy kiedykolwiek chcieli mi pomóc. Więc dzisiaj w nocy nie mam dokąd pójść.

Dave mnie rozumie; głaszcze Bootsa, swojego psa, i opowiada o sobie. Wiem, że na ulicach mieszkają ludzie z całej Wielkiej Brytanii, ale Dave pochodzi akurat z centrum Londynu. Poznają to po jego akcencie. Prawdziwy londyńczyk, ma specyficzny akcent, który słyszałem tylko w starych filmach. Przyglądam mu się, gdy mówi. Grube, czarne włosy zgolone blisko głowy, grube rzęsy, kilka amatorskich tatuaży. Opowiada o tym, jak straszliwie znęcano się nad nim w domu. Ojciec łał go jak psa. Dave przyciąga bliżej Bootsa. Kiedyś obaj mieliśmy normalne życie. Ale to życie nie jest normalne, my nie jesteśmy normalni. Chce mi się płakać, żeby móc wyrazić swoje cierpienie, zawodzić podobnie, jak to wcześniej robił Dave.

Kiedy na noc zamykają bramy na schodach, zabieramy się razem. Dave ma pokaźny bagaż: śpiwór, torbę czy dwie torby, psa... można z tego wnioskować, że żyje na ulicy od dłuższego czasu. Ale dla mnie jest to pierwsza noc i nic przy sobie nie mam. Ciemności panujące nad Londynem rozpraszają oślepiające, jaskrawe światła Piccadilly. Mają nienaturalny kolor. Taki kolor nie występuje w przyrodzie. Światła błyskają jakimiś informacjami, ale one są dla innych, nie dla nas. Londyńczycy bawią się

w klubach i na prywatkach, cudzoziemcy przyglądają się raz im, raz samym sobie. Nas nikt nie widzi. Oni wiedzą, kim jesteśmy.

Trzymam się blisko Dave'a. Czuję ulgę, że poznałem kogoś miłego, z kim mogę spędzić tę pierwszą, tak bolesną noc. Dave idzie powoli, jak starzec, choć — jak zdołałem zrozumieć z jego historii — nie ma nawet trzydziestki. Jego pies, spokojny i gładki kundel, dotrzymuje mu kroku w tym samym tempie.

Dave prowadzi nas do drzwi wejściowych kina w Haymarket. Potrzebujemy trochę tektury; to jest coś, o co mogę się postarać, więc ruszam we własnym, szybkim tempie, rozglądam się wokół i znajduję parę pudeł przed jakimś sklepem. Rozkładamy je na chodniku, kładziemy się — z Bootsem pomiędzy nami — i przykrywamy się kocem Dave'a. Zimno nam, chociaż jest lato. Zaczyna padać, ale Dave jest na tyle uprzejmy, że leży na zewnątrz, więc to on moknie. Mnie jest sucho, więc powinienem zasnąć, ale spod drzwi za mną straszliwie wieje.

Nie rozmawiamy. Zamykam oczy. Boots chyba już śni swoje psie sny, bo raz po raz delikatnie drży. Czuję pod sobą tekturę, a pod nią twardy chodnik. Trzęsę się pod kocem Dave'a i cieszę się z heroiny, która tłumi wszelkie uczucia. Nie chcę znać swoich uczuć. Nie chcę się niczym przejmować.

Budzę się koło dziewiątej, zimny, sztywny, przemoknięty i bardzo obolały. Gdy otwieram oczy, widzę mżawkę. Przypominam sobie, że właśnie spędziłem swoją pierwszą noc na ulicy. Klekoczę. Obok przechodzą nogi. Widzę Londyn z perspektywy dżdżownicy. Szpilki, trampki, kolana, poły płaszczy, teczki, torebki. Żadnych twarzy.

Dave jeszcze śpi. Obolały, z trudem podnoszę się na nogi i idę do banku. Mijam złote posągi rozpedzonych koni. Wiem,

że zostały mi jakieś pieniądze. Miałem nadzieję, że co najmniej sto funtów, ale niestety — tylko pięćdziesiąt. Wyciągam je z bankomatu i niemal od razu kupuję narkotyki od gościa, który mówi mi, że codziennie rano, tak do dziesiątej, mogę go znaleźć w Soho. Więc tym razem nie ma czekania. Wracam do Dave'a, teraz już rozpadało się na dobre. Ludzie stojący pod osłoną przystanku przyglądają mi się. Budzę Davea woreczkiem narkotyku.

Dave i Boots zajmują swoje żebracze stanowisko przy toaletach na stacji Piccadilly. Dave mówi, że ma stałych klientów, którzy go wspomagają.

— Ostrzegam cię — mówi — najgorsze są święta, dni wolne od pracy. Niedziele są straszne, ale dni świąteczne to prawdziwa zmore.

Pewnie ma na myśli zebranie. Aleja nie chcę żebrać. Nie chcę dawać ludziom szansy, by mogli mnie odrzucić tylko dlatego, że mijają mnie na ulicy. Poza tym w ten sposób nie mógłbym zarobić wystarczająco dużo, by zaspokoić swój nałóg, który jest teraz tak ogromny, że większy nawet od Soho, większy od Londynu. Potrzebuję całego cracku, jaki udaje mi się zdobyć, najlepiej by było, gdybym brał przy każdej okazji, z pewnością częściej niż raz na godzinę, jeśli tylko to możliwe. Jeżeli chodzi o heroinę — górnego limitu nie ma, ale muszę wziąć około dwóch gramów dziennie, inaczej bym nie przeżył. Dwugramowy woreczek może kosztować do dziesięciu funtów, chociaż z reguły udaje mi się naciągnąć dealera na kilkufuntowy upust. Ale nawet z upustami nałóg kosztuje mnie co najmniej trzysta funtów dziennie, a często nawet więcej, i jest tylko jeden sposób, by zdobyć takie pieniądze: kradzieże.

Gdy kończą mi się pieniądze, jestem w ciągłym ruchu, nieustannie czujny, rozglądam się za sposobnością do kradzieży,

taką jak niepilnowana torebka czy turysta tak bardzo pochłonięty fotografowaniem, że zapomina o swoim portfelu. Ciągłe rozglądam się za towarem. I ciągle szukam znajomych. Teraz wszyscy na ulicy są moimi znajomymi, a jednocześnie nie znam nikogo. Przypadkowo tworzymy nędzne grupki albo ganiamy za sobą między blokami.

— Daj działkę, brachu.

— Pomóż mi, brachu.

— Co masz?

— W porządku, brachu?

Zlatujemy się w parku jak ptaki, a później, niczym gołębie, bez zapowiedzi, rozbiegamy się nagle w różnych kierunkach. Albo chodzimy dwójkami, trójkami, czasami w większej grupie. Ludzie przyłączają się bez powitania i odchodzą bez pożegnania. Kiedy jesteśmy w grupie, rozgrzewa mnie uczucie przyjaźni i braterstwa. A potem nagle zostaję sam, spanikowany, rozbity.

Jestem nowy, więc mówię niewiele. Raczej słucham innych. Wszystkie rozmowy dotyczą przetrwania, muszę się wiele nauczyć. O rozmaitych miejscach, w których można dostać towar. W jakie dni kawiarnie przy Oxford Street wyrzucają stare ciastka. Ze toalet na Broadwick Street pilnuje potężna Murzynka, którą wszyscy nazywają Momma i która na mur beton da ci czas na strzał, zanim zaczniesz walić w drzwi. Gdzie kraść sushi. Jak dorwać się do jedzenia, którego pozbywają się supermarkety. Gdzie spać, dokąd pójść na strzał. Jak wykiwać sklepowych strażników. Słucham uważnie, jestem pilnym uczniem, bo ta wiedza — to życie.

Na ulicach trudno o jakąkolwiek uprzejmość; to dżungla, w której wszyscy musimy przetrwać. Ale ponieważ jestem nowy,

większość ludzi pokazuje mi swoją łagodniejszą stronę. Bardzo, naprawdę bardzo ciężko przychodzi mi zdobycie wystarczającej kasy na narkotyki, więc przez większość czasu źle się czuję. Pewnego ranka, gdy jestem chory i obolały, spotykam na Shaftesbury Avenue nieco starszego ode mnie gościa i łażę z nim. Ginge jest wielki, chaotyczny i bystry, przypomina mi mnie samego. Idziemy razem na strzał do jednej z betonowych toalet, które stoją jak bunkry na rogach ulic. Wrzucamy dwadzieścia pensów, drzwi się rozsuwają i wpuszczają nas niczym do jakiegoś grobowca.

Kłapa na ścianie się opuszcza — zwykle matki przewijają na niej niemowlaki, my zaś rozkładamy swój chirurgiczny sprzęt: łyżeczkę, kwasek cytrynowy, puszkę po coli i igłę ze strzykawką. Ginge, żeby sobie wstrzelić, opuszcza spodnie do połowy ud, zrywa ogromny strup w pachwinie i wbija grubą, wielgachną igłę chirurgiczną prosto w otwartą ranę i tętnicę. A ludzie mówią, że to ja mam dobre żyły. Zbierając się po strzale, przyglądam się temu zafascynowany.

Zjeżdżając potem ostrożnie, rozmawiamy sobie, gdy nagle automatyczne drzwi otwierają się bez ostrzeżenia. Przechodnie mogą zobaczyć dwóch ćpunów, w tym jednego z opuszczonymi spodniami, i ich akcesoria. Razi nas światło dzienne, mrugamy oczami, a ludzie przyglądają się naszemu mrocznemu, podziemnemu światu.

— O, kurwa — mówi Ginge — zapomniałem, że tu jest ten pieprzony piętnastominutowy limit.

— *Uwaga. Toaleta zostanie zdezynfekowana* — zapowiada mechaniczny głos, który nigdy w życiu nie potrzebował strzału. — *Proces dezynfekcji nastąpi wewnątrz kabiny. Uwaga. Proszę niezwłocznie opuścićabinę.*

— Lepiej szybko stąd spadajmy, bo inaczej nas, kurwa, zmo-
czy — mówi Ginge. — Chodź.

Idę za nim. Nie poda mi wszystkiego jak na tacy — nikt tego
nie zrobi w tej dżungli — ale zabierze mnie ze sobą.

Na Shaftesbury Avenue Ginge znika. Kiedy się orientuję,
że nie ma go obok mnie, jestem w mrocznym, samotnym świe-
cie. Potem zauważam go w budce telefonicznej, jak gorączkowo
sprawdza, czy ktoś nie zapomniał monet wydanych jako reszta.
Znika tak niejedyn raz. Zanim dochodzimy do Soho, wiem już,
że nie ominie żadnej budki telefonicznej.

Idziemy na skrótą niewielką uliczką w stronę Charing Cross
Road i dochodzimy do dzielnicy czerwonych latarni. Niektóre
dziewczyny wyglądają z okien na wyższych piętrach. W ogóle
nie zwracają na nas uwagi. Na dole kręci się kilku alfonsów,
którzy wciskają przechodzącym wizytówki, telefony i zdjęcia.
W naszą stronę niczego nie wyciągają. Wchodzimy przez jakieś
odrapane drzwi, czekam na wałących się schodach, a Ginge ska-
cze na górę i puka. Słyszę, jak drzwi się otwierają.

— Coś potrzeba? — pyta. Dochodzi mnie odgłos odległej roz-
mowy. Kobiety nawołują się nawzajem. Niedługo potem Ginge
w podskokach wraca na dół i recytuje listę. Krem nivea do rąk,
mały czerwony ręcznik, zmywacz do paznokci...

Leicester Square, Rupert Street, Raymonds Revue Bar,
uliczką w górę i za róg do mrowiska burdeli. W nocy to miej-
sce ma może jakiś urok, ze swoimi mrocznymi cieniami i bar-
dzo jaskrawymi neonami, ale za dnia wszystko ma kolor brudu.
Nawet zdjęcia dziewczyn wyglądają na brudne, a ich ciała są
szare. Jesteśmy w innym świecie, w labiryncie przejść, kla-
tek schodowych, drzwi, przyciemnionych czerwonych światła.

Kilku mężczyzn mija nas szybko na schodach. Kilku innych upiło się i idąc wąskimi przejściami, objijają się o ściany.

Podchodzimy do drzwi, pukamy wszędzie, gdzie świeci się światło lub jest przypięta wizytówka z prężącą się, jędrną modelką. Kiedy drzwi się otwierają, przekonujemy się, że wyglądające zza nich kobiety raczej nie przypominają modelek z wizytówki. Niektóre są same, inne w grupkach, siedzą i czekają na klientów, piją, rozczesują włosy albo czytają kolorowe pisma. Mają rozmaite kształty, figurę i różny kolor skóry. Niektóre z nich to młodziutki, przerażone dziewczyny z Europy Wschodniej, które tak boją się alfonsów, że nie chcą na nic wydawać pieniędzy. Kilka jest naprawdę pięknych. Inne są stare, z rozmazanymi szminkami i wysuszonymi cyckami sterczącymi spod nylonowych koszul nocnych. Szybki rzut oka za każde drzwi pozwala sobie wyobrazić życie tych kobiet. Niegustowna czerwona tapeta, ciągłe babskie gadanie, strach, nuda, tęsknota za innym życiem.

Gdy mamy już listę rzeczy do zorganizowania, która jest tak bogata, że ledwo ją zapamiętujemy — kosmetyki, ręczniki, zabawki dla dzieciaków, bielizna, lakier do włosów — uderzamy do sklepów na Oxford Street, by kraść na zamówienie.

Jako dziecko byłem utalentowanym złodziejem; okazuje się, że wynoszenie rzeczy ze sklepów jest jedną z tych umiejętności, których się nie zapomina, tak jak jazda na rowerze. Ginge jest w tym dobry, ale kręci się tu od dawna, więc znają go już w każdym sklepie i rozpoznaje go każdy policjant. Ma na sobie czarną, skóropodobną, pikowaną kurtkę, z której wyciągnął środek, żeby móc w jego miejsce wkładać skradzione rzeczy. Nosi czarne spodnie, utyłane trampki, ma pełno krost, jest blade

i brudny, więc gdy tylko wchodzi do sklepu, ściąga na siebie *baczną* uwagę każdego sklepowego ochroniarza. Wie o tym, więc się nie zatrzymujemy, tylko szybko przechodzimy przez sklepy.

Zanosimy zamówiony towar dziewczynom, które się nie uśmiechają, a za nasz trud płacą nam wyjątkowo marne grosze. Dostajemy może z piętnaście funtów za kradzież dziesięciu rzeczy. Wydaje mi się, że za tak małą forszę to dużo roboty, wykańczającej roboty, ale to specjalność Gingea i wszystkie dziewczyny go tutaj znają. Najgorsze jest to, że gdy dajemy te rzeczy naprawdę ładnym prostytutkom, czujemy coś w rodzaju dziwnego, ostrego ukłucia. One prawie w ogóle na nas nie patrzą. Jesteśmy niewidzialni dla pięknych kobiet.

Po tamtym strzale, który zamienił się w publiczne przedstawienie, Ginge prowadzi mnie gdzieś, gdzie, jak obiecuje, ma być lepiej. Brewer Street, Old Compton Street, Greek Street, Sutton Row. Po drodze, w jednej z uliczek, zapuszcza żurawia do sklepu z używanymi płytami.

— Cześć, Simon! — woła do gościa stojącego za ladą.

— Masz coś dla mnie dzisiaj? — pyta Simon.

— Może później. To jest Mark — mówi Ginge, aja wykrzywiam twarz w uśmiechu. Idziemy dalej.

— Simon kupuje płyty D VD — mówi Ginge. — Bierze wszystko.

Nagle skręcamy. Ginge prowadzi mnie na tył jakiegoś budynku. Od frontu są biura i sklepy, ale tutaj, po tej ciemnej, brudnej stronie nie ma żadnych okien, tylko schody ukryte za kubłami na śmieci. Schody wiodą na jakiś podest; pewnie jest to droga przeciwpożarowa, ale równie dobrze mógłby być zaprojektowany specjalnie dla ćpunów. Przykryty, zacieniony, z dobrym widokiem na wejście, ale niewidoczny dla nikogo — może poza

pasażerami górnego pokładu autobusów — podest jest rajem dla takich jak my. West End wiruje wokół nas, a to miejsce jest oazą spokoju. W tym momencie, wśród śmieci pozostawionych przez innych narkomanów — śliny, igieł, puszek, butelek po wodzie — jest tu około dziesięciorga ćpunów i całe stado gołębi.

— Uważaj na nich — mówi Ginge, wskazując dwóch koleśki siedzących trochę dalej na platformie. Są tak nieruchomi, że wyglądają jak martwi, ale nas obserwują. — Bliźniacy. Są niebezpieczni, para świrów.

Niedaleko stąd stoi furgon, w którym można wymienić igły. Każdego dnia, na różnych ulicach, mijają go tysiące ludzi i prawdopodobnie nawet nie zauważają tego niewielkiego, niepozornego samochodu. Żeby dostrzec naklejony na nim dyskretny symbol czystych igieł, trzeba być ćpunem. Podchodzę do okna, a siedzący w środku mężczyzna daje mi kilka igieł, wilgotną chusteczkę do rąk i karniaka, czyli puszkę, do której mam wrzucić zużyte igły.

Podając mi to wszystko, pyta: — Wiesz, jak ważne jest bezpieczne używanie igieł?

— O, taaak — zapewniam go. Wiem, jakie to ważne, i staram się używać czystych igieł, ale gdy mam towar, a nie mam igły, jestem w stanie zrobić wszystko. Zdarzyło mi się już wyciągnąć brudną igłę z karniaka i Bóg jeden wie, kto jej przede mną używał. A dzisiaj używałem tej samej igły co Ginge, który raczej na pewno jest zarażony. Nie żebym się przejmował. Umieranie nie jest czymś, o czym bym myślał lub co bym rozumiał. A życie polega dziś dla mnie jedynie na braniu. Jestem jak automat do gier. Wystarczy wrzucić monetę, żeby włączyły się wszystkie światła, kolory i zaczęła grać muzyka. Kończą się pieniądze — i maszyna przestaje grać.

Rozdział dwudziesty ósmy

Biorąc pod uwagę standard życia na ulicy, moja pierwsza noc z Dave'em, Bootsem i kocem była dość komfortowa. Teraz noce są coraz chłodniejsze i bardziej samotne; wydaje mi się, że od kilku dni niemal nie zmrużyłem oka. Tak mnie rozwała po cracku, że cały czas chodzę. Zacząłem zaglądać do kubłów na śmieci. Zawsze to jakieś zajęcie, zwłaszcza przy mojej paranoi, a poza tym wyglądam wtedy jak tramp, więc nikt nie zwraca na mnie uwagi, ani zwykli ludzie, ani policjanci. Jakbym założył przebranie albo był niewidzialny. Stawiam uważnie stopy, jedną w kanale, drugą na krawężniku. To trochę odwraca uwagę od paranoi i okrutnych głosów, które wyśmiewają się ze mnie w mojej głowie. Głupek. Cpun. Nieudacznik.

Kiedy przechodzę obok kubła na śmieci, zatrzymuję się i grzebię w nim. Znajduję torebkę. Ukradł ją jakiś złodziej, wyjął pieniądze, ale w środku jest jeszcze karta bankomatowa. Biorę ją. Gdy w innym kubie znajduję nadgryzione ciastka, uświadamiam sobie, że jestem głodny, więc zjadam to, co z nich zostało, i idę dalej. Wolniej, bo zaczęły mnie obcierać buty.

Idę do tego samego wejścia do kina, przy którym pierwszej nocy spałem z Dave'em, znów znajduję jakieś kartonowe pudła, ale nie łagodzą niewygody kamiennego chodnika, nie ma też Dave'a ani Bootsa. Jest za to znajomy przeciąg pod drzwiami.

Rano ledwie mogę się podnieść. Wiem, że nigdy tak niewiele nie ważyłem, a mimo to czuję, jakby moje ciało było z ołowiu. Jestem maszyną. Wielkie tłoki popychają i podciągają moje stopy w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół. Nadanie rytmu bólowi przynosi jakiś rodzaj ukojenia. Moim powolnym ruchem na ulicy zarządzają potężne tłoki. Pulsuje mi w głowie, wszystko mnie boli, stopy są zdarte do mięsa. Jestem chory, jestem chory. Patrzę w górę. Mijam rozpędzone złote konie. Muszę jakoś zdobyć trochę pieniędzy. Muszę kupić narkotyki. Przepęlnia mnie niewiarygodne zmęczenie.

Wtedy wyczuwam w kieszeni skradzioną kartę bankomatową. Przyspieszam kroku i wstępuje we mnie odrobina energii, której wystarcza mi, bym dowlókł się do banku NatWest, podszedł do okienka i powiedział siedzącej w nim nieskazitelnie umalowanej kasjerce, że znalazłem kartę. Kiwa głową, ale się nie uśmiecha. Patrzy na mnie przez grube okulary. Szyba oddzielająca ją od klientów też jest gruba, więc mam wrażenie, że kobieta znajduje się bardzo daleko ode mnie.

Kasjerka bierze kartę i sprawdza w komputerze jej historię. Stuk, stuk, stuk w klawiaturę, jakby palcami podawała taneczny rytm. Rozglądam się wokoło. Jestem w pomieszczeniu, pod dachem. Większość zadaszonych powierzchni, jakie ostatnio poznałem, to tłoczne sklepy, zimne, kamienne wejścia do budynków i publiczne toalety. A w banku jest ciepło i zacisznie, i chociaż rozmawiają tu ludzie, czuję tylko, że otaczają mnie

solidne mury, a pod stopami mam grubą wykładzinę. To parę metrów od miejsca, w którym teraz żyję, a jakże ten świat jest odmienny od mojego.

Uświadamiam sobie, że patrzy na mnie jakiś mężczyzna. Stoi przy sąsiednim okienku, czeka, aż kasjerka wystuka wszystko na klawiaturze, ale patrzy na mnie. Właściwie otwarcie się przysłuchiwał, gdy wręczałem kobiecie kartę i opowiadałem historię jej znalezienia. To niewysoki Sikh w turbanie, który w tej chwili robi coś zupełnie zaskakującego. Uśmiecha się do mnie.

Kasjerka wraca i bez słowa, z zaciśniętymi ustami, podaje mi nagrodę. Dwadzieścia funtów. Lekko kiwam głową, wsuwam banknot do kieszeni i odwracam się w stronę wyjścia. Zanim dochodzę do drzwi, zatrzymuje mnie tamten gość.

— Przepraszam — zaczyna; miękki ton, w głosie sama uprzejmość — ale słyszałem pańską historię. Chciałbym panu powiedzieć, że jestem pod ogromnym wrażeniem, że oddał pan tę kartę.

Najwidoczniej nie widział kasjerki wypłacającej mi dwadzieścia funtów nagrody. Najwidoczniej nie zdaje sobie sprawy, że ta karta była bezużyteczna, bo inaczej z pewnością zrobiłbym z niej pożytek. Najwyraźniej nie ma pojęcia, że żyję niemal wyłącznie z przestępstw. Jest naiwny. A jego naiwność to dla mnie okazja.

— Jestem bezdomny — tłumaczę. — Miałem pracę, ale w czasie masowych zwolnień wylali mnie i nikt nie mógł mi pomóc, ani znajomi, ani rodzina, więc dopóki się z tego nie podniosę, mieszkam na ulicy...

Współczująco kiwa głową, a ja wciskam mu kit, mnóstwo kitu.

— To niewiarygodne, że w tych okolicznościach pozostał pan uczciwy. Chciałbym panu pomóc.

Swędzi mnie nos, nie tylko dlatego, że potrzebuję działki.

Sikh wyciąga wizytówkę. — Tu jest moje nazwisko i numer telefonu. Proszę do mnie zadzwonić, a postaram się znaleźć panu pracę.

— Dziękuję, dziękuję bardzo — mówię. — Naprawdę chcę się zmienić. Nie mogę już dłużej żyć na ulicy, to mnie zabija, ale żeby postarać się o pracę, muszę coś zjeść i się umyć, bo w tym stanie nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać...

Jego twarz przybiera uprzejmy wyraz, gość wyciąga z portfela dwudziestofuntowy banknot i wkłada mi go do ręki. Dziękuję mu i wychodzimy na zewnątrz, tam gdzie powietrze, ruch, kurz i zapach. Moje miejsce zamieszkania.

— Powodzenia — mówi Sikh i przepadamy obaj w tłumie przechodniów.

Niewielkiej części mnie jest przykro, że go orznąłem, ale jestem ćpunem i od lat goliłem każdego, kto okazał mi choć odrobinę życzliwości, łącznie z własną rodziną. Dzięki niemu odzyskałem wiarę w człowieczeństwo, przynajmniej dzisiajszego poranka, ale jego uprzejmość otworzyła we mnie kilka szczelin, przez które nie chcę zaglądać, bo dalej są już tylko puste przestrzenie. Nie mogę odciąć stałego dopływu narkotyków do mózgu i ciała, bo wówczas strach, pustka i samotność wezmą nade mną górę i wtedy będę już musiał, bezwzględnie będę musiał wziąć działkę, by powstrzymać przerażenie.

Heroina niweluje fizyczny ból i łagodzi udrękę. Crack zalewa umysł euforią. A gdy otrząsam się z tego szaleństwa i paranoi, które powoduje, spotykam Bena. Jest bardzo wysoki, wychudzony i brudny. Na ulicy można być brudnym na różnym poziomie; poziom Bena jest wysoki. Ma tłuste włosy, skórę pokrytą

krostami i warstwę brudu wokół szyi. Chociaż bardzo łatwo jest ukraść nowe buty, te na jego stopach są zupełnie podarte. Więc musi być żebrakiem. Czystemu żebrakowi nikt nie da pieniędzy.

Gość jest myślący i składnie mówi, nawet bardzo składnie, wygnaniec ze świata wykształciuchów. Ben to człowiek, któremu można się zwierzyć, ale sam nie dzieli się ze mną swoją historią, a ja o nic nie pytam. Od tamtej pierwszej nocy z Daveem nikogo o nic nie zapytałem. Wiem, że nikt nie trafia na ulicę z wyboru. Jesteśmy wyrzutkami, wszyscy to wiemy; wszyscy musimy się dzielić historiami o przemoc, chorobach psychicznych czy różnego rodzaju udrękach i wszyscy musimy się wzajemnie akceptować, bo nikt inny tego nie zrobi. Niepotrzebne są żadne pytania, wszelkie próby sondowania są nie na miejscu.

Rozgaduję się przy Benie. Jak ciężkie są noce i jak okrutne stały się poranki.

Przytakuje. Rozumie. Chcę mu się rzucić w ramiona, chcę go złapać i się do niego przytulić, ale nie można tego robić na ulicy. W ogóle nie można tego robić. Musisz żyć sam w swoim odosobnieniu.

Ben mówi: — Początki są najgorsze. Nauka, jak żyć, zajmuje trochę czasu.

Prowadzi mnie wzdłuż bulwaru Mail, po którym samochody poruszają się z jakimś dostojeństwem, żaden nie używa klaksonu. Na końcu przechodzimy obok pałacu Buckingham. Zatrzymujemy się przy ogrodzeniu. Wysoko nad naszymi głowami powiewa flaga. Z bramy niemal bezgłośnie wyjeżdża czarny samochód, w którym może siedzi, a może nie siedzi królowa. Tłoczą się turyści. Policjanci nas obserwują. Przez krótką chwilę czuję się zjednoczony z tymi wszystkimi ludźmi.

Królową dzieli od naszej bogactwo, a my wszyscy tutaj jesteśmy widzami. Potem idziemy dalej.

Ben prowadzi mnie do starego, białego budynku z gładką fasadą na tyłach stacji Victoria, w którym sto lat temu musieli mieszkać jacyś bogaci ludzie. Miejsce nazywa się Passageway; można tam zsunąć razem cztery krzesła i spać nawet do drugiej po południu. Jest tam już z dziesięciu cuchnących mężczyzn, którzy tak właśnie zrobili, więc zasypiam przy dźwiękach chrapania. Kiedy o drugiej budzą nas i wyrzucają, ledwie mogę chodzić. Nie czuję stóp, są jak kawałki żywego mięsa, pali mnie całe ciało i boli głowa. Muszę coś wziąć, ale w tym stanie nie nadaję się do kombinowania kasy. Moje przetrwanie stoi pod dużym znakiem zapytania; jestem przerażony.

Ben mówi: — Chodź, stary.

Opieram się na nim i wlecemy się do stacji Victoria i w dół, do metra. Przy kasach pasażerowie rozbiegają się jak mrówki na wszystkie strony. Stanie w miejscu wydaje się przestępstwem. W całym tym rwetesie Ben przykleja się do jakiejś kobiety i prześlizguje przez bramkę. Pasażerka nawet się nie orientuje, że w cenie jednego biletu przeprowadziła przez bramkę dwie osoby. Ben porusza się zwinnie i zgrabnie, prawie jak młody żrebak.

Ogląda się na mnie, czeka. Denerwuję się. Staję w krótkiej kolejce pasażerów metra, którzy kolejno kasują bilety, a wtedy bramka otwiera się przed nimi szeroko. Kiedy stojąca przede mną kobieta podchodzi do przejścia, kopiuję Bena i przyklejam się do jej pleców, ale jej nie dotykam. Nie jestem tak zgrabny jak Ben, jednak prześlizguję się przez bramkę, jakbym był niewidzialny. Słyszę, jak zatrząskują się za mną jej ramiona. A więc jestem niewidzialny. Jestem duchem metra.

Na peronie Ben się schyla, by spoci krzesiełka podnieść jakiś kubek, i wskakuje do pociągu, który właśnie nadjechał i zmierzza na południe.

— A teraz patrz i ucz się — mówi do mnie.

Przechodzi przez pierwszy wagon, a gdy pociąg już jedzie, przez drzwi łączące wagony idzie do drugiego. Pasażerowie krzywią się na nasz widok. Szybko odwracają głowy. Czytają gazety, przyglądają się podłódze, gapią się w ciemność za oknem.

Ben zamyka za nami drzwi i przejeżdża ręką po tłustych włosach. Mówi donośnym głosem: — Jestem bezdomny. Muszę coś zjeść i gdzieś się przespać. Chciałbym państwa prosić o pomoc.

Podchodzi do małego, okrągłego facia, który udaje, że czyta gazetę. Ben czeka, aż w końcu gość niechętnie sięga do kieszeni i wygrzebuje z niej jakieś drobne. Potem Ben przechodzi powoli przez wagon, a ludzie po obu stronach wrzucają do kubka monety. Ben jest wielki, zawstydzony, wygląda na desperata, więc nikt nie chce z nim zadzierać.

Na najbliższej stacji wyskakujemy z pociągu.

— Widzisz, jaka to łatwizna? — mówi Ben. — Gdyby ten facet w garniturze nie sięgnął do kieszeni, nikt by mi nic nie dał. Zdobądź pierwszego, a reszta pójdzie w jego ślady.

Sięga do kosza na śmieci i podaje mi kubek, wytrząsając z niego fusy. Pociąg odjeżdża, posyłając nam w twarz powiew podziemnego powietrza, jakby krótki, ciepły uścisk. Stopy tak mnie bołą, że muszę przytrzymywać się ściany, żeby utrzymać równowagę.

Ben mówi: — Zacznę od tyłu pociągu i spotkamy się na środku.

Nie chcę zebrać, ale w tej chwili nie mam żadnego pomysłu, jak inaczej mógłbym zdobyć pieniądze.

Przyjeżdża, pociąg. Wsiadam do niego i na chwilę zapomina-
nam, jak bardzo źle się czuję, bo teraz czuję się okropnie z innego
powodu — jestem chory ze strachu. Zmierzam do drzwi łączy-
cych wagony. Kiedy pociąg rusza, prześlizguję się do następnego
wagonu i zamykam za sobą drzwi. Chrząkam, oczyszczając gar-
dło. Sporo ludzi podnosi wzrok. Zaraz próbują się odwrócić,
ale już im na to nie pozwalam. Jest tu chyba z pięćdziesiąt osób,
może nawet setka. Czuję się tak, jakbym miał przemówić do
całego zgromadzenia narodowego.

Zaczynam: — Jestem bezdomny.

Słyszając swój głos wypowiadający te słowa, ogłaszający innym
moje poniżenie, na moment tracę oddech. Szybko łapię powie-
trze i mówię dalej: — Jestem bezdomny, nie mam co jeść ani
dokąd pójść. Potrzebuję jedzenia i łóżka. Proszę, czy mogą mi
państwo pomóc?

Stoję i patrzę na nich, tak jak robił to Ben. To trudne. Wolał-
bym raczej patrzeć w ziemię, ale w ten sposób nie zbiorę pieni-
dzy do kubka. Uczucie poniżenia. Wstyd, że się prosi, żąda pie-
niędzy. Czuję do siebie obrzydzenie, ale teraz już muszę przez
to przejść.

Cisza. Atmosfera jest tak ciężka, że można by ją kroić
nożem. Wyłuskuję wzrokiem grupę dziewczyn, które siedzą
najbliżej mnie. Mają po jakieś osiemnaście lat, są podenerwo-
wane. Wagon ogarnia paranoja: nikt nic nie mówi, na nikogo nie
patrzy, nie wie, na czym zawiesić wzrok. Teraz gram na strachu,
który czują pasażerowie, kiedy ktoś ich zaczepia.

Dziewczyny powoli otwierają swoje torebki i w kubku lądują
monety po 20 i 50 pensów, a nawet jednofuntowe. Nienawidzę
siebie. Mój wstyd jest jak fizyczny ból. Aż tu nagle wszyscy

zaczynają ruszać rękoma i sięgać do portfeli i portmonetek. Mam ich. Przechodzę przez cały wagon, mrużąc pod nosem „dziękuję”, a po chwili z mojego kubka dochodzi przyjemny dźwięk, jaki wydają monety, gdy uderzają o siebie. Przechodzę do kolejnego wagonu i widzę Bena. Doszedł do mnie od drugiej strony. W jego przedziale jest tak samo cicho jak w tym, który właśnie opuściłem.

Pociąg zwalnia. Kiedy wjeżdża na stację, wysiadamy.

— Widzisz, łatwizna — mówi Ben.

— Ja pierdolę. No nie, no, ja pierdolę — powtarzam w kółko. Stopy ciągle mnie boją i cieknie mi z nosa, ale przeżyję to, bo mam kubek pełen pieniędzy. Tablica mówi, że jesteśmy w Brixton. Przechodzimy na drugą stronę i w ostatniej chwili wskazujemy do pociągu jadącego na północ — to na wypadek, gdyby namierzyły nas kamery. Wsiadamy na Oxford Circus i idziemy w stronę Tottenham Court Road. Gdy liczę pieniądze z kubka, wychodzi mi, że mam osiemnaście funtów. Powinno mi się udać zbajerować dealera, żeby za te osiemnaście funtów sprzedał mi po woreczku heroiny i cracku.

Ben zabiera mnie na strzał na wjazd do podziemnego parkingu. Roi się tu od ćpunów, albo odlatujących, albo już po narkotycznym odlocie. Siedzą upaprani krwią, z puszkami i sprzętem, kilka metrów od samochodów wjeżdżających na parking.auta przejeżdżają obojętnie tuż obok, powodując delikatny ruch powietrza przy mojej twarzy.

— Widziałeś to? — pyta Ben.

— Co?

— Właśnie przejechał Jeremy Beadle [znany prezenter telewizyjny, pisarz i producent — *przyp. tłum.*].

Z jakiegoś powodu rozśmiesza nas to. W swoim wielkim, błyszczącym samochodzie właśnie przejechał obok nas Jeremy Beadle. Siedzimy i się śmiejemy, i uświadamiam sobie, że śmieję się pierwszy raz, odkąd jestem na ulicy, do tej pory nigdy się nawet nie uśmiechnąłem, nie widziałem też, by robił to ktokolwiek inny.

Przychodzi John, kumpel Bena. Wysoki blondyn z gitarą przewieszoną na sznurku przez ramię.

— Znam cię — mówi, więc mu się przyglądam. Nagle udaje mi się dopasować jego kostropatą twarz do obrazu innej twarzy, którą kiedyś znałem.

Przenoszę się na chwilę w inny czas i w inny świat, bardziej zielony. Czasy Rosie. Pole namiotowe, gdzie sprzedawałem narkotyki i gdzie Rosie uciekła po awanturze, a ją ją odnalazłem. Kemping w Somerset.

— Frome! — mówię. Pola, lasy, Rosie siedząca z tyłu kampu i szukająca igłą żyły między palcami i dobiegające z zewnątrz głosy.

John szczyrzy zęby w krzywym uśmiechu. To ten John, któremu sprzedawałem towar.

— Pamiętam ten wasz wóz — mówi. Ach, ekstra wóz. Pięknie odrestaurowany za tysiące funtów, a w końcu sprzedany, gdy wróciłem z Ameryki, za sześć gramów heroiny.

Siedzimy sobie we trójkę na podjeździe, podczas gdy obok nas suną samochody wiozące biznesmenów i gwiazdy. To dziwne uczucie — dzielić tutaj z kimś swoją przeszłość. W tamtych czasach obaj dealowaliśmy i obaj byliśmy uzależnieni, ale bardziej panowaliśmy nad nałogiem. Ja wtedy nawet jeszcze nie brałem w żyłę, tylko paliłem. To były inne, piękne czasy.

Rozmawiamy o ludziach, miejscach i wydarzeniach z tamtego świata i to powoduje, że czuję się bardziej rzeczywisty: jestem człowiekiem z przeszłością, a nie tylko duchem.

Często widuję Gingea. Raz tu, raz tam, wszędzie; kradnie, kupuje, bierze, wchodzi do budki telefonicznej w zachodnim Londynie albo z niej wychodzi. Już zrozumiałem chaotyczny styl jego życia. Czasem ma nadmiar heroiny, innym razem nie ma nic, czasem robi szalone rzeczy, żeby zdobyć więcej, innym razem uchodzi z niego cała para i pogrąża się w chorobie. Żeby zdobyć narkotyki, zużywa bardzo dużo energii. Z osób, które dotąd spotkałem, najbardziej podobny jestem chyba właśnie do Gingea. Nie jestem podobny do Bena, bo nie jestem żebrakiem. I z pewnością nie przypominam Dave'a, któremu udało się zyskać jakąś stabilizację w życiu, o ile u ćpuna to w ogóle możliwe. Dave żebrze ciągle w tym samym miejscu na stacji Piccadilly Circus, może polegać na „stałych klientach”, którzy zawsze coś wrzucą do kubka i utrzymują przy życiu jego i Bootsa, je normalne posiłki i porusza się powoli. Kontroluje swoje tempo. Jak na ćpuna z ulicy ma całkiem dobre zdrowie. Niezmiennie cechuje go też serdeczność. Patrzę czasem, jaki jest miły dla innych, tak jak był dla mnie. Jest taka dziewczyna, Katie, uzależniona już od heroiny i cracku, ma nie więcej niż siedemnaście lat, wystające kości i niechlujne jasne włosy. Po tym, jak przez dzień albo dwa włączę się z nią po ulicach, widzę już, jaką będzie wielką, szczwaną, rozgadaną, szczerbatą babą. Ale teraz jest młoda i wrażliwa. Wykorzystywana na ulicy, podobnie jak wcześniej w domu. Widywałem czasem dobrego, życzliwego Davea, jak się nią opiekował.

W ruchliwy, późny sobotni wieczór Ginge jak zwykle kręci się po Soho. Dołączam do niego. Proponuje, żebyśmy skasowali

jakaś męską kurwę, to zawsze łatwy sposób na zdobycie forsy, bo tacy są zwykle pedałami i się nie bronią. Znajdujemy jednego w pobliżu Piccadilly: pucołowaty koleś przed dwudziestką, wyglądający na zdesperowanego. Jest niechlujny, ale ciuchy ma niezłe. Popychamy go w stronę barierki i robimy się niemili.

— Dawaj, dziś już dość zarobiłeś...

— Nie, nie mam ani pensa! — zapewnia nas, otwierając szeroko oczy.

— Masz, masz, nie pierdol. Wkładaj rączki do spodni.

— Nic dzisiaj nie zarobiłem.

— Nie chrzań. No, już, dawaj.

Zaciągamy go na ciemny parking. Ludzie widzą, jak go popychamy i straszymy, ale nikt nas nie powstrzymuje. To tak, jakbyśmy my wszyscy, ludzie ulicy, byli specjalnie oznaczeni. Kiedy rozglądamy się w tłumie, nie dostrzegamy zwykłych ludzi. Widzimy tylko ludzi naznaczonych tak jak my: ćpunów, dealerów, przestępców i darmozjadów. A gdy zwykli ludzie rozglądają się w tłumie, widzą tylko siebie, nie widzą tych wszystkich oznaczonych.

— Szybciutko pakuj łapę w dupę i wyciągaj to — mówimy.

Chłopak się boi, więc przykuca, żeby z tyłka wyciągnąć małe, plastikowe pudełeczko, które pochodzi chyba z czekoladowego jajka z niespodzianką. Producenci na pewno nie myśleli o takim przeznaczeniu. Chociaż właściwie... w środku jest prawdziwa niespodzianka: trochę kokainy i sześćdziesiąt funtów w banknotach. Bierzemy wszystko.

— Pieprzone złamańce! — wydziera się za nami płaczliwym, rozdzierającym głosem. Olewamy go. Jesteśmy zajęci dziele niem łupu.

Nie jem zbyt dużo. Jedzenie mnie nie interesuje. A już na pewno nie węszę za kuchniami polowymi. Kiedy rozstawiają kuchnie polowe, jestem zwykle zbyt nawalony, a poza tym one są dla innego rodzaju bezdomnych — takich, którzy śpią pod drzwiami przy głównych ulicach, wymagają opieki i nie chcą być niewidzialni. Z marketów spożywczych Sainsbury podkradam sushi. Raz w tygodniu kawiarnie Starbucks wystawiają torby ze starymi ciastkami. Codziennie rano sieć fast foodów Pret a Manger pozbywa się niezjedzonych sałatek. Resztkami zostawionymi przez innych ludzi można się tu najeść jak król. Ale moim głównym pożywieniem są snickersy. Odkryłem, że odkąd jadę na cracku i heroinie, mogę przeżyć tydzień o kilku snickersach.

Dni mijają. Pamiętam, jak ważne w więzieniu było pogodzenie się. Pogodzenie się, czyli zrozumienie, że jest się tam, gdzie się jest, i tam też się zostanie. Próbuję się teraz pogodzić z tym faktem. Ale między ulicą i więzieniem jest jedna wielka różnica. Tam wiedziałem, że wyjdę, gdy skończy się wyrok. A tutaj nie wiem, kiedy to się skończy. Staram się o tym nie myśleć.

Idąc wzdłuż Beak Street, mijam sklepik z używanymi płytami. Zatrzymuję się. Przypomina mi się coś, co wydarzyło się w trakcie mojego pierwszego tygodnia na ulicy. Byłem wtedy z Gingeem, zapuścił żurawia do podobnego sklepu i przywitał się z kimś o imieniu Simon, kto skupuje płyty DVD. Zawracam. Chodzę ulicami, dopóki nie znajduję tego sklepu. Wkładam głowę przez drzwi.

— Simon? — pytam.

— Nooo?

Wchodzę i upewniam się, czy Simon nadal kupuje płyty. Przytakuje.

— Siedem funtów za sztukę.

Orientuję się, co mogłoby go interesować, tak jakbym był odpowiedzialnym przedstawicielem handlowym pod krawatem, przyjmującym zamówienie, choć jest oczywiste, że Simona niewiele obchodzi, co dostanie.

Siedem funtów za płytę! Dlaczego nie spróbowałem tego wcześniej? Idę prosto do sklepu z płytami i nie przebierając, zdejmuję je z półek. Scyzorykiem odcinam klipsy bezpieczeństwa, wkładam płyty do kieszeni i szybko wychodzę ze sklepu. To niemal śmiesznie proste. Płyta w sklepie kosztuje od dwudziestu do trzydziestu funtów. Gdy wracam do Simona, okazuje się, że mam ich dziesięć. Bez zadawania pytań i sprawdzania, jakie to płyty, Simon wręcza mi siedemdziesiąt funtów. Jestem bogaty. W dziesięć minut zgarnąłem więcej, niż mógłbym zarobić przez cały dzień, zwracając karty bankomatowe, żebrząc w metrze albo kradnąc lakier do paznokci dla prostytuttek.

A więc to jest droga, którą powinienem pójść. Teraz moja ścieżka jest oczywista. West End to mekka złodziei DVD: niedaleko siebie jest tu sześć wielkich magazynów. Szybki przegląd przeróżnych outletów w Soho, od sklepów z płytami po sex-shopy, pokazuje, że mogę Simonowi dostarczyć tyle DVD, ile tylko zdołam ukraść.

Teraz moje życie się zmienia. Mam pracę, tak jak Ben w metrze czy Dave przy Piccadilly. Zarabiam na życie, kradnąc DVD. Podchodzę do tego w profesjonalny, systematyczny sposób. Nie tak jak żebracy. Nie mogę być zbyt brudny ani zaniedbany. Muszę kraść lub pożyczać ubrania, dzięki którym będę wyglądał w najgorszym wypadku jak niechlujny turysta. Nie mogę dopuścić do tego, by moje włosy były za długie i tłuste,

i od szyi w górę muszę być czysty. Muszę chodzić do dużych sklepów w różnych ubraniach i o rozmaitych porach, tak by żaden sklepowy ochroniarz nie poznał mojej twarzy. Szykuję się nawet do zakupu sztucznych włosów, ale kilka tygodni później znajduję coś znacznie bardziej pożytecznego niż doklejane owłosienie.

Daję sobie właśnie w żyłę za apteką niedaleko Tottenham Court Road przy końcu Oxford Street, gdy widzę samochód dostawczy podjeżdżający na tył muzycznego magazynu. Kiedy mijają toksyczny wpływ cracku i nie odczuwam już ponarkotykowego zjazdu, tylko ulgę, którą przynosi heroina, podchodzę i przyglądam się dostawie. W pobliżu nie ma teraz nikogo, kto mógłby mnie zatrzymać. Wkładam rękę do pudła i wyciągam kilka czarnych koszulek. Jedna z nich ma logo sklepu i nadrukowane wszerek magiczne słowo: OCHRONA. Takie koszulki noszą sklepowi strażnicy.

Biorę kilka i szybko się ulatniam. Za pomocą koszulek opracowuję nową taktykę. Zwlekam się wcześniej rano, by być w sklepie wtedy, gdy sprzedawcy są jeszcze nieuważni i nie kręci się zbyt wielu klientów. Zrzucam kurtkę, ukazuje się koszulka z napisem OCHRONA. Potem schylam się i zmiotam towar do torby. Nie wybieram pojedynczo ani nie przebieram. Nie biorę pojednej ani po dwie. Przejeżdżam ręką po półce i w torbie lądują dziesiątki DVD. Najprawdopodobniej nikt na mnie nie patrzy, a nawet jeśli, to myślą, że pracuję dla firmy ochroniarzkiej. Żeby oszczędzić sobie cięcia scyzorykiem, wyłożyłem torbę folią aluminiową, która myli system alarmowy, gdy wychodzę ze sklepu. Potem idę już prosto do Soho, żeby zainkasować forszę. W ten sposób mogę zarobić nawet czterysta funtów dziennie. Stać mnie dzięki temu, żeby się pokręcić przy innym

sklepie muzycznym i poczekać na dostawę tamtejszych koszu-
lek dla ochrony.

I nagle stać mnie na kupno tyłu dragów, ilu potrzebuję. Poranki ciągle są straszne, bo budzę się obolały i zmarznięty, wlokę się od drzwi do drzwi, zmuszam do pracy te swoje tłoki, niemal czołgam się przez deszcz, żeby ukraść parę DVD i pozwolić sobie na kupno narkotyku i pierwszy strzał. Ale teraz nad tym panuję. Zaczynam się łudzić, że całkiem nieźle mi to idzie. Wmawiam sobie nawet, że takie życie jest łatwiejsze. Przeżycie to konkretny cel, to wszystko ułatwia. Muszę załatwić sobie dragi i je wziąć. Całe to zamieszanie: dbanie o związki, szukanie mieszkania, płacenie czynszu, czekanie na wypłatę, prowadzenie życia towarzyskiego, dojazdu do pracy — wszystko to nie istnieje. Narkotyki uwolniły moje życie od komplikacji. Wszystko, co muszę zrobić, to zdobyć pieniądze na kupno hery i cracku, zdobyć kwas cytrynowy, zdobyć łyżeczkę i wodę z McDonalda i wstrzyknąć sobie to wszystko. Proste. Tyle że z każdym dniem coraz bardziej bolą mnie stopy, z każdym dniem coraz gorsze są zjazdy, coraz gorszy jest klekot, coraz większa jest otchłań odosobnienia, upokorzenia i strachu i potrzebuję coraz większych ilości narkotyków, by ją wypełnić.

Okazuje się, że Dave miał rację co do niedziel. Szybko zaczynam ich nienawidzić. Najpierw jest sobota — gorączka zakupów i nocni klubowicze. A potem przychodzi niedziela, ulice pustoszeją, ludzie się zmieniają, niektóre małe sklepy w ogóle są nieczynne, a duże zamykają o czwartej i nie działa żaden z moich sposobów zarabiania forsy. W niedzielę wszystkich nas ogarnia desperacja. Ci zorganizowani, tacy jak Dave, zachowują sobie być może trochę towaru, żeby go wziąć w niedzielę, ale zakręceny narkomani, podobni do mnie, muszą wziąć wszystko,

co w danej chwili mają, więc gdy nastaje niedziela, nie mają nic. Potem, dzięki Bogu, nadchodzi poniedziałek, ludzie są zapracowani, sklepy otwarte i znów trzeba zrobić wiele kroków. Ale któregoś poniedziałku ten rytm się załamuje. Tak jakby była niedziela, tylko że jest znacznie, znacznie gorzej.

To musi być jakieś święto, dzień wolny od pracy. Jestem zrozpaczony. W żaden sposób nie mogę zdobyć pieniędzy. Muszę coś wziąć. Błagam innych narkomanów, żeby mi coś dali. Ja zawsze im daję i są mi winni przysługę, ale tu nikt o tym nie pamięta. Właściwie wszyscy myślą, że to ja jestem im winny działkę. No, więc chodzimy tak wszyscy przez cały dzień, przekonani, że ktoś inny ma wobec nas dług.

Po południu już nie daję rady. Strasznie źle się czuję. Klekot jest nieznośny. Od kiedy trafiłem na żyłę złota z kradzionymi DVD, zacząłem brać znacznie więcej niż dotąd i teraz funkcjonowanie bez drągów jest potworne. Narkotykowe tsunami już dawno mnie porwało, ale w ten wolny poniedziałek wyrzuciło mnie na kompletnie pustą wyspę. Nie mogę spać, nie mogę się położyć, nie mogę myśleć, nie mogę wstać, nie wiem, co robić ze swoim umysłem i ciałem, więc zwijam się w kłębek w pobliżu Erosa, który dziś jest straszliwie wyludniony, i zaczynam jęczeć. Obok mnie przechodzi para nóg w źle dopasowanych butach, potem nagle zatrzymuje się i zawraca. Podnoszę wzrok. To Steve, mój pierwszy kumpel tutaj, na ulicy.

— Co jest? — pyta. Ale wie, co mi jest, a ja jestem zbyt chory, żeby mu odpowiedzieć. Wygląda na wyluzowanego, tak jakby przed chwilą wziął działkę.

— Święteczny klekot?

— Daj mi coś — szepczę.

Steve potrząsa głową. Nic nie ma. Ale podnosi mnie na nogi. Steve *zarabia*, pieniądze, żebrząc, i pewnie to właśnie zamierza teraz robić. Jestem zbyt zdesperowany, żeby odmówić, i zbyt chory, żeby protestować.

Wlecze mnie do Tottenham Court Road. Poruszamy się powoli. Całą drogę narzekam, jęczę i płaczę z bólu. Przy Centre Point Steve wygrzebuje ze śmietnika kubek z McDonalda i mówi, żebym usiadł na chodniku. Nie będę trzymał tego kubka. To zbyt upokarzające. Stawiam go więc obok siebie. Steve odchodzi jakieś dwadzieścia metrów dalej. Wiem, że skuteczny żebrak powinien złapać kontakt wzrokowy z przechodniami. Aleja nie mogę. Wiem, że powinienem coś do nich mówić. Próbuję.

— Yyy... może jakieś zbędne drobne? — mruczę, nie patrząc nikomu w twarz. W moim głosie na pewno słychać wstyd. Każda mijająca mnie para nóg jest dowodem odrzucenia, i to boli. Do żywego. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że kiedy rzuca mi się w oczy ładna para szpilek i podnoszę wzrok, widzę dziewczyny — takie, z którymi niegdyś bym się umawiał. Teraz omijają mnie one szerokim łukiem, bo się mnie boją i brzydzą.

Od czasu do czasu ktoś rzuca mi jakieś pieniądze. Próbuję podziękować, ale nie mogę.

Zerkam na Steve'a. Chyba nie poruszył się od momentu, gdy poprzednio na niego patrzyłem. A więc tamta działka to nie była heroina. Paru żebraków po drugiej stronie ulicy również się nie rusza. Wszyscy oni to ćpuny farmaceutyczne. Wstrzykują sobie metadon. Ampułki kupuje się od świetnie prosperujących na West Endzie lekarzy oszustów. Farmaceutyczny ćpun, który bierze metadon, może godzinami siedzieć i żebrać, i nie poruszyć ani jednym mięśnieniem.

Ale ja tak nie mogę. Nie mogę dłużej siedzieć bez ruchu. Moje poniżenie i upadek trwają już długie godziny. Klekoczę tak, że moje ciało płonie. I zarobiłem dokładnie osiem funtów, co może mi wystarczyć tylko na jeden woreczek, pod warunkiem że wcisnę dealerowi jakiś kit. Wyrzucam kubek z McDo—nalda i odchodzę, mijając Stevea. Nie widzi mnie. Jest szczęśliwy po swojej ampułce metadonu. Jest tu, ale go nie ma.

Wchodzę do metra. O matko, moje stopy. Bolać. Kości. Bolać. Głowa. Boli. Serce. Boli, boli, wszystko boli. Jest późne popołudnie. Na ziemi walają się bilety: ktokolwiek je zamiata, dziś cieszy się wolnym dniem i świętuje z rodziną, a na stacji rośnie góra śmieci. Kucam, małe strumienie ognia rozbłyskują w każdym moim stawie i powodują, że wydobywa się ze mnie okrzyk protestu. Podnoszę tyle biletów, ile udaje mi się zebrać. Większość z nich jest zużyta, ale są też bilety w obie strony, które nie zostały do końca wykorzystane i można na nie wrócić przez cały dzień, lub takie, dzięki którym można się bezpłatnie poruszać w ramach danej strefy. Pasażerowie albo je zgubili, albo wyrzucili, bo nie były im już potrzebne.

Podchodzę do kasy i zaczepiam ludzi stojących w kolejce. Proponuję ważne bilety po obniżonej cenie i dość szybko się ich pozbywam. Nagle zaczynam się nakręcać. Mam już tyle kasy, że starczy prawie na woreczek heroiny i drugi cracku. Biegnę na stację Leicester Square. Bilety, wszędzie bilety. Stosuję ten sam trik. Mam to gdzieś, że rejestrują mnie kamery bezpieczeństwa, wszystko mam gdzieś. Zaraz będę mógł wstrzelić sobie działkę, a jutro będzie już po święcie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Uczę się oceniać ludzi, rozwijać szósty zmysł, który mówi mi, komu można zaufać, kto jest bardziej upośledzony umysłowo niż uzależniony od narkotyków, kto jest niebezpieczny. To ze względu na te groźne osoby nie chodzę do noclegowni, to ze względu na nie pozostaję niezależny i wyizolowany. Nie podobają mi się niebezpieczni bliźniacy, których Ginge pokazał mi na samym początku, gdy trafiłem na ulicę. Nazywają się Keith i Malc i żerują na innych. Widziałem, jak mieszała w głowie jednemu nieszkodliwemu młodemu kolesiovi z Irlandii, który nigdy wcześniej nie próbował cracku — spiętrzylijego paranoję w taki wulkan, że w końcu stał się podobny do nich, agresywny i niebezpieczny. Widziałem, jak zastraszała innych bezdomnych i kradli im towar. O ile mogę przy nich wstrzyknąć sobie działkę, o tyle z pewnością nie zasnę, jeśli oni są w pobliżu.

Inni ludzie cały czas przychodzą i odchodzą. Poznajesz kogoś bliżej, zaczynasz myśleć, że to twój brat, a on nagle znika. Zaczynają krążyć plotki, że umarł. Później nagle wraca i okazuje się, że był w więzieniu. Doniesienia o śmierci Ginge'a były

mocno przesadzone: wracał z za grobu przynajmniej trzykrotnie. Ale często ludzie naprawdę odchodzą na zawsze. Poza przedawkowaniem, zapaleniem wątroby typu C i wirusem HIV ludzie zabijają uliczna przemoc i nieleczone powikłania. Umiera się na ulicy albo trafia do szpitala lub więzienia. Nikt stąd nie wraca do domu. Dom jest tutaj.

Pewnego dnia na przystanku autobusowym wpadam na wysokiego, wychudzonego, jasnowłosego Johna z Frome, jak zwykle z gitarą przewieszoną przez ramię. Ma na sobie co najmniej trzy kurtki. John raz jest na West Endzie, raz go nie ma. Pewnie właśnie wyjeżdża do Somerset do swoich kumpli wędrowców albo idzie do więzienia. Tak czy inaczej, jest teraz na przystanku i nie czeka na żaden autobus, tylko rozgląda się za towarem.

— Mam tylko dziewięć funtów — mówi tym swoim bełkotem z West Country. — Może mi coś dorzucisz, co?

Potrzebuje tyle, żeby mu wystarczyło na crack i heroinę. Tak się składa, że po udanych kradzieżach mam przy sobie sześćdziesiąt funtów, więc zgadzam się podzielić z nim po połowie. Szukamy dealera.

Rathbone Street. Percy Street. Tottenham Court Road. Adeline Place. Great Russell Street. Hanway Place. Oxford Street. Great Chapel Street.

Dealer, którego znajdujemy, ma cztery woreczki cracku. Przenosi je w bezpiecznym miejscu: w ustach. Woreczki zawinięte są dwa razy w folię samoprzylepną, więc jeśli by zbliżała się do niego policja i musiałyby je połknąć, to ukazałyby się na nowo w całości na końcu przewodu pokarmowego. Wypluwa je dla nas i mówi, że wróci, jak się załaduje. Ja go znam i ufam mu,

ale John nie może uwierzyć, że pozwoliłem dealerowi odejść z naszymi pieniędzmi. Jest roztrzęsiony. Wszystkim, którzy nas mijają, mówi, że straciłem jego kasę. To wkurzające, a na dodatek nie jest prawdą, ale John zaciąga mnie do budki telefonicznej obok plastyka przy Charing Cross Road. Rutynowo sprawdzam w rynience, czy nikt nie zostawił reszty — mały ukłon w stronę mojego kumpla Gingea — i dzwonię do dealera. Dzwonię raz, potem drugi, i wystarczy, ale John nalega, żebym zadzwonił jeszcze raz, i w rezultacie obaj jesteśmy poirytowani.

Wlecemy się z powrotem do Soho, gdzie krąży Luca proponujący valium. To jest coś, co amatorzy koks'u zawsze chętnie kupią. Ja biorę pięć i wkładam do kieszeni, zachowam je na najbliższy potworny zjazd. John też kupuje pięć, ale potem jeszcze dogania Luce i dokupuje więcej. Nie wiem, ile tego w sumie ma, ale mam straszne przeczucie, że zażyje wszystko naraz.

Kiedy wraca dealer, próbuję uświadomić Johnowi, że powinien mnie przeprosić za nieufność i robienie scen przed ludźmi z ulicy. Mamrocze coś, co przypomina „przepraszam”, ale równie dobrze może znaczyć cokolwiek innego, bo po valium jest już na wpół przytomny. Rzucam w niego woreczkami z crackiem i heroiną, ale łamiącym się głosem błaga mnie o pomoc, więc lituję się nad nim i wlecemy się na wjazd do podziemnego parkingu poniżej Tottenham Court Road. Muszę dźwigać nie tylko Johna i tę cholerną gitarę na sznurku, ale jeszcze dodatkowo jego torbę.

Jestem zły, bo nie widzę powodu, dla którego miałbym ponosić konsekwencje zachłanności i głupoty Johna.

— Samolubne, pieprzone gnojki, które nie potrafią trzymać się z dala od valium — mruczę — nie mają rozumu. Za grosz.

To naprawdę głupie, brać valium, jeśli ma się pewność, że za chwilę dostanie się crack. Każdy głupek wie, że najpierw bierze się środek pobudzający, a później uspokajający. I nie powinno się brać heroiny po valium. Pomiędzy musi być środek pobudzający. Widziałem na pęczki idiotów, którzy w ten sposób przedawkują.

Kiedy dochodzimy do wjazdu, John pada na ziemię, a zawartość jego torby rozsypuje się dookoła. Wkurzony zbieram to wszystko: notes, skrawki papieru, jakieś zdjęcia, butelkę wody i trochę kwasu cytrynowego. Daję mu woreczek z crackiem, a osobno podgrzewam heroinę. Teraz już naprawdę zrobiłem wszystko. Jestem zmęczony. Facet marnuje mój cenny czas i spawalnia mnie. Jestem zajęty, ciągle w akcji i chcę w końcu wstrzyknąć sobie działkę, a nie zajmować się jakimś kretynem.

Mówię mu: — John, najpierw musisz wziąć crack, żeby się obudzić. Kapujesz? Po tym całym valium to NIEBEZPIECZNE, żebyś brał heroinę, dopóki nie weźmiesz cracku.

No, możesz gadać do ściany.

— Najpierw CRACK, potem HEROINA. Okej?

Ale on to powinien wiedzieć, do kurwy nędzy.

Odchodzę dalej na podjazd i wstrzykuję sobie swoje narkotyki. Łuuup. Wjednej sekundzie rakietą kosmiczną dolatuje na Księżyc, a po dziesięciu sekundach przemierza już Układ Słoneczny, gdzie przestrzeń jest nieskończona, nie ma żadnych granic, żadnego początku i żadnego końca. Okrażam Słońce, gdy zaczyna się zjazd. Zamykam oczy.

Zostaję na podjeździe jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut i przysłuchuję się rozmowom ćpunów. Dziś paru intelektualistów dyskutuje o fizyce nuklearnej. Mówią jak inteligentni,

wykształceni ludzie zjakaś pozycją. Co oni robią w tym miejscu z kwaskiem cytrynowym i igłami?

Potem przychodzi czas na powrót do akcji, na rozglądanie się wokół, szukanie sposobności zdobycia jakiejś forsy.

Schodzę w dół podjazdu. Nie chcę patrzeć w kierunku Johna, ale nie jestem w stanie tego uniknąć. Jest w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem. Właściwie w ogóle się nie ruszył. I ciągle się nie rusza. Usta ma sine. Przedawkował? Na ziemi leży strzykawka z crackiem, nietknięta. O kurwa, kurwa, kurwa! Pomimo moich ostrzeżeń wziął najpierw heroinę.

Moja pierwsza myśl — zabrać crack dla siebie. Ale się nie zatrzymuję. Idę prosto przed siebie, nie patrzę na niego, nie dotykam go, żeby sprawdzić, czy oddycha, patrzę prosto przed siebie i odchodzę. Uciekam.

Tottenham Court Road. Oxford Street. Poland Street. Beak Street. Warwick Street. Glasshouse Street. Piccadilly Circus.

Przyłączam się do Bena. Nie wspominam nic o Johnie. Ruszamy wzdłuż Regent Street i skręcamy w Pall Mail. Zatrzymujemy się przy wielkim murze z czerwonej cegły. Za nim jest coś tak niesamowitego, że zapominam o Johnie, jego sinych ustach i nietkniętej strzykawce.

— Platany — mówię do Bena. — Kurwa, jakie stare platany. Nigdy nie widziałem takich wielkich.

— To Clarence House — mówi Ben. — Tutaj mieszka królowa matka.

Patrzymy na drzewa, mur, wysoką strzeżoną bramę. Zaglądamy do tego innego świata, a potem wracamy do naszego.

Przez kilka dni, kilka tygodni, wypatruję Johna. Nie widzę go. Pytam ludzi. Jak gdyby nigdy nic.

— Yyy, widziałeś gdzieś Johna? Tego z gitarą? Johna?

— Nie.

— Nie, bracie.

— Nieee. Pewnie wrócił do West Country.

Mam nadzieję, że wrócił do Frome, leżącego w zielonym świecie pól i wędrowców. Na pewno zniknął z West Endu. Może na zawsze. Próbuję zapomnieć o jego bladej twarzy i sinych ustach. Ale czasami, późno w nocy, gdy chodzę zjedną nogą w kanale, a druga na chodniku, zaglądam do koszy na śmieci i staram się ujarzmić swoją paranoję, znowu mi się przypomina. Dziesięć tysięcy głosów ma mi coś do powiedzenia na ten temat. Gnój. Zabiłeś go. Przygotowałeś mu strzał, wiedziałeś, że nie był w stanie wziąć właściwego, zostawiłeś go z tym: jesteś zły, jesteś mordercą.

Teraz, kiedy już od pewnego czasu jestem na ulicy, naprawdę wierzę, że uczę się, jak tu żyć. Moje działania są wariackie: kradzieże, wynoszenie ze sklepów, napady, trochę handlu. A wszystko kończy się kompletnym upadkiem. Ale zarabiam wystarczająco dużo, żeby utrzymać swój nałóg. Stopy bolą mnie tak bardzo, że wolę nie próbować ściągać butów i skarpetek. Moje ciało jest chude i pokryte strupami. Mimo to udaje mi się przetrwać. Z powodzeniem.

— Potrzebujesz lekarza, stary — mówi mi Dave, jedyny trokliwy gość na ulicy. Ciągłe próbuje się mną opiekować. Kiedy on i Ginge są razem, czuję się, jakbym miał całkiem miłych rodziców.

— Jest dobrze, wszystko w porządku.

— Taaa, ale jesteś za chudy. A twoje stopy... te strupy...

— Stary, nie mam czasu, kurwa.

Na nic nie mam czasu. Może mógłbym dostać jakiś zasiłek, gdybym tylko był w stanie dotrzeć do Russell Square i odstać

parę godzin w kolejce, ale teraz mam swój biznes, którego nie chcę zostawić. Moja zdolność przetrwania ogranicza się do jakiegoś półtora kilometra kwadratowego West Endu, gdzie znam wszystkie ulice, wszystkie sklepy i wszystkie możliwości. Przyzwyczyłem się do wydawania trzystu, nawet czterystu funtów dziennie i jestem zbyt zajęty ich zdobywaniem, żeby tracić czas na wychodzenie ze swojej strefy pojakis marny zasiłek, który jest znacznie niższy od tego, co mogę zarobić, kradnąc przez pół godziny.

Mój przekręt z płytami DVD pozwala mi osiągnąć nowe wyżyny chaosu i nowy pułap nałogu. Któregoś ranka budzę się na Oxford Street. Nie pamiętam, jak się tam znalazłem. Prawdopodobnie byłem kompletnie wyczerpany i nie mogłem się dalej ruszyć. Ktoś położył obok mnie kanapkę, kawę i trzy funty. Wielkie dzięki, stary. Klienci sklepów i biznesmeni, którzy cały rano przechodzili nad moim ciałem, myślą, że jestem leniwym darmozjadem. Nie zdają sobie sprawy, że upadłem tujak kłoda, bo pracuję ciężiej niż oni kiedykolwiek w swoim życiu, i pewnie też więcej zarabiam. W końcu koszę sto tysięcy funtów rocznie, nie, blisko dwieście tysięcy. Ale to nie obejmuje oczywiście składek emerytalnych czy ubezpieczenia zdrowotnego.

Siedzę na ławce i rozmawiam z Lucą, gdy spod jego wełnianej czapki wypęłza coś ogromnego, przedostaje się przez jego zmatoiwiałe włosy i złazi po twarzy. Jest wielkości połowy paznokcia.

Zdejmuję z niego tego robala i rozgniatam w palcach. Tryska krwią.

— Cóż, to moja krew — mówi Luca z tym swoim śpiewnym włoskim akcentem, który czasami dziwnie przypomina mi klub młodzieży katolickiej z Kidderminster.

— No, ale co to jest? — pytam, wycierając krew w spodnie, bo Luca jest zarażony. Chociaż to trochę za późno, żebym się zaczął martwić AIDS.

Patrzy na mnie zaskoczony. — Nie wiesz, co to jest?

— Pchła?

— Wiesz. Wszyscy je mamy. Ty też.

Teraz widzę, że ma rację. Na całym ciele mam maleńkie ugryzienia, a jeśli się dobrze przyjrzę, to widzę też maleńkie insekty. Nie świerzbiły mnie ani mi nie przeszkadzały, ale teraz, gdy już wiem, że koegzystuję z wszami, czuję się zażenowany.

— Założę się, że złapałem je, kiedy wymieniałem ubranie w toaletach przy Broadwick Street. — Toalety przy Broadwick Street to miejsce, gdzie czasem chodzę się umyć. Jeśli w tym czasie myją się też inni, wymieniamy się ubraniami, żeby zmylić sklepową ochronę.

Luca wzrusza ramionami.

— Nie musisz chodzić na Broadwick Street. Możesz złapać te pieprzone wszy, siedząc teraz po prostu obok mnie. Mówisz policjantom, że je masz, i się do ciebie nie zbliżą. Nikt się nie zbliży.

— Jak zbroja?

— Nooo, zbroja, której nikt nie widzi.

Przez cały ten czas miałem kompletną zbroję i nawet o tym nie wiedziałem. Żyję w strachu przed policją. Prześladowała mnie podczas zjazdów i była pożywką dla mojej paranoi. Jeśli złapią mnie z taką ilością cracku i heroiny, jaką mam przy sobie, to dożywocie mnie nie ominie. W całym ciele mam schowki. W odbycie, w napletku, w ustach, w gardle — tak że gdyby zbliżało się najgorsze, mógłbym połknąć towar. Ale

ponieważ heroina powoduje zaparcia, jedynym sposobem na szybkie odzyskanie woreczka owiniętego w folię samoprzylepną jest odstawienie hery i przywrócenie normalnych funkcji fizjologicznych. W innym przypadku mogę czekać całymi tygodniami.

Niedługo potem policja postanawia usunąć mnie z miejscówki pod jakimiś drzwiami. Machają mi przed oczami pałkami i pytają o nazwisko i datę urodzenia, podaję im więc te informacje, a potem mówię coś, czego nie chcą usłyszeć.

— Mam wszy.

Równocześnie robią krok w tył.

— AB—D, AB—D — mówią przez krótkofalówki [AB—D — *air-borne disease*, choroba przenoszona powietrzem — *przyp. tłum.*]. Po ich reakcji poznaję, że Luca miał rację, mówiąc, że wszy są bardzo zaraźliwe. Jaki policjant chciałby je zabierać do domu, do swoich dzieci? To przekraczającego obowiązki służbowe. Policjanci każą mi się przenieść, ale mnie nie przeszukują.

Robi się coraz chłodniej. Jest mi ciepło tylko wtedy, kiedy mam w sobie trochę heroiny. Ale mogę przynajmniej nosić grubsze kurtki, co ułatwia mi wnoszenie rzeczy ze sklepów. W sklepach króluje najpierw Halloween, a później Boże Narodzenie. Zawsze nienawidziłem świąt Bożego Narodzenia. Nie cierpiałem tego, że choć mama nie wierzyła w Boże Narodzenie, obchodziliśmy święta, bo tak chciał ojciec. Nie znoszę, kiedy wszyscy tak bardzo przygotowują się do tych świąt, a one nie przynoszą niczego poza rozczarowaniem. Powinienem się cieszyć, że w tym roku nie będę miał Bożego Narodzenia. Ale kiedy sklepy zaczynają wywieszać światełka, wystawiać ubrane

choinki i ruszające głowami figury świętego Mikołaja, zaczynam się czuć samotny.

Chcę porozmawiać z Rosie. Chcę zobaczyć Jacka. Straciłem tożsamość. Moja rodzina mogłaby mi ją przywrócić. Boże Narodzenie to czas dla rodzin i ja pragnę być z nią. Nie chcę zostać na ulicy. Nie chcę być taki jak teraz. Nie chcę, żeby się dowiedzieli, jak skończyłem. Za każdym razem, gdy o nich myślę, czuję potworne wyobcowanie i smutek, które są nieznośne, nie mogę unieść tak wielkiego ciężaru. Gdzie jest moja rodzina? Gdzie jest mój syn? W Lake District? W West Country, zamknięty w tamtym ośrodku odwykowym, który Rosie chciała wypróbować?

Zwykle, gdy jakiś koleś daje mi kradzioną komórkę i mówi, żebyśmy zadzwonił sobie do kogokolwiek, gdziekolwiek, przyglądam się jej i oddaję z powrotem, bo nie ma takiej osoby, do której mógłbym zadzwonić. Telefony są dla mnie udręką, bo przypominają o moim osamotnieniu. Ale tym razem, kiedy Ben podaje mi telefon, sięgam po kawałek kartki, który zawsze mam przy sobie. Jest tak pomięty, że ledwo mogę coś z niego odczytać, pełno na nim nabazgranych numerów telefonu do dealerów, ale na środku jest ostatni numer, który dała mi Rosie. Więc go wybieram.

Ktoś odpowiada. Proszę o rozmowę z Rosie. Następuje przerwa. A potem, to niewiarygodne, mówią, że mnie z nią połączą.

Stoję na rogu Regent Street. Pałają się świąteczne lampki, witryny sklepowe są rozświetlone, zgiełk na ulicy ostatnio znacznie wzrósł, a dodatkowo jest sobota, więc dom towarowy Hamleys pęka w szwach od klientów. A ja będę rozmawiał z Rosie. A może też z Jackiem.

Gdy słyszę jej głos, czuję, jak topnieje mi serce.

— Tu Mark — mówię. Chce mi się płakać.

Następuje przerwa. Ciszę wypełnia zaskoczenie, może nawet wzruszenie. Kiedy Rosie się odzywa, jej głos jest pełen dystansu:

— Jak sobie radzisz?

— Dobrze, w miarę dobrze — kłamię. Chcę, by mój głos był zdecydowany i radosny, ale jest niepewny. Łamie się. — Właściwie jestem w Londynie. Mam tu robotę.

— To dobrze.

— A jak Jack?

— Naprawdę w porządku.

— Rosie, gdzie jesteś? — Ojoj. To zabrzmiało jak zawodzenie. Kaszlę. — To znaczy, jesteś ciągle w ośrodku?

— Tak, Mark, i jestem bardzo szczęśliwa. Jestem czysta! — Jej głos jest mocny. Nawet radosny. — To dlatego, że w końcu zrozumiałam coś ważnego. Zrozumiałam, że Jezus mnie kocha. I to On zmienił moje życie.

Kurwa mać. Postanawiam pominąć kwestię Jezusa. — Więc jesteś czysta! Zupełnie, totalnie, w stu procentach...?

— To znaczy — odpowiada szybko, za szybko — mam przepisany metadon. Niewielką ilość. Ale nie biorę heroiny. I podoba mi się tutaj. Teraz rozumiem, jaka jest wola Boża, jak On się o nas troszczy. No, i... wkrótce urodzę dziecko.

O czym ona mówi? Co powiedziała? Widzę tłum ludzi, słyszę autobusy i tę kobietę z jakiegoś innego świata, mówiącą mi do ucha o jakimś dziecku. A może tego nie powiedziała?

— Mówię, że dziecko przyjdzie na świat w okolicach Bożego Narodzenia.

Dziecko. Ma przyjść na świat. W okolicach Bożego Narodzenia.

— Mark? Jesteś tam?

— Jakie dziecko? — pytam. Co to za pytanie? Czy ona ma urodzić dziecko? Czy mówiła mi, że jest w ciąży? Zapomniałbym o czymś takim?

— Zaszłam w ciążę na wiosnę. Kiedy wróciłeś z Irlandii, żeby zabrać swój sprzęt do wspinaczki... Pamiętasz?

Nie.

— Pamiętasz?

Pamiętam, że byliśmy na spacerze w parku. Musieliśmy się później kochać w domu jej rodziców. Pewnie nie był to dobry seks, byłem taki wyniszczony. A z pewnością nie zapadło mi to w pamięć.

Rosie mówi: — No, cóż, w każdym razie zaszłam w ciążę i dziecko niedługo się urodzi.

Postawmy sprawę jasno.

— Urodzisz dziecko? Moje?

— Tak, Mark — odpowiada spokojnie.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Bardzo dawno nie rozmawialiśmy tak, jak należy.

A więc to jest rozmawianie tak, jak należy.

— Musiałam sporo przemyśleć. Musiałam zrozumieć, w jaki sposób Jezus może mi pomóc. I wiesz co, Mark? On pomoże i tobie, jeśli Mu pozwolisz.

To dla mnie za dużo wiadomości. Kocham swojego syna Jacka, ale byłem najgorszym ojcem na świecie, teraz urodzi się kolejne dziecko i Rosie jest czysta, no, prawie. A, no i Jezus mi pomoże.

— Mark, dobrze się czujesz?

— Jadę do ciebie.

— Nie możesz. To jest ośrodek odwykowy. Nie możesz tu tak po prostu wejść, nie wpuszczą cię.

— Wolno mi zobaczyć swojego syna.

— Nie, nie wolno ci.

— A czyja też nie mogę być w tym ośrodku? Chcę być czysty,

— Ten ośrodek jest tylko dla kobiet.

— Nie przyjmują ojców? Jeśli w ośrodku są matki i mają ze sobą dzieci?

— Przyjmują mężczyzn, ale w innym miejscu, nie w Devon.

— Ja też mogę być czysty?

— A chcesz być czysty?

Znów ogarnia mnie to dziwne uczucie, jakbym topniał. Rozchodzi się po całym moim ciele jak heroina, ale nie zaczyna się od ramienia czy pachwiny, zaczyna się od serca. — Jasne, kurwa, że chcę być czysty! Myślisz, że ktokolwiek chce tak żyć?

— To znaczy jak?

Jestem ostrożny. — No, wiesz. Mam na myśli branie. Bez-ustanne branie.

Rosie podaje mi numer telefonu. Mówi, z kim powinienem porozmawiać. — Zadzwoń, jeśli naprawdę chcesz nas zobaczyć i chcesz być czysty.

— Chcę, kurwa!

— Jezus cię kocha, Mark. Pozwól, żeby zawitał w twoim życiu. Ale nie dzwoń, dopóki nie będziesz tego chciał.

Chcę. Jezus mnie kocha i w przeciwieństwie do Jehowy, który na mnie patrzył i przez te wszystkie lata knuł koniec świata, Jezus rozwiąże moje problemy. Dzwonię do kobiety o osłtym głosie i domagam się natychmiastowego przyjęcia do programu rehabilitacyjnego. Kobieta mówi, że nie ma wolnych miejsc. Mówię

jej o Rosie, o tym, jak ważne jest, byśmy byli razem, oboje czyści, bo niedługo urodzi się nam kolejne dziecko.

— Wiem — mówi. A więc wszyscy wiedzą, oprócz mnie.

— Czy mogę przyjechać do Devon? — pytam.

— W Devon jest ośrodek dla kobiet. Ośrodek dla mężczyzn jest w Somerset, ale nie mamy wolnych miejsc.

Devon. Somerset. Czy one nie leżą tuż obok siebie?

— Jak daleko jest Rosie od męskiego ośrodka? — dopytuję.

— Proszę posłuchać, gdyby był pan w ośrodku, mógłby ich pan widywać w każdą niedzielę — mówi kobieta. — Ale nie wiem, kiedy zwolni się jakieś miejsce.

Chcę mieć to miejsce. Potrzebuję go. Muszę dostać miejsce w tym programie. Tamta wizja, którą dawno temu odłożyłem na bok, nagle wróciła: będę ojcem rodziny, czystym i zrównoważonym. Rosie, matka rodziny, będzie czysta i zrównoważona. Będziemy mieć dwójkę dzieci, które też będą czyste i zrównoważone. I Jezus będzie kochał nas wszystkich.

— Okej. Przyjadę za tydzień — mówię kobiecie.

Niemal widzę, jak przecząco potrząsa głową.

— Proszę mi tylko podać numer, a skontaktuję się z panem, jeśli będzie taka możliwość.

To raczej trudne. Podaję jej numer telefonu do mojej siostry Bethany.

— Za tydzień tam będę — powtarzam kobiecie.

— Za tydzień nie będzie wolnego miejsca.

— W porządku. Więc za dwa tygodnie — dziecko jest już w drodze.

— Wątpię, czy będzie jakieś miejsce. To może potrwać kilka miesięcy. Musi pan czekać, aż zadzwonię.

— Aleja chcę zobaczyć Rosie i Jacka... Ona niedługo rodzi...

— To niemożliwe — informuje mnie. I odkłada słuchawkę.

Trzęsę się ze złości. Sztywnym krokiem przemierzam ulice. Dzwonię do kobiety trzykrotnie i za trzecim razem na nią krzyczę. Kradnę w sklepie Libertys, jawnie, bezczelnie, gniewnie, i nikt mnie nie powstrzymuje. Kupuję towar. Wstrzykuję sobie. Ale ciągle jestem wściekły. Kim jest ta kobieta, żeby mi mówi, że nie mogę spotkać się z Rosie? Kim są ci ludzie z ośrodka, których Jezus tak bardzo kocha? A później, gdy kulę się pod jakimiś drzwiami, zaczynam płakać. Czy to ma znaczenie, kim są ci ludzie z ośrodka, jeśli tylko mogą cię uleczyć? Nie sądziłem, że wyzdrowienie jest możliwe, ale Rosie mówiła tak stanowczo, dobitnie, jasno i wyraźnie, że nigdy jej takiej nie słyszałem. Radzi sobie znacznie, znacznie lepiej ode mnie. Patrzy wstecz na swoje życie, w którym ja byłem kamieniem u jej szyi. Jodie jest czysta i wie, jak bogobojne życie w Lake District; dla niej również byłem kamieniem u szyi. Wszyscy stają się czysti, gdy znikam z ich życia. Z własnego życia też chcę zniknąć. Chcę być czysty. Płaczę i płaczę. To jest ten jęk narkotykowej boleści, który słyszałem kiedyś u Davea, kiedy widziałem go po raz pierwszy. I Dave tu jest.

— Będzie dobrze — mówi życzliwie. — Ale potrzebujesz lekarza.

— Nie potrzebuję.

— Martwię się o ciebie, stary. Ktoś musi zobaczyć te twoje stopy.

Wtedy po raz pierwszy się z nim zgadzam. Jak mógłbym pojechać do ośrodka Rosie ze stopami w takim stanie? Mogliby się domyślić, gdzie mieszkam. Rosie mogłaby się domyślić. Jack mógłby się domyślić. Ma teraz trzy lata; zrozumiałaby, że jego

tato mieszka na ulicy? A co z moimi wszami? Jeśli przyjadę tam zawszony, z pewnością mnie wyrzucą. Jezus kocha, ale pewnie nie wszy. Mógłbym je przekazać Jackowi. Niemowlęciu.

— Z twoimi wszami też coś zrobią — mówi Dave. — Tylko pozwól mi się zaprowadzić do kliniki.

Rozdział trzydziesty

W poniedziałek kradniemy jakieś czyste ciuchy i wyruszamy w żółwym tempie, w jakim chodzi Dave, do kliniki przy Great Chapel Street, gdzie pielęgniarka zajmuje się moimi stopami. Moczyje, wciera różne substancje z buteleczek i w końcu z moich strupów schodzą skarpetki. Gdy nareszcie, pierwszy raz od miesiący, moje stopy są gołe, pielęgniarka przekłada je delikatnie w dłoniach, nie tak, jakbym był odrażający, ale tak, jakby nie chciała mi sprawić bólu. To dziwne uczucie, gdy ktoś dotyka mnie w taki delikatny, miły sposób, ktoś ubrany na biało, czysty, łagodny i spokojny. Jest jak ktoś z innego świata. Może to anioł.

— Teraz proszę wziąć prysznic — mówi. — Tutaj jest krem przeciw wszom. Proszę wetrzeć krem w całe ciało, odczekać dziesięć minut, zmyć, a potem wszystko powtórzyć.

Przytakuję. Przechodzę do pokoju kąpielowego. Wpatruję się w lustro. Patrzy na mnie z niego nagi mężczyzna. Nie poznaję go. Jest tak wychudzony, że sterczą mu żebra, wszystkie kości, ma wystające biodra. Jego skóra jest przezroczysta, na klatce piersiowej prześwitują mu żyły; wszystkie żyły na całym

ciele, a szczególnie te na przedramionach, są strasznie napuchnięte. Ma spuchnięte palce. Na przedramionach ma tatuaże, ale nie zakrywają one głębokich, ciemnych blizn i zrostów, układających się w szlaczki. Twarz ma białą, resztę ciała brudnoszarą, a skórę wokół oczu tak pociemniałą, jakby sypiał tylko raz na parę tygodni. Stopy ma pokryte strupami. Jest smutny i zły. Boże, jak ten człowiek może być mną?

Myję się tak, jak poinstruowała mnie pielęgniarka. Woda spływa kaskadami po tym moim ciele, po skórze i kościach, a jej dotyk jest ciepły i kojący. Nie słyszę nic poza szumem wody.

Siedzę na ciepłym oddziale chirurgii w nowych, czystych, odwzornionych ubraniach, a pielęgniarka opatruje strupy na moich stopach.

— Będę się leczył — mówię jej. — Dołączę do matki mojego syna w ośrodku w West Country. Ona jest już czysta, a ja będę się leczył, jak tylko zwolni się dla mnie miejsce.

Pielęgniarka przerywa pracę i spogląda na mnie. Wygląda na to, że szczerze się cieszy. — To dobrze — mówi.

W następnych dniach i tygodniach wydzwaniam do ośrodka odwykowego i do Rosie, a tuż przed Bożym Narodzeniem telefon odbiera jakaś kobieta i mówi mi, że Rosie urodziła dziecko.

— To chłopiec — mówi — będzie miał na imię Freddie.

To mój syn. Powinienem brać udział w wyborze imienia. Nie mówię tego jednak. Za bardzo przytłaczają mnie poczucie winy i wstyd, bo nie ma mnie przy mojej rodzinie: jestem na ulicy.

— Oczywiście — dodaje szybko głos w słuchawce — dziecko zostało poddane leczeniu. Z uzależnienia od metadonu. Szpital się tym zajął. Poza tym chłopiec czuje się w miarę dobrze.

— Kiedy mogę ich zobaczyć? — pytam.

— Kiedy ośrodek dla mężczyzn będzie miał dla pana wolne miejsce — głos tej kobiety zdradza, że wszystko o mnie wie. Odkłada słuchawkę. Oczywiście nie przyszło jej do głowy, żeby mi pogratulować.

Jestem rozczarowany tą rozmową. Urodził mi się syn, a nikt nie chce mi powiedzieć, gdzie jest ani kiedy mogę go zobaczyć. Mam rodzinę, która żyje w innym świecie, daleko ode mnie. Jestem na tych ruchliwych świątecznych ulicach sam, niekochany. Muszę coś wziąć.

Przedświąteczne szaleństwo na West Endzie osiągnęło już szczyt. Za kilka dni będzie Boże Narodzenie, a potem wszystko się zatrzyma. Święta będą tysiąc razy gorsze niż kiedykolwiek do tej pory. To będą dni wolne od pracy do potęgi entej. Będzie lodowato zimno, wszystkie sklepy zostaną zamknięte na długi czas. Biura nie będą pracować aż do stycznia. Będzie mniej ludzi, mniejszy ruch samochodowy, niemal żadnej sposobności do kradzieży, może poza wielkim świętowaniem Nowego Roku i nowego tysiąclecia, które może mi dać szansę obrobienia jakiegoś pijaka albo zwinienia komuś torebki. No i będą gliny, pełno glin w cywilnych ubraniach na każdym rogu.

Idę do budki telefonicznej i dzwonię do swojej siostry Bethany.

— To ja, Mark.

— Cześć, Mark! — To jedyna osoba na świecie, która się cieszy, gdy mnie słyszy. — Co porabiasz w święta? — pyta.

— Jesteś w Londynie?

— Nooo.

— Wszystko w porządku?

— Rosie urodziła dziecko — wybucham. I mówię jej o wszystkim. — Ja też czekam na miejsce w ośrodku — słyszę swój głos. Cichy, pełen rozpaczy.

— Lepiej pakuj się do najbliższego pociągu i przyjeżdżaj tutaj — mówi Bethany cicho. Serce skacze mi z radości. Sądziłem, że wykorzystałem już dobrą wolę wszystkich bliskich mi osób. Ale Bethany wciąż chce mi pomóc.

Znów zacznę wszystko od początku. Opuszczam ulicę. Jadę do normalnego domu z normalnymi ludźmi i wkrótce będę na odwyku, a później na nowo z Rosie i nie tylko z jednym, ale już z dwójką dzieci, i tym razem wszyscy będziemy inni i wszystko będzie normalne.

Oczywiście, od razu pojawia się kilka problemów, a pierwszym z nich jest transport. Taki poziom uzależnienia jak mój bardzo utrudnia jakąkolwiek podróż. To dlatego tak kurczowo trzymałem się swojego rejonu w centrum Londynu: bo oddalenie się od źródeł dostaw wiąże się z potwornymi problemami.

Podnoszę z ziemi jedną z darmowych gazet zaśmiecających stacje metra i kupuję samochód z ogłoszenia. Mój nowy rover mini metro kosztuje pięćdziesiąt funtów. Składa się przede wszystkim z rdzy. Nie ma ważnego przeglądu technicznego ani zapłaconego podatku, ja nie mam ubezpieczenia ani prawa jazdy, ale mam to gdzieś. Jestem teraz zajęty okradaniem sklepów, bo chciałbym zabrać ze sobą parę prezentów dla dzieciaków Bethany. Takie rzeczy są normalne. To ważne, żeby być normalnym.

Jadę do Warwick. Podczas deszczu samochód ślizga się po całej drodze. Nie muszę nawet patrzeć na opony, żeby wiedzieć, że są łyse. Nie mogę się zatrzymać, bo muszę tam szybko

dojechać między jednym a drugim strzałem. Daję sobie w żyłę tuż przed przyjazdem, żeby nikt nie widział mojego klekotu.

Podjeżdżam pod dom Bethany z małą torbą, w której nie ma nic poza skradzionymi prezentami gwiazdkowymi. Siostra wita mnie ciepło, a dwoje jej małych dzieci biega wokół mnie, jakbym był ich dawno niewidzianym towarzyszem zabaw. Nawet partner Bethany, Darren, jest przyjaźnie nastawiony. Mieszkają w małym bloku, otoczonym identycznymi małymi blokami. Żadne luksusy, ale też od razu nie zdaje mojego narkomańskiego testu z wyceny nieruchomości: rzut oka wystarczy, by wiedzieć że tutaj nie kupię żadnych drogów.

Bethany wchodzi do domu, przytulając mnie. Jest niska i bardzo ładna, chociaż trochę przy kości. Gdy zamykamy drzwi, patrzy na mnie poważnie. Nic nie mówi. Potem odwraca się i wprowadza mnie do środka.

— No, cóż — mówi, stojąc do mnie plecami. Głos jej drży. Czyżby płakała? — Schudłeś nieco, ale myślę, że w święta to nadrobisz. W święta wszyscy przybierają na wadze.

Bethany nie jest już świadkiem Jehowy i nie kieruje się ich antybożonarodzeniowym stanowiskiem. Ma małe dzieci, przystrojone świąteczne drzewko i jest w pełni bożonarodzeniowych przygotowań. Darren jest przyjazny, ale kiedy pojawia się w pokoju, przyłapuję go na tym, że mi się przygląda. Kładę pod choinką prezenty dla dzieci i próbuję się z nimi pobawić. Ale wiem, że łapię się tej normalności kurczowo i jeśli przesadzę, to z pewnością spadnę w przepaść.

Posiłek jest już gotowy i wszyscy zasiadamy przy stole. Zaskakuje mnie widok prawdziwego jedzenia, z kolorowymi warzywami na talerzu. Już dawno czegoś takiego nie widziałem.

Próbuję jeść, ale nie jestem przyzwyczajony do wielkiego pieczy-
stego w ramach obiadu.

— Nie smakuje *cii* — pyta Bethany z niepokojem.

— Jest wyśmienite. Naprawdę świetne — zapewniam. — Po prostu ostatnio nie jem zbyt wiele. — I wciskam im masę kitu, jak to wykańcza mnie wspinanie się na drzewa w Londynie i że często po pracy jestem zbyt zmęczony, żeby jeść. Skoro już zacząłem kłamać, to dalej jest łatwo. Cofam czas o sześć mie-
sięcy i mówię im, że mieszkam w przyczepie, a potem opowia-
dam o platanach w Londynie i o tym, jak pracowałem przy kate-
drze Świętego Pawła i przy Downing Street 11.

— Musisz sobie nieźle radzić, bo inaczej nie wpuściliby cię na te drzewa — mówi Bethany z entuzjazmem. Zbyt dużym. Wie, że kłamię, już to wcześniej słyszała. Darren nic nie mówi. Je i obserwuje mnie.

Po obiedzie potrzebuję strzału, więc idę do łazienki i siedzę tam przez długi czas. Nie biorę cracku, tylko heroinę. W końcu muszę się normalnie zachowywać. A to jest moja ostatnia działka, więc czekają mnie zakupy. Kiedy wychodzę, mówię Bethany, że jadę się zobaczyć ze starymi kumplami, i swoim zardzewiałym miniakiem kieruję się prosto na M42 i dalej w poszukiwaniu narkotyków.

Jadę do Birmingham, do starych miejsc, w których kiedyś kupowałem towar z Jodie. Czuję, jakby moje życie zatoczyło jakiś szalony krąg narkotykowy. Znow tu jestem, w tym samym parku, w którym Jodie wrywała klientów. Ale jest inaczej. Inne miejsca, inni ludzie. Następnym razem zostanę na M42 i spró-
buję w Wolverhampton.

Boże Narodzenie rozmywa się w narkotykach i świecideł-
kach. Śmigam bez przerwy autostradą do domów zasranych

dealerów, żeby później znowu udawać normalnego w domu mojej miłej siostry. Mają u siebie dzikie zwierzę. I wiedzą o tym.

Zwykle udaje mi się wytrzymać ze strzałem do momentu, gdy pójda spać, ale czasami Darren przyłapuje mnie, jak chowam się za stołem. Nie jestem pewien, czy widzi igłę w moim przedramieniu. Nie potrafię już leżeć w pościeli jak normalny człowiek, więc każdego ranka znajdują mnie śpiącego na sofie, w ubraniu. Docierają do mnie prowadzone szeptem rozmowy, w których Darren błaga Bethany, żeby kazała mi odejść, ale nie żyję już w świecie rzeczywistym i nie wiem, co tak naprawdę się dzieje, a co jest moją paranoją. Gdy Bethany pożycza moją kurtkę, żeby podjechać do żłobka, wkłada rękę do kieszeni i odnoszę wrażenie, że spogląda na mnie zranionym, smutnym wzrokiem. Czy mi się tak tylko wydaje? Później widzę, że w kieszeni zostawiłem strzykawkę.

W tym czasie udaje mi się zdobyć trochę kasy z handlu eskami i koka z młodszymi krewnymi Darrena. Zarabiam nawet jakieś legalne pieniądze: wujek Darrena prosi mnie o poświęcenie kilku godzin na przycięcie jego drzew. Zdażyłem już zapomnieć, jakie to uczucie zakładać uprzęż, wspinać się wyżej niż domy, dotykać szorstkiej kory i rozumieć potęgę długiego, powolnego wzrostu, który czuję pod palcami. Kiedy wchodzę w świat drzew, na moment zapominam o wszystkim innym. Powinienem robić to częściej. Wciąż to uwielbiam.

Codziennie wiszę na telefonie i próbuję wyciągnąć zapłatę od przedsiębiorstwa leśnego, dla którego pracowałem przez ostatni rok. Przyznają, że wciąż są mi coś winni, a tymczasem dostają trochę pieniędzy od Bethany. Więc udaje mi się przeżyć. Na granicy. A potem, po świętach, dzwonią z ośrodka odwykowego. Mają dla mnie miejsce.

— Oczekujemy pana jutro — szorstki głos sugeruje, że nikt mnie tam nie będzie wyglądał. Ale nie obchodzi mnie to. Jestem cały w skowronkach. Teraz wiem z całą pewnością, że istnieje jakiś Bóg.

Z Oxfordu przyjeżdża mama. Pracuje tam u bogatej rodziny, przy której również mieszka. Czuję, że w czasie świąt mama i Bethany wielokrotnie o mnie rozmawiały, a teraz mama tu jest, mała, okrągła, taka jak zawsze. Biorę przed jej przyjazdem. Chcę wyglądać tak normalnie, jak to tylko możliwe. Ale ze sposobu, w jaki mama na mnie patrzy, domyślam się, że nie sprawiam na niej wrażenia normalnego.

— Mark, ja cię nie znam — mówi. Patrzy na Bethany, która nagle się rumieni i jest bliska płaczu. — Nie wydaje mi się, żebym w ogóle cię znała. Wyjechałeś z domu, kiedy miałeś szesnaście lat, i od tamtej pory właściwie cię nie znam.

Próbuję wziąć ją na litość. Okłamywałem ją, okradałem i zachowywałem się źle, ale teraz mam szansę. Mówię jej o odwyku. Potrzebuję tylko pięćdziesięciu funtów, żeby się dostać do Bristolu, bo powiedzieli, że nie mogą u nich trzymać samochodu, więc potrzebuję pieniędzy na pociąg.

Mama wygląda na nieprzejechaną. Już to wcześniej słyszała. Zawsze potrzebuję kolejnych pięćdziesięciu funtów. Ma wrażenie, że przez całe moje życie brakowało mi tylko tych pięćdziesięciu funtów. Wzdycha.

— Nie, Mark. Nie widzieliśmy się od bardzo dawna, a pierwsze, o co prosisz, to pieniądze.

Jeszcze raz próbuję wytłumaczyć, dlaczego ich potrzebuję. Nie wiem, jak mam jej udowodnić, że tym razem, po raz pierwszy w życiu, jestem całkowicie szczerzy. Klękam przed nią.

Błagam ją. Przyznaję się do win. Zaczynam płakać. Bethany zaczyna płakać. Dzieci *zaczynają* płakać. Jestem tak rozgorączkowany, że mama wygląda na przestraszoną. Aleja nie przestaje. Naprawdę potrzebuję tych pięćdziesięciu funtów na leczenie. Jestem zdesperowany. Jesteś moją matką. Proszę, daj mi pieniądze, które odmienia moje życie.

Poddaje się, może z powodu zażenowania. Następnego dnia już mnie nie ma. Cieszę się, że nie będę już sprawiać problemu dobrej, smutnej Bethany, przynajmniej do czasu, kiedy nie wydobrzeję. Przez kłopoty, których jej narobiłem, dręczą mnie wyrzuty sumienia — to coś, czego zwykle byłem pozbawiony. W pociągu próbuję sobie przypomnieć wydarzenia z okresu świąt. Nie potrafię. Czy jej dzieci cały czas tam były? Jak mają na imię? Czy z kimkolwiek normalnie porozmawiałem? Co powiedział mi Darren? Wszystko, co pamiętam, to dotyk tamtego wielkiego drzewa, na które wspiąłem się u wujka Darrena. Gruby sznur w moich dłoniach. Ten magiczny moment, kiedy przedzierałem się przez koronę drzewa, które było jak potężna wieża pod moimi stopami, a nade mną rozrzedzały się liście i gałęzie, i nagle otoczyło mnie światło i widok rozciągający się na wiele kilometrów. Tak, to, oczywiście, pamiętam, ale poza tym ledwie przypominam sobie kogokolwiek i cokolwiek oprócz mojej ciągłej potrzeby brania. Tam, gdzie kończył się mój głód, reszta świata jakoś się rozmywała.

Dzięki Bogu to już koniec roku, koniec wieku i koniec tysiąclecia, i MarkJohnson się zmienia.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zaczynam nowe życie od kłopotu na stacji Bristol. Przyjeżdża, po mnie niski, gruby, łysy gość w farmerskim pick—upie i wywozi poza miasto, za autostradę, i przez labirynt wiejskich dróg, które są coraz mniejsze, węższe, bardziej wyboiste, tak że w końcu nie wiem, czy trzęsę się na głodzie, czy tylko na wybojach.

W końcu dojeżdżamy... donikąd, i co widzimy? — znów wijącą się w pobliżu autostradę. Cały czas prześladują mnie nieszczęśliwe wspomnienia i złe przecucia. Gdy ostatnim razem mieszkałem na uboczu otoczony dziką zielenią, którą wszyscy inni podziwiali z okien swoich samochodów przy prędkości stu dziesięciu kilometrów na godzinę, moje życie wypełnione było poczuciem absolutnej beznadziei. Wtedy zaczynam myśleć o Rosie, Jacku, nowo narodzonym dziecku — Freddie — i o tym, jak moje życie teraz się zmieni. Wsiadam z pick—upa i kieruję się w stronę domu.

To stary, kamienny budynek farmy, z jakimiś pięcioma sypialniami i przyległą niewielką piekarnią. Ośrodek prowadzi ten łysy gość z grubą, rumianą żoną i bardziej interesującą,

atrakcyjną, nastoletnią blondynką — jego córką. Czekam, aż podadzą mi strategię na zmianę mojego życia. A konkretnie — zastanawiam się, w jaki sposób zamierzają mnie przeprowadzić przez fazę odstawienia narkotyków, bo mój klekot jest już straszny, a będzie jeszcze gorszy. Przeszedłem ten etap tyle razy, że jestem chodzącą encyklopedią klekotu i wiem, że aby przetrwać ten obecny, będę potrzebował ogromnej pomocy. A do fizycznej udręki dochodzą jeszcze męczarnie psychiczne. Na dobrą sprawę nigdy nie słyszałem o mocno uzależnionym narkomanie, któremu udałooby się wyjść z nałogu, ale mam jeden godny naśladowania, olśniewający przykład: Rosie. Ona jedzie teraz na metadonie, ale poza tym jest niemal czysta i jeśli ona potrafi to zrobić, to ja też. Dużą motywacją są dla mnie dzieci.

Ale pod koniec pierwszego dnia wkrada się we mnie rozczarowanie. Pod koniec drugiego rozczarowanie zamienia się w torturę. Grubas i jego żona o rumianych policzkach nie mają żadnej strategii odwykowej dla kogoś takiego jak ja. Nie wiedzą, jak mi pomóc. Potrzebuję wsparcia emocjonalnego, nie wiem nawet jakiego, ale oni mogą mi zaoferować tylko modlitwy. Modlitw akurat nie potrzebuję, bo mój klekot przebiega według znanego schematu. Otwierają się we mnie otchłania i to, co z nich wyziera, wyłazi i rozchodzi się po mnie — przerażenie i nienawiść do samego siebie. Tak, znów pojawiają się głosy. Nazywam je komisją, a ona mówi mi, że jestem uosobieniem zła, kryminalistą, obrzydliwym wyzyskiwaczem. Nie ma heroiny, która mogłaby mnie obronić — więc komisja krytycznie ocenia całe moje życie i stwierdza, że pozwany jest niegodziwy do szpiku kości. A tego już — przy najdotkliwszym fizycznym bólu, jaki jest mi zadawany — za wiele.

Grubas chciałby, żebym popracował trochę w jego piekarni, ale nie jestem w stanie nic robić. Nie mogę nawet normalnie myśleć. Pozostali kolesie przyglądają mi się w milczeniu. Jeden zostaje moim kumplem. Ma na imię Hilary i z tego powodu wyśmiewano go przez całe życie, podobnie zresztą, jak i teraz. Hilary też cierpi, ale ponieważ przebywa w chrześcijańskim ośrodku dłużej niż ja, zdążył już poznać tutejsze możliwości.

— Nie mogą oczekiwać, że ot tak, nagle skończysz ze wszystkim. Rób to stopniowo — mówi.

— Ale gdzie ja mam, do kurwy nędzy, zdobyć trochę hery?

— Nie hery. Ale mógłbyś zdobyć alkohol. W monopolowym.

— A jak docieracie do monopolowego?

— To proste, prosimy Sally, żeby nam pomogła.

Sally to ta cudowna blond córka. Nie jest jednak niska, gruba i rumiana, tak jak jej rodzice, gdyż została adoptowana — szlachetna klacz wychowana przez osły. I to jakie osły. W życiu nie wpuściłbym do swojego domu zdesperowanych narkomanów, i to facetów, którzy odstawiają heroinę i na nowo odkrywają swoje libido, a już na pewno — gdybym miał córkę wyglądającą tak jak Sally.

Hilary i ja staramy się przekonać Sally, żeby kupiła dla nas dużą butelkę wódki. I robi to. Udaje się nam też zdobyć trochę valium i temazepamu. To łatwe: przyjeżdża nowy koleś z Walii, spotykamy się z nim przed bramą, zanim dotrą do niej Rumiane Policzki, i proponujemy, że w bezpiecznej kryjówce przechowamy zapas jego leków kupionych na receptę. Po czym oczywiście sami je bierzemy.

Tamtego wieczoru przy kolacji panuje cisza. Wypiliśmy wódkę, wzięliśmy leki, a walijski koleś domyśla się, co się stało.

Nie czuję się dobrze na widok smutku w jego oczach, gdy to do niego dociera. Ale później wzbiera w nim wściekłość i złowieszcze milczenie. Tymczasem swoją olbrzymią terenówką przyjeżdża na kolację Gareth, pastor, który zarządza tutejszą wspólnotą chrześcijańską. Hilary i ja nie podnosimy głów znad tłuczonych ziemniaków.

— Cóż to się mogło wydarzyć? — pyta pani Rumiane Policzki.
— Nigdy nie widziałam chłopców tak spokojnych.

Pastor patrzy na nas tak, jakby się wszystkiego domyślał. Ale mimo to przynosi dobrą wiadomość. Jutro w kościele w Devon, tam gdzie mieszkają kobiety, odbędzie się specjalne nabożeństwo z okazji końca obecnego tysiąclecia. Przez narkotyczną mgłę dociera do mnie mętnie, że jutro w kościele zobaczę Rosie, Jacka i moje drugie dziecko. Dzięki Bogu zachowałem parę walijskich tabletek valium, by móc przez to przejść.

Przyjeżdżam do kościoła z poczuciem, jakbym miał sto lat, moje ciało rozłupuje się w słupy bólu za każdym razem, gdy próbuję zmusić do pracy swoje potężne tłoki. Gdy sądzę, że nikt nie patrzy, zażywam parę tabletek valium, ale i tak zdaje się, że ludzie obserwują mnie cały czas. Czy to paranoja, czy też faktycznie jestem obiektem zainteresowania?

Mężczyzna, który prowadzi ośrodek w Devon, przygląda mi się, kiedy myśli, że go nie widzę. Miejscowe parafianki, w większości długonose kobiety w średnim wieku, przypominają mi koleżankę mamy, Maureen. Ich mężowie wyglądają na skrepowanych, tacy wystrojeni na nabożeństwo przez swoje żony. Jest Gareth, pastor jeżdżący terenówką. Są też państwo Rumiane Policzki. I wtedy przyjeżdżają kobiety.

Siedzę z tyłu z Hilarym i zauważam Rosie, zanim ona spostrzeża mnie. Wchodzi z niewielkim zawiniątkiem w ramionach i z podążającym za nią Jackiem. Nagle wszyscy inni bledną, są szarzy i bezbarwni, podczas gdy Rosie, wysoka, szczupła, z długimi, gęstymi włosami, poważną twarzą i falującym ubraniem, mieni się wszystkimi przepięknymi kolorami tęczy. Łapie mój wzrok i przez moment na jej twarzy pojawia się coś w rodzaju delikatnego uśmiechu, ale potem szybko odwraca głowę i kieruje się do ławki z pozostałymi kobietami. Jack idzie tuż za nią. Ma trzy, prawie cztery latka, jest wyprostowany i poważny. Rozgląda się za mną i jakimś sposobem udaje mi się ściągnąć jego wzrok — przez chwilę nasze spojrzenia się spotykają. Jego kroki gubią rytm. Bardziej niż czeokolwiek innego pragnę, by do mnie podbiegł. Mój syn. Mój własny syn, wyższy, smuklejszy, jego postać daje już jakieś wyobrażenie tego, jak będzie wyglądał, gdy dorośnie. Uśmiecham się szeroko, tak szeroko, że moja twarz niemal rozrywa się na pół. Używam mięśni, których nie używałem od wielu miesięcy, może nawet lat. Patrzę na swoje dziecko i się uśmiecham.

Jack nie podchodzi do mnie. Nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Patrzy na mnie przez chwilę, a jego wzrok, badawczy, mądry, przeraża mnie. Co oni mu o mnie powiedzieli? Wślizguje się na ławkę za Rosie i siada obok niej. Podążam za nim wzrokiem. Zdaję sobie sprawę, że patrzy na mnie pół kościoła. Oni wiedzą. Wszyscy o wszystkim wiedzą. Nienawidzę tego.

Rozpoczyna się nabożeństwo. Słyszcąc tamburyn. Gitary. Jest maleńki zespół i chór, a w chórze śpiewa Sally. Pastor rozpoczyna w miarę spokojnie, ale dość szybko zaczyna wymachiwać rękami i wykrzykiwać, a parafianie robią to samo. Przy nich świadkowie Jehowy to zakon trapistów. Ludzie śpiewają

i wymachują rękami. Patrzę na Rosie. Ostrożnie kładzie obok siebie na ławce małe zawiniątko z nowym życiem i też wznosi ręce w górę, w kierunku Pana, i wymachuje nimi w rytm muzyki. Minęło sporo czasu od rejuwów, na które jeździliśmy. Jack często się odwraca i obserwuje mnie. Za każdym razem uśmiecham się do niego, ale on tego uśmiechu nie odwzajemnia. Czyżby sprawdzał, czy moje ręce również są w górze? Nie są.

Pastor przechodzi między rzędami ludzi, a oni trajkoczą do niego w różnych językach lub nie używając żadnego. Kiloro modlących się omdlewa, czasem wokół jednej osoby gromadzą się grupki innych, wykrzykujących bogobojne słowa, a ja wkładam głowę między kolana, boli mnie całe ciało, trzęsę się, wiruję w tym religijnym zamęcie i myślę: jak ja, kurwa, mogłem się tu znaleźć, między tymi maniakami? I dlaczego Rosie jest jedną z nich?

Nabożeństwo trwa wieki, a kiedy się kończy, jestem niemal nieprzytomny z bólu — fizycznego i psychicznego. Hilary bierze mnie pod rękę, pomaga mi wstać. Tylko świadomość, że dopiero teraz będę mógł naprawdę zobaczyć się z Rosie, Jackiem i maleństwem, pozwala mi wyjść z kościoła za innymi. Kręcimy się trochę z Hilarym na zewnątrz, wypalamy po papierosie, a potem wchodzimy do jakiejś sali. Pełno w niej wielkich, okrągłych stołów, a w jednej ścianie są okienka, przez które serwuje się posiłki. Rosie siedzi przy stole. Otaczają ją kobiety z kościoła. Wstydzę się. Podchodzę do niej, a siedzące wokół kobiety natychmiast milkną. Piorunują mnie wzrokiem. A więc wiedzą, jaki jestem nikczemny i odrażający.

— Cześć, Rosie — mówię.

— Cześć, Mark.

Jack stoi twardo przy jej boku. Nie odpowiada, gdy się do niego zwracam, i pozostaje sztywny, kiedy go przytulam. Ktoś musiał mu powiedzieć, że ma bardzo złego tatusia.

— Co u ciebie? — pytam Rosie.

— Wszystko w porządku. Odkąd nauczyłam się ufać Jezusowi, wszystko jest w porządku.

Dewotki przy stole zbiorowo przytakują. Patrzę na maleństwo w ramionach Rosie i serce mi topnieje. Biorę jego drobną rączkę, a on zaciska paluszki na moim palcu.

— Freddie — mówię czule. — Witaj, Freddie.

Chcę go potrzymać i Rosie to wyczuwa, ale kiedy mi go podaje, więdźmy biorą gwałtowny wdech. Freddie otwiera swoje wielkie oczy i patrzy na mnie. Mój metadonowy chłopczyk. Trzymam go spokojnie, a on mruga oczkami. Znów odczuwam tę radość z narodzin dziecka. Radość otwierających się przede mną możliwości, nowego startu, nowego, innego życia.

Głaszczę go delikatnie, a on zamyka oczy. Zaczynam się z nim przechadzać, a napięcie przy stole rośnie, jakby te podstarzałe babska chciały mi go wyrwać. Przypomina mi się coś, co wydarzyło się wiele lat temu. Jak położna, mama i cała reszta rodziny omal nie zabiły mnie wzrokiem i nie wyrwały nowo narodzonej Bethany z moich objęć, kiedy próbowałem ją przytulić. Już wtedy wszyscy wiedzieli, jaki jestem zły, ale nie zamierzałem skrzywdzić Bethany i nie zrobiłem tego, a jeśli chodzi o Freddiego, to kocham go — szczerze i po prostu.

Freddie zasypia i w końcu oddaje go Rosie. Odsuwam krzesło i rozmawiamy trochę o porodzie, który tym razem nie skończył się cesarskim cięciem, ale przygląda się nam setka oczu i każde nasze słowo jest monitorowane przez las uszu. Krępuje mnie

to. Ktoś przynosi Rosie obiad. Wszyscy przy jej stole zaczynają jeść. Ja nie dostałem swojej porcji. Wcale jej nie chcę. Rosie mówi, żebym zjadł trochę od niej, ale się wstydzę; było mi już wystarczająco ciężko u Bethany i na farmie. W końcu od miłoścy wyjadałem resztki ze śmietników.

Hilary daje mi znak, że ma dla mnie jedzenie, więc siadam z dala od Rosie i próbuję jeść. Potem, gdy widzę, że ludzie zaczynają się powoli zbierać, podchodzę z powrotem do mojej rodziny i nieśmiało wręczam jej prezenty, które przywiozłem. Są już teraz nieco zmęczeni, ale buzia Jacka się rozpromienia. Po raz pierwszy uśmiecha się do mnie. Staruchy przyglądają się w milczeniu, jak Jack rozpakowuje piracki statek. Myślę, że mu się podoba. Zaczyna się nim bawić. Nie jest już dla mnie taki zimny, ale i tak nie pozwala mi przyłączyć się do zabawy. Dopiero później, gdy widzi kilkoro innych dzieci grających na zewnątrz w piłkę, zgadza się, żeby ze mną wyjść. I tak w grupie obcych dzieci, obserwowany przez mnóstwo podejrzliwych twarzy, gram w piłkę ze swoim synem, choć coś rozrywa moje kości, pęka mi głowa, ból pulsuje w moim ciele i duszy. To straszne. Zażenowania towarzyszącego temu pojednaniu nie da się wyrazić słowami.

Jack nie rozmawia ze mną zbyt wiele. Czasami, gdy myśli, że tego nie widzę, patrzy na mnie surowo. Chciałbym wziąć go w ramiona, tak jak kiedyś pragnąłem, by przytulił mnie mój ojciec. Ale Jack jest zbyt nieufny.

Kiedy wracamy do Rosie, coraz częściej jąkam się podczas rozmowy. Rosie pomaga mi, ale bez przesady. Jack przygląda mi się w rozumny, dorosły sposób. Jest już młodym mężczyzną, kontroluje swoje życie, a nawet życie swojej mamy, i wie, że jego tato jest chory, a chorzy ludzie potrzebują pomocy. Do cholery, on ma

przecież tylko trzy lata, a już wydorósł. Chce mi się płakać. Chce mi się wyć, jak małemu chłopcu, którym powinien być mój syn.

Po południu jest jeszcze jedno przekłete nabożeństwo, tak samo straszne jak pierwsze, a może nawet jeszcze bardziej popaprane. Spędzam je w większości z głową między nogami. Zażywam resztkę valium. Po mszy nie wracamy prosto do ośrodka. Zostaję poinformowany, że mam odbyć rozmowę z pastorem Rosie. Mam nadzieję, że to oznacza sposobność spotkania się z moją rodziną sam na sam, ale nie, nie ma Jacka. Niemowlę zostało nakarmione i zasnęło. Rosie siedzi przy stole naprzeciwko swojego pastora, Anthony ego. Jest też żona pastora, która przygląda się wszystkiemu z boku. Zostaję wprowadzony do pokoju, w którym czuję się jak w gabinecie dyrektora szkoły.

Anthony zaczyna mówić.

— Zebraliśmy się tutaj, żeby przedyskutować twoje plany związane z tobą samym i z twoją rodziną. Rosie przyjęła wiarę chrześcijańską, a teraz, gdy sam jesteś w ośrodku odwykowym, chcielibyśmy cię zachęcić do kultywowania podobnych wartości. Będziesz musiał utrzymać Rosie i dwóch synów, więc znalezienie jakiejś pracy powinno być dla ciebie priorytetem...

Komisja wyszła z mojej głowy i ustawiła się rzędem przede mną. Początkowo jestem potulny i zaczynam mamrotać coś o byciu chirurgiem drzew i chęci odbudowania rodziny, ale nagle, gdy moje ciało przeszywa ból, wyskakuje ze mnie rozścieczony szatan.

Zrywam się na równe nogi.

— A kim ty, kurwa, jesteś?! — ryczę. — Za kogo ty się uważasz?! Co to za władza, którą masz nad Rosie, i dlaczego próbujesz przejąć władzę nade mną?!

Pastor zaczyna się jąkać w odpowiedzi, ale ja już nie mogę się *zatrzymać*. Wyszedłem z siebie, stoję obok swego bólu. Jestem oddzielnym istnieniem, które składa się wyłącznie z gniewu.

— A w ogóle, to co się dzieje między tobą a Rosie? — dopytuję się. — Ona ci się podoba, o to w tym chodzi? Pieprzysz się z nią i dlatego chcesz kontrolować każdy jej ruch? Ha! Właśnie! Spodobała ci się! Pieprzysz ją!

Twarz pastora Anthonyego czerwienieje. Twarz żony pastora czerwienieje. Rosie z zażenowania niemal chowa się pod stół. Zona pastora najchętniej złapałaby za ten stół i nim we mnie rzuciła.

Anthony próbuje protestować.

— Jesteście, kurwa, nikim — informuję jego i całą resztę. — Myślicie, że możecie przejąć kontrolę nad czyimś życiem, mieszając mu w głowie, ale nie możecie, jesteście nikim, nikim, i nie jesteście, kurwa, warci funta kłaków, ani wy, ani ten wasz ośrodek, bo wszyscy jesteście popaprani.

Rosie kryje twarz w dłoniach. Wypadam z sali i próbuję się uspokoić, zapalając na dworze papierosa. Gdy wracam, wszyscy siedzą zmrożeni na swoich miejscach. Jest też pan Rumiane Policzki.

— Cóż to się stało? — pyta, cały oklapnięty. Czuję, że gniew ponownie bierze nade mną górę.

— Odpierdol się! — wrzeszczę groźnie, a Rumiane Policzki zrywa się i próbuje mnie staranować ciałem, jakby grał w rugby. Odskakuję w bok, a on zaczyna mnie gonić wokół stołu.

— Pierdol się, pierdol! — krzyczę, podczas gdy ten toczy za mną swoje spocone cielsko. Gdyby to nie było takie straszne, pewnie mogłoby być komiczne.

Nagle zatrzymuję się i odwracam. — Zabiję cię, jeśli zbliżysz się jeszcze na krok — informuję go i wystarcza mu jeden rzut oka na mnie, by zrozumiał, że mówię poważnie.

No, więc właśnie udowodniłem, że jestem złym, agresywnym, obelżywym potworem. I moja terapia właśnie się zakończyła. Byłem tam krócej niż tydzień. Cały ten czas byłem chory, a teraz wszystkie nadzieje, które wiązałem z tą ostatnią deską ratunku, uleciały. Więc nie zostało mi już nic więcej. Nie mam gdzie pójść. Nie mam już żadnych szans.

—

Zatrzymuję się w Bristolu; tam rozpytuję się w pomocy społecznej i dowiaduję, że pieniądze, które winne mi było przedsiębiorstwo leśne, są już na moim rachunku bankowym. Łapię autobus do Birmingham. Jestem sam. Bez przyszłości. Nawet swoją przeszłość wymazałem z pamięci.

Zanim zapada wieczór, w moim przedramieniu ładuje igła. Rozpadliny w mojej duszy, które zamieniły się w kaniony, od razu się zamykają.

Czas rozpocząć nowe tysiąclecie; wszyscy na świecie myślą, że to wydarzenie warte świętowania. Spędzam tę noc w jakimś domu w Birmingham, w którym nie ma nic poza uzależnionymi od heroiny narkomanami i ich sprzętem. Znajduję łazienkę, zamykam się w niej, otwieram okno i patrzę na fajerwerki; stoję w wannie i biorę tyle cracku, że wszędzie jest pełno mojej krwi. Cały ten czas inny ćpun wali do drzwi, bo chce, żebym mu dał trochę hery. — Wiem, że tam jesteś, wiem, co robisz — zawodzi bez przerwy.

Rok 2000 nie daje mi żadnej nadziei. Bo jestem beznadziejny. Jestem bezużyteczny. Jestem wyklęty. Nie mam dokąd pójść.

Zaczyna świtać. Wstaje nowe tysiąclecie, a ja rozważam wszystkie swoje możliwości. Jest Warwick, ale Bethany *raczej* mnie już nie przyjmie. Chociaż podobała mi się ta praca przy drzewach wujka Darrena; może mógłbym zadzwonić do tego chirurga drzew w Londynie, dla którego pracowałem, i powiedzieć mu, że byłem na odwyku i że jestem już zdolny do pracy, i poprosić, żeby mnie przyjął do dawnej roboty. Muszę się zmienić. Muszę zapanować nad swoim uzależnieniem, a to nie będzie łatwe, gdy dragi będą ode mnie nie dalej niż o jedną stację metra. Ewentualnie mógłbym pojechać do Nottingham, gdzie mam wielu kumpli z epoki DIY, chociaż w tamtym szalonym, chaotycznym otoczeniu nigdy nie uda mi się zapanować nad nałogiem. Ale w głębi duszy wiem, że ilość zażywanych przeze mnie obecnie narkotyków przekracza wszelkie normy, jakie mogliby zaakceptować moi znajomi, nawet ci z Nottingham. Niektórzy z nich się ożenili, mają dzieci i nie będą chcieli, żebym dawał sobie w kanał w ich łazience.

Wrócę do Londynu. Poproszę, żeby mnie przyjęli do dawnej pracy. Będę panował nad uzależnieniem.

Jadę do siostry po swój samochód. Kiedy dzwonię do drzwi, Bethany jest w szoku.

— Mark! — mówi załamana. Myślała, że jestem w spokojnym domu w West Country i się leczę.

— Mark! — w jej oczach widzę wszystko. Zawód. Rozwiane nadzieje.

— Nic z tego nie wyszło, Bethany. Ci chrześcijanie byli okropni. Nie mogłem zobaczyć się z Rosie i dziećmi sam na sam. Okazali się bandą świrów...

Zaprasza mnie do środka i daje mi coś do jedzenia, ale potem mówi ze smutkiem: — Mark, nie możesz tu zostać. Dla twojego

dobra. A od chwili, gdy znalazłam strzykawkę w twojej kieszeni, wiem, że nie jest to bezpieczne także dla moich dzieci. Mark, nie mogę być ciągle w pobliżu i przyglądać się temu, co ze sobą robisz.

Mam wrażenie, że nawet moja młodsza siostra każe mi się odwalić, bo jestem przegrany. Tak przynajmniej odbieram te słowa.

— I tak nie chcę tu zostać — oznajmiam zaczepnym tonem. — Wracam do Londynu. Tam czeka na mnie praca.

Biorę kluczyki i wsiadam do zardzewiałej skrzynki, która jakimś cudem, podskakując i prychając, dojeżdża do Londynu. Pewnie i tak nie mogłaby dojechać dalej. Parkuję przed jakimś pięknym domem w Knightsbridge, wyrzucam kluczyki do ogrodu i odchodzę. Przed siebie.

Znajduję budkę telefoniczną i dzwonię do swojego ostatniego pracodawcy z Canning Town.

— Taaa, przyczepa z twoimi rzeczami ciągle tu jest — mówi.

— U mnie lepiej — kłamię. — Po leczeniu w Bristolu jestem teraz czysty. Chcę pracować. Nie potrzebuje mnie pan?

Wzdycha. — No, właściwie to potrzebuję wspinacza. Płacę dniówki.

Łapię pociąg do Canning Town. Mężczyzna ogląda mnie od góry do dołu.

— Na pewno jesteś czysty? — pyta.

— Tak. O, tak — kłamię.

— Dobra, zaczynasz jutro rano. — Jego głos nadal nie brzmi zbyt pewnie.

Przyczepa jest ohydna. Wciąż jest tu mój sprzęt do wspinaczki. Otwieram szuflady i znajduję igły. Sprawdzam szafki i znajduję igły. Oprócz nich jest tu niewiele więcej.

Dwa dni spędzam w ciężkim klekocie, bo próbuję zapanować nad nałogiem, pijąc alkohol i biorąc wszystko, co wpadnie mi w ręce. Staram się nie ćpać heroiny, bo od tej pory zamierzam kontrolować branie. Muszę nad tym zapanować i wrócić do normalności, bo chcę normalnie widywać swoje dzieci. Ale żeby być wystarczająco normalnym w pracy, potrzebuję innych narkotyków. Kupuję plastikową butelkę metadonu, zielonego, kleistego świństwa, które chowam w osi przyczepy. To niezbędne, żebym mógł przetrwać. Bez tego będę klekotał tak mocno, że nie będę w stanie myśleć ani pracować. To eliksir życia. W nocy słyszę jakieś odgłosy na zewnątrz przyczepy. Boję się, ale ostatecznie otwieram drzwi. Wyciągam rękę, żeby sprawdzić, czy życiodajna butelka dalej tam jest. Muszę poczuć między palcami uspokajający plastikowy kształt. Muszę go poczuć, bo inaczej umrę. Nie ma go.

Wyskakuję z przyczepy i biegnę przez plac. Psy zaczynają ujadać i podskakiwać. Biegnę prosto do ich budy, a tam pośród długich, chudych łap wilczurów leży rozerwana kłami butelka; kleista zawartość rozlała się po słomianym posłaniu. To koniec mojego świata. Normalność jest już niemożliwa. Moje życie wyszło w psiej budzie. Wy przekłete psie suże!

Następnego ranka przyjeżdża szef i widzi, że do niczego się nie nadaję. Jestem zbyt chory, by pracować, i to widać jak na dłoni. Wie, że nie może mnie już zatrudniać. Ja też to wiem. Po raz drugi opuszczam ten plac z uczuciem beznadziei i rozpacz. Raz *jeszcze* wsiadam do metra Jubilee Line jadącego na stację Waterloo. Raz *jeszcze* jadę po towar na West End, bo już nigdzie indziej pojechać nie mogę. Próbowałem każdego rozwiązania i nic, absolutnie nic nie uwolni mnie już od mojego

nałogu. Ulice West Enclu to wszystko, co mi pozostało. A więc to tutaj przez cały ten czas zmierzał pociąg, którym jechałem.

Znowu wchodzę w swoje życie tutaj i wszystko jest takie jak wcześniej. Miejsca, ludzie, dealerzy. Nikt mnie nie wita i tylko wszy cieszą się na mój widok. Poza Daveem i Gingeem nikt nawet nie zauważył, że nie było mnie kilka miesięcy.

Rozdział trzydziesty drugi

Powrót do dawnych ulicznych nawyków trwa kilka dni. Doszlifowania wymaga moja technika sklepowych kradzieży. Omal nie zostaję złapany. Kątem oka widzę sprzedawcę, który odciąga na bok innego pracownika sklepu i coś do niego szepcze, a ten, patrząc na mnie, łapie za telefon. Sieć powoli zaczyna się wokół mnie zaciskać. Ostrożnie i zwinnie odkładam wszystkie DVD, które są w mojej torbie. Gdy wychodzę ze sklepu, próbują mnie zatrzymać i bardzo się dziwią, kiedy się okazuje, że niczego przy sobie nie mam. Podejrzenia jednak pozostają.

— Nieźle ci wychodzi udawanie szwedzkiego turysty — mówi ochroniarz. — W ogóle jesteś w tym niezły. Ale wydaje nam się, że robisz to już odjakiegoś czasu. Teraz już cię znamy, więc nie wracaj tutaj.

Mam ochotę podziękować im za komplement o szwedzkim turyście, ale zamiast tego idę prosto do toalet przy Broadwick Street, wymieniam z kimś ciuchy i piętnaście minut później z powodzeniem zwijam im dziesięć płyt.

Chociaż kradzież DVD jest moim głównym źródłem dochodu, to pomysłów mam całe mnóstwo i w niedługim

czasie od powrotu na West End zaczynam, czuć się pewnie. W tamtych zwariowanych świątecznych miesiącach byłem jak ryba bez wody. Mój dom jest tutaj i to tutaj rozkwitam. Jestem chyba jedynym człowiekiem na ulicy, który tak wiele robi i tak dobrze żyje. Na West Endzie można spotkać wielu gangsterów i jestem dumny, że mogę czuć się jednym z nich.

Kodeks ulicy: jak przeżyć na mnóstwie narkotyków i jednym snickersie tygodniowo

Uwaga! Wszystkie poniższe działania są przestępstwami, za które można trafić do więzienia

1. Idziesz do kawiarenki internetowej z kolegą. Kolega ma problem z internetem i potrzebuje pomocy jakiejś panienci. Gdy ona mu pomaga, ty zwiwasz spod stolika jej torebkę.

2. Kupujesz narkotyki. Większość z nich bierzesz, a część sprzedajesz.

3. Kradniesz narkotyki. Większość z nich bierzesz, a część sprzedajesz.

4. Gdy ochrona sklepowa zaczyna rozpoznawać twoją twarz, znajdujesz kogoś, kto jest na ulicy nowy. Wysyłasz go do sklepu i czekasz na zewnątrz. Za skradzione przez niego płyty DVD dajesz mu około dziesięciu procent swojego zarobku.

5. Robisz za posłańca u dealerów.

6. *Jeżeli rozpaczliwie musisz zdobyć towar, robisz rozpier—dol w sklepie. Wbiegasz, bierzesz, co chcesz, i szybko wypadasz. Prawdopodobnie ci się uda. Jeśli nie, możesz oczekiwać pobytu w milej, ciepłej celi z dostawą legalnych narkotyków. Nic więc nie tracisz.*

7. *Węszysz za ubranymi po cywilnemu glinami i uprzedzasz 0 ich obecności liczących się dealerów narkotykowych.*

8. *Po zamknięciu Groucho Club proponujesz tym wszystkim typom znanym z mediów, że zaprowadzisz ich do innego klubu, który może im przypaść do gustu, i przy bramkarzu bierzesz od nich prowizję. Nie zapominasz opowiedzieć im swojej łzawej historii, bo taki typ może wyłuskać z portfela 20 funtów.*

9. *Głód zagląda ci w oczy? Upragniony kurczak z awokado I bekonem na włoskiej bułce z dodatkiem majonezu? Stajesz przed modnym barem kanapkowym, pociągasz nosem, drapiesz się, a za chwilę ktoś z baru podaje ci kawę i pyszną kanapkę, żebyś tylko sobie poszedł.*

10. *Nieczynne toalety przy szpitalu uniwersyteckim służą ci za ciepłe schronienie w chłodne, zimowe noce. Oczywiście podłoga to nie puchowe łożo, no i musisz uważać na sprzętaczki, które zjawiają się bladym świtem.*

11. *Szczury nie są twoimi futerkowymi maskotkami: to szkodniki, które włożą między ciebie a twoje legowisko. Śpisz za kosztami na śmieci? Możesz być pewien, że będą po tobie*

biegały przez całą noc. Place budów są jeszcze gorsze. Zanim więc zdecydujesz się zaszyć w jakiejś klitce, dobrze się nad tym zastanów.

12. Kradniesz telefony komórkowe. Z łatwością znajdujesz ich odbiorców. Jeśli akurat w momencie transakcji telefon dzwoni, przekonujesz dealera, że to tylko twój znajomy.

13. Me nadajesz się na kieszonkowca? Nie tracisz czasu, tylko podejmujesz ryzyko i ćwiczysz. Znajdujesz zdolnego doliniera i zostajesz członkiem dobrego zespołu. Starasz się być bardzo sprytny i wypatrujesz najlepsze okazje, a potem odwracasz uwagę ofiary, podczas gdy twój kumpel robi swoje.

14. W nocy kręcisz się przy bankomatach. Gdy jakiś klient wyjmie kartę bankomatową, stajesz tuż za nim przykładnie w kolejce. Potem, w momencie zasadniczym, kiedy kod PIN został już wprowadzony i wysunęły się pieniądze, wpadasz na klienta i kładziesz rękę na kasie, zanim on zdąży to zrobić.

15. Pijaństwo osiągnęło na naszych ulicach stadium epidemii. Pokazujesz tym zapijaczonym nocnym markom, jak źle się prowadzą, okradając ich, w momencie gdy wytaczają się z knajpy. Robisz to w ten sposób, że otulasz ich kocem, co wygląda tak, jakbyś chciał im raczej pomóc, niż obrobić portfel.

16. Zawsze jesteś czujny, zwarty i gotowy. Jest wiele sposobności, by zdobyć pieniądze — oszukując, kradnąc i leżąc na londyńskich ulicach. Musisz tylko być na nie przygotowany.

Oczywiście mam też i złe chwile. Zjazdy po cracku są coraz gorsze, a biorę tak dużo, że prawie nic nie jem. Właściwie nie ważę teraz nawet 40 kilogramów, jestem więc strasznie chudy przy moich stu osiemdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu. Dave mówi, że wyglądam mizernie.

— Idź do lekarza, stary — mówi.

— Po co? Dobrze się czuję.

Czasami przez całą noc biorę crack. Zaczynam wtedy chodzić w kółko w ten swój sposób — zjedną nogą w kanale, drugą na chodniku, z opuszczoną głową, tak żeby wszyscy myśleli, że jestem trampem, i nie przeszkadzali mi w mojej paranoi ani nie widzieli mojego wzroku, ani w ogóle żeby mnie nie zauważali. Zapominam, że nie muszę udawać. Przecież już jestem trampem.

Nie mam nic swojego poza rzeczami, które znajdują w śmietnikach. Kosz na horyzoncie — trzeba do niego zajrzeć. Lubię zaglądać do kubłów na śmieci, bo to nadaje moim wędrówkom pewien rytm, gwarantuje jakiś schemat w tym chaosie. Daje mi też powód, żeby ciągle iść dalej.

Znajduję rzeczy, których inni ludzie nie chcieli. Teraz stają się moimi. Zaczynam gromadzić kolekcję przedmiotów znalezionych. Są moje, ale jest na nich coś, co pozostawili inni, i to coś zapewnia mi swego rodzaju kontakt z normalnością i normalnymi ludźmi. Jest więc brązowa plastikowa skrzynka malarska z mnóstwem małych szufladek, które się wysuwają, gdy podnosi się wieczko. Trochę wielkich igieł, nie takich, jakich używam, tylko igieł krawieckich, które błyszczą w świetle dziennym. Notes z twardą, metaliczną oprawą w kolorze srebra, mnóstwem naklejek w środku, małymi, pustymi kartkami oraz

niezapisaną częścią pamiętnika. Jest połowa łyżki, złamana rączka z wyszukany celtyckim węzłem. Kilka farbek. Pędzle. Uwielbiam swoją kolekcję. Chowam ją w specjalnych tajemnych kryjówkach pod mostami, w kanałach i za kamieniami. Jest dla mnie bardzo cenna.

Przyszedłem na strzał w zaułek przy końcu Tottenham Court Road i gdy już mam sobie wstrzyknąć, podchodzi do mnie jeden z niebezpiecznych braci, Keith albo Malc, i wrywa mi dziątkę. Nigdy dotąd nic takiego mi się nie przytrafiło. Mógłbym się z nim bić, ale obok stojego brat bliźniak. Straciłem coś ważnego. Straciłem narkotyki, więc bardziej na miejscu jest ich opłakiwanie niż bicie się.

— No, to weź je sobie, stary — mówię odważnie.

Bliźniak wybucha śmiechem i mnie wyzywa. Czekam. Przeglądam się. I wtedy, w momencie gdy zamierza sobie wstrzyknąć, rzucam się do skoku. Rozpędzam się i wpadam na niego z takim impetem, że sprzęt, igła i narkotyki rozsypują się dokoła. Tym sposobem żaden z nas nie ma z nich pożytku.

— Ty pieprzony, ty pieprzony...

Drugi bliźniak sięga po nóż, ale nic już więcej nie słyszę, bo uciekam tak szybko, jak mogę. Malc i Keith przypominają mi tamtych psychopatycznych braci z Kidderminster, którzy najpierw opróżniali butelkę, a potem zaczynali jeść szkło. Złazę całą Tottenham Court Road w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby mi coś dać. W końcu znajduję dużego Bena, spieszącego na strzał po udanym wieczornym zebraniu w metrze.

— Pierdolone bliźniaki — mówi, gdy opowiadam mu, co się wydarzyło. Ratuje mnie. Nie przeszkadzam nikomu w przejściu na szary, nowoczesny dziedziniec, przy którym znajdują się małe

biura, gdzie różni ludzie prowadzą swoje firmy. Produkcja filmowa. Agencja PR. Projekty graficzne. Niektórzy pracują dziś do późnej nocy. Przyglądam się im, kiedy wychodzą. Zawsze sądziłem, że ludzie traktują swoją pracę jak przymus i chodzą do niej mechanicznie, ale po niektórych twarzach widzę, że to daje im jakąś satysfakcję.

Pewnej nocy w śmietniku znajduję nowiutką, obszerną narzutę w pudełku. Owijam się w nią tak szczelnie, że rano budzę się cały spocony. To dobra noc. Zła noc jest wtedy, gdy skulonego w jakimś przejściu atakuje mnie grupa mężczyzn. Nie widzę ich, czuję ich tylko przez koc. Czuję, jak mnie kopią, słyszę, jak się śmieją. Rano moje ciało jest czarne i sine. Szacuję, że było ich pięciu albo sześciu, i mam wrażenie, że wcale nie byli to jacyś nabzdryngoleni gówniarze, tylko biznesmeni w garniturach, zadowoleni, że mogli po kryjomu dołożyć komuś bezbronnemu, zadowoleni, bo trafiła im się okazja do pobicia bez obawy o odwet.

Innej nocy przed Hamleysem, wielkim sklepem z zabawkami, znajduję parę dużych kartonowych pudeł. Ustawiam je na olbrzymiej plastikowej tacy, na drodze zamkniętej ze względu na prace budowlane. Nikt mi tu nie będzie przeszkadzał, nawet szczury, które przechodziły już przez wiele kartonowych zapór i łączyły po mnie, gdy spałem. Wycinam otwór i wchodzę do pudeł. Za podgłówek służy mi karniak do wymiany zużytych igieł. Gratuluję sobie takiej luksusowej sypialni. Ale budzą mnie straszne krzyki i walenie w kartonowy dach. Wyglądam z dziury jak szczur i widzę, że przede mną, czekając, aż się stąd ruszę, stoi rząd ciężarówek, a nade mną, na rusztowaniach — blisko pięćdziesięciu robotników, podrywających mnie okrzykami do odejścia.

Kuśtykam wzdłuż drogi, pokazując im środkowy palec, i wrzeszczę, żeby się odpiardolili. Odwdzięczają mi się tym samym. Nie słucham, co dokładnie mówią. Czuję się mniej niż zerem. Prawdopodobnie próbowali mnie stamtąd przegonić od dłuższego czasu, ale byłem nieprzytomny, a nikt nie chciał otworzyć pudła. Nigdy nie chcą. Boją się, bo nie wiedzą, jaki ludzki towar mogą znaleźć w kartonowym pudle w Soho. Kiedy znajdują skrawek życia, śmieją się z ulgą i okrucieństwem równocześnie.

Sporo czasu spędzam w toaletach. Czasami przeżywam tam straszne chwile. Po strzale zostaję w kabinie, kucam albo miotam się jak pies lub bite dziecko, kulę się z przerażenia. Przeżywam zjazdy i momenty rozwalenia, słyszę głosy i kroki, moja paranoja jest namacalna. Obezwładnia mnie strach przed policją, zagładą, strach przed strachem. Za drzwiami kabiny widzę cienie. Przemykają raz po raz i budzą moje przerażenie.

Przed Wielkanocą z oddziału Hamlejsa w alejce handlowej w Covent Garden kradnę parę zabawek dla dzieciaków jakiejś prostytutki, ale przyłapuje mnie ekspedientka. To znaczy jakaś szesnastolatka, która pracuje sobie w weekendy, drobna, poniżej metra pięćdziesięciu, bardzo szczupła. Gdy wychodzę ze sklepu, idzie prosto na mnie. Próbuję uciekać alejką, ale ona jest ciągle za mną. Łapie mnie w końcu i przewraca na ziemię, tak że nie mogę się ruszyć. Upokorzenie. Wiem, że jestem chudy, nawet wynędzniały, wiem, że Dave ciągle mi powtarza, bym więcej jadł, ale zostać powalonym przez dziecko to jest po prostu coś straszego. Mam nadzieję, że złapie wszy.

Przychodzi kierownik i wzywa policję. Oczywiście mam przy sobie trochę heroiny, ale w oczekiwaniu na przyjazd policji udaje mi się tak wykręcić, żeby wsunąć ją sobie w tyłek.

— Mam wszy — oznajmiam, żeby się do mnie nie zbliżyli. Dyskutują długo nad tym, czy powinni mnie odprowadzić na komisariat przy Charing Cross Road, który jest za rogiem, czy zabrać do furgonetki; w końcu decydują się na to drugie rozwiązanie. Nie robią tego brutalnie. To dziwne: mimo że policjanci są moimi największymi wrogami, zwracają się do mnie uprzejmie.

Kiedy docieramy na miejsce, czeka na mnie lekarz. Ogląda moje strupy i wychudzone ciało, jest życzliwy i miły. Mówi, że rozejrzy się za jakimś czystym ubraniem, i daje mi krem pod prysznic przeciwko wszom. Najlepsze z tego wszystkiego jest to, że widząc, jak silny jest mój nałóg, przepisuje mi mnóstwo legalnych drażgów. Daje mi duże ilości dihydrokodeiny, morfiny, która stanowi substytut heroiny, i valium.

Biorę gorący prysznic, dostaję ciepłą celę, dobre leki, koc i poduszkę. Zamiast moich zawszonych ciuchów dają mi biały, jednorazowy kombinezon z włókniny. Głowa opada mi na poduszkę. Jestem bezpieczny i jest mi ciepło. Czuję się tak, jakbym właśnie został zwolniony z więzienia.

Policjanci nie zbliżają się do mnie bardziej, niż to niezbędne, ale zwracają się do mnie ze zrozumieniem i współczuciem.

— Od kiedy jesteś na ulicy? — pytają.

— Jak sobie radzisz?

— W porządku, stary?

Patrzą na mnie ze współczuciem, wydają się nawet rozumieć, jak zdołowany może być ćpun. Jestem zdumiony. Postacie, które straszą mnie w mojej zjazdowej paranoi, to policjanci, ale teraz jestem z nimi i wcale się ich nie boję. Są mili.

Następnego dnia wciąż jestem pod wpływem przepisanych leków, nadal w jednorazowym kombinezonie. Wsadzają mnie

do policyjnej furgonetki. Ponieważ jest Wielkanoc, wiozą mnie do specjalnego sądu z dala od centrum Londynu. Dokąd mnie biorą? Nie obchodzi mnie to, bo wzięłam dihydrokodeinc. Mam tylko nadzieję, że to nie dalej, niż dochodzi ostatnia linia metra.

Sąd wymierza mi karę dnia więzienia lub stu funtów grzywny, ale ponieważ spędziłem już dzień w więzieniu i nie mam stu funtów — od razu mnie wypuszczają. Sprowadzają mnie na dół, ale żaden urzędnik sądowy się do mnie nie zbliża. Bawią się jak dzieci, odwracając się do mnie plecami, kiedy ich mijam.

— Nie zbliżaj się!

— Au! Nie dotykaj mnie!

Są jak niegrzeczne dzieciaki na placu zabaw. Potem mnie wyrzucają. Jestem w białym jednorazowym kombinezonie. Stoję na ulicy w kosmicznych ciuchach, bez butów. Jestem zagubiony, zażenowany, jestem nikim. Chwilę później drzwi otwierają się i ktoś rzuca we mnie plastikowym workiem. Są w nim moje buty i to zawszone ubranie, które miałem na sobie, gdy mnie aresztowali. Podnoszę głowę i widzę ich wszystkich, jak śmieją się ze mnie, patrząc zza przeszkłonych drzwi.

Zawstydzony i wyróżniający się tym dziwacznym strojem, rozglądam się dokoła. Gdzie mogę się przebrać? To krępujące, ale jest bardziej palący problem. W odbycie mam ciągle tamtą heroinę, którą schowałem, ale potrzebuję sprzętu, żeby ją sobie wstrzelić.

Wyglądam jak kosmita, ale przemierzam ten odległy rejon Londynu, dopóki nie znajduję czynnej apteki. Obok jest sklep, w którym kupuję kwasek cytrynowy. Idę do publicznych toalet, przebieram się i daję sobie w żyłę. Potem wskakuję do metra jadącego do domu. To znaczy na West End.

Przez krótki czas czuję się na West Endzie jak król, wielki jak gangster. Ale ta egzystencja stopniowo zaczyna mnie wykańczać. Powoli do mnie dociera, że przegrywam codzienną walkę o przetrwanie.

Któregoś dnia przedawkowuję. Biorę działkę w małym parku niedaleko Charlotte Street, a gdy budzę się następnego dnia, igła ciągle tkwi w moim przedramieniu, nogi mam zgięte w kolanach, a reszta ciała leży prosto jak drut. Jestem siny z zimna. Mam przemoczone ubranie. Musiałem spędzić w tej pozycji wiele godzin. I dopiero po wielu następnych godzinach jestem w stanie w ogóle się poruszyć, nie mówiąc nawet o wyprostowaniu nóg czy stanięciu na nich. Wyję z bólu. Czuję się potwornie. Heroina, którą wziąłem, musiała być z jakiegoś zajebiste czystego wypieku, skoro spowodowała przedawkowanie. Noc jest zimna. Mogłem umrzeć. Żałuję, że tak się nie stało.

Teraz sprzedaję skradzione DVD koleśowi, który nazywa się Wilf i pracuje w sex—shopie w Soho. Sex—shopy przy tej ulicy zarabiają znacznie więcej kasy, niż można by sądzić na podstawie małych, obskurnych wnętrz. To świat gangsterów. Wilf ma szefów, którzy mają swoich szefów. Jednym z nich jest wielki typ z meksykańskim wąsem, który choć z akcentem, to jednak dobrym angielskim mówi, że chciałby ze mną pogadać. Trochę się boję, ale kiedy się dowiaduję, co chce, żebym robił, nie mogę się nie uśmiechnąć całą gębą. Prosi mnie, żebym sprzedawał dla nich narkotyki.

Moja nowa robota jest fantastyczna. Dają mi crack i heroinę podzielone na dwugramowe woreczki dwukrotnie owinięte w folię samoprzylepną. Przenoszę ich w ustach blisko trzydzieści. Chodzę po West Endzie i je sprzedaję, ale na początku,

kiedy wychodzę ze sklepu, ze względu na woreczki nie mogę mówić. Zaczynam się odzywać dopiero wtedy, gdy kilka sprzedam. W zależności od popytu kasuję od siedmiu do dziesięciu funtów za działkę, a kiedy opróżnię już policzki, wracam do Wilfa, oddaję mu kasę i ładuję się na nowo. Z czasem, kiedy nabywam już trochę doświadczenia, mogę zmieścić w ustach nawet więcej. Pięćdziesiąt woreczków — i wyglądam jak chomik.

Gdy sprzedam trzydzieści, zatrzymuję pięć. Dlatego ta robota jest taka dobra. I dlatego ją kocham. Mam stałych klientów, kupę roboty, sławę popularnego dealera i trzymam z gangsterami. Dlaczego czasem tak okropnie się czuję? Bo teraz wiem już na pewno, że jestem niepokonany. We własnych oczach to ja jestem panem na West Endzie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Siedzę na schodach prowadzących do stacji Piccadilly Circus, obok mnie przebiegają stopy. Całą noc brałem crack, więc nie zacznę swojej narkotykowej roboty wcześniej niż za parę godzin, ale nie mogę się już doczekać strzału. Jestem zdesperowany, ale zmęczony, zbyt zmęczony, by coś ukraść i zarobić na działkę. W moich krokach nie ma sprężystości, jedynie bolące stopy. Żaden ze mnie wielki gangster — rzeczywiste są tylko te wszystkie ponure miejsca, które się we mnie otwierają.

Komisja w mojej głowie już zaczyna swoją gadkę. Jestem zły. Nikt się mną nie przejmuje, bo nie jestem tego wart. Znaczą mniej niż śmieć, bo śmieci ludzie przynajmniej sprzątają, a mnie nikt nawet nie widzi. Ci wszyscy ludzie przechodzą szybko obok mnie, bo jestem dla nich niewidzialny.

Przed toaletami cicho żebrze Dave, jak zwykle ze skulonym obok niego Bootsem. Dave jest typem żebraka pokornego, który nie chce zawstydzać ludzi ani zmuszać ich do patrzenia na niego, a oni nie tylko dają mu pieniądze, ale czasami się zatrzymują i z nim rozmawiają. Z Dave'em nie trzeba długo rozmawiać, by się przekonać, jaki jest. To ktoś zbyt dobry jak na ten zły świat.

W tej chwili pochyla się nad nim jakaś dziewczyna. Chyba jest Azjatka. Wygląda na bogatą. Można się tego domyślać po charakterystycznej fryzurze na boba z grubych, ciemnych włosów. Po butach. Po ubraniu: apaszcze od Burberry i jasnokremowym trenczu przeciwdeszczowym. Widziałem takie ubrania w markowych sklepach, które nieraz mijam. Zaczynają się na V. Valentino? Versace?

Widzę, jak Dave podnosi się i odchodzi razem z dziewczyną, Boots jak zwykle krok za Daveem. Idą w moją stronę. Zatrzymują się przy mnie.

— To mój kumpel, Mark — mówi Dave grzecznie. A do mnie: — Idziemy na jakieś śniadanie.

— Idziesz z nami? — pyta kobieta. Ma około dwudziestu pięciu lat, jest ładna i bogata. Nie wydaje mi się, żebym wcześniej się gdzieś umawiał, więc wstaję.

— Skąd jesteś? — pytam.

— Z Japonii.

— Ach, z Japonii. Fajnie. — Dave zerka na mnie. Jego wzrok mówi: kurwa, Mark, co ty wiesz o Japonii? Odpowiadam mu spojrzeniem. Mówi ono: — Ta kobieta zwiastuje dobrą nowinę. Możesz ją naciągnąć na kupę kasy, Dave.

Prowadzimy ją przez nasz świat wzdłuż Rupert Street. Kiedy widzi, że zatrzymujemy się przy jakimś sklepie, pyta, co chcemy.

— Parę puszek piwa świetnie by pasowało do naszego śniadania — mówię, a ona zabiera nas do sklepu i kupuje nam po dwie puszki, jakby to było normalne, ale może faktycznie ludzie w Japonii piją to na śniadanie.

Idziemy przez Wardour Street i wzdłuż alejki Raymonds Revue. Japonka ma na nogach niskie szpilki, które stukają —

klik—klak, klik—klak. Pada deszcz. Kobieta zapina swój elegancki kremowy trenecz.

Zatrzymujemy się w jakimś barze—spelunie. Japonka zgrabnie sadowi się na krześle w swoich ładnych ciuchach i nawet jeśli zwykle nie jada w takich miejscach, to nam tego nie okazuje. Zamawiamy gigantyczne porcje śniadania i wcinamy, popijając piwem. Kobieta zamawia tylko kawę. Przez cały czas zagadujemy ją z Daveem. Każda dziewczyna byłaby zachwycona naszym dowcipem i czarem. Pyta nas o życie na ulicy, więc opowiadamy jej kilka historii; za każdym razem, gdy spotykam wzrok Dave'a, jest w nim coś, co mówi, że próbuje ją naciągnąć na mnóstwo, naprawdę mnóstwo forsy.

Nie potrafię usiedzieć zbyt długo w miejscu, a przy tym potrzebuję strzału — tej potrzeby nie zaspokoi żadne, nawet pełne angielskie śniadanie — mówię więc w pewnym momencie, że muszę teraz pójść kupić coś dla siebie i Davea. Kobieta sięga po swoją brązową, skórzaną, markową torebkę i pyta, ile potrzebuję. Szacuję zakupy na czterdzieści funtów. Widzę, że w portmonetce ma całe setki więcej. Uśmiecha się do mnie, a jej uśmiech jest miły. Włosy opadają jej na oko, więc je odgarnia. Jest ładna, bez żadnego fałszu.

Mówię Davebwi, że za chwilę wracam, i odchodzę z gotówką. Wie, po co idę. Ledwie wychodzę z baru, oni pogrążają się znów w rozmowie. Tak bardzo, że gdy już mam towar, zaczynam myśleć, że Dave zamierza ją naciągnąć na znacznie więcej niż czterdzieści funtów. Mógłbym równie dobrze zatrzymać działki tylko dla siebie. Kiedy daję sobie w kanał, zapominam do nich wrócić.

Do końca dnia zajmuję się swoimi sprawami, jestem załatany i przestaję myśleć o Davie i Japonce. I wtedy, tuż przed północą,

znów ją widzę. Idę Shaftesbury Avenue, a ona stoi pod strażą pożarną w Chinatown i wymachuje do mnie zawzięcie.

— Mark! Mark!

Podchodzę do niej. Wygląda na niespokojną. Pyta, czy nie widziałem Dave'a.

— Nie, dlaczego?

— Poszedł, bo miał mi coś przynieść, ale nie wrócił.

— Co miał ci przynieść? — pytam. A więc otworzyła podwoje swojej portmonetki przed Dave'em, a on gdzieś tam sobie teraz przeżywa odlot. Ale ona traktuje moje pytanie poważnie, sięga do torebki i wyjmuję wizytówkę.

— Nie umiem tego wymówić...

Na jednej stronie wizytówki jest nazwa hotelu przy Baker Street. Na odwrocie dziewczyna napisała słowa, których nie potrafi wymówić. Cyjanek potasu.

Wlepiam w nią wzrok.

— Cyjanek potasu? — pytam. — Cyjanek?

Dziewczyna tłumaczy mi łamanym angielskim, że chce się zabić. Ma depresję i nie chce wracać do Japonii, gdzie rozwozdi się z brutalnym mężem, który ją bił i wykorzystywał. Woli umrzeć.

— No, nieee, daj spokój — mówię, choć mam już niecny plan.

— Nie może być aż tak źle. Popatrz na mnie, mieszkam na ulicy, a mimo to wciąż się uśmiecham.

Pokazuję w uśmiechu rząd zepsutych zębów. Ale jej to nie bawi. Chce swój cyjanek, a Dave powiedział, że jej go przyniesie.

Oczywiście, Dave ją oszukał, ale ponieważ zniknął, mówię, że w takim razie może ja mógłbym jej pomóc.

— Ile Dave chciał od ciebie wziąć? — pytam.

— Dwieście funtów.

Dwieście funtów! Proszę, pozwól mi sobie pomóc.

— Dave nie wzięć tych pieniędzy. Pieniądze tutaj.

Więc Dave jej nie naciągnął. To znaczy, że ja mogę! Spoglądam w niebo. Dzięki ci, Boże.

Idziemy razem w kierunku Oxford Street, a ja staram się niby odwieść ją od pomysłu zabicia się, tyle że tak bardzo to się znowu nie staram, bo jeśli ona naprawdę chce umrzeć, wtedy ja dostanę dwieście funtów. Przy końcu Charing Cross Road skręcamy w prawo, a tam, niedaleko przystanku autobusowego, kręci się pełno czarnych dealerów. Ci to zawsze wyglądają głupkowato. Udają, że czekają na autobus, chociaż każdy widzi, że sprzedają narkotyki.

Biorę kobietę na bok i mówię: — Tamci mężczyźni mają to, czego chcesz.

— Ile? — pyta.

— Dwieście funtów — mówię, a ona sięga do torebki, wyjmuję portmonetkę i podaje mi kasę. Dotyk banknotów jest tak miły, że rozgrzewa mi dłoń.

— To teraz potrzymaj moją torbę — instruuję ją. — Będziesz miała pewność, że nie ucieknę. — Co za pomysł, żeby tak powiedzieć. Po pierwsze, nie przyszło jej nawet do głowy, że mógłbym to zrobić; jest prostolinijna i łatwowierna. Po drugie, w mojej torbie jest karniak, parę igieł, trochę kwasu cytrynowego, butelka brudnej wody i pół snickersa. Nie jest warta dwóch funtów, a co dopiero dwustu. Ale kobieta trzymają blisko siebie, jakby to był co najmniej Versace.

Kupuję po cztery działki cracku i heroiny. Dostaję niezłą cenę, a resztę zatrzymuję dla siebie. To nie jest cyjanek potasu,

ale jeśli ona nigdy nie brała twardych narkotyków, to działka każdego z nich z pewnością ją zabije. Żeby jednak mieć pewność, że dostanie to, czego chce, zamierzam jej dać po dwie działki.

Prowadzę ją na podjazd przy podziemnym parkingu. O tej porze, w nocy, jest tu spokojnie, słychać tylko jejki ćpunów. Daję jej dwie działki hery i dwie cracku, kwasek cytrynowy i sprzęt i tłumaczę, jak ma to wziąć. Słucha uważnie. Prosi, żebym powtórzył jeszcze raz. Przytakuje. No, to już ma, czego szukała. Teraz pojedzie do hotelu, żeby to zrobić.

Rozgląda się wokół. — Gdzie dzisiaj śpisz?

— Pewnie gdzieś w pobliżu. Pod jakimiś drzwiami.

Potrząsa głową.

— Nie. Zapłacę ci dziś za hotel.

Wsiadamy do taksówki. Nic nie mówimy. Japonka wygląda na bladą i przestraszoną. Czy ona na pewno zamierza się zabić? Chcę coś powiedzieć, ale macha ręką, żebym nic nie mówił. Już zdecydowała. Gdy jesteśmy między Russel Square i Kings Cross, pokazują tani hotel. Daje mi sześćdziesiąt funtów i się żegnamy. Patrzy za mną, kiedy wchodzę do środka, a gdy odwracam się w holu, widzę, jak odjeżdża z markową torebką, w której są narkotyki, odjeżdża, żeby zabić się w swoim hotelu.

W recepcji siedzi jakiś Rusek. Boję się, czy pozwoli mi się tu zatrzymać, ale prawie na mnie nie patrzy. To jedno z tych miejsc, gdzie wynajmuje się pokoje na godziny i nikt o nic nie pyta.

Idę do pokoju, gratulując sobie lukratywnej wieczornej roboty. Mam narkotyki, łóżko, nawet pieniądze, i teraz mogę sobie dać w żyłę. Jak zwykle, gdy tylko mija kop, dopada mnie paranoja, ale tym razem jest inaczej. Na myśl o tym, co właśnie zrobiłem, przerażenie ścina mnie z nóg. Ta kobieta chciała się

zabić, a ja jej pomogłem. Równie dobrze mogłem jej walnąć igłę w ramię. Równie dobrze sam mogłem ją zabić. I prawdopodobnie ją zabiłem.

Jestem tak zszokowany, przerażony i żałosny, że w tej chwili chciałbym umrzeć. Po cracku paranoja jest silniejsza niż poczucie winy. Z pewnością mnie znajdą i zaarrestują. Rzucam się na podłogę i przykładam ucho do szpary, przez którą widać światło. Czy ktoś się tam rusza albo rozmawia? Czy już po mnie idą? Nasłuchuję tak usilnie, że nie śmiem nawet oddychać. W końcu zasypiam. Budzę się na podłodze. Wychodzę z hotelu i idę kupić towar.

Kiedy wpadam na Gingea, opowiadam mu całą historię. Nie mogę przestać o tym myśleć. Ginge słucha i nic nie mówi, ale szybko się dowiaduję, że powiedział o wszystkim Dave'owi, bo każdy, kogo mijam, ma dla mnie jakąś wiadomość. Dave jest wściekły. Dave mnie szuka. Kiedy następnym razem spotykam Gingea, mówię mu, że Dave jest wściekły pewnie dlatego, że to on chciał położyć łapę na tamtych dwustu funtach, ale Ginge mówi, że nie, że Dave wpadł w szal, bo dałem Japonce te narkotyki, a nie powinienem. Wiem, że Dave ma rację, i to boli.

Przez jakiś czas nie zachodzę w pobliże Piccadilly Circus. Zajmuje mnie moje pracowite życie. Ale cały czas mam świadomość, że kogoś zabiłem. I nie był to ćpun, jak John z West Country albo niezliczone osoby, którym sprzedawałem dragi. To była załamana młoda kobieta z odległego kraju. Tak, Dave ma rację, że się wścieka. Ale ten rodzaj ukłucia w sercu mogę szybko przyćmić strzałem.

Kilka dni później znajduje mnie Dave. Nie jest sam: towarzyszy mu paru kolesiów.

— Szukałem cię! — drze się, a jego twarz jest czerwona, wściekła i wykrzywiona. — Jak ty jej to mogłeś, kurwa, zrobić? Ty pieprzony gnoju!

— Nie wiesz nawet, kurwa, czy nie żyje! — krzyczę.

— Wiem! Wiem! Miała się ze mną spotkać, ale nie przyszła. Kurde, Mark, ona była cudowna. Dlaczego dałeś jej heroinę, crack i ten sprzęt?

— Ty byś zrobił tak samo — mówię obruszony.

— Nie zrobiłbym! Kurwa, Mark, nie zrobiłbym!

Uświadamiam sobie, że mogłem ją oszukać, dając jej puste woreczki. Więcej kasy dla mnie, a ona by żyła. Mogłem też uciec z tamtymi dwustoma funtami, zostawiając jej swoją brudną torbę pełną igieł. Ale zamiast tego skwapliwie dostarczyłem jej samobójczą broń.

— Mam cię, kurwa, ochotę zabić! — wrzeszczy na całe gardło Dave.

Podchodzi do mnie, ale jestem szybki. Wyciągam nóż i kieruję w stronę Dave'a i otaczających go koleśków.

— Odpierdol się, kurwa. Jeśli się do mnie zbliżysz, to cię, kurwa, zarżnę!

Ulicą przechodzą zwykli ludzie. Nie patrzą na nas, omijają nas szerokim łukiem z wyrazem niesmaku na twarzach. Bo jesteśmy ulicznymi ćpunami, przeklinającymi i wszczynającymi burdy, pewnie bez żadnego powodu.

Dave odwraca się i odchodzi. Cieszę się, że jest już po tej konfrontacji. Unikałem jej od dobrych kilku dni. Ale w pewnym sensie to nie koniec. Muszę żyć ze świadomością, że zabiłem tamtą Japonkę, i muszę żyć na ulicy bez Dave'a i jego przyjaźni. Bez Dave'a, który niczym troskliwy rodzic zawsze był gotów mi

pomóc, kiedy byłem w strasznym stanie. Dave'a, jedyne go człowieka, który martwił się o moje zdrowie, mówił, żebym poszedł do lekarza, zabrał mnie do kliniki, żebym wyleczył swoje stopy.

Popadam w głęboką depresję, z której nawet narkotyki nie mogą mnie podnieść. Izoluję się, chodzę na inne podwórka, śpię pod innymi drzwiami.

Kiedy budzę się w drzwiach opuszczonego sklepu, klekoczę tak bardzo, że czuję, iż to zwariowane życie mnie przerosło. Jestem taki słaby, zbyt słaby. Nie mam już siły, żeby chodzić za tym wszystkim. Wydaje mi się, że od lat najbardziej bałem się choroby. Całe życie próbowałem uniknąć kłopotu, a teraz już nie mogę wyrzesać z siebie siły, żeby z nim walczyć. Poddam się. Nie ruszę się stąd, będę tak klekotał i klekotał, będę się w tych drzwiach drapał z powodu wszy, aż umrę.

Po chwili, jak zawsze, dolegliwości fizyczne stają się silniejsze od depresji. Kiedy jestem cały rozpalony, a moje ciało rozpada się pod wpływem bólu, podciągam się i staję na nogi. Próbuje się podnieść ostrożnie, jak staruszek, bo gdy zginam nogi, czuję, jakby rzepki chciały wyskoczyć z moich kolan, bo w nogach nie mają już w ogóle tłuszczu.

Stopniowo, powoli, zaczynam się ruszać. Moje stawy to zardzewiałe tłoki. Wprawiam je w ruch. Ociężała, stara maszyna zaczyna pracować. Strupy na moich stopach są teraz sforą wilków, które wyrwiają z nich mięso. To inny rodzaj bólu niż kłopot, bardziej powierzchowny i bardziej irytujący, ale łatwiejszy do wytrzymania.

Wpadam na Gobbyego Gaza, niegdysiejszego modela, teraz wyniszczonego wirusem. Pokrywają go otwarte ropnie i cały gnije od środka, czuć to po woni, jaką wydaje. Daje mi dragi.

Wstrzykujemy sobie *razem* z wieczka puszki po coli, wymieniając się igłą i krwią.

Dziesięć minut i powinienem znowu być sobą, na powrót w akcji. Zajęty, zajęty, zajęty, to cały ja po strzale. Ale crack nie daje mi zbyt wielkiego kopa. W rakiecie kosmicznej brakuje paliwa, zanim dolatuje na skraj ziemskiej atmosfery. Nie ma dziś żadnego okrążania Słońca, jest za to tragiczne lądowanie. A heroina prawie w ogóle nie poprawia sytuacji. Mój fizyczny ból nie zniknął. Podobnie jak depresja.

Ostatni strzał, jaki wzięłem, wyglądał jak mokre fajerwerki w Noc Guya Fawkesa [angielskie święto ludowe — *przyp. tłum.*]. A przedostatni wcale nie był wiele lepszy.

Możliwość, że dragi nie działają już na mnie tak jak wcześniej, sprawia, że czuję się jak w zasadzce. Jestem szokowany. Prerażony. Narkotyki mnie opuszczają! Przepęlnia mnie żal.

Stoję w jakimś przejściu i spoglądam w ciemniejące niebo. Zaczynam płakać. Całym moim ciałem wstrząsa szloch. Płaczę tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Gobby mi się przygląda. Potem obejmuje mnie ramieniem. Przechodnie gapią się albo szybko odwracają głowy, a ja wypłakuję swoje serce. Mam dwadzieścia dziewięć lat i jestem w rozpacz.

Właśnie zaczęło padać. Za rogiem jest kościół z dziedzińcem, a na dziedzińcu stoi drzewo, które lubię, i teraz pod nie idę. Drzewo jest bardzo niskie. W jego wiecznie zielonych igłach kryją się maleńkie szyszki. Szerokie gałęzie rozkładają się nad kamieniami, którymi wybrukowano dziedziniec, i niemal ich dotykają. Kładę się na plecach i wsuwam pod nie.

Tutaj jest inny świat. Świat bez ludzi, świat drzewa. Pod tymi grubymi gałęziami jest sucho i jakoś tak dziwnie ciepło. Nie

dotarł tu kurz ulicy i przechodzących stóp, a igły tego drzewa mają świeżą, ciemną zieleń, zieleń odległego lasu. Pień wznosi się ku górze, ale nie widzę wierzchołka, bo zasłaniają go gałęzie. Może wcale nie ma wierzchołka. Może świat drzewa jest nieskończony. Gałęzie, oblepione przylegającymi do nich igłami, zdają się mnie tulić. Obejmują mnie. Czuję się tu bezpiecznie. Drzewo się o mnie troszczy. Opiekuje się mną.

Kiedy nabieram siły, przechodzę na Old Compton Street, zwijam się w kłębek pod jakimiś drzwiami i zasypiam. Rano budzę się obolały i odnoszę wrażenie, że jakaś para stóp minęła mnie i zawróciła. Może ktoś da mi jakieś pieniądze albo będzie próbował ze mną porozmawiać, a może mnie pobije. Kulę się.

Para stóp stoi teraz dokładnie przede mną. Słyszę jakiś głos: — Mark? Mark Johnson? Czy to ty? — To nie jest głos żadnego ćpuna. To jest głos z planety Normalność.

Powoli spoglądam w górę, rozprostowuję się, żeby lepiej widzieć. Twarz mężczyzny jest zwrócona prosto na mnie i znajoma. Duże brązowe oczy, oliwkowa cera, zadbana i lśniąca. Gość jest szczupły i zdrowy. Modnie ubrany. Atrakcyjny. Tylko kto to jest? Ktoś z innego miejsca i czasu. Kto? Skąd?

— Mark, to ja, Sean Evans.

Sean Evans...

— Z Nottingham. DIY? Znajomy Ange?

Ange, artystka, którą poznałem bliżej mniej więcej w tym czasie, gdy odeszła ode mnie Rosie i próbowałem studiować fotografię. Ange, która projektowała elementy scenografii dla DIY. Sean to jej znajomy gej, spotkałem go w Nottingham. Studiował socjologię i zawsze stał na końcu tłumu DIY. W tym momencie Sean Evans idzie po Old Compton Street w Londynie i widzi mnie

śpiącego pod jakimiś drzwiami. Jestem zbyt zmęczony, żeby czuć wstyd. Jestem niemal zbyt zmęczony, żeby mówić.

Próbuję się z nim przywitać. Ale już nawet nie wiem jak. Nie pamiętam, jak się uśmiechać.

— No, panie Johnson! — Mężczyzna krzyżuje ręce na pierśsiach. — To niech mi pan teraz powie, co pan tu robi?

Wszystkie te szalone chwile, długie, szczęśliwe noce, zwariowane imprezy, wspaniała muzyka, dobre dragi, przyjaźnie, cała tamta młodość i piękno, błogosławieństwo boga Pana, to wszystko doprowadziło mnie pod jakieś drzwi na Old Compton Street.

Mówię: — Pogubiłem się.

Sean jest niezwykle stanowczy: — Ach, taaak. Nic z tego. Mogę ci pomóc.

Patrzę na niego. Nikt nie może mi pomóc. Chyba że właśnie idzie po narkotyki i zamierza mi coś odstąpić.

Sean kontynuuje: — Pracuję teraz w Londynie. Dla Punktu Zwrotnego.

Punkt Zwrotny. Czy nie tak nazywała się organizacja, która prowadziła tamten wielki, stary dom w Birmingham, do którego trafiłem na odwyk jakiś milion lat temu?

— Jesteśmy przy Wardour Street. Moja praca polega na pomocy uzależnionym od narkotyków, mogę pomóc także tobie.

Robi śmieszny gest, jakby był dobrą wróżką i chciał powiedzieć: Oto jestem, żeby ci pomóc. Więc ja chyba jestem Dorotką i właśnie spotkałem stracha na wróble, lwa i drwala w jednym. Wiem, że w ramach akcji społecznej po ulicach chodzą jakieś brygady, które mają wyszukiwać osoby mojego pokroju, ale do tej pory nikt taki mnie nie znalazł. Nie chodzę do schronisk, bo się boję, że mnie tam napadną i będą się nade mną zęcać. Nie

kręcę się przy garkuchniach. Jestem samotnikiem. Z wyboru. Ale inni co rusz znikają z ulicy na skutek działania tej akcji społecznej i czasem wygląda to tak, jakby pomagała ona wszystkim oprócz mnie, jakbym prześlizgiwał się przez każdą sieć, bo jestem niewidzialny.

— Jeśli chcesz przestać brać, Mark, mogę ci pomóc.

Oczywiście, że chcę skończyć z dragami, chcę skończyć z tym obłądem, w którym żyję. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogłoby wyglądać inne życie.

— Chodź więc ze mną, panie Johnson, i zobaczymy, co się da zrobić.

Ale ja jeszcze nie jestem gotowy. Muszę to przemyśleć. Próbowiałem rzucić ulicę na Boże Narodzenie i to była katastrofa. Więc Sean daje mi namiary na Punkt Zwrotny, a ja obiecuję, że zjawię się tam później. Mija kilka dni, zanim decyduję, że chcę się zobaczyć z Seanem. Jest kimś z innego świata, kto pamięta, że nie zawsze byłem włóczęgą, nie zawsze byłem niewidzialny.

W biurze jest biało jak w klinice, jakby urzędnicy państwowi zaprojektowali je z myślą o tym, żeby ludzie czuli się w nim źle. Ale Sean wita mnie ciepło. Zna dawnego Marka i sprawia, że czuję się kimś wyjątkowym, kimś innym niż ludzie z ulicy. Wychodzimy do baru na filiżankę herbaty. Sean pyta, czy na pewno chcę rzucić heroinę. Jasne, że chcę. Bezwarunkowo. Mówi, że spróbuje mnie umieścić na detoksie.

— To nie działa — mówię. Wiem wszystko o miejscach, w których stosuje się detoks. Przez cały pobyt tylko klekoczesz, a potem wracasz prosto do narkotyków.

— Działa, jeśli się tego chce. I na pewno nie jest tak, że się wychodzi po detoksie i mówi: lepiej mi. Ludzie, którzy chcą

wyzdrowieć, potrzebują ogromnego wsparcia. Więc później idzie się na terapię.

Terapia. No, tak, moje ostatnie z nią doświadczenie to był jakiś żart.

— Na pewno chcesz przestać? — Sean lustruje mnie swoimi wielkimi, brązowymi oczami. — Niektórzy muszą sięgnąć dna, zanim stają się na to gotowi.

Każdej nocy śpię na ulicy, żyję z kombinowania i oszukiwania — czy można upaść jeszcze niżej?

Potem przypominam sobie moje inne dna. Dno więzienia, gdzie wylądowałem, nie pamiętając dokładnie tego, co zrobiłem. Dno, z którego wysyłałem swoją dziewczynę—prostytkę w poszukiwaniu innych mężczyzn, żebym ja mógł dostać crack. Dno rozwalania sobie głowy narkotykami i samounicestwienia. Dno, na którym byłem z synem i nie zajmowałem się nim, dawałem sobie w żyłę na tylnym siedzeniu, a jemu rzucałem cukierki na przednie siedzenie, żeby go uciszyć. Dno amerykańskiego tournée, kiedy to zrobiłbym wszystko za narkotyk, po którym nie myślałbym o heroinie. Dno włóczęgi po najgorszych osiedlach w poszukiwaniu towaru. Dno spotkania ze swoimi dziećmi w obecności setek przenikliwych spojrzeń. Ale żadne z nich nie było prawdziwym dnem. To były tylko półki w oceanie, na których się zatrzymywałem, opadając coraz niżej. Dno osiągnąłem teraz. Jestem na ulicy, wychudzony, samotny, a narkotyki przestały na mnie działać. Tak, Sean, proszę, teraz naprawdę chciałbym się zmienić.

Rozdział trzydziesty czwarty

Gdy następnym razem wpadam do Punktu Zwrotnego, Sean mówi, że nie udało mu się jeszcze znaleźć dla mnie miejsca na detoksie, ale do tego czasu umieści mnie w przejściowym schronisku, żebym miał pokój i łóżko.

Idę do tego schroniska, znajduje się przy Endsleigh Gardens, w pobliżu stacji Euston. Pokazują mi pustą dwójkę. Nie wiem, z kim będę ją dzielił. Wychodzę na zewnątrz, za mną podąża grupa kolesiów ze schroniska. Wystarczył im rzut oka i już wiedzą, że mam przy sobie towar. Za rogiem otaczają mnie.

- Dawaj. - Nie proszą, tylko żądają.

Ja na to: - Chrzańcie się. - I zwiewam tak szybko, jak tylko mogę. Może miałbym dzielić pokój z jednym z nich. Więc nie wracam tam na noc. Zamknięty w budynku staję się niespokojny, a łóżka są mi już zupełnie obce.

Ponieważ schronisko mieści się niedaleko biura zasiłkowego, postanawiam, że będę się starał o wypłatę świadczenia za zeszły rok. Mówią, żebym przyszedł później odebrać część pieniędzy. Ale także tu są kolesie ze schroniska. Znów mnie otaczają.

— Dawaj kasę — mówią. Udaje mi się jakoś wywinąć, ale teraz cały czas się rozglądam. Codziennie wbiegam do schroniska, żeby się pokazać, a potem, bez zaglądania do swojego pokoju, wybiegam. Nie chcę znów spotkać tych gości, bo gdy tylko jeden z nich mnie widzi, zaraz pojawia się cała reszta. Są jednolitą, zwartą masą przemocy, wykrzykującą pogroźki pod moim adresem. Jestem tak chudy, że nie dałbym rady im się przeciwstawić. Od tej pory moje wizyty w schronisku nie trwają dłużej niż pół minuty. Ale podczas jednej z nich znajduję wiadomość od Seana. Idę na detoks.

Detoks. Słowo to wsiąka we mnie. Detoks oznacza koniec z dragami. Tego przecież chciałem, prawda? Myśl o życiu bez narkotyków sprawia, że czuję się nagle pusty i przerażony. Jak mógłbym bez nich żyć? Przecież narkotyki są całym moim życiem. Żeby ulżyć sobie w niedoli, która mnie czeka, biorę teraz tyle, ile tylko mogę. I nie mam już żadnych wątpliwości, że heroina i kokaina tracą swoją moc. Dopadają mnie klekot i paranoja, ale wcześniej nie dostaję wystarczającego kopa. Więc teraz moje branie sięgnęło zenitu — jest jedną wielką pogonią za kopem. Nie mogę, nie dam rady tak dalej.

Detoks odbywa się w Ośrodku Diagnostyczno—Kryzysowym Equinox na południowym brzegu rzeki, przy Brook Drive, długiej ulicy między stacjami Elephant, Castle i Lambeth. Budynek z czerwonej cegły jest odnowiony. Większość osób przebywających w ośrodku to uliczni alkoholicy, niektórych znam. W niedzielę, zanim pojawiają się dealerzy, chodzę czasem do Covent Garden, żeby się czegoś napić na uspokojenie, zanim kupię towar. Zwykle popijam Special Brew, napój, który chętnie wstrzyknąłbym sobie bezpośrednio w żyłę. Mogę też wypić

sherry, wódkę, szkocką lub cokolwiek innego, co akurat krąży między zebranymi tu pijakami. Pijacy różnią się od ćpunów i ich życie biegnie według innych schematów. Przeważnie są starsi, wielu pochodzi ze Szkocji albo Irlandii, mają czerwone twarze i spuchnięte nosy. Spotkanie ich tutaj to jak spotkanie ze starymi przyjaciółmi.

Przechodzę klekot i ból, pocę się, klnę i się trzęsę, jak zwykle. Przez pierwsze dziesięć dni pomaga mi metadon. A potem, jedenastego dnia, metadon się kończy i spadam w przepaść. Przerazenie. Rozczarowanie. Panika. Brak celu. Osamotnienie. Potworne myśli, które narkotyki zwykle trzymają na uwęży, teraz zalewają mi umysł. Moje dzieci: nie znają mnie. Tamta Japonka: zabiłem ją. Moja rodzina: nie chce mieć ze mną nic wspólnego... Potrzebuję heroiny. Straszliwie. Potrzebuję jej, żeby uleczyła głębokie rany w mojej duszy.

Dwunastego dnia jestem rozdrażniony do granic możliwości i czuję się jak potwór złożony wyłącznie z bólu i niedoli — i wtedy właśnie przychodzi jakiś dzieciak z ulicy i zaczyna się ze mną kłócić o to, jaki program telewizyjny będziemy oglądać w świetlicy. Podskakuje i chwyta popielniczkę; wydaje mi się, że zamierza mnie nią uderzyć, więc go gryzę. W głowę. Wyje i wybiega ze świetlicy, próbuje mnie tam zabarykadować. Zbiega się personel. Patrzą na mnie z grobowymi minami. Kręcą głowami.

— Nic nie zrobiłem!

Ale pokazują ślady po zębach na głowie dzieciaka.

Mówią: — Mark, musisz odejść.

Jestem bliski płaczu. Nie chcę odchodzić. Przeszedłem najgorsze cierpienie związane z odstawieniem narkotyków, ale sam nie dam rady ich nie brać. Zaczynam się spierać, podkreślając,

że to, kurwa, ten głupi dzieciak sprowokował bójkę. Mówią, że nie chcą mnie wyrzucać, ale zasady są zasadami, skóra dzieciaka została naruszona, więc muszę odejść. Widzę, że ich też to boli. Wszyscy bardzo starali się mi pomóc przejść przez klekot.

— Możemy cię przyjąć na nowo po upływie dwudziestu ośmiu dni — mówią. Organizują dla mnie łóżko w tamtym schronisku przy Euston. Wsadzają mnie do taksówki i odsyłają. Stojąc w drzwiach, mówię jeszcze: — Zabijecie mnie, kurwa.

Jedna z kobiet potrząsa głową. I mówi cichym, zrezygnowanym, typowym dla nich głosem: — Nie, Mark, sam się zabijesz.

No, więc jestem na zewnątrz, oczyszczony z narkotyków, i się boję. Ulice są zimne, niebezpieczne, szalone. Jeśli sam nie zwariuję, nie poradzę sobie z nimi. Ale początkowo próbuję powstrzymać chęć wbicia sobie igły. W końcu przeszedłem już przez klekot, najgorsze za mną, jeślibym tylko wytrzymał te dwadzieścia osiem dni...

Świat jest stalowoszary. Ostry jak jakiś metalowy przedmiot. Boli mnie głowa. Boli mnie przy każdym najmniejszym ruchu. Nawet oddychanie mnie męczy. Wstawanie boli. Siadanie boli. Przeszłość boli. Wali we mnie serią strasznych obrazów wszystkiego, co powiedziałem lub zrobiłem. To jak największy, najgorszy kac, bo piłem nie tylko zeszłej nocy. Piłem całe swoje życie.

W schronisku dostają jedynekę, bo wiedzą już, że boję się znęcania. Są mili i nie rozwodzą się nad moją porażką na detoksie. Ale ja odczuwam ją dotkliwie. Miałem szansę się zmienić i nawaliłem. Jestem zdeterminowany, żeby niczego nie brać przez dwadzieścia osiem dni, do czasu gdy znów mnie przyjmą na detoks. Rozmawiam z pracownikami schroniska. Wszyscy rozumieją, jakie to trudne.

— Mark, będzie ci tutaj trudno *przez* miesiąc wytrzymać klekot w samotności — mówi Jo, pracująca tu blondynka. — Idź na jakieś spotkanie. Anonimowi alkoholicy często mają spotkania.

Przerywam jej.

— Nie jestem, kurwa, alkoholikiem. Jestem narkomanem.

— No, cóż, nie ma zbyt wielkiej różnicy, ale jeśli wolisz, są też anonimowi uzależnieni od opium, anonimowi uzależnieni od kokainy...

Przegląda książkę telefoniczną. Dzwoni gdzieś, a potem odwraca się do mnie.

— Dobra, Klub Anonimowych Uzależnionych od Opium ma za godzinę spotkanie przy Islington. Masz jakieś pieniądze?

Sprawdzam kieszenie. Dwadzieścia pensów.

Sięga do swojej torebki. — Tu masz jeszcze 1,80; za dwa funty dostaniesz się tam i z powrotem. Tu jest adres. Jedź na to spotkanie, ono da ci wsparcie, którego potrzebujesz, a może nawet zmieni twoje życie.

Zmieni moje życie? Nie umiem sobie tego wyobrazić. Ale przytakuję i biorę adres oraz funta osiemdziesiąt na autobus. Wychodzę na Euston Road. Powoli. Moje ciało nie chce nigdzie iść ani jechać, bo oddychanie pochłania całą moją energię, nie wspominając już o poruszaniu się. Widzę rząd przystanków autobusowych. Autobusy podjeżdżają jak wielkie robaki wsiadające pasażerów, a potem odjeżdżają dalej. W który autobus powinienem wsiąść? Gdzie dokładnie jest to miejsce przy Islington? W głowie mi się kręci, bołą mnie kości. Poruszam się z trudem. Pomógłby mi strzał. Teraz, po dwunastu dniach abstinencji, dałby na pewno jakiś konkretny efekt.

Patrzę na pieniądze, które z własnej torebki dała mi ta miła kobieta, i decyduję, że wsiądę do autobusu i pojedę na to spotkanie anonimowych uzależnionych od opium, żeby pomóc sobie nie brać. Gapię się na autobusy i mapy. Rozglądam się za kimś, kogo mógłbym zapytać. Przemierzam rynsztokiem rząd przystanków i na każdym sprawdzam rozkład. I wtedy go widzę. W rynsztoku pod moimi stopami. Leży tam i czeka, aż go podniosę. Banknot dwudziestofuntowy.

Rzucam się na niego, a potem stoję, trzymam go w dłoni i mu się przyglądam. Dwadzieścia funtów. Przez kilka sekund się waham. A potem, wyrzuciwszy z głowy miłą kobietę ze schroniska, uznawszy, że nie mam siły, by dotrzeć na to spotkanie, które mogłoby dać mi siłę, z dwudziestoma dwoma funtami w kieszeni zmierzam w kierunku West Endu — po towar. I kiedy daję sobie w żyłę, dostaję kopa, a klekot znika. Ból znika. Natychmiast. Świat, który był przewrócony do góry nogami, od czasu gdy poszedłem na detoks, wraca teraz do właściwej pozycji. Płaczę z ulgi.

Idę prosto do Wilfa z sex—shopu i tak się składa, że właśnie czeka na mnie trochę narkotyków do sprzedania. Pakuję je do ust.

— Gdzieś ty się podziewał? Myślałem, że nie żyjesz! — mówi każdy, kogo spotykam. Myślę sobie: — Nie miałem tyle szczęścia. — Ale nie odpowiadam, bo w ustach mam trzydzieści działek heroiny i cracku.

Po sprzedaniu wszystkiego zatrzymuję się na chwilę w Punkcie Zwrotnym.

— Co się stało? — jęczy Sean.

— Byłem taki rozdrażniony, a ten dzieciak mi zagroził, no, to go ugryzłem, więc mnie wylali.

— Chcesz spróbować jeszcze raz?

— Tak, tak, chcę. — Łatwo to powiedzieć i tak myśleć, gdy otula mnie jeszcze ostatni strzał.

— Dobra, przyjmujemy cię z powrotem za dwadzieścia osiem dni, zajmę się tym zaraz — mówi Sean.

Ponieważ dali mi jedynekę, próbuję spać w schronisku. Ale nie spędzam tam zbyt wiele czasu ani tam niejadam, bo wróciłem do swojego świata chaosu.

Po kilku szybkich sprzedażach wracam do sex—shopu, żeby się załadować, i przyłapuję Wilfa, jak podkrada z kasy. W sklepie nikogo nie ma, żadnych obleśnych typów oglądających filmy pornograficzne, magazyny i kasety wideo ułożone na starych drewnianych półkach. Tylko Wilf, sam na obłączającym dywanie, okradający swoich szefów.

— Wiem, co robisz — mówię.

Wilf jest przejęty. To młody gość, w okolicach dwudziestki, musi więc wiedzieć, że jego kariera w tym seksbiznesie będzie raczej krótka: pornografia jest nielegalna i jeśli policja trzy razy zrobi nalot na taki sklep, aresztuje sprzedawcę. I ten zwykle idzie siedzieć.

Mówię: — Wiem, co robisz. Więc dawaj. Albo będę zmuszony podkablować cię twoim szefom.

Wilf nie chce podpaść szefom. To gangsterzy i Bóg raczy wiedzieć, co mogliby zrobić. Ja jestem tylko gościem z ulicy, który zawsze był w miarę miły, więc Wilf nie ma wielkiego problemu z tym, żeby przystać na moje żądanie.

Jest naburmuszony, ale po cichu daje mi część ukradzionych pieniędzy. Czterdzieści funtów w banknotach dziesięciofuntowych. No, to teraz mam jeszcze jedno źródło dochodów. Wilf

będzie kradł, a ja będę go codziennie oskubywał z czterdziestu funtów. Z pewnością wiem, jak *należy żyć* na ulicach Londynu. Też mógłbym być gangsterem. Może za miesiąc oleję ten detoks.

Ale nawet morze pieniędzy nie zaspokoiłoby mojego nałogu, który po dwunastu dniach klekotu wrócił teraz z siłą przypływu. Następnego dnia czterdzieści funtów, które mam wyciągnąć z prywatnego biznesu Wilfa, wydaje mi się mizerną sumą. Więc biorę czterdzieści rano, a po południu wracam po następne czterdzieści.

Wilf nie jest zachwycony.

— Daję ci wystarczająco dużo — mówi.

— Wsypię cię.

— Słuchaj, kurwa, wcale tak dużo stąd nie biorę.

Ale ja wiem, że bierze. Wiem, że próbuje mnie oszukać. Chcę więcej kasy, muszę dostać więcej kasy. A w dżungli robi się wszystko, żeby dostać to, czego się chce. Cały dzień kursuję i zastanawiam się, w jaki sposób mógłbym go oskubać, a kiedy dopada mnie desperacka potrzeba strzału, dopada mnie też desperacki pomysł. Zjawiam się w sex—shopie ze strzykawką. Na oczach Wilfa napełniam ją własną krwią.

— Mam wirusa — mówię. — I jeśli nie dasz mi, kurwa, tych pieniędzy, to wbiję to w ciebie.

Patrzy na igłę. Mówię przyjemnym półtonem, tak żeby żaden klient, żaden ramol przeglądający pornosy z kobietami w średnim wieku ubranymi jak uczennice nie wiedział, co tak naprawdę mówię. Ale Wilf wie. I się boi. Boi się mnie, boi się mojej igły i boi się AIDS.

— Okej, okej — mówi. Otwiera kasę i wyjmuje czterdzieści funtów. Kilka godzin później wracam i dostaję kolejne czterdzieści.

Następnego dnia wpadam do sklepu cztery razy i za każdym razem *czeka* na mnie czterdzieści funtów, które podaje mi bardzo zachmurzony Wilf. No, to mam sto sześćdziesiąt funtów plus darmowe narkotyki. Życie jest piękne. Już nie jestem zależny od tego niekończącego się łańcucha kradzieży, sprzedaży, kupowania, czekania i brania. Mam czas, żeby pokręcić się po Soho. Ale w nocy, napakowany crackiem, nie mogę spać i jestem czujny. Tak czujny, że w ciszy panującej przed świtem dostrzegam pośredników dostarczających do sex—shopu porcję narkotyków na jutro. Śledzę ich ukradkiem. Idę za nimi przez ciemne ulice. Idą szybko. Ja też. Idą wzdłuż Tottenham Court Road. Ja też. Zbierają się w parku w pobliżu metra Warren Street, który jest tak mały, że jeśli się zbliżę, aby zobaczyć więcej, zauważą mnie. Dowiem się, gdzie trzymają te narkotyki. Ale jeszcze nie teraz.

Rozdział trzydziesty piąty

Krażę po ulicach z narkotykami w ustach; mam kilku klientów, którzy czekają na towar. Wracam do sex-shopu, żeby się załadować, i widzę, że ludzie w środku to wcale nie bywalcy sklepu. Zatrzymuję się. Stoję już w drzwiach. Widzę szefa. To ten sam, który zaproponował mi robotę w handlu narkotykami. Zwykłem myśleć o nim „Meksykanin”, bo ma wielkie wąsy i ciemniejszą cerę, ale może być skądkolwiek. I teraz on patrzy na mnie.

— Witam — mówię grzecznie. Szef nie odwzajemnia powitania. Za nim dostrzegam szefa szefa, biznesmena w garniturze i sztybletach. Widziałem go już kiedyś, ale nie miałem okazji słyszeć i tym razem też nic nie mówi. Patrzy na mnie. Obok niego stoi ktoś trzeci, kogo nie rozpoznaję.

Triumfujący uśmiech Wilfa widzę tylko przez ułamek sekundy, bo dopada mnie Meksykanin. Doskakuje do mnie, bierze moje chude ciało za brudny kark i wrzuca przez szklane drzwi do wnętrza sklepu. Słyszę łomot. Dobiega z odległości, na jaką wzrok nie sięga. Szkło rozsypuje się gdzieś na innym kontynencie, ale echo nieskończonej ilości odłamków rozchodzi

się szybko po całym świecie. Odpływam wysoko nad sklep i przyglądam się z góry kościstemu gościowi, którego okłada trzech wielkich facetów. Słyszę te uderzenia, widzę pięści, a ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to podeszwa sztybleta zbliżająca się do mojej twarzy, wysoko nad nią zaś zimne oczy i szerokie wąsy. Przypomina mi się mój ojciec, jego nienawiść, gdy trzymał moją głowę nad ogniem. Smak metalu, krew spływająca po moim ciele. I wtedy się budzę. Leżę w łóżku. Czuję szeszczącą pościel, a wszędzie wokół znajomy zapach. Środka dezynfekującego.

Otwieram oczy i oślepia mnie flesz. Zamykam oczy. Dopada mnie klekot. Głowa, stawy, dreszcze, poty... na podstawie tego, jak bardzo źle się czuję, wiem, że musiało upłynąć sporo czasu, odkąd ostatni raz brałem heroinę. Znow otwieram oczy. Kolejny flesz. Zdjęcia robił zmieszany mężczyzna, który właśnie wychodzi.

— To dla policji — wyjaśnia, zanim znikną za drzwiami.

— Jest pan w szpitalu uniwersyteckim — mówi jakiś głos. Przekręcam głowę. Nade mną pochyła się pielęgniarka.

— Co się stało?

— Został pan pobity i porzucony na pewną śmierć — odpowiada. — Kilka dni był pan nieprzytomny. Policja chce z panem rozmawiać. Prosił mnie, żebym do nich zadzwoniła, gdy tylko się pan obudzi.

Bołą mnie oczy. Czuję, jakby ktoś mi odciął jedną rękę. Próbuję na nią spojrzeć. Nie widzę jej.

— Gdzie moja ręka?

— Mają pan. Ale została poważnie pokiereszowana i musimy zrobić panu rentgen.

Jęcząc, próbuję wstać z łóżka.

— Spokojnie. Stracił pan sporo krwi, rany ciągle nie wyglądają dobrze, a poza tym jest pan cały posiniaczony. Ma pan kilka urazów głowy: złamany nos, pełno siniaków, zdruzgotany jeden łuk brwiowy.

Au! Kiedy wylicza moje obrażenia, czuję je, jedno po drugim. Nie wiem, gdzie kończy się ból klekotu, a zaczyna ból odniesionych ran. Muszę się stąd wydostać, bo potrzebuję strzału. I wiem, gdzie dostać narkotyki. Są ukryte za stacją metra Warren Street. Oczy, nos, usta — wszystko nagle robi się mokre na myśl, co mogłoby tam na mnie czekać. Gdyby udało mi się wyjść z tego łóżka.

Zaspiając, rozważam, jak by tu poprosić tę pielęgniarkę o trochę przyjemnej, czystej, szpitalnej heroiny. Gdy się budzę, widzę przy łóżku jakiegoś mężczyznę. Nie ma na sobie munduru, ale jest policjantem. Wyczuwam ich zawsze na kilometr.

Zadaje mi pytania o napastników. Nie mogę na nie odpowiedzieć, bo się pogrążę. Mówię, że niczego nie pamiętam. Potem opowiada mi o tamtej bijatyce. O tym, że gdy policja przyjechała na miejsce zdarzenia, w sklepie nie było nikogo oprócz sprzątaczkę ścierającej z podłogi krew.

— Jakby przez podłogę i ściany przelała się fala krwi. Wysoka najakieś dwa metry.

— Jakiej krwi? — pytam.

— Pańskiej. Myśleliśmy, że to, co badamy, to jest miejsce morderstwa.

Na ścianach. Fala krwi. Co oni mi zrobili?

— Chodnik też był pokryty krwią.

— Chodnik? Wyrzucili mnie stamtąd?

— Przez okno.

Tego nie pamiętam. Pamiętam tylko, jak zostałem wrzucony do środka.

— Mamy świadka. To jakiś prawnik. Przechodził tamtędy i wszystko widział. Zostawił przy panu wizytówkę z wiadomością, żebyśmy się z nim skontaktowali.

— Kto mnie wyrzucił przez okno?

— Miałem nadzieję, że dowiem się tego od pana.

Aleja niczego nie powiem.

— Zdaje pan sobie sprawę — mówi policjant — że został pan ofiarą przestępstwa i że może panu przysługiwać pokaźne odszkodowanie.

To już brzmi interesująco.

— Jak pokaźne?

— Nie chcę strzelać, ale myślę, że może to być nawet dziesięć tysięcy funtów. Więc chciałbym usłyszeć wszystko, co pan wie o tych ludziach. Ich działalność bardzo nas interesuje.

Za dziesięć tysięcy funtów mogę coś wymyślić. Opowiadam niezłą historyjkę, ale gość nie wydaje się przekonany. Mówi, że jeszcze będzie ze mną rozmawiał, i wychodzi. Leżę w łóżku i zmyślam opowieści, które uczynią ze mnie niewinną ofiarę przestępstwa zamiast kryminalnej ofiary przestępstwa. Ale wiem, że nie mogę tu zostać. Mój klekot jest przerażający. Nie lubię gadać z policjantami, szpitale to urzędy, a niedaleko stąd ukryte są narkotyki dealerów — i tylko na mnie czekają. Czas na mnie.

Wstaję. Moje ciało trzeszczy, ręce zwisają, ale się trzymam, bo wyobrażam sobie, jak w tym małym parku uwijają się niczym mrówki pośrednicy narkotykowi. Na krześle znajdują jakieś

ubranie, za duże, ale to dobrze, bo moja niesprawną ręką łatwo się w nie wślizguje. Kuśtykając, wydostaję się ze szpitala. Ach, jakie słodkie są dziś te londyńskie zapachy: samochodów, ludzi i ich perfum, kurzu, nawet psów.

Klekoczę tak przez Tottenham Court Road, moje ciało jest opuchnięte, obolałe i sztywne. Pierwszy znajomy, którego spotykam, to Steve. Brudny Steve z tłustymi włosami i wagrami na twarzy siedzi na chodniku w rozwalonych butach i żebrze. Ale dla mnie to przyjemny widok.

— Daj mi — mówię. — No, weź, bracie, daj mi, pobili mnie.

— Kurwa mać, popatrz, jak ty wyglądasz! — patrzy na mnie przerażony. — Myślałem, że jesteś na detoksie.

Ale daję mi działkę.

To żaden problem: wstrzelić sobie jedną ręką. Gdybym musiał, zrobiłbym to nawet bez używania rąk. Kiedy czuję się lepiej, wlokę się w stronę metra Warren Street. Mam wrażenie, że cały ten czas, gdy byłem nieprzytomny, śniłem o tym miejscu.

Dla ludzi spieszących do baru lub do metra mały park na tyłach stacji to niewiele więcej niż szeroka arteria komunikacyjna. Większość z nich tylko tędy przechodzi, ale przesiaduje tu też paru darmozjadów, i teraz jestem jednym z nich. Po chwili zauważam kilku mężczyzn kręcących się wokół jednego, konkretnego drzewa. To stary, piękny, londyński platan — nawet jego łaciata kora jest piękna. Ale mężczyźni nie patrzą na drzewo. Patrzą na jego podstawę. Po chwili przychodzi więcej osób. Przy parku stoi na wpół opuszczony blok, mężczyźni gromadzą się pod jego ścianą.

Widzę, jak odsuwają jakieś cegły. Widzę, jak podnoszą płytę chodnikową przy drzewie. Widzę to wszystko, ale sam jestem

niewidoczny. Moje serce przyspiesza. Zaczyna walić, rozsadza klatkę piersiową. Zapominam o bezwładnej ręce i podbitym oku. Wiem, że za chwilę trafię na żyłę złota.

Wieczorem mężczyźni znikają i w zasięgu wzroku nie ma żadnego świadka. Podkradam się do drzewa. Wyczekuję na jeden z rzadkich momentów, gdy nikt tędy nie przechodzi. Niemal szczękam zębami z podekscytowania. Delikatnie sprawdzam stopą każdą płytę chodnikową wokół pięknego pnia. Gdy pod jedną wyczuwam luz, klękam i podnoszę ją. Pod płytą jest dziura. Wkładam do niej rękę. Wyczuwam wilgoć. Moje palce na coś natrafiają. Zaglądam do dziury, ale nie staram się zobaczyć, co tam jest, tylko szybko to chwytam i chowam w spodnie. Odkładam płytę na miejsce i prędko się oddalam. Jestem tak podekscytowany, że ledwie łapię oddech. Czy jest jakiś Bóg dla ćpunów? W tej chwili w niego wierzę.

Odchodzę tak szybko, jak mogę; idę najpierw na północ, potem na południe, potem jeszcze na zachód i w końcu dochodzę do schroniska przy Euston i odbieram klucze do swojego pokoju. Prawie nie zauważam miłej kobiety, która dała mi pieniądze, żebym pojechał na spotkanie Klubu Anonimowych Uzależnionych od Opium. Wita się ze mną, ale o nic nie pyta. Nie musi; moje źrenice wyglądają jak główki szpilek. Cały czas staram się zachowywać jak zwykły ćpun, a nie jak ćpun, którego rozsadzają emocje, bo właśnie znalazł skarb swojego życia.

W pokoju otwieram paczkę. Są w niej trzy mniejsze pakunki, z których każdy zawiera trzy jeszcze mniejsze torebki, wielkości i kształtu piłeczki tenisowej, owinięte folią samoprzylepną. A w każdej z nich znajduje się pięćdziesiąt maleńkich paczuszek i to są te woreczki, które kupuje się na ulicy. W każdym jest

0,2 grama heroiny albo cracku, ale w większości cracku, i jest to piękny, żółty kryształ. Przybliżona uliczna wartość rynkowa wynosi jakieś cztery i pół tysiąca funtów.

Niektórzy ludzie całe życie poszukują diamentów, złota albo jakiegoś zakopanego skarbu. Teraz wiem, jak się czują, gdy to znajdują. Bo dzisiaj na tyłach stacji metra Warren Street natrafiłem na złoto. Ręce mi się trzęsą, wciąż jeszcze nie dowierzam szczęściu, ale i tak wstrzelam sobie podwójną działkę dwa razy szybciej niż normalnie. Crack jest dobry. Ale zaraz po kopie przychodzi paranoja. I to nie taka paranojajak zwykle, gdy czekam, aż z tyłu dopadnie mnie potężna ręka sprawiedliwości. To dzika, nieujarzmiona, niszcząca wszystko paranoja — paranoja, która ma swoją treść. Bo jeśli ktokolwiek mnie widział, ktokolwiek się domyśla, ktokolwiek w ogóle zacznie podejrzewać, kto ukradł te narkotyki, to już jestem martwy. I prawdopodobnie sprawią mi dużo bólu, zanim mnie zabiją.

Sam w swoim pokoju, z taką ilością narkotyków, o jakiej każdy ćpun może tylko pomarzyć, nie mogę się nawet nimi cieszyć, bo zaczynam się bać. Ogarnia mnie paniczny strach. Muszę zatrzymać te dragi, muszę je schować. Zatrzymuję pięćdziesiąt woreczków, a dwa pozostałe pakunki ściskam tak, żeby zajmowały jak najmniej miejsca i dały się wsunąć w dupę, jedyne bezpieczne miejsce na ziemi. Zajmuje to chwilę. Pakunki są duże i sprawiają mi ból.

Jak każdy ćpun, kiedy już mam to, czego potrzebuję, muszę to wziąć. Moje ciało nie zostanie zaspokojone, dopóki nie przyjmie wszystkich narkotyków. Więc zaczynam brać. Biorę i biorę, i biorę, jestem potworem nienasycenia. Zaczynają mówić głosy.

Rzucam się na ściany, drapię je paznokciami i cały czas słyszę głosy. Rozmawiają, szepczą, są tuż za drzwiami. Wsłuchuję się.

Wstrzymuje oddech, żeby lepiej słyszeć. Czy to są prawdziwe głosy, czy moje lęki stały się teraz bardziej rzeczywiste niż rzeczywistości? Gdzie jest granica pomiędzy wyobraźnią a prawdą, a może nie ma już takiej granicy? Głosy rozmawiają o tym, jak dostać się do pokoju. Zaczną od próby wyważenia drzwi. Idą po mnie. Przesuwam łóżko pod drzwi, a do łóżka przyciągam jeszcze szafę. Zasłaniam okno workami na śmieci, żeby nie mógł mnie zobaczyć nikt spuszcający się w dół po budynku ani nikt z helikoptera.

Trzęsą mi się ręce; głosy narastają i moje lęki nasilają się w sposób niewyobrażalny — wtedy połykam narkotyki, trzydzieści pięć woreczków. Połykam je jak jakieś lekarstwa, od których zależy moje życie. Nie przełknąłem jeszcze jednej torebki, a już zaczynam połykać następną. W końcu przestaję, bo to, co zostało, mogę wziąć w żyłę dzisiejszej nocy. Jeżeli głosy nie wejdą do pokoju. A jeśli by weszły, mogę to szybko połknąć.

W nocy odpalam kosmiczną raketę, wstrzykując sobie resztę cracku, i słyszę głosy, gdy ląduję z powrotem na Ziemi. Ogarnięty przerażeniem, czekam na trzask drewna w wyważanych drzwiach. Wyglądam dyskretnie przez okno, wypatrując mężczyzn szturmujących budynek. Nasłuchuję kroków, nawoływań, helikopterów. A gdy czasami głosy nikną, cisza jest bardziej przerażająca niż cokolwiek innego, bo wtedy wiem, że wróg się przegrupowuje, reorganizuje, planuje kolejny atak. Wrócą tu, z pewnością tu po mnie wrócą.

Rano strasznie mnie rozwała, ale czuję też kłopot, bo heroinę wziąłem na długo przed crackiem, a potem brałem crack, bo musiałem, bo tu był. Teraz potrzebuję heroiny. Muszę wziąć heroinę. A to oznacza, że muszę wyjść ze swojego pokoju.

Muszę zaryzykować wyjście na zewnątrz. Muszę stanąć na wprost ludzi, którzy *czekają* tam, żeby mnie dorwać.

Boję się wracać na stare śmieci. Boję się ludzi, którzy zostawili mnie na pewną śmierć przed sex—shopem w Soho. Boję się ludzi, kimkolwiek są i jakkolwiek wyglądają, którzy wyznaczyli cenę za moją głowę, bo ukradłem im narkotyki. Wszystko jest teraz inne, bo cały świat obrócił się przeciwko mnie. Nie mogę już przejść przez West End. Skradam się teraz wzdłuż ulicy, jak dzikie, wściekłe zwierzę, przestraszone, gotowe do skoku. Mijam kolesia, który też jest w schronisku. Mam mnóstwo koki, ale krucho u mnie z heroiną, więc to łatwy deal — daję Jayowi kryształki cracku w zamian za proszek hery. Wracam prosto do swojego pokoju. Daję w kanał. Klekot łagodnieje. Znow zaczynam ładować w siebie crack. Biorę go cały dzień. Nie jadłem nic poza trzydziestoma pięcioma woreczkami cracku. Czuję mdłości, jakbym miał w żołądku jakąś szaloną bestię, a później znow jest mi niedobrze, bo zaczynam klekotać, klekoczę i klekoczę — muszę wziąć trochę heroiny.

Ryzykując życie dla towaru, wychodzę ze schroniska, idę do parku na tyłach metra Warren Street i tym razem, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu, podchodzę pod ścianę bloku, odsuwam leżące tam cegły i — proszę, oto jest. Kolejna paczka narkotyków. I wtedy nagle łapie mnie czyjaś dłoń, szarpie zawzięcie za ubranie na plecach. Bez oglądania się za siebie zamieniam się nagle w jaszczurkę i czmycham pod ogrodzenie przy bloku. Napastnik ciągle trzyma mnie za ubranie, krzyczy i kopie, ale siatka go zatrzymuje. Rzucam okiem na jego wściekłą brązową twarz. Ostatnim razem widziałem tego człowieka w sex—shopie z Meksykaninem, ale nie myślę o tym, w ogóle nie myślę o niczym

poza tym, żeby stąd uciec, szybko, jak najszybciej, chociaż zwisa mi ręka, bolą nogi, a w spodniach lata paczka narkotyków. Wpadam do schroniska, do swojego pokoju. Hura! Mam kolejne cztery duże paczki, w każdej po trzy pakunki wielkości piątek tenisowych, a w nich po pięćdziesiąt woreczków, chociaż znów jest więcej cracku niż heroiny. Mam wystarczająco dużo towaru, żeby przez wiele dni i nocy nie zabrakło mi cracku.

No, więc zatracam się w nim. Teraz już wiedzą, kim jestem. Widzieli mnie; na pewno po mnie przyjdą. Chodzą już nie tylko o głosy ludzi, którzy po mnie idą. Chodzi też o sposób, w jaki zaglądają pod drzwi, rozmawiają o policji, przystawiają drabiny do budynku, pukają do okien, czołgają się po dachu i spuszczaają na linach po murze... moja paranoja przekroczyła już poziom psychozy, grozi mi unicestwienie. Gdzieś w najgłębszych rejonach mózgu, w jakiejś długo ignorowanej, racjonalnej jego części, zdaję sobie sprawę, że to efekt przedawkowania, ale nie przestaję sobie wstrzykiwać — dwie działki za każdym razem — trzymając się umywalki przy zwracaniu narkotyków, srając narkotykami. Leżę na łóżku i sram na worki na śmieci, żeby z własnego gówna odzyskać maleńkie paczuszki. Część od razu biorę, część połykam, szybko, szybko, żeby zdążyć, zanim przyjdą, zanim mi je zabrają, zanim zabrają mnie samego. Mam crack w gębie i w dupie, od czasu do czasu czuję też, jak woreczki pękają w moim żołądku, całe moje ciało eksploduje kokainą, podczas gdy ja przyglądam się ceniom, obserwuję je, czekam na nie, słyszę głosy.

Raz po raz oślepia mnie światło, to znów zalewa ciemność, uszy puchną i pękają, a gdy narkotyk przestaje działać, leżę na podłodze, niezdolny do żadnego ruchu, niezdolny nawet do wdrapania się na łóżko. Moje ciało się rozpada. Leżę tak parę

dni, może trzy. Crack jest na podłodze, w umywalce, na łóżku. To crackowe przyjęcie u szatana, a ja jestem zbyt słaby, żeby się poruszyć, i heroinowy klekot przenika moją duszę.

Ostatecznie jakimś nieprawdopodobnym sposobem wydostaję się z pokoju. Ból głowy spowodowany crackiem niemal mnie oślepia, poza tym na jedno oko w ogóle nie widzę. Zataczając się, schodzę na dół do recepcji i stoję tam w samych szortach, bez koszulki. Ważę około 45 kilogramów, moja skóra jest jak pergamin. Z przedramion ścieka krew. Rozglądam się wokół dzikim wzrokiem, jak zwierzę w zoo wypuszczone z klatki. Zaalarmowani pracownicy, z szeroko otwartymi oczami, blokują schody, podczas gdy ja próbuję ich przekonać, że tam na górze szukają mnie ludzie, którzy chcą mnie zabić.

Próbują mnie uspokoić, ale mnie nie da się uspokoić. Zwałowałem ze strachu. Jay, ten, u którego wymieniłem crack na herc, rozumie sytuację i bardzo ostrożnie podchodzi do mnie ze skupioną twarzą.

— Słuchaj, stary... — zaczyna łagodnie.

— Odejdź! Spadaj, kurwa! — wrzeszczę, łapiąc za odkurzacza i wymachując nim niczym bronią. — Mogę cię tym zabić, jeśli się zbliżysz, mogę ci tym, kurwa, rozwalić łeb.

— Mark, to jest przecież jebana crackowa gadka... — mówi. — Musisz przestać brać to gówno.

Ale ja już się odwróciłem i biegnę, biegnę przez całe schronisko tak szybko, jak tylko mogę, bo nikt mi tu nie uwierzy, że oni mnie ścigają. Krzyczę do głosów, bo nie mogę już znieść swojego strachu przed nimi: — Tu jestem, no, chodźcie! Weźcie mnie! Chodźcie po mnie!

Docieram do drzwi i się zatrzymuję.

Słyszę siebie.

Brzmie, jakbym był... zupełnie... szalony.

Stoję nieruchomo. Myślę. Widzę siebie i to, jak postrzega mnie obsługa schroniska. Zadzwonią na policję. Zadzwonią po jakiegoś psychiatrę.

Siadam. Nic nie mówię. Oddycham głęboko i powoli. Czuję się jak śmieć.

Znów podchodzi do mnie Jay, ostrożnie siada obok mnie.

— To przez crack — mówię.

— Nooo. Musisz wziąć trochę hery.

— Nooo.

Robimy szybki deal, crack w zamian za heroinę, i kiedy on wraca z heroiną, ja podaję mu crack, od razu też daję sobie w żyłę i czuję, jak heroina rozlewa się spokojnym strumieniem po moim ciele. Do mojego pokoju przychodzi Dave, jeden z pracowników schroniska. Widzi mnie w szortach, jak sobie wstrzykuję. Gapi się na moje ciało. Jego twarz jest więcej niż zszokowana, jest przerażona. Sam nie wiem już, jak wyglądam, ale po jego minie domyślam się, że naprawdę źle. On jest normalnym facetem, aja jestem trupem.

— Mark, jesteś zupełnie wycieńczony. Jesteś bardzo chory. Musisz pójść do szpitala — mówi łagodnie.

Potrząsam przecząco głową. — Nie, nie pójdę do żadnego wariatkowa.

— Nie mówię o szpitalu psychiatrycznym. Mówię o jakiejś opiece medycznej i odpoczynku — mówi Dave. — Podzwonię i spróbuję ci coś znaleźć.

I mam już niewielką nadzieję, że mu się uda, ale wraca za jakiś czas i oznajmia, że nigdzie mnie nie przyjmą.

— Już nie tak dużo czasu zostało ci do detoksu — przypomina mi. Pamiętam detoks. To było zaledwie kilka tygodni temu, a od tamtej pory zdążyłem już handlować towarem, zostać pobity, trafić do szpitala, znaleźć narkotyki i być w ciągu. Jakby minął rok.

Teraz, gdy mam tak dużo narkotyków, moje dni się zlewają. Wszystko, co muszę zrobić, to wymienić crack na heroinę, żeby zrównoważyć zapasy. Nie muszę gorączkowo się uwijać, żeby coś sprzedać, ukraść, wyżebrać czy wymusić. Myślałem, że moje wcześniejsze życie było bezładne, ale dopiero teraz zapanował w nim kompletny chaos. Całymi dniami skradam się po okolicy, wystraszony i zły, ból rozsadza mi czaszkę. I cały czas obserwuję coś straszego. Biorę tyle narkotyków, że większość ludzi na moim miejscu już dawno by nie żyła. A na mnie mają one coraz mniejszy wpływ. Dostaję strasznych zjazdów i przerażającego klekotu, ale bez większego kopa. Narkotyki już nie działają. Chce mi się płakać. To znów się dzieje. Narkotyki przestały działać.

Do tej pory krążyłem po Camden, ale teraz, żeby wymienić crack na heroinę, wypuszczam się z powrotem na West End. Jestem bardzo ostrożny. Oczy mam dookoła głowy. Wiem, że wszyscy są na mnie wkurzeni i każdy stanowi dla mnie zagrożenie. Dealerzy są wkurzeni, Wilf i jego szefowie są wkurzeni, wkurzony jest nawet mój kumpel Dave. Staram się poruszać w większych skupiskach ludzi, ale dla ćpunów wszyscy inni są niewidoczni, więc równie dobrze mógłbym chodzić po ulicy zupełnie sam, bo już po chwili wiem, kto jest moim wrogiem. Bliźniacy, Keith i Mak. Gangsterzy wysłali ich, żeby mnie znaleźli.

Dostrzega mnie jeden z nich. Pokazuje mnie palcem, wokół jest masa ludzi, a on wskazuje prosto na mnie. Gestykułuje do brata, który stoi kilka metrów dalej. Ma przy sobie torbę

z rysunkiem chleba. Odsuwam ją, żebym zobaczył, że trzyma tam wielki nóż. Ten nóż przeznaczony jest dla mnie. Chleb to życie, ale oni chcą zabrać moje. Biegnę przez tłum. Słyszę za sobą kroki. Biegnę szybciej. Słyszę ich, czuję ich oddech, a gdy odwracam głowę, tuż obok widzę wielką, brzydką, zniekształconą twarz. Bliźniak rzuca się na mnie, ale jestem szybszy.

Może tym razem udało mi się zwać braciom, ale nie uciekłem od problemu. Bo teraz już wiem, że wyznaczono za mnie cenę. Ukradłem narkotyki w sumie za jakieś dziesięć tysięcy funtów. Bliźniacy zostaną hojnie nagrodzeni, jeśli uda im się mnie wykończyć, i na pewno mają chrapkę na moją robotę dealera. Policja nie będzie sobie zaprzętać głowy dochodzeniem w sprawie śmierci kolejnego bezdomnego, który i tak zmarłby niedługo na AIDS.

Mija kilka dni, zanim znów wracam na West End, lecz tym razem trzymam się dużych ulic. Charing Cross Road, Shaftesbury Avenue, Haymarket. Ale natychmiast pojawiają się bliźniacy, jakby dniem i nocą patrolowali ulice i nieustannie mnie szukali. Zauważam ich z daleka i w tym samym momencie oni spostrzegają mnie. Widzę błysk noża. Bliźniacy, jak rybki w akwarium, w jednej chwili energicznie startują w moją stronę, aja zawracam i przepychając się przez tłum, uciekam — i znowu ratuję skórę.

Gdy po raz trzeci pojawiają się w dzielnicy, Keith i Malc też tu są. Tym razem zachodzą mnie od tyłu i jednemu z nich niemal udaje się mnie złapać w jakiejś alejce. Posyłam mu najmocniejszy cios, na jaki mnie stać, i gdy on się zwija, a jego brat jest kilka metrów za daleko, żeby mu pomóc, zawracam i zwiewam.

Od dłuższego czasu się łudziłem, że jestem kimś na West Endzie. Teraz rozumiem, że znaczę tu mniej niż pyłek kurzu. To

miejsce roi się od gangsterów i ważnych dealerów. Mogli za mną rozesać wiele osób. Nie mogę więc wrócić na West End. Nic mi już nie zostało, tylko śmierć albo detoks.

Do czasu, gdy mam wrócić do ośrodka Equinox, używam wszystkie narkotyki, które ukradłem. Obsługa schroniska zwraca teraz na mnie szczególną uwagę, bo widzi, że nie jestem daleki od śmierci. Próbowali znaleźć mi jakieś łóżko w szpitalu i sami są zszokowani, że im się to nie udało. Wszyscy się martwią, żeby tylko detoks zadziałał. Na zewnątrz czeka na mnie taksówka. Pracownicy stoją przy drzwiach, żeby się ze mną pożegnać. I gotów już jestem pójść, ale mam jeszcze coś do załatwienia. Jeden gość jest mi tu winien heroinę. Wskoczyłem dla niego z mnóstwa cracku, a ten ciągle mnie zwodził, bo miał nadzieję, że w końcu zniknę na detoksie i nigdy nie upomnę się o dług. I to mnie rozwściecza. Czekałem na tę heroinę, a teraz podjechała już taksówka i nie będę jej mógł wziąć przed odjazdem. Ten gość mnie oskubał, naciągnął mnie. Myśli, że jest sprytniejszy ode mnie? Mam żyletkę i ochotę, żeby go nią pociąć na drobne kawałki. Dostrzegam go na schodach, kiedy zmierzam w stronę drzwi.

— To był mój ostatni strzał przed detoksem, miałeś mi dać mój ostatni strzał! — krzyczę do niego, wymachując żyletką. Nienawidzę go. Chcę go zabić.

Jakaś Murzynka z obsługi schroniska patrzy na mnie smutno. Bardzo cicho mówi do mnie: — Mark. Twoja taksówka czeka.

— Ty pieprzony gnoju! — wrzeszczę w stronę gościa stojącego na schodach. — Idę na detoks bez ostatniego strzału i dorwę cię za to!

Przestraszony mały szmaciarz zaczyna powolutku wchodzić po schodach. Macham żyletką i szykuję się, żeby się za nim rzucić.

Znów dociera do moich uszu ten cichy głos. — Mark, jeśli to zrobisz, wszystko przepadnie. Nic ci już nie zostanie. Więc odejdz. Zostaw to. Wsiądź do taksówki, jedź na detoks.

Słyszę jej głos i coś z jego łagodności spływa do mojego wnętrza niczym woda. Ale nie podejmuję żadnej decyzji. Nie wiem nawet, czy go zabiję czy odejdę, dopóki nie stwierdzam, że odwracam się, wychodzę i wsiadam do taksówki. Tak samo łatwo mogłem rzucić się za tym gnojem. Oszukał mnie i nie mogę tego znieść. Całą drogę do ośrodka gotuje się we mnie.

Personel wita mnie ciepło, dają mi metadon i wiozą prosto do szpitala uniwersyteckiego. Oczyszczają mnie z wszy, dają ubranie z biura rzeczy znalezionych, a potem lekarz bada moją bezwładną rękę.

— Urodził się pan z tym? — pyta.

Mówię, że jeszcze dwa tygodnie temu wszystko było w porządku.

Przegląda się moim ranom i siniakom, a potem przekazuje mnie pielęgniarce, która ma mi zdjąć skarpetki. Chirurgicznie. Bo strupy na moich stopach i palcach przerosły już skarpetki. Rozcinanie i moczenie, żeby tkanina odeszła od skóry, trwa godzinami i pielęgniarce nieraz zbiera się na torsje. Rozumiem, że nie stanowią przyjemnego widoku. Ważę mniej niż duży pies, moje kolana są szersze niż uda, moja skóra jest przezroczysta jak pergamin, a ciało pokrywają blizny i ślady po igle. Ale pielęgniarzka traktuje mnie po ludzku. Mówi do mnie łagodnie, jest miła. Jej dotyk jest delikatny i intymny. Wzrusza mnie to do łez. Dawno już nie doświadczyłem czegoś takiego. Jestem z powrotem na detoksie, z opatrzonymi stopami i w czystym ubraniu, i klekoczę mimo metadonu. Po tej niewiarygodnej ilości narkotyków, jaką wzięłem

przez miesiąc, od kiedy byłem tu ostatni raz, klekot jest okrutny, naśmiewa się ze mnie. Po dziesiątym dniu, tak jak poprzednio, odstawiają mi metadon i z miejsca zaczynam odczuwać głód narkotykowy. Nie mogę go znieść. Pozwalają nam wyjść, a ja idę prosto po narkotyki. Nie na West End, to dla mnie teraz zbyt niebezpieczne. Biegnę na Kings Cross. Nie ośmielam się wziąć heroiny, bo personel na detoksie od razu by to zauważył. Kupuję za to trochę cracku i wracam do ośrodka. W surowej, białej łaźni, zanurzony w wannie, biorę strzał.

Łuuup. Na kilka minut znikam z tego miejsca. Nie ma mnie w tym zimnym, białym pomieszczeniu, w tym mieście, w tym kraju, na tej planecie — jestem daleko, okrążam Księżyc. A potem, tuż po haju, zaczynają się gorączkowe kroki, szepty tysiąca głosów, które warczą, mamroczą, mówią mi coś do ucha. To komisja. Słyszę: „Ty diabelski bękartie, teraz cię stąd wykurzą. Nadajesz się tylko na ulicę, jesteś do niczego, kanalio. Dorwiemy cię tam. A może wolisz, żebyśmy rozwalili okno albo wyważyli drzwi i przyszli po ciebie już teraz?”.

Przestaję oddychać. Chowam się pod wodą. Potem łamię sprzęt na drobne kawałeczki i wciskam je głęboko, głęboko w otwór odpływowy, tak żeby nikt nigdy się nie dowiedział. Tylko że ja wiem. Mam być na detoksie, a biorę.

Następnego dnia idę na Wardour Street, oczy i uszy mam dookoła głowy, jestem kupą przerażenia. Wślizguję się do budynku Punktu Zwrotnego.

Mówię: — Sean, zeszłej nocy wziąłem. Wstrzyknąłem sobie trochę cracku, a sprzęt połamałem i wsunąłem w odpływ.

Zdenerwował się. — Wyrzucą cię! Jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Tak, dobrze wiem, że jeśli będę brał, to mnie wyrzucą. Podobnie jak zdaję sobie sprawę, że jeśli mnie wyrzucą, to będę martwy. Nie ma takiej możliwości, żebym został na ulicy i przeżył. Bo jeśli nie zabiją mnie narkotyki, zrobią to bliźniacy.

— Takie są zasady — mówi Sean. — A tyje złamałeś.

Ściska mnie w gardle. Nie mogę mówić. — Nie mogę przestać, Sean. Nie mogę mieszkać w centrum Londynu i nie brać. To niemożliwe.

Sean mruży swoje wielkie brązowe oczy i poważnieje.

— Powiesz im? — pytam.

Sean wzdycha i myśli, z zachmurzonym czołem i skrzyżowanymi rękami.

Ponaglę go: — Pozwolisz, żeby mnie wyrzucili?

W końcu mówi: — Okej, Mark, ja też złamię zasady. Mam inne rozwiązanie.

Ulga. Rozchodzi się po moim ciele jak fala ciepła. Sean mnie ocali.

Rozdział trzydziesty szósty

Jesteśmy w Bognor Regis. To nadmorskie miasteczko na południowym wybrzeżu i jedno z nielicznych miejsc w Anglii, gdzie nigdy nie sprzedawałem narkotyków ani ich nie brałem. Sean przywiózł mnie tutaj pociągiem. Ludzie się na nas gapili, a jednemu człowiekowi tak się nas zrobiło żal, że kupił nam lody. Jesteśmy dziwną parą, ja się trzęsę i pocę, Sean mnie podtrzymuje.

Droga ze stacji jest płaska, ale mnie wydaje się wejściem pod stromą górę.

— Nie dojdę tam - mówię. Jestem zbyt zmęczony, zbyt chory, zbyt posiniaczony, moja lewa ręka jest poturbowana.

— Oczywiście, że dojdiesz — mówi Sean. — Wezmę od ciebie tę skrzynkę.

Opieram się na nim, a on w jednej ręce niesie mój mały brązowy kuferek malarski, a drugą mnie podpira. Wzdłuż chodnika ciągnie się jakiś mur, zatrzymuję się na dwie minuty, żeby się na nim oprzeć.

— No, ruszamy, panie Johnson — mówi Sean tym swoim stanowczym głosem. — To już niedaleko.

Dochodzimy do dużego, starego, nieforemnego domu.

— Oto przed nami Ośrodek Leczenia Uzależnień Alkoholowych i Narkotycznych Ravenscourt — mówi Sean kwieciście, jakbyśmy dotarli do pałacu Buckingham. Ale wszystko tak bardzo mnie boli, że ledwie patrzę na to miejsce. To kolejny wielki dom, ale wydaje mi się lepszy niż ten, w którym byłem na ostatnim odwyku w Birmingham, wiele lat i narkotyków temu. Pewnie wszystko będzie tak samo. Jeszcze jeden luksusowy dom wypoczynkowy, gdzie będę miał mnóstwo dziewczyn, zacznę się lepiej czuć i nic z tego nie wyjdzie. Bo panu Johnsonowi nic nie wychodzi. To diabelskie nasienie i za daleko już zaszedł.

Wchodzimy do czerwonego holu. Wszędzie stoją filiżanki przykryte spodkami. Dziwne. Ale nawet nie próbuję się zastanawiać dlaczego. Najbardziej bołą mnie zęby. Oczy mnie bołą, bo moje źrenice nie reagują na światło. Stopy mnie bołą, bo na ulicy zostały zdarte niemal do kości. Kręci mi się w głowie. Cały się trzęsę. Jestem galaretą, niczym więcej. W ogóle nie mam poczucia własnej tożsamości. Jestem przerażony. Wiem tylko, że chcę dokonać czegoś niemożliwego: przestać brać.

Zapraszają nas, abyśmy przeszli przez korytarz na wielką, przeszkloną werandę, gdzie spotykam większość rezydentów: siedzą w wypłowiątych fotelach, palą. Razi mnie światło, ale udaje mi się rozejrzeć po twarzach. Znajduje się tu około dziesięciu osób i każda jest inna. Niektórzy są starzy, koło pięćdziesiątki, może nawet sześćdziesiątki, kilka osób jest trochę młodszych, reszta — mniej więcej w moim wieku. Większość nie wygląda na mieszkańców ulicy, takich jak ja: są zbyt zdrowi i dobrze odżywieni. Jedna czy dwie osoby witają się ze mną. Próbuję odpowiedzieć, ale jestem zbyt obolały. Sean odwraca się w stronę jakiegoś czarusia i wymienia grzeczności w moim imieniu.

Irlandka o imieniu Annie, nieco naburmuszona, prowadzi nas do pokoju, który będę z kimś dzielił. Jest duży, z widokiem na zatokę, dwoma pojedynczymi łózkami i dwiema szafami. Wiele osób przewinęło się przez ten pokój. Może on opowiedzieć niejedną historię.

Stoję nieporadnie, patrzę na łóżko i nie wiem, co robić. Sean spogląda na mnie.

— Możesz się rozpakować — mówi.

A więc mam włożyć swoje rzeczy do zniszczonej szafy. Ale ja nie mam żadnych rzeczy. Otwieram swój malarski kuferek, wysuwają się szufladki. Sięgam po ich zawartość. Moja kolekcja przedmiotów znalezionych: mały srebrny notes, plakietki, końcówka ozdobnej starej łyżki, parę małych puszek, igły krawieckie, pędzle i tubka farby. Mój dobytek. Potrzebuję dla niego bezpiecznego miejsca. Ktoś może próbować mi go ukraść. Zawsze był dla mnie ważny, ale teraz znaczy dla mnie szczególnie dużo. Wsuwam go ostrożnie pod łóżko.

Sean musi już iść. Boję się. Chce mi się płakać. Mam ochotę się na nim uwiesić.

Idę z nim do holu, a kiedy mówi mi „do widzenia”, nie mogę patrzeć, jak kieruje się do wyjścia. Mam pięć lat i nie chcę, żeby rodzice zostawiali mnie samego tu w Bognor. Sean się odwraca. Mówi: — Mark, to jest miejsce, w którym powinieneś być. Teraz przyszedł czas, żebyś się z tym rozprawił.

Wychodzi, a ja czuję się pusty. Jakby osierocony. Jestem sam ze swoim bólem. Idę do pokoju się położyć.

Klekot jest straszny: powinienem odpocząć, może wziąć kąpiel. Ten początkowy etap klekotu spowodowanego odstawieniem narkotyków powinienem przechodzić na metadonie,

który by mi to ułatwił, ale w czasie detoksu oszukiwałem, tak jak oszukuję zawsze, wszędzie i wszystkich, nawet siebie. Więc objawy głodu narkotycznego są wyjątkowo dotkliwe, a w Raven—scourt nie dostanę żadnych leków, które mogłyby je złagodzić. Absolutnie nic. Podpisałem już papier, na którym stało, że zdaję sobie sprawę z tego, że zostanę usunięty z ośrodka, jeśli będę: pił alkohol, brał jakiegokolwiek narkotyki lub substancje chemiczne, chodził do pubu albo uprawiał seks.

Nie podoba mi się widok tej narzuty na łóżku i białej pościeli. Na pewno się na niej nie położę. Nie zdejmę też ubrania. Jeśli bym to zrobił, nie czułbym się bezpieczny. Czułbym się nie-swojo. Kładę się na łóżku i zamykam oczy. Za bardzo cierpię, żeby udało mi się zasnąć.

Do pokoju wchodzi niski, pulchny mężczyzna.

— Wysłali mnie, żeby ci powiedzieć, że jest terapia grupowa. Jęczę.

Jego głos jest łagodny. Przepraszający. — Terapia grupowa. Właśnie się zaczyna.

— Nie idę — mówię. — Jestem chory.

— Musisz.

— Nie mogę.

— Wyrzucą cię.

Wyrzucą mnie. Dokąd bym wtedy poszedł? Przed oczami przesuwają mi się obrazy. Chodniki, przejścia, bramy, bliźniacy z nożem w torbie na chleb, puszka po coli, ustawiona pionowo, z zastygłą krwią na wieczku.

Siadam. Próbuję zwlec się z łóżka. Mężczyzna uważnie mi się przygląda.

— Muszę tam iść? — sapię.

— Jeśli chcesz tu zostać. Takie są zasady.

To by było na tyle, jeśli chodzi o dom wypoczynkowy. Próbuje być maszyną, ale tłoki nie działają, obezwładnia je ból. Powoli, powoli wstają. Mężczyzna prowadzi mnie do pokoju, w którym ustawiono w półkole krzesła. Siedzą na nich ci sami ludzie, których widziałem wcześniej, ale teraz nie palą i wyglądają na niespokojnych, jakby nie czuli się zbyt komfortowo i mieli ochotę na fajkę.

Trener prowadzący grupę ma na imię Alan. Ma co najmniej pięćdziesiąt lat, jest szczupłym brunetem. Wita mnie. Widać, że w przeszłości zdarzyło mu się wiele nieprzespanych nocy. Wygląda na bardzo chudego, starego amfetaminoholika, ale jest w nim jakiś spokój, który wzbudza szacunek.

Mówi parę słów. Odzywa się jakiś mężczyzna. Potem jedna kobieta. Potem inny mężczyzna mówi długo, a w końcu wszyscy mówią. Słowa, słowa. Słyszę ich rytm i muzykę; słyszę akcenty z całej Wielkiej Brytanii i żargon każdej klasy społecznej. Ale nie słyszę, co mówią. Za bardzo mnie wszystko boli, bym słyszał. Za bardzo mnie wszystko boli, bym myślał. Jestem zranionym zwierzęciem. Niemal nie wiem, jak się nazywam. Wszystko, co wiem, to — jak brać.

Zwyczaj panujące w tym miejscu zaczynają mi doskwierać. Chce mi się spać, ale nie w nocy. Nie chce mi się jeść, kiedy jest na to pora. Gdy tylko wstanę, od razu chcę siadać. Kiedy usiądę, chcę wstać. Nie chce mi się nic robić. Ale muszę, bo to miejsce jest polem minowym naszpikowanym zasadami. Jeśli nie skończyło się pić, należy nakryć filiżankę spodkiem. Każdy ma swoją kolej w rozkładzie dyżurów przy pracach na rzecz ośrodka. Palenie jest dozwolone tylko i wyłącznie na przeszklonej werandzie.

Trzeba pisać o ważnych wydarzeniach ze swojego życia i dawać to terapeutycie. Trzeba wstawać codziennie o siódmej rano.

Czy oni chcą mnie zabić? Do tej pory byłem roztrzępłym nałogowcem bez żadnego schematu, a ta rutyna jest jak rzucenie mnie do lodowatego, głębokiego basenu. Jestem tak wstrząśnięty i oszołomiony, że ledwie zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Tymczasem wkrótce powstaje jeszcze więcej zasad — wyłączenie dla mnie. Mark nie może się kłaść do łóżka w ciągu dnia. Markowi nie wolno chować się pod stół, żeby się zdrzemnąć. Dają nam sześć funtów tygodniowo, a gdy łamiemy jakąś zasadę, potrącają dwadzieścia pensów. Pod koniec pierwszego tygodnia nie tylko nic mi już nie zostaje, ale w dodatku jestem im dłużny część pieniędzy z przyszłego tygodnia.

— Jak się czujesz? — pytają mnie ludzie, a moja odpowiedź jest zawsze taka sama:

— Kurewsko beznadziejnie.

Mam zmalretowaną głowę. Cały jestem zmalretowany.

Ból fizyczny nie pozwala mi się włączyć w terapię grupową. Siedzę cicho, podczas gdy reszta mówi. Kiedy zostaję sam z Alaniem, mam do niego jedno pytanie.

— Czy ktoś taki jak ja może kiedykolwiek być czysty?

Siedzimy w jednym z pomieszczeń terapeutycznych, drewnianej altance w ogrodzie. Promienie słońca docierają z jednej strony i oświetlają oparcia spłowiałych krzeseł. Alan przygląda się mojej twarzy i pochyla do przodu.

— Tak — mówi.

— To znaczy, czy jest możliwe, żeby taki narkoman jak ja się zmienił? Miał inne życie? Życie, które nie polega na codziennym braniu?

Alan wykonuje rękami zamaszty gest i energicznie kiwa głową.

— Tak, tak, tak — mówi.

— Szczerze?

— Tak. Ja jestem narkomanem. Nie biorę od dziesięciu lat.

Gapię się na niego. Dziesięć lat. Nie wyobrażam sobie nawet dziesięciu minut, a co dopiero dziesięciu lat.

— Nie musisz myśleć o dziesięciu latach. Myśl o dniu dzisiejszym. „Tylko dziś się liczy”.

Czuję, jak łyzy napływają mi do oczu. Bo ktoś zapalił światło. To światło świeci na końcu ciemnego korytarza. Jest słabe. Migocze jak odległa gwiazda. Nadzieja. Możliwość zmiany. Nikła, nikła szansa, że kiedyś nadejdzie taki dzień, że nie będę potrzebował narkotyków.

Alan przygląda mi się uważnie. Widzi to światełko w moich oczach. Uśmiecha się do mnie.

Ale korytarz jest długi i ciemny, a światło migocze i często przygasa. Jeśli nie będę brał narkotyków, to co będę robił? I w ciągu kilku dni Ravenscourt, z tymi zasadami, zwyczajami, irytującymi współmieszkańcami, tą terapią grupową i pretensjami ludzi, którzy wciąż balansują na granicy człowieczeństwa, doprowadza mnie do rozpacz. Tego wieczoru tracę całą tygodniową gażę, bo chowam się pod stołem, żeby choć na chwilę zmrużyć oko. Muszę napisać historię swojego życia i to jest jeden wielki, porażający ból głowy. A do tego ciągle mówią o istotnych wydarzeniach w naszym życiu: mamy nad nimi debatować i pisać o nich, a potem wkładać te wypociny do brązowych kopert i zostawiać na telewizorze dla terapeuty, który będzie to czytał. Chciałbym się gdzieś zaszyć. Jestem jak poranione

zwierzę, ale oni nie pozwalają mi skulić się w samotności. Nie chcą mnie zostawić w spokoju. Nienawidzę tego miejsca. Nie chcę już brać, ale nienawidzę być czysty. Bycie czystym to stan kompletnego spustoszenia.

Próbuję powiedzieć to Alanowi. Gdy znów jesteśmy na terapii grupowej, mówię: — Mógłbym się bardziej włączyć, gdyby klekot nie był taki straszny. Gdybym dostał trochę metadonu...

Alan unosi brwi.

— Nie, Mark.

— Ten ból. On mnie dobija.

— Do tej pory nie odnotowano żadnego przypadku śmierci z powodu odstawienia heroiny. To jest straszne, ale od tego się nie umiera.

— Przez ten ból nie mogę myśleć.

— Jesteś uzależniony od chemii i jedynym sposobem, żeby to uzależnienie przerwać, jest przerwanie dopływu chemii. Nie przez dostarczanie innych substancji, żeby uzależnić się z kolei od nich.

— Za każdym razem, kiedy próbowałem przestać brać, nie mogłem przetrzymać klekotu.

Alan patrzy na mnie i zastanawia się przez chwilę. W końcu mówi: — Ile razy próbowałeś rzucić narkotyki i alkohol?

— Mnóstwo. Mnóstwo, mnóstwo, mnóstwo razy. — Całe moje życie śmiga mi przed oczami jak pociąg ekspresowy Londyn—Glasgow. To nic więcej jak seria prób rzucenia narkotyków.

— Chodzi mi o to, ile razy naprawdę przestałeś brać?

— Milion!

— Na przykład kiedy?

— Nooo, na przykład gdy poszedłem na uniwersytet, studiować fotografię. I później, kiedy zdobywałem kwalifikacje na

chirurga drzew, za każdym razem rzucałem wtedy narkotyki. Miesiącami przeżywałem klekot.

— Co dokładnie rzucałeś?

— Heroinę.

— Czy w tym czasie brałeś coś innego?

— Nic.

— Więc nie piłeś?

— O tak, jasne, że piłem.

— Dużo?

— Co noc się upijałem. Musiałem. Skoro rzucałem heroinę, potrzebowałem czegoś w zamian.

— Brałeś coś innego, żeby pomóc sobie odstawić heroinę? Valium? Kokainę? Metadon?

— Nooo... tak.

— To co?

— Yyy... wszystko.

Jego głos jest łagodny i wyraźny, jakby rozmawiał z kimś bardzo, bardzo młodym. — Mark, to chyba nie jest rzucanie narkotyków, prawda? To tylko zamiana jednych na drugie. Odstawiłeś na chwilę heroinę, ale zamiast niej brałeś inne narkotyki, leki na receptę i piłeś alkohol.

— To lekarz dał mi receptę! — słyszę swój głos. Słyszę protesty oburzonego siedmiolatka. Ja?! W życiu! To on mi ją dał, jajej nie ukradłem! No, dobra, może zwinąłem bloczek recept, żebym sam mógł uzupełniać zapasy tego, co mi przepisał, ale fakt jest taki, że go oskubałem, bo mi na to pozwolił.

Alan mówi: — Gdy spisałeś mi historię swojego życia, miałem wrażenie, że czytam o narkomanie, który przerzuca się z jednego narkotyku na drugi. Przechodziłeś od alkoholu do drogów,

najpierw miękkich, później twardych, potem znów cofałeś się do leków na receptę. Ale to nie jest rzucanie narkotyków. Rzucanie to jest niebranie w ogóle, niczego. I to właśnie tu robimy.

Milczę. Alan mi się przygląda. Dziś nie ma słońca. W pokoju jest ciemno i chłodno. Myślę o swoich wcześniejszych próbach rzucenia dragów. Zawsze sądziłem, że byłem zdecydowany i szczerzy. Teraz uświadamiam sobie, że jeśli alkohol uznać za narkotyk, to od czasu, gdy byłem nastolatkiem, przestałem brać tylko raz: na tych kilka miesięcy, które spędziłem na odwyku w Birmingham.

— Niejestem alkoholikiem — mówię w końcu. Jestem nadąsany i zdenerwowany. Teraz mógłbym pójść prosto na dworzec w Bognor. Nikt by mnie nie powstrzymał.

— Czyżby? — pyta uprzejmie Alan. Nienawidzę go, gdy jest taki uprzejmy.

— Może jestem narkomanem, ale nie alkoholikiem. Kiedy byłem na ulicy, prawie w ogóle nie piłem. To znaczy — tylko czasami.

Alan przytakuje i się uśmiecha. Nie będzie się ze mną sprzeczał. Po prostu pokaże mi, że jestem w błędzie. Nienawidzę go za to, że myśli, iż jest taki mądry.

W kolejnych dniach dowiaduję się, że Ravenscourt działa na zasadzie programu dwunastu kroków, który został uznany przez narkomanów i alkoholików na całym świecie. Wcześniej czy później mam przejść wszystkie dwanaście kroków. Akurat. Ledwie mogę sobie wyobrazić pierwszy krok.

Pierwszy krok: przyznaję, że jestem bezsilny wobec swojego uzależnienia i przestałem panować nad własnym życiem.

Każdego dnia mam napisać o kolejnym przykładzie bezsilności i braku kontroli nad swoim życiem. Mam to włożyć do

brązowej teczki zatytułowanej „Istotne wydarzenia” i zostawić na telewizorze.

Na początek piszę o tym, jak odwiedziłem Rosie w ośrodku i straciłem kontrolę nad sobą w stosunku do pastora.

Potem piszę o ulicy, jak pod koniec bliźniacy sięgali po nóż, gdy tylko mnie widzieli.

Jeszcze później opisuję, jak zostałem wyrzucony z detoksu, bo nie mogłem się powstrzymać od ugryzienia tego dzieciaka, z którym pokłóciłem się o kanał telewizyjny.

Mógłbym opowiedzieć jeszcze o wielu rzeczach, ale nie opowiadam. Wyznałem wystarczająco dużo. Nie wytrzymuję tego leczenia, jest zbyt bolesne, za bardzo mnie rani i potrzebuję pieprzonej działki, żeby sobie ulżyć i zapomnieć o tym wszystkim, a niejakiegoś przemądrzałego terapeuty, który się do mnie szczyrzy i każe mi o tym pisać.

Nie dam już rady. Spadam stąd. Nie cierpię tego miejsca, zapachu środka czyszczącego, tych zużytych szaf i foteli wytartych do granic możliwości przez kręcące się na nich tyłki. Łatwiej było żyć na ulicy niż tutaj. Tam wszystko było proste. Żadnych reguł, żadnych terapeutów, żadnych wspomnień, nikogo, niczego. Tylko dragi. To wszystko, czego chciałem i o co się martwiłem. Nie było bólu codziennego życia, zastąpił go ból konieczności znalezienia następnej działki.

Włączam lampkę. Światło sprawia mi ból, bo źrenice nie reagują jeszcze prawidłowo. Znajduję pustą torbę. Wzdychając, otwieram ją.

Dokąd się wybieram? Jak?

Nie mam wiele do zabrania, nic poza kilkoma ciuchami zostawionymi wcześniej przez podobnych do mnie, którzy

uciekli. Wkładam je powoli do torby. Potem sięgam pod łóżko po mój kuferek malarski. Moje stawy zgrzytają, gdy się schylam, a ból przeszywa mi nogi. Gdy odstawia się heroinę, jest się chodzącym bólem. W moich kościach nie ma szpiku. Moje ciało się rozpada.

Otwieram kuferek i sprawdzam, czy moja kolekcja przedmiotów znalezionych jest w całości. Pędzle. Rączka od łyżki. Igły do szycia. Notes. Plakietki. Wszystko znalezione w koszach, w śmieciach innych ludzi. Do niedawna — cały mój dobytek.

Serce wali mi jak oszalałe. Jestem przerażony. Nie chcę odchodzić. Droga, którą pokonałem, żeby wyzdrowieć, była taka długa. Ale nie chcę też zostać.

— Co jest? — pyta jakiś głos. To koleś z pokoju, Colin. Sądziałem, że o tak późnej porze będzie już spał.

— Rozpadam się — mówię. — Jestem tu od ponad dwóch tygodni i nie wytrzymam dłużej, jeśli czegoś nie wezmę.

Colin podnosi się na łóżku i ziewa. — Ból ciągle nieznośny, co?

— Rozwala mi pieprzony łeb.

Colin — niski, ciemnoskóry Cygan koło czterdziestki, wie, o czym mówię. On też jest uzależniony od cracku i heroiny. On to rozumie — od lat bierze dragi, żeby przestać cokolwiek czuć.

Od bardzo, bardzo dawna naprawdę nic nie czułem, żadnych emocji. Teraz, gdy te świństwa ze mnie wychodzą, na nowo staję się człowiekiem. Wszystkie emocje, które były tłumione przez narkotyki, powracają jednocześnie. Przerażenie, poczucie winy i straty, wstyd, beznadzieja, niemoc, samotność, smutek, zazdrość, gniew... Wszystko, co powinienem czuć dotychczas, czuję teraz. Emocje rozjeżdżają mnie z siłą olbrzymiej lokomotywy. Miażdżą, zamieniają w papkę.

Colin patrzy na mnie. Od lat stara się wyzdrowieć i ma niezłą gadkę, ale i tak regularnie wraca do nałogu.

— Znaczy — mówię — te wszystkie zasady, które tutaj mają. No, nie jestem w stanie ich przestrzegać. Czego oni ode mnie chcą?

— Nie chodzi o to, czego oni chcą. Chodzi o to, czego ty chcesz.

— Ja tylko chcę być czysty. Chcę rozpocząć nowe życie.

— Więc... masz wyjście.

— Co?

— Tak to jest. Wszystko to, co siedzi ci z tyłu głowy, musi wyjść. Musisz być szczerzy. Wszystkie rzeczy, które ściągały cię w dół, wszystkie tajemnice — musisz to wyznać, stary.

Przez chwilę się zastanawiam i czuję, jak włosy na karku stają mi dęba. To się naprawdę dzieje i nie znaczy, że przecho-
dzi mnie dreszcz. To znaczy, że teraz, gdy moje receptory nie są już blokowane przez narkotyki, reaktywują się kolejne zakoń-
czenia nerwów.

— Czyli — mówię — muszę powiedzieć o tym, jak tam naprawdę było? Na ulicy?

Colin parska śmiechem.

— Nie mówię o twoim ego, jaki twardy tam byłeś. Nie chodzi o to, żebyś się nad sobą użalał. Mówię, że musisz wyjawić swoje tajemnice. Prawdziwe tajemnice. Te wszystkie małe, wstydlive rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówiłeś, podstępne, złośliwe, te z gatunku „podwal kumpla — ocal tyłek”.

Moje tajemnice. Chyba nie mówi poważnie. Jest mnóstwo rzeczy, o których nie zamierzam nikomu mówić. Nigdy.

Colin ciągnie dalej. — Mówienie o swoich słabościach przy-
wraca ci siłę.

Przechodzę przez pokój, otwieram okno i czuję zapach nocy. Oddycham głęboko, wdychając zapach słonego, morskiego powietrza.

Słyszę za sobą nalegający głos Colina.

— Musisz powiedzieć.

Odwracam się, a on ciągle na mnie patrzy.

— Mnóstwo rzeczy trzyma cię w chorobie. Twoje sekrety zatruwają ci duszę. To się nazywa sekretna strona samego siebie. Zastanów się nad tym, stary, zanim spakujesz swoją torbę.

Całą noc leżę i nie śpię, moje ciało wije się z bólu, każdy nerw drga, a moje nogi to śmigła, które wciąż furkoczą, wirują. Chcę odejść, ale nie mam dokąd. Nie chcę tego robić, ale nic innego mi nie pozostało. Nie chcę brać, ale nie mogę bez tego żyć.

Rano wciąż tutaj jestem.

Gdy idę na terapię grupową, umieram ze strachu. Kulę się na krzesła i wszyscy już wiedzą, że po raz pierwszy zacznę mówić. Czuję się atmosferę wyczekiwania. A może to ciekawość?

— Aaa... — reaguje Alan, wyraźnie zadowolony. — Czy chcesz nam opowiedzieć o jakimś istotnym wydarzeniu, Mark?

— Taaa — odpowiadam. Otwieram usta i czekam na swoje słowa. Przez moment głos więźnie mi w gardle. W końcu zaczynam.

Opowiadam im o tym, jak przedawkowałem w swojej kawalerce w Kendal. Wstrzeliłem sobie pół grama heroiny, podczas gdy miałem się opiekować Jackiem, więc dzieciak był ze mną uwięziony przez cały dzień, za zaryglowanymi drzwiami, z opadającą pieluchą, głodny, płaczący.

Wyznaję, że jestem strasznym ojcem, i kończę mówić. Jest mi okropnie wstyd, czuję się upokorzony. W pokoju panuje

cisza. Ludzie na mnie *patrzą*. Niektórzy są wstrząśnięci, inni mi współczują. Kilka osób odwraca głowę: zastanawiają się, co tu robią z takim facetem jak ja. Jedna kobieta kiwa się w przód i w tył z zamkniętymi oczami, próbuje odrzucić od siebie to, co usłyszała.

Alan pochyla się w moją stronę.

— Gdybyś wtedy nie brał narkotyków, nie był od nich uzależniony, czy potraktowałbyś swoje dziecko w taki sposób? — pyta łagodnie.

— W życiu!

— Więc może to wydarzenie nie świadczy o tym, że jesteś strasznym ojcem. Może raczej o tym, że przez narkotyki zacząłeś tracić kontrolę nad swoim życiem — sugeruje.

Zaczynają mówić inni.

Ktoś szepcze: — To musi być dla ciebie straszne wspomnienie. Twój syn cierpiał wtedy, ale ty, przez to wspomnienie, cierpiełeś przez lata.

Mam ochotę podziękować mu za zrozumienie, że jakkolwiek potworne było moje zachowanie, to wciąż jestem człowiekiem.

To jest terapia grupowa, więc teraz ludzie z grupy reagują na to, co powiedziałem, i nagle zaczynam odczuwać ich ciepło i wsparcie. Nigdy nie spotkałem się z taką życzliwością. Nikt nie biega dzwonić do wydziału do spraw dzieci w pomocy społecznej. Mówią o podobnych rzeczach, które sami zrobili, o zachowaniach, które ich też prześladowały. Jedna kobieta mówi, że dwoje jej dzieci zostało oddanych rodzinie zastępczej, 1 z płaczem opowiada dlaczego. Jakiś mężczyzna opisuje swoje zachowanie w stosunku do syna, którego bardzo żałuje. Inny identyfikuje się z moim Jackiem: przytacza sytuacje ze swojego

dzieciństwa z rodzicami alkoholikami, a kiedy to mówi, wygląda jak zmieszane dziecko, ma cierpiący i skonsternowany wyraz twarzy, walczy z napływającymi łzami.

Kiedy sesja się kończy, czuję się pusty. Moja własna historia oburzyła mnie i zawstydziła. Ale wiem jedno: cokolwiek straszniejszego zrobiłem, są inni ludzie o podobnych doświadczeniach. Nie jestem zupełnie sam.

Czuję się bardzo wyczerpany. Chcę po prostu stąd pójść. Komisja w mojej głowie ma dziś bardzo dużo do powiedzenia. Próbuję czmychnąć do pokoju. Ktoś z obsługi mnie zatrzymuje i nakłada karę. Chowam się pod stołem, ale znów mnie znajdują i karzą. Nadal wszystko mnie boli: zęby, oczy, stopy; każdy staw jest ciężki. Nic się nie zmieniło. Colin powiedział, że poczuję się lepiej, lecz tak nie jest. Ale zacząłem mówić. To początek wyjawiania tajemnic.

Annie, ta Irlandka, trzyma pieczę nad sypialniami. Jest w Ravenscourt od czasu, gdy lata temu właściciel domu, alkoholik, zapisał go w testamencie ośrodkowi odwykowemu. Zawsze mnie beszta i karze, gdy przyłapuje mnie na spaniu w ciuchach. Teraz mówi, żebym zmienił pościel. Ściągam poszwę i wlokę się po schodach do pralki.

— A co z prześcieradłem? — pyta Annie, kiedy wracam.

Jęczę. Ściągam prześcieradło z łóżka i schodzę z nim na dół. Gdy włożę z powrotem, ledwie żyję ze zmęczenia. Annie na mnie czeka.

— Zapomniałeś o poszewce — mówi.

Mrużę oczy.

— No, już — Annie opiera ręce na biodrach. — Zmienić pościel to znaczy: poszwę, prześcieradło i poszewkę.

Jest jak półtorametrowa skała z granitu z wierzchołkiem siwych włosów. Z takimi kobietami się nie dyskutuje. Więc przede mnąjuszczjedna wycieczka na dół.

— W ten sposób się nauczysz — mówi Annie, gdy wracam bez tchu. — Następnym razem nie zapomnisz. I mógłbyś po prostu przestać spać w ubraniu. Rozumiesz? Wieczorem zmieniasz ubranie na nocną bieliznę i kładziesz się spać.

— Ale czuję się strasznie zmęczony.

Patrzy na mnie surowo. — Przebierasz się i kładziesz, wtedy gdy idziesz spać. Rano o siódmej wstajesz. Cały dzień jesteś na nogach. Nie kładziesz się spać, dopóki się nie przebierzesz i nie położysz wieczorem do łóżka.

Szanuję ją. Rozumiem, że jest twardą kobietą, i traktuję tę jej stanowczość jako rodzaj uprzejmości. I wstyd mi, że musi mnie uczyć, jak żyć. Wstyd mi, gdy powołuje się dla mnie specjalną grupę o nazwie „higiena osobista”. Teraz jestem raczej czysty, ale ludzie wytykają palcami moje pogniecione ubrania i mówią, że wyglądam jak tramp. Dawniej wiedziałem, kiedy mam jeść, kiedy spać i jak się ubierać, ale stopniowo pozbywałem się tej wiedzy razem ze swoim człowieczeństwem. I teraz muszę się tego wszystkiego uczyć.

Annie daje mi lekcję gotowania. Nieźle się rozumiemy. Ale gdy potem odkrywa, że kuchnia nie błyszczy na medal, jej twarz staje się jak granit i bez wahania wymierza mi karę. Początkowo jej za to nienawidzę, ale wiele wypitych kaw i wypalonych papierosów później jestem jej za to wdzięczny. Z Annie zawsze wiadomo co i jak. Jej niewzruszone egzekwowanie zasad dodaje otuchy.

Możemy wychodzić w grupie na zewnątrz bez nadzoru, pod warunkiem, że wszyscy trzymamy się razem. Możemy pójść do miasta czy na plażę, w dziesięć albo piętnaście osób, choć teraz

w ośrodku przebywa nas więcej. Idziemy ulicami jak ogromne, rozszarpane zwierzę. Nie łączy nas nic oprócz substancji, którą niegdyś zażywaliśmy, ale niektórzy zaczynają nawiązywać przyjaźnie. W końcu zwierzamy się sobie ze swoich tajemnic.

Gdy przychodzimy na plażę, siadamy na piasku i palimy papierosy. Nie ma tu zbyt wielu ludzi, bo większość została wessana przez potężny kompleks Butlins, leżący nieco dalej przy wybrzeżu. Jakieś małe dzieci wbiegają do wody, a potem wracają do rodziców, piszcząc z radości. Nad głowami skrzeczą mewy. Psy szaleją ze szczęścia, że mają tyle przestrzeni, wody i ogrom piasku. O brzeg rozbijają się niewielkie fale. Muszle i kamyki, które biorę do ręki, emanują ciepłem całego dnia. Wszystkie są wyjątkowe i piękne. Słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi i powoli czerwienieje. Pierwszy raz, odkąd tu przyjechałem — nie, to pierwszy raz od wielu lat — czuję jakiś rodzaj spokoju, małą iskierkę nadziei w mojej niedoli.

Następnego dnia jedna z terapeutek wzywa mnie na werandę. Jest błada. Widzę, że trzęsącej się ręce. Ktoś do mnie dzwoni.

Prowadzi mnie do biura i mówi, że to telefon z komisariatu na West Endzie. Głos w słuchawce informuje mnie, że wkrótce przyjedzie mnie przesłuchać dwóch funkcjonariuszy.

— Wjakiej sprawie?

— Prowadzimy dochodzenie w sprawie trzech powiązanych ze sobą przypadków śmierci na West Endzie i sądzimy, że może nam pan pomóc.

Uginają się pode mną nogi. Terapeutka jest przerażona. Patrzy na mnie surowo, zastanawiając się, czy policja mnie nie aresztuje. Przychodzi Alan; ma ściągnięte brwi. Zabiera mnie na dwór i wypalamy papierosa. Opieram się plecami o ścianę.

Na twarzy czuję słońce. Dociera do mnie, że niepewnie, i nawet nieświadomie, zacząłem tu budować nowe życie. Tojeszcze bardzo chybotała konstrukcja, ale już wiem, że istniała, bo właśnie runęła. Słyszę śmiech w mojej głowie. Komisja już mnie osądziła, orzekła, że jestem winny, i odesłała mnie do więzienia.

Alan mi się przygląda.

— W życiu! — mówię. — W życiu nikogo nie zabiłem.

Nagle widzę tamtą Japonkę, odgarniającą ciemne włosy z łagodnej, smutnej twarzy. Widzę Johna leżącego na podjeździe z sinymi ustami.

Alan patrzy na mnie uważnie. — Przypuszczasz w ogóle, co to za przypadki śmierci, o które chcą cię pytać?

— Kilka tygodni temu zostałem dotkliwie pobity i wtedy mnie przesłuchiwali. Ale to może być ktokolwiek. Ludzie na West Endzie umierają.

— Miałeś do czynienia z jakimiś poważnymi przestępcami?

— Raczej tak. Nie wiem. Potrzebowałem narkotyków, więc robiłem mnóstwo rzeczy i znałem wielu ludzi.

— Odpowiadałeś wcześniej na ich pytania? Kiedy zostałeś pobity.

— Nie. Zmyśliłem jakąś historię, bo mówili, że mogę dostać odszkodowanie.

Alan wzdycha.

— Mark. Chcesz zostać na terapii?

— Tak. Chcę być czysty — słyszę swój głos. Mówię to jasno i stanowczo, bo chcę wierzyć samemu sobie. Chociaż gdzieś w środku, bardzo głęboko, ciągle nie wydaje mi się to możliwe. Gdzieś bardzo głęboko, kiedy budzę się codziennie rano, myślę, że tego samego wieczoraj już mnie tu nie będzie.

— W takim razie powiedz policji o wszystkim. Całe życie okłamywałeś innych i siebie. Jeśli naprawdę chcesz się zmienić, jeśli naprawdę chcesz odejść od życia, w którym władzę nad tobą sprawują narkotyki, musisz zacząć teraz od powiedzenia policji całej prawdy.

Rzucam peta i przydeptuję go.

— Żyłem poza prawem. Jeśli powiem im cokolwiek o sobie, to mnie, kurwa, zapuszkują.

— Mark... masz wybór. Możesz znów nazmyślać. Albo powieździe prawdę. To twoja szansa, żeby oczyścić swoją kartę. Tylko prawda pomoże ci przetrwać wyjście z nałogu, a jeśli by już do tego doszło, to możesz kontynuować leczenie w więzieniu.

Kiedy wchodzi ci dwaj policjanci, jednego z nich rozpoznaję. To ten detektyw, który siedział przy moim łóżku, gdy leżałem nieprzytomny w szpitalu. Wita się ze mną.

— Wygląda pan znacznie lepiej niż ostatnim razem — mówi. To prawda. Chodzę na fizjoterapię ze swoją ręką, siniaki już poschodziły i udało mi się przytyć parę kilogramów. Nie wyglądam tak źle. Tylko czuję się jak śmieć.

Zanim zaczynają mnie przesłuchiwać, wychodzą do gabinetu na długą rozmowę z Alanem. Nie wiem, o czym z nimi gada, ale mogę się domyślić. Alan mówi, że ja naprawdę chcę zmienić swoje życie i Ravenscourt daje mi na to szansę, i że pozostawienie mnie tutaj będzie bardziej pożyteczne niż aresztowanie mnie. Ale to są policjanci. Aresztowania to coś, czym się zajmują.

Kiedy przychodzi kolej na mnie, Annie przynosi nam po filiżance herbaty i siadam z nimi w jednym z pokojów terapeutycznych. Jestem przerażony. Policjanci są uprzejmi. Mówią,

że byłem ofiarą interesującego przestępstwa. Prowadzą teraz dochodzenie w sprawie trzech przypadków śmierci na West Endzie i chcą mi pokazać parę zdjęć; twierdzą, że powinienem się na to przygotować. Nie wiem, jak mam to zrobić, więc zaciskam dłonie na poręczach fotela.

Znam wszystkie osoby z tych zdjęć. Leżą na identycznych stalowych stołach. Wyglądają jak figury woskowe, ale nimi nie są. Ci ludzie są martwi. Każdy z nich mógłby być mną. Gdy mrugam oczami, na tych nieruchomych ciałach widzę swoją twarz.

Tłumię w sobie instynkt, żeby skłamać na temat tych ludzi: kim byli, co robili i jak ich poznałem. Przypominam sobie głos Alana i to, co powiedział — że dzięki mówieniu prawdy mógłbym zmienić swoje życie. Jestem raczej pewny, że zamienię je na więzienie, ale mimo to zaczynam mówić. Mówię wszystko, co wiem o narkotykach na West Endzie. Mówię nawet o stacji metra Warren Street.

W końcu porozumiewawczo kiwiają do siebie głowami i dziękują mi za pomoc. Podnoszą się do wyjścia.

— Nie aresztujecie mnie? — pytam.

— Nie, Mark. Życzymy ci powodzenia w leczeniu — mówią. I wychodzą. Policjanci... kto ich zrozumie? Są pożywką dla moich lęków i towarzyszą mojej paranoi, ale za każdym razem, gdy mam z nimi do czynienia, okazują mi grzeczność i ludzkie odruchy.

Wchodzi Alan. Uśmiecha się. Zaciera rękę.

— Będzie dobrze? — pytam. Chce mi się płakać. Alan mnie obejmuje, a ja daję się przytulić i jest mi dobrze.

— Tak — mówi — będzie dobrze.

A ja mówię do niego: — Zawsze mówisz o jakiejś wyższej sile...

— To drugi krok — przypomina mi: — „Wierzę, że do zdrowia może mnie przywrócić siła większa ode mnie”.

— Właśnie to zrobiła. To znaczy, Bóg albo siła wyższa, albo jakkolwiek byś to nazwał. Właśnie mi pokazano, jak bym skończył, gdybym został na ulicy. Na stalowym stole w policyjnej kostnicy, z pozostałymi. Jeśli tam wrócę, tak to się dla mnie skończy. Ktoś mówi mi, żebym został tu, na leczeniu.

Po tym wszystkim wcale nie jest łatwiej tu zostać, trudniej tylko jest stąd wyjść. Jutro może tam wrócę, może znajdę się na ulicy, może znów wezmę. Muszę tylko przetrwać dzisiejszy dzień.

Bolą mnie zęby, ale nie leczy mnie tu żaden dentysta. Poza tym fizyczny ból klekotu stopniowo łagodnieje, choć często wraca z okrutną siłą. Ale podczas gdy fizyczna udręka jest coraz mniejsza, wzrastają problemy psychiczne. Chcę uciec, chcę schować się w jakimś kącie, chcę krzyczeć, chcę kogoś uderzyć, chcę się z kimś pieprzyć. Wszystko wbrew zasadom. Rosie i ja pisujemy teraz do siebie i chciałbym odwiedzić ją i dzieci, ale po konsultacji z Alanem okazuje się, że to też jest zabronione. Alan mówi, że mogłoby to wpłynąć na moje leczenie. Na tym etapie ważne jest dzielenie się emocjami z grupą, a nie przenoszenie ich do bardziej zamkniętej, „specjalnej” relacji.

A gdy już się przyzwyczajam do tego miejsca, zaczynam uczyć się zwyczajów, przebieram się, kiedy kładę się w nocy do łóżka i śpię od czasu do czasu, wtedy przychodzi moment, bym stąd odszedł. Ravenscourt to ośrodek leczenia pierwszego stopnia, a to oznacza, że nie można tu zostać dłużej niż dwanaście tygodni.

Alan zorganizował już moje przeniesienie do Bournemouth, do ośrodka leczenia drugiego stopnia o nazwie Quinton House Project. Od lat ciągle się gdzieś przenosiłem, więc teraz każda

najmniejsza zmiana wydaje się siał spustoszenie w moim ciele. Jestem wystraszony i niespokojny. Kiedy Alan ściska mnie na pożegnanie, chce mi się płakać. Dwanaście tygodni to najdłuższy okres, jaki gdziekolwiek dobrowolnie spędziłem, nie licząc ostatniej terapii, kiedy jedyną alternatywą było dla mnie więzienie. Tym razem zostałem, bo alternatywą była śmierć. Ale Ravenscourt stało się moim domem. Odkąd tu przyjechałem, przez ośrodek przewinęło się wielu narkomanów. Nie każdy wytrzyma do końca leczenia. Ci, którym się to udaje, mają ogromną szansę na wyleczenie.

Gdy przyjeżdżam do Bournemouth, mam ochotę zawrócić i popędzić do Bognor. Z okien widzę dealerów przy pracy na kawałku trawnika po drugiej stronie ulicy. I mam wrażenie, że wielu narkomanów w tym ośrodku nie jest zainteresowanych wyzdrowieniem: traktują to miejsce po prostu jako rodzaj odpoczynku od nałogu.

Ośrodek prowadzi Lorraine Parry, wspaniała kobieta specjalizująca się w zapobieganiu powrotom do nałogu. Jest w stanie zajrzeć ci do głowy i wszystko z ciebie wyciągnąć. Pomaga jej grupa zapracowanych trenerów i terapeutów. Są jak policja patrolująca twoje myśli. Nie możesz poczuć czegokolwiek bez pytania z ich strony, skąd to się wzięło, czy doświadczyłeś tego w dzieciństwie, kto ostatnim razem spowodował, że tak się czułeś. Moja trenerka, Sonia, jest najbardziej przerażająca ze wszystkich, ale Alan się z nią kontaktował i zapewnił mnie, że jestem w dobrych rękach.

Stopniowo, po intensywnej terapii grupowej i indywidualnej, zacząłem wierzyć, że narkomanem już się urodziłem. Wierzę, że uzależnienie to choroba, którą mam od urodzenia

— to tak jak inni rodzą się z bardziej oczywistymi fizycznymi ułomnościami. Kradzieże i antyspołeczne zachowania wskazywały na moją chorobę na długo, zanim zacząłem pić czy brać narkotyki. I uczę się nie obwiniać za nic swojego dzieciństwa, rodziców czy środowiska, bo gdy słyszę historie innych, muszę przyznać, że wiele osób cierpiało bardziej niż ja, a nie skończyło tak jak ja. A teraz moje życie jest w moich rękach. Mogę zdecydować, co będzie się działo później. Mogę zdecydować, czy pozostać chorym czy wyzdrowieć.

Jednym z najbardziej zaskakujących odkryć, jakich dokonałem, jest to, że nie zaraziłem się ani wirusem HIV, ani wirusem zapalenia wątroby typu C. Nie wiem, jak to możliwe, że się uchowałem. Ta świadomość czyni mnie pokornym i wdzięcznym.

Ale nie znoszę tego miejsca. Wszystkich nie znoszę. Nie cierpię tego ciągłego gadania o sobie. Nie chcę już wyjawiać więcej tajemnic. I właśnie wtedy gdy myślę, że powiedziałem już wszystko, okazuje się, że opisuję jeszcze bardziej przerażające szczegóły i jeszcze bardziej odrażające czyny. Pewnego dnia, roztrzęsiony, opowiadam o czymś, przez co ciągle budzę się w nocy zlany potem, co nieustannie mnie dopada, bez względu na porę i miejsce, w najmniej oczekiwanych momentach. Ta dziewczyna z Japonii. Jak ją zabiłem. A gdy kończę opowiadać o niej, zaczynam o Johnie z West Country. Mówienie o tym nie może zmienić tego, co zrobiłem. Wciąż czuję się samotny, pusty i pełen wstydu. Pomaga mi nieco, że inni członkowie grupy identyfikują się z moim doświadczeniem. Jedna dziewczyna opowiada, jak ktoś w jej squacie przedawkował, a ona, niepewna, czy umarł, ale pewna, że nie chce odwiedzin policji, razem ze znajomymi zawięła jego sine i nieruchome

ciało w dywan, na którym leżał, i wyrzuciła do kontenera na śmieci. Inna mówi, że pewnego ranka obudziła się obok swojego partnera — zimnego.

Tu w Bournemouth wyrzucam z siebie całe swoje życie. Bywają dni, kiedy nie mogę sobie z tym poradzić. Po kolejnej sesji, na której dowiedziałem się o sobie więcej, niż chciałbym wiedzieć, umawiam się na plaży zjedną z narkomanek. Proszę ją, żeby odciągnęła moją uwagę od moich odczuć. Uśmiecha się słodko i pieprzymy się na piasku.

Kiedy jest już po wszystkim, czuję się okropnie, jakbym podał się nałogowi. Złamałem zasady. Przez chwilę próbuję zataić to, co zrobiłem, ale ten rodzaj nieuczciwości powoli staje się dla mnie niewyobrażalny. Chociaż wiem, że będę w tarapatkach, decyduję, że o wszystkim opowiem. Uprawianie seksu z inną uzależnioną osobą jest tak samo złe, jak wypicie alkoholu czy przyjęcie narkotyku, i tak właśnie wykorzystałem tę dziewczynę — jak narkotyk, który miał mnie odciągnąć od tego, co czułem.

Po moim wyznaniu wszyscy dyskutują, czy należy mnie wyrzucić. Byłem zaborczy wobec tej dziewczyny, wykorzystałem ją do zaspokojenia swoich potrzeb, a ona jest nieodporną i cierpiącą narkomanką, która tego dnia była bardzo poruszona sprawami omawianymi podczas terapii grupowej.

W końcu wszyscy się zgadzają, że powinienem zostać odesłany do innego, pobliskiego ośrodka. Należy on do Quinton House Project, ale jest takim satelitą o luźniejszych zasadach i mniejszej kontroli. Jestem teraz silniejszy. Próbuję trzymać się programu dwunastu kroków; po raz pierwszy w życiu mam jakiś kodeks postępowania duchowego i moralnego, według którego mogę próbować żyć.

W grudniu są moje trzydzieste urodziny: jest przyjęcie urodzinowe i tort ze świeczkami. Pierwszy w moim życiu. Jestem tak zdenerwowany, że nie mogę wykrztusić słowa. Wymykam się na zewnątrz i ocieram łzy.

Terapia drugiego stopnia trwa cztery miesiące. Pod koniec lutego mam zdać egzamin dojrzałości. Nazywają to egzaminem dojrzałości, ale ja czuję się tak, jakby mnie wyrzucali na ulicę. Podnoszę larum, że nie jestem gotowy. Właściwie to jestem przerażony. Życie w jakiejś społeczności z pełnym wsparciem, kanonem zasad i wyraźnym rozkładem dnia to jedno, a wrócić na zewnątrz to drugie.

Moja terapeutka Sonia zapewnia mnie, że sobie poradzę. Nadal mogę uczestniczyć w spotkaniach grupowych w Quin—ton House, nadal będę ją widywał i dopóki będę chodził na spotkania z innymi narkomanami i alkoholikami, dopóty otrzymam wsparcie, którego potrzebuję. Tylko że nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek mógł dostać wystarczające wsparcie. Przekonuję ich, żeby mnie wysłali do ośrodka terapii trzeciego stopnia, który znajduje się o godzinę drogi stąd, na wybrzeżu.

Odbywa się poruszająca ceremonia dojrzałości. W Quin—ton House przebyłem długą drogę i nie kroczyłem nią sam. Czuję się otoczony ludźmi, którym na mnie zależy. Po moich obu stronach, wspierając mnie, siedzą moi przyjaciele — Nicole i Ryan. To doświadczenie budzi emocje. A gdy się kończy, wsiadam do pociągu do Carlton House, gdzie wszystko jest świetnie zorganizowane, i prowadzę stabilne życie, zastanawiając się nad tym, dokąd pójdę i co będę robił.

A po kilku miesiącach znów przychodzi czas, bym odszedł. Czas, abym przestał mieszkać w ośrodkach i odnalazł własną

drogę. Gdyby istniał czwarty stopień terapii, z pewnością bym go podjął, ale nie istnieje. Muszę tam wyjść, do zewnętrznego świata, przepełnionego narkotykami i samotnością, i muszę w nim żyć.

Perspektywa wyjścia na ulicę wydaje się warczeć na mnie jak wściekły pies, straszy mnie i budzi przerażenie. Muszę mieć własny ką. Wiem, że na wynajęcie mieszkania muszę mieć jakieś fundusze, i nie mam pojęcia, jak je zdobyć. Ale życie kłamcy i manipulatora wyposażyło mnie w zdolność znajdowania rozwiązań. Ostatnim razem, gdy byłem na odwyku jako dzieciak. Fundacja księcia Karola dała mi pieniądze na aparat fotograficzny. Wiem, że pożyczają pieniądze ludziom potrzebującym pomocy na rozpoczęcie własnego biznesu. Więc zwracam się do nich z prośbą o pieniądze, za które mógłbym kupić sprzęt do wspinania się na drzewa. Mówię, że chcę wrócić do chirurgii drzew.

Mężczyzna o jasnej twarzy, który nazywa się David Fox, prosi mnie o krótki życiorys. Siedzi w biurze i notuje to, co mu mówię. Potem przytakuje głową i oświadcza: — Myślę, że możemy ci pomóc.

Gapię się na niego z niedowierzaniem.

Fundacja przyznaje mi pożyczkę w wysokości trzech tysięcy funtów. David Fox udziela mi krótkiej porady biznesowej i życzy powodzenia.

— Proszę dać znać, jak się panu wiedzie — mówi.

Zaufanie tego faceta przeraża mnie. On naprawdę wierzy, że ja mam wystarczająco dużo wiary w siebie i zdolności, żeby rozkręcić biznes.

Jeszcze bardziej przerażająca jest ogromna suma pieniędzy, jaką udostępni mi fundacja. Z taką kasą mógłbym wrócić

do nałogu choćby jutro. Mógłbym się *zatracić* w dzikiej bibie. Mógłbym wbić sobie igłę, wsiąść do rakiety napędzanej ciałem i przemierzać kosmos, wiedząc, że jestem bezpieczny, bo heroina zawsze może wszystkiemu zaradzić. Z trzema tysiącami funtów mógłbym to robić bez końca. Chociaż moje ciało nie doświadczyło jej od ponad roku, heroina wzywa mnie każdego dnia. Nie tylko dlatego, że objawy klekotu często powracają, ale też z powodu siły wspomnień tamtych euforycznych chwil. Każdego dnia pragnę narkotyków i brakuje mi ich. Jedyny sposób, w jaki powstrzymuję się przed braniem, to przypomnienie sobie o konsekwencjach. Pamiętam tego ducha, którym byłem, gdy ludzie z ośrodka detoksykacji zawieźli mnie do szpitala uniwersyteckiego. Pamiętam tego maniaka, którym się stałem, zamykając się w schronisku i pochłaniając cały skradziony crack. Pamiętam policyjne zdjęcia i swoją twarz nakładaną na tamte ciała leżące na stalowych stołach w kostnicy.

David Fox zainwestował we mnie tyle zaufania, a ja jestem pewien, że go zawiodę. Nie chcę ukraść tych pieniędzy, ale to nieuchronne. Jestem nieuczciwy do cna. Tak mówi komisja.

„Tylko dziś się liczy”.

Pierwszą rzeczą, na jaką postanawiam wydać pieniądze, jest mieszkanie. Lwia część pójdzie pewnie na opłaty. Mówię sobie, że nie mogę rozpocząć działalności, dopóki nie będę miał adresu, więc takie wykorzystanie pieniędzy fundacji wydaje mi się uzasadnione.

Znajduję mieszkanie na południowym wybrzeżu i czynsz jest minimalny. Trzy tysiące funtów pozostają nietknięte.

Uwielbiam moje mieszkanie. Mieści się na czwartym piętrze wiktoriańskiego domu, ma skośny sufit i ciekawe wnęki. Z jednej

strony jest kościół, a na jego dziedzińcu stoi drzewo, tak blisko moich okien, że czuję się, jakbym siedział na jednej z jego najwyższych gałęzi. Nie dociera tu żaden hałas, tylko ptaki i spokój. Z okien po drugiej stronie widać cały miejski zgiełk.

Miałem wiele mieszkań, ale dopiero w tym czuję się jak w domu. To moje schronienie. Raj. Prawie nie ma tu mebli: tylko zniszczona sofa i parę poduszek, żebym mógł na nich spać. Ale i tak uważam, że jest idealne. Stopniowo je zapełniam. Kupuję używane kanapy, regały, naczynia kuchenne, farbę. Dzięki szerokim, szybkim ruchom pędzla ściany przybierają kolor morskich głębin i jaśniutkich słoneczników. A co najważniejsze, pomagają mi przyjaciele. Teraz mam przyjaciół. Cokolwiek bym robił, ktoś mi pomaga.

Czasami przeżywam chwile szczęścia i odnajduję spokój w swojej nowej przestrzeni. Czasami dopadają mnie straszne, przerażające sny o tym, że jestem na ulicy. Czasami budzę się rano oblany potem ze strachu, przerażony, że nie mogę tego zrobić, to znaczy — że nie mogę żyć jak inni ludzie, płacąc rachunki, robiąc pranie, jedząc śniadania. „Tylko dziś się liczy”. Samo uczenie się, jak żyć, jest już wystarczająco trudne, więc nie ma mowy, żebym znalazł siłę na rozpoczęcie działalności. A te trzy tysiące funtów wciąż czekają.

W dużym stopniu polegam na przyjaciółach, narkomanach i alkoholikach, którzy przeszli taki sam proces leczenia jak ja. Jeden z nich, Ronnie, jest budowniczym, który zatrudnia mnie na część etatu. Z wynagrodzenia spłacam fundacji odsetki od pożyczki.

Więc to jest moje nowe życie; przez „nowe” rozumiem takie, jakie otrzymuje noworodek. Wciąż uczę się różnych

rzeczy. Medytuje i ustaląm sobie jakiś rozkład dnia, prowadzę też pamiętnik. Chodzę spać w nocy. Wstaję rano. Staram się regularnie jeść wartościowe posiłki. Uczę się dbać o siebie. Gotuję dla innych. Inni gotują dla mnie. Próbuję podtrzymywać przyjaźnie, być szczerzy i nie udawać kogoś innego.

Kilka dni w tygodniu pracuję na budowie z innymi kumplami. Jeśli uda nam się przekonać Ronniego, żeby przerwał na chwilę pracę i zaczął opowiadać, to tak robimy. Siadamy na wiadrach, a on opowiada o szalonych rzeczach, które robił w czasach, gdy pił, i wtedy myślę sobie: jeśli Ronnie mógł wrócić do normalnego życia, to ja też mogę. W pracy jest sporo śmiechu. Resztę czasu spędzam, leniuchując na plaży. Mam dziewczyny. I bywają dni, choć nie ma ich wiele, gdy dostrzegam iskierkę nadziei, że kto wie, a nuż mógłbym się nauczyć żyć jak inni ludzie. Nie myślę o kolejnym dniu albo o tym, czy wezmę coś w następnym tygodniu, ani o tym, jak wszystko wokół mnie by runęło. Skupiam się na dniu dzisiejszym: wstawaniu, medytowaniu, życiu, niebraniu.

Trzy tysiące funtów z Fundacji księcia Karola martwi mnie tak bardzo, że postanawiam je spożytkować. Kupuję sprzęt do wspinaczki po drzewach. W końcu mówiłem, że tak zrobię. Nic z nim nie robię. Teraz zamiast pieniędzy na rachunku bankowym mam w moim mieszkaniu różne liny i karabinki. Liny są białe i pomarańczowe, metalowe elementy błyszczą. Po kilku dniach już ich nie zauważam, po prostu przechodzę obok nich.

Któregoś letniego popołudnia pracuję na budowie z pędzlem w rękę, malując razem z innymi kumplami, i w jakimś momencie zerkam na zewnątrz. Przyciąga mnie gra światłocieni. Kładę pędzel na puszcze i idę popatrzeć.

Chociaż teren budowy jest zakurzony i wszędzie leżą cegły i gruz, to tu powietrze jest świeże. Niemal na wyciągnięcie ręki stoi drzewo, ogromny buk. Tuż pod nim ziemia jest ciemna, ale krańce cienia, który rzuca, układają się niczym wzór koronki. Zadzieram głowę i z podziwem przyglądam się srebrnemu pniowi. W ten upalny dzień drzewo wydaje się przyjemnie chłodne. Wokół jednej gałęzi roją się owady. Gdzieś wysoko, tak że go nie widzę, śpiewa jakiś ptak. Drzewo zaprasza mnie do swojego świata głębokiego cienia.

Muszę wejść wysoko. Bez zastanowienia wdrapuję się na mur i przechodzę na najniższe gałęzie. Skupiając się nad tym, gdzie postawić stopę, za co chwycić ręką, zaczynam się wspinać. Początkowo gałęzie są tak grube, że jest mi ciężko. Ale im wyżej się wdrapuję, tym stają się lżejszy. Coraz zwinniejszy. Coraz łatwiej przychodzi mi pokonywanie horyzontalnych przeszkód na swojej wertykalnej drodze.

Kiedy jestem wystarczająco wysoko, by wyjrzeć zza liści, ponad dachami widzę, jak na horyzoncie niebieska woda wyparowuje w mlecznobiałe niebo. Zatrzymuję się. Kładę rękę na gałęzi. Przesuwam po niej palcami i czuję na dłoni wyjątkowo gładkie bukowe słoje. Na końcu gałęzi szemrzą liście poruszane delikatną bryzą.

Drzewo jest trwałe i niezmienne. Rośnie, ale się nie zmienia. Przeżywa różne pory roku, reaguje na żywioły, utrzymuje życie innych, choćby ptaków czy owadów, które żywi. Stojąc tu, chroniąc się przed niebem w cieniu łagodnego drzewa, czuję głęboki spokój. Oddycham powoli. Trzymam się drzewa i zamykam oczy.

W moim życiu było już wiele zakrętów i zwrotów, ale drzewa są tym, co kocham i czego nauczyłem się wieki temu. I jest dla

mnie oczywiste — nie wiem, dlaczego wcześniej to do mnie nie docierało — że drzewa są moją przyszłością. Nie wiem, co czeka na mnie na końcu mej podróży, ale stojąc tu na gałęzi, przytulając się do drzewa, zasłonięty jego liśćmi, po raz pierwszy widzę, że przede mną może być jakaś droga.

Epilog

Nie tknąłem alkoholu i narkotyków od 21 lipca 2000 roku, od tej nocy, kiedy po raz ostatni wstrzyknąłem sobie crack w ośrodku odwykowym Equinox. Każdy dzień jest odroczeniem wyroku. Wciąż trzymam się programu dwunastu kroków, który cały czas pozwala mi być czystym i mnie umacnia. Niekiedy przypomina mi się stan narkotykowej euforii. Czasem, ni stąd, ni zowąd, wkrada się we mnie klekot. Czasem budzę się ze snów o braniu i jestem cały spocony, bo wydaje mi się, że w nocy wróciłem do nałogu. „Tylko dziś się liczy”.

Kiedy w moim życiu znów zagościły drzewa, początkowo pracowałem dla innych arborystów. Odkryłem, że bez alkoholu i narkotyków, które mogłyby mi przeszkadzać, pracowałem ciężiej i lepiej niż moi pracodawcy, więc po pewnym czasie miałem już tak serdecznie dosyć dźwigania ich na własnych barkach, że wróciłem do pracy na budowie.

Wtedy spotkałem Vicky. Była młoda, piękna, ufna i zakochałiśmy się w sobie. Mimo że jej życie w domu rodzinnym było o wiele bezpieczniejsze niż moje, rozumieliśmy się nadzwyczaj dobrze. Nasza miłość była bardzo głęboka i staraliśmy się sobą

nawzajem opiekować. Czułem się tak, jakby to był mój pierwszy związek, bo do tej pory miałem wiele kobiet, ale związek tylko jeden — z narkotykami.

Patrzyłem, jak Vicky wstaje codziennie rano i idzie do pracy. Dwa razy w tygodniu chodziłem na budowę. Resztę czasu spędzałem, objijając się na plaży.

— Wydawało mi się, że mówiłeś, że jesteś chirurgiem drzew — powiedziała Vicky któregoś dnia, patrząc na moje ubrania ze sklepów charytatywnych, moją niedziałającą komórkę, mój śnieżący telewizor. — Okłamałeś mnie.

— Nie, naprawdę! Przeszedłem całe szkolenie.

— To dlaczego tego nie robisz?

— Bo gdy pracowałem, kończyło się na tym, że ja harowałem, a cały zysk zgarniali moi szefowie.

Vicky wzruszyła ramionami. — No, to dlaczego nie pracujesz na siebie?

Zamarłem na moment. Sonia, moja terapeutka z Quinton House, pomogła mi znaleźć siłę, bym w końcu podjął tę decyzję. I w ten sposób założyłem własny biznes. Dokładnie tak, jak powiedziałem w fundacji, że zrobię. Byli tacy pewni, że tego dokonam. I dokonałem. Nie doszedłbym do tego bez fundacji, bez Vicky i Soni, i bez budowlańca Ronniego, który był moją gwiazdą przewodnią.

Byłem uzależniony od wielu rzeczy i na jakiś czas uzależniłem się też od pracy. Zamieniłem się w biznesmena. Tak, ja. Wycena robót, kupowanie ciężarówek, zatrudnianie ludzi, wysyłanie faktur, siedzenie przy papierkowej robocie, spotkania, umowy, reklama... Moim celem było przede wszystkim pomaganie leczącym się narkomanom i byłym przestępcom, próba

wspierania ich w taki sposób, w jaki inni pomagali mi przejść mój proces leczenia. Ciężko pracowałem, mój biznes się rozkręcał, a moje dobre imię rosło.

Cały ten czas uczyłem się żyć, ale na jednej płaszczyźnie. Związki to trudny temat dla narkomanów, a ja, nie mając żadnych zdrowych punktów odniesienia, miałem pewnie więcej do nadrobienia niż wielu innych. Ostatecznie Vicky i ja nie daliśmy rady przezwyciężyć wszystkich trudności. Dzięki naszemu związkowi oboje niesłychanie wydorosleliśmy i doszliśmy do miejsca, w którym powinniśmy się znaleźć, choć, niestety, nie razem. Ale nasza przyjaźń trwa nadal.

Czuję, że doszedłem na skraj życia — i wróciłem. Gdybym wszedł na Everest i wrócił z niego żywy, wydano by z tego powodu przyjęcie. Jako antybohater oczywiście nie zasługuję na żadną fetę ani nie spodziewałbym się jej, ale właściwie takie przyjęcie się odbyło. Moja firma pręźnie działała i miałem niezłą opinię, gdy w 2005 roku Fundacja księcia Karola przyznała mi nagrodę Young Achiever of the Year (Młody Zdobywca Roku). W tym samym czasie odwiedziłem Clarence House przy bulwarze Mail. Stałem przed wysokim, starym murem i przypomniałem sobie, jak przechodziłem tamtędy ostatnim razem, bez pensa przy duszy, bez domu, bez nadziei, przyglądając się tamtejszym platanom. A potem wzięłem głęboki oddech i wszedłem przez bramę jako zaproszony gość. W środku spotkałem księcia Karola, człowieka, który wyciągnął do mnie swoją pomocną dłoń.

Wkrótce po tym spotkaniu, na pełnej blasku ceremonii w Londynie, otrzymałem nagrodę Pride of Britain (Chłuba Wielkiej Brytanii), przyznawaną przez dziennik „Daily

0 podwyższonym rygorze. Kiedy wróciłem do Anglii, spotkałem się z sekretarzem stanu, a w lecie gościłem u księcia Karola w Highgrove, gdzie — w otoczeniu pięknej zieleni, pijąc popołudniową herbatę — prowadziłem ważne rozmowy. Wczoraj z Alekssem Salmondem, pierwszym ministrem Szkocji, zastanawialiśmy się, w jaki sposób rozwiązać problem przestępczości wśród młodocianych. Wkrótce z tą samą misją pojadę do Irlandii Północnej, potem będę wymieniał poglądy z międzynarodowymi autorytetami, ministrami i szefami gabinetów. Moje życie jest teraz zupełnie surrealistyczne. Często chaotyczne, tak chaotyczne jak dawniej. Teraz, tak samo jak wcześniej, muszę nieustannie przystosowywać się do zmian. I w pewien sposób szaleństwo tamtych lat przygotowało mnie do mojego nowego, wariackiego życia.

Rosie i ja próbowaliśmy odbudować nasz związek, ale szybko się przekonaaliśmy, że bez narkotyków on po prostu nie ma racji bytu. Rosie jest teraz czysta, umacnia się w efektach leczenia, podobnie jak ja, i próbujemy stworzyć dobrą przyjaźń, dla naszego dobra i dla dobra naszych chłopców. A jedną z najlepszych rzeczy, które spotkały mnie w ostatnich latach, jest to, że moi synowie są teraz częścią mojego życia i widuję ich tak często, jak tylko mogę. Próbuję jakoś wynagrodzić im te lata, w których nie byłem dla nich ojcem. Gdy myślę o mojej relacji z ojcem i o jego relacji z jego ojcem, mam wrażenie, że los nie dał nam szansy. Ale moi synowie i ja o tę szansę walczymy. I tu koło się zamyka. Jestem ogromnie szczęśliwy, że mam takich mądrych, zdrowych, rozsądnych i kochających synów. Rozjaśniają mi życie.

Obecnie mam bliski kontakt z matką. Odbudowujemy nasze relacje i mają one zdrowe granice. Uczę się pozwalać jej być moją matką. Teraz potrafię bardziej docenić to, ile wycierpiała przez

te wszystkie lata z ojcem, chociaż nigdy nie zrozumiałem, co trzymało ją tak długo w tym chorym małżeństwie. Mama odnalazła w końcu szczęście, wyszła za męża za miłego człowieka.

Nie mam kontaktu z ojcem ani jego rodziną. Nie winię go za to, co mi się przydarzyło, takie myślenie nie byłoby dla mnie korzystne, a poza tym zapewne on sam zmaga się z własnymi demonami.

Utrzymuję kontakt z moim bratem, który przebywa w Ameryce, i jestem na etapie wynagradzania moim siostrą sposobu, w jaki je traktowałem. Uważam moją młodszą siostrę, Bethany, która w relacjach z ojcem wycierpiała znacznie więcej, niż mógłbym wtedy przypuszczać, za najsilniejszą i najpiękniejszą kobietę, jaką znam. Wyszła za dobrego człowieka i ma trójkę dzieci.

Czasem dochodzą mnie słuchy o ludziach z Kidderminster. Vanessa wyszła za męża, ma dzieci i mieszka na tym samym osiedlu komunalnym. Daniel odsiaduje karę dwunastu lat więzienia za napad z bronią w rękę.

Kiedy ostatnim razem miałem wieści o Jodie, nadal prowadziła przykładowe życie w Perth. Większość moich starych znajomych klubowiczów została szanowanymi biznesmenami. Niektórzy pracują w świecie muzyki, a inni, na przykład Mark Downes, pomagali mi w biznesie i teraz są ze mną w stałym kontakcie. Ludzie z DIY nadal organizują imprezy i burdy. Colin, kumpel narkoman, który tak bardzo pomagał mi w Ravenscourt, wkrótce po zakończeniu leczenia wrócił na dobre do nałogu. Niemal wszyscy moi współtowarzysze z Quinton House, którzy głosowali za tym, żeby mnie wyrzucić po incydencie z dziewczyną na plaży, wrócili do nałogu. Było też zbyt wiele śmierci. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo byłem narażony na ulicy, ale teraz widzę to jasno,

unaoczniają mi to ciche zgony, o których się dowiaduję: w bramach, alejkach, opuszczonych domach. Śmierć zabiera nie tylko ludzi mieszkających na ulicy, ale też przyjaciół, których zyskałem przez lata leczenia. Nieraz pytam sam siebie, jak to się stało, że ocalałem, i dochodzę do wniosku, że moim życiem musi kierować jakaś wyższa siła.

Co do mojej kolekcji przedmiotów znalezionych, no cóż, to oczywiście kupa śmieci. Ale nadal mam pędzle, łyżkę, notes i wszystkie inne drobiazgi, i kiedy wyprowadziłem się ze swojego mieszkania i kupiłem dom, stary, sfatygowany kuferek malarski przyszedł tu razem ze mną. Więc gdy rozglądam się po kuchni, po meblach, po kolekcji płyt i po swoim biurze, przypominam sobie, że nie tak dawno cały mój dobytek stanowiła kolekcja śmieci, które inni ludzie wyrzucili do kosza.

Jeden raz, odkąd opuściłem ulicę, widziałem Dave'a i jego psa Bootsa. Gdy któregoś dnia umówiłem się ze swoją dziewczyną Vicky, odważyłem się przejść przez stację metra Piccadilly, i tam, na dole przy schodach, znalazłem ludzki tobołek ze stopami wystającymi spod koca. Obok tobołka leżał pies.

Krzyknąłem: — Hej! Pobudka! Hej!

Dave usiadł, miał przekrwione oczy. Boots też.

— Mark! Mark, ty pieprzony gnoju! — zawołał Dave, a jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu. — Ty dupku!

To wyraz spoufalenia, więc usiadłem obok.

— Słuchaj, stary — zacząłem, bo pamiętałem, jaki był na mnie zły, gdy widział mnie ostatnim razem — nie masz pojęcia, jak strasznie się czułem z powodu tej Japonki. To, co zrobiłem, prześladowało mnie, i...

Dave mi przerwał. Powiedział: — Ożeniłem się z nią.

Zatkało mnie.

— Z kim?

— Z NIA!

— Z Japonką? — Na pewno źle usłyszałem. Żyje? Dave się z nią ożenił? Ale moje serce waliło jak oszalałe, bo czułem w tym cień prawdopodobieństwa.

Dave powiedział: — Nigdy nie wzięła tego syfu, który jej dałeś, jebańcu. Ja go wzięłem.

Nie wzięła tego. Nie wstrzeliła sobie cracku i heroiny i nie umarła sama w pokoju w hotelu przy Baker Street. Poczujęm, jak zapiekły mnie łyzy. Łzy ulgi.

— Więc ona żyje? Ona, kurwa, żyje!

Dave przytaknął. Moja twarz była rozpalona i mokra od łez. Objąłem go i przycisnąłem do siebie jego głowę. Przytuliłem go mocno. Nie obchodziło mnie, czy miał wszy. Obchodziło mnie tylko to, że jej nie zabiłem.

— Parę dni później przyszła tu, żeby mnie odszukać. Wróciłem z nią do hotelu i tak tam zostałem. A potem... yyy, ożeniłem się z nią.

W takiej chwili powinno się powiedzieć: „Moje gratulacje!”. Ale wciąż nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

— Mieszkaliśmy tu, w Londynie, ona kupowała mi narkotyki, ja pomogłem jej z paszportem. Teraz od kilku dni jestem sam, bo ona poleciała do Japonii przede mną. Ja lecę jutro.

— Jutro?

— No. Zamówiła mi taksówkę, która ma mnie zawieść na lotnisko. Odbiera mnie o dziewiątej rano.

Próbowałem sobie wyobrazić tę Japonkę w szpilkach i kremowym trenczu z takim dzikusiem jak Dave. Jest uprzejmy,

łagodny i dobry ale mieszka na ulicy i jest dziki. Może jej się wydawać, że go ujarzmiła, ale on prawdopodobnie wykrada się tu, gdy tylko może.

Siedziałem obok niego na ziemi na stacji metra, ocierając łzy, podczas gdy przechodnie rzucali mu jakieś drobne. Pomyślałem, że znów musiała zadziałać wyższa siła, bo gdybym przyszedł tam dzień później, nigdy bym go nie spotkał i do końca życia miałbym wyrzuty sumienia z powodu śmierci tej dziewczyny.

Dave odwrócił się do mnie. Powiedział: — Naprawdę potrzebuję działki. Masz coś?

Wyciągnąłem portfel. Ale siedzący we mnie narkoman nie mógł dać Dave'owi dziesiątki na działkę. Nie mogłem zrobić mu tej przyjemności, jeśli sam miałem jej nie doznać. — Dam ci sześć funtów — powiedziałem.

Podeszło kilku koleśków z ulicy. Wychudzeni, młodzi goście, którzy przypominali mnie z czasów, gdy mieszkałem na West Endzie.

— To jest mój kumpel Mark — zahuczał Dave. — Jest jednym z nas!

Chłopcy wydawali się zaskoczeni, ale usiedli obok Bootsa. Chciałem im opowiedzieć o swojej podróży, ale nie wiedziałem jak. Próbowałem im powiedzieć tyle, żeby zrozumieli, że zmiana jest możliwa, że wszystko jest możliwe. Po ich twarzach spływał pot, pociągali nosami i ściskali w rękach ciepłe puszkę z piwem.

Powiedziałem: — Sądziłem, że nigdy nie będę czysty. Nie znałem nikogo, kto taki był. Ale istnieje inna droga. Poszedłem na leczenie i teraz próbuję układać sobie życie.

— Taaa — odpowiedzieli.

Spojrzałem na Dave'a. Nie spał, ale jego powieki opadały.

— To znaczy — ciągnąłem — wszystko się dla mnie zmieniło. Żyłem na ulicy, tak jak wy, a teraz jestem czysty, żyję inaczej i zaczynam własny biznes...

— Zajeście — powiedzieli. — Dobra historia. Nooo. Nieźleś se, kurwa, poradził, chłopie.

Popatrzyłem na nich i zobaczyłem, że mają zamknięte oczy i odlecieli. Tylko Boots nie spał.

— W porządku, stary? — powiedziałem do niego.

Zamerdał ogonem.

Posłowie

Jeśli po przeczytaniu tej książki stwierdziliście, że wasze życie jest podobne do mojego, to mam dla was dobrą wiadomość.

Gdy alkohol lub narkotyki przestały już działać na wasz organizm i - pomimo wysiłków - nie widzicie dla siebie żadnej przyszłości, mimo wszystko możecie z tego wyjść. Nawet wtedy, gdy człowieka ogarnia rozpacz, gdy wydaje mu się, że nie ma już żadnego wyjścia, zawsze można odmienić swój los. Oczywiście nie wiedziałem o tym, gdy byłem na dnier.

Doszedłem do punktu, w którym miałem tylko dwie możliwości. Przyjąć pomoc i posłuchać innych, którzy przeszli przez to samo, albo umrzeć. Wybór może się wydawać oczywisty, ale wówczas podjęcie właściwej decyzji zajęło mi sporo czasu. Gdy ją wreszcie podjąłem, zrozumiałem, że dostałem szansę i że teraz powinienem zacząć pomagać innym. Nigdy po żadnym narkotyku ani alkoholu nie czułem się tak dobrze jak wtedy. Życzę wam, abyście i wy dokonali właściwego wyboru.

Kontakt ze mną:

c/o Little, Brown Book Group

100 Victoria Embankment, Londyn, EC4Y ODY

www.mark.johnson.org.uk

lub poprzez mój nowy projekt:

www.uservoise.co.uk

Podziękowania

Gdy książkę Karol mówi o „łańcuszku dobrej woli” ma na myśli to, że jeśli on pomaga komuś, to ten ktoś pomaga później innym, którzy pomagają następnym. Wydaje się, że i ja zaczynam włączać się w tę ideę, a to dlatego, że książkę Karol, poprzez fundację, dał mi szansę zmiany mojego życia. Chciałbym mu w tym miejscu podziękować, podobnie jak wielu uczestnikom jego szlachetnego przedsięwzięcia oraz całemu zespołowi Fundacji księcia Karola, w szczególności Martinie Milburn, Robowi Copebwi i Davidowi Foksowi.

Człowiek, który nazywa się Mark Lucas, przeczytał o mnie artykuł w „The Big Issue”, a potem miał odwagę uwierzyć, że moja historia nadawałaby się na książkę, oraz cierpliwość, żeby mnie nakłonić do jej napisania. Tak więc składał specjalne podziękowania ludziom z „The Big Issue” redaktorowi naczelnemu Charlesowi Howgego oraz, oczywiście, Markowi Lucasowi i zespołowi Lucas Alexander Whitey. Wiele wiary i cierpliwości okazali mi również moi wydawcy, Litde, Brown. Dziękuję Ursuli Mackenzie, Antonii Hodgson, Vivien Redman oraz całemu zespołowi.

W ciągu kilku ostatnich lat mojego życia otrzymałem bardzo dużo pomocy od wielu ludzi. Chciałbym tylko, żeby żyli i mogli to przeczytać. Ze względu na ochronę prywatności, wielu nazwisk nie mogę wymienić, ale osoby te wiedzą, że mówię właśnie o nich. Ta książka daje mi sposobność przekazania im najszerszych, najserdeczniejszych podziękowań.

Przydatne adresy dla osób szukających pomocy w Polsce

Internetowe wyszukiwarki ośrodków pomocy dla osób uzależnionych

<http://www.narkomania.org.pl/>

<http://www.narkomania.gov.pl/>

<http://www.narkotyki.pl/katalog-placowek/>

<http://monar.pl/linki.html>

Telefony zaufania

O 800 120 289 — Infolinia Stowarzyszenia KARAN
Informacja i pomoc w problemach związanych z narkotykami
Czynne: pn.—pt. 10—17
Połączenie bezpłatne

0 801 199 990 — Ogólnopolski Telefon Zaufania
„Narkotyki — Narkomania”
Informacja o sieci profesjonalnej pomocy, edukacja,
wsparcie psychologiczne.
Czynne: codziennie 16—21
Koszt połączenia: 0,35 zł

0 801 109 696 — Infolinia Pogotowia Makowego
Czynne: pn.—pt. 10—20, sob. 10—19

O 801 120 002 — „Niebieska Linia”

Przemoc w rodzinie

Czynne: pn.—sob. 10—22, niedz. 10—16

Połączenie płatne jak za jeden impuls

0 800 120 148 — Anonimowa policyjna linia specjalna

Połączenie bezpłatne, czynne całą dobę

Instytucje i stowarzyszenia oferujące pomoc i informacje osobom z problemem narkotykowym i ich bliskim

Stowarzyszenie MONAR

00—681 Warszawa, ul. Hoża 57

tel.: (022) 635 95 09, (022) 635 13 26, (022) 635 94 37

e—mail: biuro@monar.org

www.monar.org

Polskie Towarzystwo Zapobiegania Narkomanii

00—020 Warszawa, ul. Chmielna 10A/21

tel.: (022) 827 22 43, (022) 828 26 73

e—mail: tznbiuro@wa.home.pl.

www.ptzn.org.pl

Krajowe Biuro ds. Przeciwdziałania Narkomanii

02—776 Warszawa, ul. Dereniowa 52/54

tel.: (022) 641 15 01, (022) 855 54 58, (022) 855 54 69

e—mail: kbpn@kbpn.gov.pl

www. narkomania.gov.pl

Warszawskie Towarzystwo Rodzin i Przyjaciół Dzieci
Uzależnionych „Powrót z U”

02–620 Warszawa, ul. Puławska 120/124

tel.: (022) 844 44 70

e–mail: powrotzu@idn.org.pl

www.idn.org.pl/u/

Katolicka Fundacja Pomocy Osobom Uzależnionym
i Dzieciom KARAN

03–750 Warszawa, ul. Grodzieńska 65

tel.: (022) 618 65 97

e–mail: karan@karan.pl

www.karan.pl